

Alan Dean Foster
STAR WARS THE APPROACHING STORM
NADCHODZĄCA BURZA

*Dla Shelby Hettinger,
żeby wszyscy wiedzieli,
że nie żartujesz.
Wujek Alan*

44 lata przed *Nową nadzieją*

UCZEŃ JEDI

33 lata przed *Nową nadzieją*

Maska kłamstw
Darth Maul: Łowca z mroku

32 lata przed *Nową nadzieją*

Gwiezdne Wojny
Część I. Mroczne widmo

29 lat przed *Nową nadzieją*

Planeta życia
Nadchodząca burza

22 lata przed *Nową nadzieją*

Gwiezdne Wojny
Część II. Atak klonów

20 lat przed *Nową nadzieją*

Gwiezdne Wojny
Część III

10–8 lat przed *Nową nadzieją*

TRYLOGIA HANA SOLO
Rajska pułapka
Gambit Huttów
Świt Rebelii

5–2 lata przed *Nową nadzieją*

PRZYGODY LANDA
CALRISSIANA
Lando Calrissian i Myślóharfa
Sharów
Lando Calrissian i Ogniwicher
Oseona
Lando Calrissian
i GwiazdoGrota ThonBoka
PRZYGODY HANA SOLO
Han Solo na Krańcu Gwiazd
Zemsta Hana Solo
Han Solo i utracona fortuna

0 – *Nowa nadzieja*

Gwiezdne Wojny
Część IV. Nowa nadzieja

0–3 lata po *Nowej nadziei*

Opowieści z kantyny Mos Eisley
Spotkanie na Mimban

3 lata po *Nowej nadziei*

Gwiezdne Wojny
Część V. Imperium kontratakuje
Opowieści łowców nagród

3,5 roku po *Nowej nadziei*

Cienie Imperium

4 lata po *Nowej nadziei*

Gwiezdne Wojny
Część VI. Powrót Jedi

Pakt na Bakurze
Opowieści z pałacu Hutta Jabby
WOJNY ŁOWCÓW NAGRÓD
Mandaloriańska zbroja
Spisek Xizora
Polowanie na łowcę

6,5–7,5 roku po *Nowej nadziei*

X-WINGI
Eskadra Łotrów
Ryzyko Wedge'a
Pułapka z Krytos
Wojna o bactę
Eskadra Widm
Żelazna Pięść
Dowódca Solo

8 lat po *Nowej nadziei*

Ślub księżniczki Leii

9 lat po *Nowej nadziei*

X-WINGI: *Zemsta Isard*
TRYLOGIA THRAWNA
Dziedzic Imperium
Ciemna Strona Mocy
Ostatni rozkaz

11 lat po *Nowej nadziei*

Ja, Jedi

TRYLOGIA AKADEMIA JEDI

W poszukiwaniu Jedi

Uczeń Ciemnej Strony

Władcy Mocy

12–13 lat po *Nowej nadziei*

Dzieci Jedi

Miecz Ciemności

Planeta zmierzchu

X-WINGI: *Gwiezdne myśliwce*

z Adumara

14 lat po *Nowej nadziei*

Kryształowa gwiazda

16–17 lat po *Nowej nadziei*

TRYLOGIA KRYZYS CZARNEJ

FLOTY

Przed burzą

Tarcza kłamstw

Próba tyrana

17 lat po *Nowej nadziei*

Nowa rebelia

18 lat po *Nowej nadziei*

TRYLOGIA KORELIAŃSKA

Zasadzka na Korelii

Napaść na Selonii

Zwycięstwo na Centerpoint

19 lat po *Nowej nadziei*

DUOLOGIA RĘKA THRAWNA

Widmo przeszłości

Wizja przyszłości

22 lata po *Nowej nadziei*

NAJMŁODSI RYCERZE JEDI

Złota kula

Świat Lyric

Obietnice

Wyprawa Anakina

Forteca Vadera

Ostrze Kenobiego

23–24 lata po *Nowej nadziei*

MŁODZI RYCERZE JEDI

Spadkobiercy Mocy

Akademia Ciemnej Strony

Zagubieni

Miecze świetlne

Najciemniejszy Rycerz

Oblężenie Akademii Jedi

Okruchy Alderaana

Sojusz Różnorodności

Mania wielkości

Nagroda Jedi

Zaraza Imperatora

Powrót na Ord Mantell

Tarapaty w Mieście w

Chmurach

Kryzys w Crystal Reef

25–30 lat po *Nowej nadziei*

NOWA ERA JEDI

Wektor Pierwszy

Mroczny przypływ I: Szturm

Mroczny przypływ II: Inwazja

Agenci Chaosu I: Próba

bohatera

Agenci Chaosu II: Porażka Jedi

Punkt równowagi

Ostrze zwycięstwa I: Podbój

Ostrze zwycięstwa II:

Odrodzenie

Gwiazda po gwieździe

Dawno, dawno temu, w dalekiej galaktyce...

ROZDZIAŁ

I

– Wydaje mi się, szanowna Shu Mai, że moja planeta stała się nagle niezwykle ważna.

Prezes Gildii Kupieckiej uśmiechnęła się blado.

– Małe klucze często otwierają potężne bramy, senatorze Mousul.

Dostojny kwartet spacerował po galaktyce. Nie po prawdziwej galaktyce oczywiście, tylko po olbrzymim, trójwymiarowym, niezmiernie skomplikowanym jej wyobrażeniu, które wypełniało całą komnatę. Wokół błyszcząły gwiazdy, spowijając wszystkich wielobarwną mgiełką miękkiego blasku. Wyciągnięcie ręki i dotknięcie któregoś z systemów planetarnych pozwalało przywołać szczegółową, encyklopedyczną informację o całym systemie, jak również jego poszczególnych światach: począwszy od zamieszkujących go gatunków i ich liczebności, aż po szczegółową charakterystykę flory i fauny, statystyki gospodarcze i perspektywy rozwoju.

Wśród czworga spacerowiczów była błękitnoskóra Twi’lekianka, milcząca i zadumana, oraz towarzyszący jej ważny (i łatwy do rozpoznania) przemysłowiec koreliański. Przewodnicząca Gildii Kupieckiej była niska i szczupła, miała zielonkawą skórę i typowe uczesanie gosamskich kobiet – wysoko upięty, pionowy kok. Czwarty członek grupy, ubrany w powłóczyście szaty z najbardziej egzotycznych materiałów, jakie można było dostać na jego planecie, był senatorem pochodzącym ze świata o nazwie Anson. Pomimo wyniosłej postawy wydawał się nerwowy, jak ktoś, kto obawia się, że jest śledzony. W twi’leko-koreliańskiej parze wyraźnie dawało się odróżnić zwierzchnika i podwładnego – choć w tym przypadku podwładny był wyjątkowo potężny.

Prezes Gildii Kupieckiej przystanęła. Szerokim gestem objęła migoczące świetliste kropki, przedstawiające tysiące tysięcy światów. To zdumiewające, pomyślała, jak tryliony inteligentnych istot i całe cywilizacje można zredukować do jasnych plamek zawieszonych w niewielkim pokoju. Gdyby tylko rzeczywistość była równie łatwa w organizacji i zarządzaniu, jak jej świetlista projekcja!

Uznała z satysfakcją, że jest to wykonalne – przy odrobinie czasu i z pomocą starannie dobieranych sojuszników.

– Wybacz mi, szlachetna pani – mruknął Korelianin – ale ani moi współpracownicy, ani ja nie możemy sobie w żaden sposób wytłumaczyć znaczenia świata zwanego Ansionem.

Shu Mai klasnęła w dłonie.

– Doskonale!

Jej towarzysze, bez względu na rasę, wydawali się zmieszani.

– Jesteś zadowolona, pani, że nie rozumiemy znaczenia tego miejsca? – zapytała Twi'lekianka.

– Ależ tak – Gossamka uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Jeśli wy tego nie dostrzegacie, nie zobaczy też nikt inny. Uważajcie, za chwilę to znaczenie stanie się nie tylko oczywiste, ale nawet widoczne.

Odwróciła się i sięgnęła między pulsujące zbiorowisko światów i słońce, przesuując czubkami palców prawej dłoni po niewielkiej, ale centralnie ulokowanej gwiazdzie.

Obraz zareagował na jej dotyk pojawieniem się trzech jasnych jak promienie lasera, błękitnych linii, łączących ten system z trzema innymi.

– Przymierze Malariańskie. Pozornie jeden z setek podobnych, nic nie znaczących sojuszy. – Jej smukłe, zwinne palce poruszyły się znowu. Pojawiły się żółte linie, łączące pierwszą gwiazdę z sześcioma kolejnymi systemami. – Traktat Wojskowy Keitumite. Nigdy nikt się na niego nie powołał, ale pozostaje w mocy. – Pani prezes uśmiechnęła się szerzej. Świetnie się bawiła. – A teraz przyjrzyjcie się temu.

Jej dłonie znów zagrały na otaczającym ich obrazie, niczym palce muzyka na strunach kosztownej kwintolii.

Kiedy wreszcie skończyła, pozostała trójka w milczeniu kontemlowała jej dzieło. Stali zamknięci w pajęczynie linii: błękitnych, żółtych, złotych, szkarłatnych – we wszystkich barwach widma. Chociaż można było pomyśleć, że to raczej barwy imperium. A w centralnym punkcie tej sieci jaskrawych, płonących równym blaskiem linii, przedstawiających ważne i obowiązujące traktaty i sojusze, paktów i planetarne partnerstwa, tkwił jak jądro pojedynczy i nagle jakby mniej nieistotny świat.

Ansion.

Jeden gest dłoni i kilka niedbałych słów z ust Shu Mai wystarczyły, aby skomplikowana sieć zbladła i rozwiała się w nicość. Nie można było ryzykować, że jakaś osoba niewtajemniczona w machinacje grupy wejdzie nagle i zobaczy, o czym dyskutują. Mogłoby to spowodować niewygodne pytania.

– Kto by się spodziewał, że taki świeatek leży w środku tak wielu wiążących się ze sobą traktatów? – Niebieskoskóra dama była naprawdę pod wrażeniem.

– Właśnie o to chodzi. – Shu Mai lekko skłoniła głowę w jej kierunku. – Inne światy zajmują porównywalną pozycję strategiczną, są bardziej zaludnione, uprzemysłowione i często wymieniane jako ważni gracze w czasie omawiania obecnej niepewnej sytuacji w Republice. Ale jakoś nikt nie wspomina o Ansionie. To właśnie jest wspaniałe. – Złożyła palce w stożek i znacząco spojrzała na senatora Mousula. – Gdybyśmy zdołali skłonić Ansionian do opuszczenia Republiki, niktogo by to nie obeszło. Ale przy ich powiązaniach, taki ruch powinien wystarczyć, aby przekonać wahających się już partnerów w Przymierzu Malariańskim i Traktacie Keitumite, aby poszli w ich ślady. Widzicie, ile systemów jest wzajemnie powiązanych w ramach tych paktów. Efekt będzie przypominał lawinę, która zacznie się od jednego kamyka. Zanim senat się zorientuje, skąd nadszedł cios, czterdzieści lub więcej systemów odłączy się od Republiki, a my tymczasem zaczniemy umacniać zmiany, których nadejścia na razie tylko pragniemy.

Palce Mousula zaciskały się coraz mocniej i mocniej, aż skóra na kostkach zbieła.

– To będzie ta ostatnia kropla potrzebna, by zaproponować przyjęcie nadzwyczajnych środków do zwalczania trudnej sytuacji.

Koreliański przemysłowiec prawie podskakiwał z podniecenia.

– To niezwykle, cudownie sprytny plan! Wiem, że osoby, które reprezentuję, gotowe są w każdej chwili wysłać na Ansion zbrojne oddziały, byle tylko skłonić mieszkańców do odłączenia się od Republiki.

Senator Mousul zrobił zaniepokojoną minę.

– A właśnie tego nie powinni robić – gniewnie przerwała Shu Mai. – Przypomina mi się, że Federacja Handlowa wypróbowała już gdzieś tę taktykę... Rezultat był, powiedzmy, niezupełnie pożądanym.

– No tak, cóż... – Korelianin niepewnie odkasznął w zaciśniętą dłoń. – Pojawiły się wtedy komplikacje.

– Które do dziś odbijają się echem – nieustępliwie ciągnęła Shu Mai. – Nie widzisz tego? Całe piękno tego planu polega na pozornie

niewielkim znaczeniu obiektu. Posyłając flotę, a nawet tylko kilka statków na Ansion, natychmiast ściągniemy na siebie uwagę tych sił, które wciąż nas prześladują... A jest to ostatnia rzecz, której byśmy sobie życzyli. Chcemy, aby wycofanie się Ansionu wyglądało całkowicie naturalnie, jak wynik decyzji podjętych samodzielnie, bez wpływów z zewnątrz.

Uśmiechnęła się dobrotliwie do Mousula.

– A czy tak będzie? – zapytała znacząco Twi’lekianka.

Shu Mai spojrzała na nią z aprobatą. Wiedziała, że ta osoba może stać się dla niej użyteczna. Podobnie jak inni, których w to wciągnęła... dopóki nie stracą głowy.

Przyszła kolej na senatora Mousula.

– Jak wiele innych ludów, Ansionianie są podzieleni. Nie mogą zdecydować, czy mają pozostać w Republice, czy odrzucić korupcję i zepsucie, które tam panują. Bądźcie pewni, że pośród obywateli znajdują się tacy, którzy staną po naszej stronie. Interesowałem się tym, zainteresowałem nawet znaczny kapitał w odpowiednie bodźce zachęcające do tego sposobu myślenia.

– Jak długo to potrwa? – zainteresowała się Twi’lekianka zwoźniczo miękkim głosem.

– Zanim Ansion się zdecyduje? – Senator zadumał się na chwilę. – Przyjmując, że wewnętrzny podział będzie się zwiększał, spodziewam się formalnego głosowania nad odłączeniem się od Republiki w ciągu pół standardowego roku.

Pani prezes Gildii Kupieckiej z aprobatą skinęła głową.

– Wtedy przekonamy się ku naszej satysfakcji, jak wszyscy tradycyjnie związani z Ansionem idą w jego ślady, a za nimi ich sojusznicy i sojusznicy sojuszników. Wszyscy jako dzieci bawiliście się klockami, prawda? Zawsze jest taki jeden klocek na samym dole konstrukcji, którego wyjęcie spowoduje zawalenie się całej budowli. Ansion jest właśnie takim klockiem. Wyjmijcie go, a reszta systemów po prostu się zawali. – Myśli Gossamki, podobnie jak wzrok, wydawały się koncentrować na czymś odległym. – Ci z nas, którzy okazali dalekowzroczność, zbudują na ruinach starej, zżartej przez korupcję Republiki nową strukturę polityczną, doskonałą i lśniącą, bez słabych ogniw, wolną od moralizatorskich bzdur, które obciążają i spowalniają tempo rozwoju przodźwie nowoczesnego społeczeństwa.

– A kto poprowadzi to nowe społeczeństwo? – W głosie Twi’lekianki słychać było delikatny ton cynizmu. – Pani?

Shu Mai skromnie wzruszyła ramionami.

– Moje interesy związane są z Gildią Kupiecką. Kto to zresztą może wiedzieć? Jest czas na to, żeby sprawę przemyśleć. Zanim wybierzemy przywódców, musi zwyciężyć sprawa. Przyznaję, że nie odmówiłabym takiej nominacji, ale z pewnością są inni, bardziej do tego predestynowani. Zaczniemy od mniejszych rzeczy.

– Jak na przykład Ansion. – Po niedawnej łagodnej reprimendzie entuzjazm Korelianina wrócił z całą poprzednią mocą. – Co to będzie za radość, co za przyjemność prowadzić interes, nie oglądając się na tysiące niepotrzebnych zasad, przepisów i ograniczeń. Ci, których reprezentuję, będą za to wdzięczni do grobowej deski.

– Wreszcie będziecie mieli okazję zapewnienia sobie ścisłych monopolu, o które tak usilnie zabiegacie – oschle zauważyła Shu Mai. – Nie martwcie się. W zamian za wsparcie polityczne i finansowe wszyscy, których pan reprezentuje, otrzymają to, na co zasłużyli. Pan naturalnie też.

Przemysłowiec nie zamierzał dać się zawstydzić.

– No i – dodał przebiegle – nowe układy polityczne otworzą wszelkie możliwe perspektywy przed Gildią Kupiecką.

Shu Mai skromnie machnęła ręką.

– Zawsze staramy się skorzystać ze zmienności politycznych realiów.

Zauważyła, że senator Mousul nie dołączył do dyskusji i gratulacji.

– Coś draży twoje myśli jak robak z niestrawnością, Mousulu. Co to takiego?

Ansionian spojrział na współniczkę z łagodnym wyrazem troski. Jego wielkie, lekko wypukłe oczy spokojnie wpatrywały się w panią prezes Gildii Kupieckiej.

– Jesteś pewna, że nikt inny nie domyśli się prawdziwej natury tych planów wobec Ansionu, Shu Mai?

– Do tej pory nikomu się to nie udało – odparła znacząco.

Mousul wyprostował się na pełną wysokość.

– Pochlebiam sobie, że jestem dość inteligentny, aby wiedzieć, że istnieją mądrzejsi ode mnie. To właśnie oni stanowią moje zmartwienie.

Shu Mai uspokajająco położyła dłoń na ramieniu senatora.

– Za bardzo się przejmujesz, Mousul. – Skinęła wolną ręką, nie przejmując się etykietą, aż znów pojawił się świetlny punkt Ansionu. – Popatrz na ten świat. Mały, zacofany, nieważny. Założę się, że gdybyś spytał jakiegokolwiek polityka czy kupca, co to takiego, nie umiałby ci odpowiedzieć. Nikt, oprócz osób zgromadzonych w tym pokoju, nie jest świadom jego znaczenia.

Przemysławiec z Korelii, oburzony złośliwością i dławiącą wszystko biurokracją, które panowały w Republice i utrudniały mu robienie interesów, kupował całe firmy i ogromne tereny jednym dotknięciem palca. Ale nawet za cenę całego swojego bogactwa nie mógł kupić jednego spojrzenia w przyszłość. W tej chwili chętnie zapłaciłby kilka miliardów za odpowiedzi na parę ważnych pytań.

– Mam nadzieję, że pani się nie myli, Shu Mai. Mam nadzieję...

– Oczywiście, że się nie myli.

Twój lekianka niechętnie zgodziła się na to spotkanie, ale teraz, po szczegółowych wyjaśnieniach gospodyni, czuła się znacznie pewniej.

– Mądrość i subtelność strategii pani prezes Shu Mai i senatora Mousula zrobiły na mnie wrażenie. Jest tak jak powiedzieli: ten świat jest na tyle niepozorny i pozbawiony znaczenia, że nie ściągnie na siebie niczyjej uwagi.

ROZDZIAŁ

2

– *Haja*, skarbie... co chowasz pod tą kiecką?

Luminara Unduli nie podniosła wzroku ani na nieogolonego, nieokrzesanego i paskudnie cuchnącego mężczyznę, ani na jego równie odrażających i cuchnących kompanów. Zlekceważyła ich porozumiewawcze uśmiešky, znacząco pochylone torsy i lubieżne spojrzenia – choć połączony odór ich ciał trudno było potraktować podobnie. Cierpliwie podniosła do ust łyżkę gorącej potrawy. Jej dolna warga była umalowana na kolor lekko fioletowej czerni, a podbródek przecinał skomplikowany deseń przeplatających się czarnych rombów. Jeszcze bardziej skomplikowane wzory ozdabiały kostki jej palców. Oliwkowa cera uderzająco kontrastowała z ciemnym błękitem oczu.

Oczy te spoczywały teraz na młodszej kobiecie, zajmującej miejsce po drugiej stronie stołu.

Uwaga Barriss Offee kierowała się na przemian to na nauczycielkę, to na mężczyzn, otaczających je niebezpiecznie ciasnym kręgiem. Luminara uśmiechnęła się do siebie. Dobra dziewczyna z tej Barrissy. Spozstrzegawcza i uważna, choć może zanadto porywca. Na razie młoda kobieta dotrzymywała jej tempa, jadła spokojnie i nic nie mówiła. Mądra reakcja – uznała nauczycielka. Pozwala mi przejść inicjatywę. Tak być powinno.

Mężczyzna, który je napastował, szepnął coś jednemu ze swoich kamratów. Wszyscy wybuchnęli ordynarnym, nieprzyjemnym śmiechem. Pochylił się niżej i położył dłoń na okrytym płaszczem ramieniu Luminary.

– Pytałem cię o coś, kochanie. To jak, pokażesz nam, co ukrywasz pod tą śliczną, miękką kiecką, czy chcesz, żebyśmy sami sprawdzili?

W jego towarzyszach buzowała naładowana feromonami nadzieja. Inni goście pochylili się nad swoimi miskami, ale żaden nie zdobył się na to, aby głośno zaprotestować przeciwko temu, co się działo, nie wspominając już o interwencji.

Luminara zatrzymała łyżkę w pół drogi do ust. Wydawała się bardziej pochłonięta kontemplacją jej zawartości niż słowami napastnika. Przełknęła w końcu potrawkę, westchnęła lekko i wolną prawą dłonią sięgnęła w dół.

– Skoro tak bardzo nalegacie...

Jeden z mężczyzn wyszczerzył zęby i szturchnął towarzysza łokciem w żebra. Inni stłoczyli się jeszcze bardziej, tak że prawie leżeli na stole. Luminara odsunęła połą wierzchniej szaty. Wymyślne ornamenty miedzianych i srebrzystych bransolet, pokrywających jej przedramiona, załśniły w mdłym świetle lamp tawerny. Pod szatą miała pas ze skóry i metalu, do którego przyczepione były rozmaite przedmioty, małe, lecz o skomplikowanej konstrukcji, prawdziwe cuda mechaniki precyzyjnej. Jeden z nich był cylindryczny, doskonale wypolerowany i zaprojektowany tak, aby dobrze pasował do zaciśniętej dłoni. Agresywny rzecznik grupy spojrział, skrzywił się i lekko zmieszał. Za jego plecami rozradowane i pełne nadziei opryski straciły lubieżne zapędy jeszcze szybciej, niż statek przemytników robi skok w nadprzestrzeń.

– Mathosie, chroń nas! To miecz świetlny Jedi!

Banda niedoszłych agresorów zaczęła się powoli wycofywać; każdy zalotnik spieszenie udawał się w swoją stronę. Niespodziewanie pozbawiony wsparcia przywódca nie chciał jednak zbyt szybko ustępować. Spojrzął na lśniący metalowy cylinder złym okiem.

– Nie masz szans, panienko. Miecz świetlny Jedi? – Zmierzył wojowniczym spojrzeniem obiekt swego zainteresowania. – A to by znaczyło, ślicznotko, że jesteś rycerzem Jedi, co? Też mi Jedi! – prychnął pogardliwie. – To na pewno nie jest miecz świetlny, no nie? Mam rację? – warknął natarczywie, kiedy Luminara nie kwapiła się z odpowiedzią.

Zjadła jeszcze trochę potrawki i powoli odłożyła łyżkę na prawie pusty talerz. Delikatnie przytknęła lnianą serwetkę najpierw do czystej, a potem do pomalowanej wargi, wytarła dłonie i zwróciła się twarzą do napastnika. Niebieskie oczy patrzyły zimno z uśmiechniętej twarzy o delikatnych rysach.

– Wiesz, jak możesz to sprawdzić – poinformowała go łagodnie.

Wielki gbur chciał coś powiedzieć, ale zawahał się i zmienił zdanie. Dłonie pięknej kobiety spoczywały na udach. Miecz świetlny – zalotnik, choć niechętnie, ale musiał przyznać, że ten przedmiot wygląda naprawdę jak miecz świetlny Jedi – wciąż był przyczepiony do pasa. Młodsza kobieta po drugiej stronie stołu obojętnie kończyła posiłek, jakby wokół nie działo się nic nadzwyczajnego.

I nagle intruz uświadomił sobie kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, był teraz zupełnie sam. Jego rozochoceni do niedawna kompani ulotnili się jeden po drugim. Po drugie, siedząca przed nim kobieta powinna się do tej pory zaniepokoić i przerazić. Tymczasem jej mina wyrażała raczej znudzenie i rezygnację. Po trzecie, przypomniał sobie, że ma coś bardzo ważnego do załatwienia zupełnie gdzie indziej.

– O, przepraszam – wymamrotał niepewnie. – Nie chciałem nic złego... Pomyliłem cię z kimś innym. Szukaliśmy kogoś innego.

Odwrócił się i pomknął w kierunku wyjścia tak szybko, że omal nie potknął się o kubeł na pomyje, stojący na podłodze pod pustym konturem. Pozostali goście jeszcze chwilę uważnie obserwowali obie panie, po czym znów zajęły się jedzeniem i rozmowami.

Luminara odetchnęła cicho i wróciła do niedokończonej potrawki, ale skrzywiła się i odsunęła talerz. Gburowaty intruz na dobre pozbawił ją apetytu.

– Świetnie sobie z nim poradziłaś, pani Luminaro. – Barrissa kończyła swoją porcję. Padawance brakowało czasem uwagi i spostrzegawczości, ale nigdy apetytu. – Bez hałasu, bez zamieszania.

– Kiedy będziesz starsza, przekonasz się, że od czasu do czasu przyjdzie ci radzić sobie z nadmiarem testosteronu. Zwłaszcza na takich małych światach jak Ansion. – Mistrzynie lekko pokręciła głową. – Nie lubię takich historii.

Barrissa uśmiechnęła się wesoło.

– Nie bądź taka poważna, pani. Nic na to nie poradzisz, że jesteś atrakcyjna. Dałaś im temat do opowieści i przy okazji niezłą nauczkę.

Luminara wzruszyła ramionami.

– Gdyby tylko ci, którzy stoją na czele lokalnego rządu, tej jak-jej-tam Unii Społeczeństw, dali się równie łatwo namówić do współpracy.

– Na pewno ci się to uda. – Barrissa wstała zwinnie. – Skończyłam.

Kobiety zapłaciły za posiłek i wyszły z knajpy, odprowadzane pełnymi podziwu szeptami, pomrukami, a nawet lękliwymi komentarzami.

– Ludzie słyszeli, że przybyliśmy tutaj, aby scementować wieczny pokój pomiędzy mieszkańcami miasta unii i nomadami Alwari. Nie

wiedzą, że gra idzie o znacznie większą stawkę. A my nie możemy ujawnić prawdziwego powodu naszego tu pobytu, nie ostrzegając naszych potencjalnych przeciwników, że wiemy o ich ukrytych intencjach. – Luminara otuliła się szatą. To było ważne: zachować pozornie spokojną, ale i odpowiednio wyniosłą postawę. – Nie możemy być całkowicie uczciwe, miejscowi nam nie ufają.

Barrissa skinęła głową.

– Ludzie z miasta myślą, że jesteśmy po stronie nomadów, a nomadzi sądzą, że trzymamy z mieszczuchami. Nienawidzę polityki, pani Luminaro. – Dotknęła dłonią boku. – Wolę załatwiać sprawy za pomocą miecza świetlnego, to znacznie prostsze.

Jej ładna buzia promieniowała radością życia. Nie przeżyła jeszcze dość, aby uodpornić się na niespodzianki.

– Trudno przekonać przeciwników o prawidłowości twojego toku myślenia, jeśli są martwi. – Mistrzynie skrzyła w jedną z bocznych uliczek Cuipernam, zatłoczoną handlarzami i mieszczanami najróżniejszych ras. Mówiąc, obserwowała nie tylko uliczkę, lecz również mury stojących przy niej budynków mieszkalnych i handlowych. – Każdy może wymachiwać bronią. Rozum jest orężem, którym włada się znacznie trudniej. Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota rozwiązać problem przy użyciu miecza świetlnego.

– Jestem przekonana, że to wszystko wina Federacji Handlowej. – Barrissa gapiała się na stragan obwieszony biżuterią: kolczykami, pierścieniami, diademami, bransoletami i ręcznie rzeźbionymi ozdobami z rogu. Takie konwencjonalne ozdoby były zabronione Jedi. Jak to kiedyś wyjaśniała Barrissie i innej padawance jedna z mistrzyń: „Blask Jedi pochodzi z wnętrza, a nie ze sztucznego blichtru paciorków i bibelotów”.

A jednak ten naszyjnik z searouskiego włosia, w które wpleciono kamyczki pikach, był po prostu prześliczny.

– Co takiego ujrzałaś, Barrisso?

– Nic szczególnego, pani. Wyrażałam tylko moją dezaprobatę dla nieustannych kłowań Federacji Handlowej.

– Tak – zgodziła się Luminara. – Oraz Gildii Kupieckich. Z każdym miesiącem robią się coraz potężniejsze, wtykają swoje chciwe paluchy tam, gdzie nikt ich nie chce, nawet wtedy, jeśli bezpośrednio nie mają w tym interesu. Tu, na Ansionie, otwarcie wspierają miasta i miasteczka luźno związane Unią Społeczeństw, chociaż prawo Republiki gwarantuje grupom nomadów niezależność od takich zewnętrznych wpływów. Ich działania tylko komplikują i tak trudną sytuację. – Skrzyćły za kolejny róg. – Jak zwykle zresztą.

Barrissa ze zrozumieniem skinęła głową.

– Wszyscy mają jeszcze w pamięci incydent z Naboo. Dlaczego senat po prostu nie przegłosuje ograniczenia koncesji handlowych? To by im trochę utarło nosa!

Luminara musiała siłą powstrzymać uśmiech. Ach, naiwna młodości! Barrissa miała dobre intencje i była dobrą padawaną, ale jeśli chodzi o politykę, jej rozumowaniu brakowało finezji.

– Dobrze jest powoływać się na etykę i moralność, Barrisso, ale w dzisiejszych czasach to handel wydaje się główną siłą napędową Republiki. Gildie Kupieckie i Federacja Handlowa zachowują się często tak, jakby były oddzielnymi rządami, ale robią to bardzo sprytnie... – Skrzywiła się lekko. – Błądzą przed emisariuszami senatu, zalewając ich potokiem protestów i zapewnień o swojej niewinności. Szczególnie Nute Gunray... śliski jak notoniańska pijawka błotna. Pieniądz to potęga, a potęga kupuje głosy. Tak, nawet w Senacie Republiki. A do tego mają potężnych sojuszników. – Na chwilę zatopiła się w rozmyślnościach. – Tu już nawet nie chodzi o pieniądze. Republika to zanieczyszczone morze, pełne zdradzieckich prądów. Rada Jedi obawia się, że ogólne niezadowolenie z obecnej sytuacji skończy się całkowitą secesją wielu światów.

Barrissa była nieco wyższa niż jej mistrzyni.

– Przynajmniej wszyscy wiedzą, że Jedi są ponad takie sprawy i że nie można ich kupić.

– Nie, nie można ich kupić. – Luminara jeszcze głębiej pogrzyżyła się w zadumie.

Barrissa zauważyła tę zmianę.

– Coś innego cię trapi, pani Luminaro?

Starsza kobieta zmusiła się do uśmiechu.

– Och, słyszy się to i owo. Dziwne historie, niepotwierdzone plotki. Ostatnio takie historie krążą całymi stadami. Na przykład filozofia polityczna niejakiego hrabiego Dooku...

Barrissa na ogół lubiła chwalić się swoją wiedzą, ale tym razem zawahała się, zanim odpowiedziała:

– Zdaje się, że rozpoznaję to nazwisko, ale nie w połączeniu z tytułem. Czy to nie ten Jedi, który...

Luminara zatrzymała się nagle i wyciągnęła rękę, zagradzając drogę towarzysze. Jej oczy rzucały szybkie spojrzenia na wszystkie strony. Już nie była pogrążona w rozmyślnościach. Każdy nerw miała napięty w oczekiwaniu, wszystkie zmysły w stanie najwyższej gotowości. Zanim Barrissa zdążyła zapytać o powód tego zachowania, Jedi chwyciła

miecz świetlny, zapaliła i wyciągnęła przed siebie. Nie odwracając głowy, ustawiła się w pozycji obronnej. W odpowiedzi na reakcję mistrzyni Barrissa również wyciągnęła i włączyła broń, daremnie szukając przyczyny jej niepokoju. Nie zauważyła nic niezwykłego, więc pytająco spojrzała na nauczycielkę.

I właśnie wtedy Hoguss skoczył z góry, nadziewając się gładko na ostrze Luminary. Rozszedł się swąd palonego ciała, Jedi wyciągnęła promień, a zaskoczony Hoguss, zaciskając w martwej dłoni bezużyteczny już topór wojenny, zwałił się na bok. Ciężkie cielsko głucho walnęło o ziemię.

– Do tyłu! – Luminara zaczęła się cofać, podczas gdy czujna już i niespokojna Barrissa osłaniała jej boki i tyły.

Atakujący spadali z dachów i okien na piętach, wyskakiwali z hukiem z drzwi i z pozornie pustych skrzyń – prawdziwy błyskawiczny desant najgroźniejszych zbirów. Ktoś musiał poświęcić sporo pieniędzy i wysiłku, aby zaaranżować taką pułapkę, pomyślała z goryczą Luminara, cofając się przed nimi. Oprócz obawy o los własny i uczennicy czuła szczery podziw dla przenikliwości nieprzyjaciela. Kimkolwiek był, musiał doskonale wiedzieć, że ma do czynienia z kimś więcej niż parą turystek na porannym spacerze.

Pozostawało tylko pytanie: ile naprawdę wiedzą?

Były tylko dwie możliwości, aby zwyciężyć w walce z Jedi: uśpić ich czujność i otumanić fałszywym poczuciem bezpieczeństwa albo pokonać przewagą liczebną. Subtelne działania wydawały się jednak obce ich obecnym napastnikom. A jednak na zatłoczonych, ruchliwych ulicach wielka liczba atakujących zdołała ująć uwagi Luminary, a ich wrogie uczucia rozplynęły się w emocjach tłumu.

Teraz, kiedy atak się rozpoczął, Moc aż pulsowała nienawiścią, emanującą z tuzinów świetnie uzbrojonych bandytów. Przeciskali się przez ciżbę, aby dotrzeć do oddalających się celów i zadać ostateczne, śmiercionośne ciosy. Paniczne miotanie się przerażonych gapiów w wąskich uliczkach przeszkadzało obu kobietom w szybkiej ucieczce, ale na szczęście nie pozwalało również uzbrojonym w miotacze atakującym na oddanie celnego strzału do ofiar. Gdyby znali się na taktyce, ci uzbrojeni w białą broń powinni rozstąpić się na boki, dając swoim towarzyszom z miotaczami szansę na oddanie bodaj jednego strzału. Jednak nagrodę obiecano tylko tym, którzy zabiją Jedi własnymi rękami. Nic więc dziwnego, że niechętnie ze sobą współpracowali w osiągnięciu ostatecznego celu, aby przypadkiem to nie kolega zainkasował so-witą premię.

Dzięki temu Luminara i Barrissa bez trudu odbijały strzały z miotaczy oraz ciosy bardziej prymitywnej broni – długich szabli i noży. Z obu stron osłaniały je wysokie mury; handlarze i klienci wciąż miotali się w poszukiwaniu schronienia, dając im wystarczające pole do działania. Przed nimi pietrzył się stos martwych ciał; niektóre były pozornie nieknięte, inne pozbawione różnych części gładkimi, czystymi cięciami wirujących ostrzy intensywnie świecącej energii.

Pełna zapału Barrissa wykrzykiwała obelgi i pogroźki, co stanowiło doskonałe uzupełnienie spokojnego, milczącego sposobu walki Luminary. We dwie nie tylko zdołały odeprzeć napastników, ale nawet zaczęły zmuszać ich do odwrotu. W ciszy i przerażającej skuteczności walczących Jedi jest coś takiego, co pozbawia odwagi zwyczajnego przeciwnika. Niedoszłemu mordercy wystarczało ujrzeć kilka promieni lasera odbitych przez groźnie mruczące ostrze, żeby nagle zdać sobie sprawę, że istnieją jeszcze inne, znacznie mniej niebezpieczne sposoby zarabiania na chleb.

W chwili, kiedy dwie wojowniczkę zabierały się do zepchnięcia niedobitków na otwarty plac, gdzie mogłyby ich łatwiej i skuteczniej posiekać, w grupie uciekających rozległ się ryk radości. Pojawiły się kolejne dwa tuziny zabójców. Ta mieszanina ludzi i obcych była lepiej ubrana, lepiej uzbrojona i bardziej nastawiona na zespołową walkę niż ich poprzednicy. Luminara zrozumiała nagle, że poprzednia zacięta walka miała na celu tylko zmęczenie ich, nie zaś pokonanie. Wyprostowała się i zawołała coś krzepiącego w kierunku wyraźnie opadającej z sił Barrissy; wkrótce znalazły się znowu w wąskiej uliczce, z której prawie udało im się umknąć.

Napastnicy zdawali się czerpać nowe siły z przybycia wsparcia; ci, którzy przeżyli, ruszyli ze zdwojoną energią, systematycznie wypierając w tył Jedi i padawanek.

Nagle i tego tyłu zabrakło. Boczna uliczka kończyła się nagle murem podwórka. Każdemu innemu wspinaczka na tę ścianę wydawałaby się absurdem, Jedi jednak potrafi znaleźć oparcie dla rąk i stóp tam, gdzie inni widzą tylko gładką powierzchnię.

– Barrissa! – Luminara, wywijając mieczem świetlnym, wskazała czerwony mur przeszkody. – Do góry! Jestem tuż za tobą!

Mężczyzna w grubej skórzanej kurcie ukląkł i starannie wycelował z miotacza. Luminara odbiła jego strzały, na chwilę wypuściła miecz z ręki i skinęła nią w tamtą stronę. Miotacz jak żywy wyrwał się z dłoni bandyty. Zaskoczony zbior usiadł z rozmachem, ale nie zrezygnował i osłaniany przez towarzyszy ruszył na czworakach, aby

odzyskać broń. Luminara wiedziała, że nie mogą się tak bronić przez wieczność.

– Wchodź na górę! – poleciła padawance. Nie musiała się odwracać, żeby wyczuć za plecami nieustępliwą ścianę.

Barrissa wciąż się wahała.

– Pani, możesz mnie osłaniać, kiedy będę się wspinać, ale ja nie zdołam ci pomóc ze szczytu muru – powiedziała i wypadem w przód rozbroiła gadopodobnego Wetakka, który próbował prześliznąć się pod jej paradą. Stwór wrzasnął z bólu i cofnął się, wyciągając zakrzywione ostrze, które trzymał w jednej z sześciu dłoni. Padawanka nawet nie mru-gnęła, tylko dodała: – Sama nie możesz się wspinać i bronić jednocześnie!

– Nic mi nie będzie – zapewniła ją Luminara, choć właśnie zaczęła się zastanawiać, jak zdoła wejść na górę, zanim ktoś z tyłu ją zabije. Ale bardziej martwiła się o padawanę niż o siebie.

– To rozkaz, Barrisso! Właź na górę. Musimy wydostać się z tej pułapki.

Barrissa niechętnie zamachnęła się szerzej, żeby zrobić sobie trochę miejsca z przodu, zgasiła miecz, przypięła go do pasa, obróciła się na pięcie, zrobiła kilka kroków, skoczyła i wylądowała w połowie wysokości ściany. Przyłgnęła do niej jak pająk i, znajdując pozornie niewidoczne oparcie dla palców, zaczęła wspinać się na górę. Luminara samotnie powstrzymywała bandę spragnionych jej krwi zabójców.

Ze szczytu muru Barrissa spojrzała w dół. Luminara nie tylko od-pierała ataki napastników, ale nawet zdołała ich odeprzeć o kilka me-trów, aby mieć pewność, że nie będą mieli czasu wycelować we wspinającą się padawanę. Barrissa zawahała się.

– Pani Luminaro, ich jest za dużo! Nie mogę cię chronić z góry!

Jedi odwróciła się, żeby odpowiedzieć. Nie zauważyła ani nie wy-czuła małego Throba, ukrytego za plecami znacznie większego czło-wieka. Throb miał kiepski miotacz i nie umiał celować, ale nie odbity w porę strzał trafił kobietę w brunatnej szacie. Luminara zachwiała się na nogach.

– Pani! – Przerażona i wściekła Barrissa zastanawiała się, czy le-piej zostać na szczycie ściany, czy też zejść na dół, na pomoc. W rozpa-czy poczuła nagle delikatne drżenie – zakłócenie Mocy, ale całkiem inne od wszystkiego, czego zdołała doświadczyć tego okropnego po-ranka. Przede wszystkim było zaskakująco silne.

Dwaj mężczyźni wyskoczyli z obu stron Luminary z głośnym krzy-kiem. Żaden nie był szczególnie mocno zbudowany, choć młodszy z nich

wyglądał tak, jakby w przyszłości miał się jeszcze rozrosnąć. Z błyskiem mieczy świetlnych wpadli pomiędzy oszołomionych opryszków, siejąc zamęt jak stado rozwścieczonych banth.

Mordercy – trzeba im to przyznać – trzymali się dzielnie jeszcze przez parę chwil. Kiedy jednak zaczęło przybywać trupów, ci, którzy przeżyli, woleli podać tyły. W ciągu niecałej minuty ulica aż do samego placu całkowicie opustoszała. Barrissa zeskoczyła ze znacznej wysokości na ziemię, aby znaleźć się twarzą w twarz z przystojnym młodym człowiekiem, któremu pewność siebie pasowała jak strój szyty na miarę. Uśmiechnął się zadziornie, wyłączył miecz i przyjrzał się jej uważnie.

– Mówiono mi, że poranne ćwiczenia są równie dobre dla duszy, jak i dla ciała. Cześć, Barrisso Offee.

– Anakin Skywalker. Pamiętam cię ze szkolenia. – Podziękowała mu krótkim kiwnięciem głowy i pospieszyła do swej mistrzyni. Drugi z przybyłych badał już ranę od miotacza, którą odniosła Luminara.

– To nic wielkiego – stwierdził w końcu.

Luminara otuliła się płaszczem.

– Przybyłeś za wcześniej, Obi-Wanie – odezwała się do starszego Jedi. – Spodziewaliśmy się was dopiero pojutrze.

– Statek miał dobry czas – wyjaśnił Obi-Wan i ogarnął spojrzeniem otwartą przestrzeń placu, na który właśnie wyszli. Teraz ani w zasięgu wzroku, ani w Mocy nie wyczuwało się wrogich zakłóceń. Pozwolił sobie na lekkie odprężenie. – Skoro przybyliśmy wcześniej, nie przypuszczaliśmy, że ktoś wyjdzie nam na spotkanie, więc postanowiliśmy was poszukać. Kiedy okazało się, że nie ma was na kwaterach, postanowiliśmy trochę się przejść, żeby poznać miasto. Wtedy wyczułem kłopoty. A potem natknęliśmy się na was.

– Cóż, trudno byłoby powiedzieć, że przybyliście nie w porę. – Luminara uśmiechnęła się z wdzięcznością. Był to ten sam intrygujący uśmiech różnobarwnych warg, który Obi-Wan pamiętał z dawniejszych wspólnych przedsięwzięć. – Sytuacja zaczynała się robić... niezręczna.

– Niezręczna! – zdziwił się Anakin. – Przecież gdyby nie mistrz Obi-Wan i ja...

Miażdżące spojrzenie, które posłał mu starszy Jedi, wystarczyło.

– Jest coś, czego byłam ciekawa od chwili, kiedy dostaliśmy to zadanie. – Barrissa podsunęła się do Obi-Wana i Luminary. – Po co aż czworo Jedi do załatwienia lokalnej sprzeczki pomiędzy miejscowymi istotami rozumnymi? – zapytała z wyczuwalną niecierpliwością. – Przedtem mówiło się o ważniejszych tematach.

– Pamiętasz chyba naszą rozmowę – cierpliwie wyjaśniała Luminara. – Nomadowie Alwari uważają, że senat faworyzuje mieszkańców miast. Taka opinia o stronniczości senatu niebezpiecznie sprzyja przekonaniu obu grup, że Ansion będzie się miał lepiej poza Republiką, gdzie wewnętrzne dyskusje można załatwić bez ingerencji czynników z zewnątrz. Ich przedstawiciel w senacie wydaje się skłaniać w tym kierunku. W dodatku mamy dowody, że różne elementy z zewnątrz również mieszają w tym garnku w nadziei, że skłonią Ansion do secesji.

– To tylko jeden świat i do tego niezbyt ważny – zauważyła Barrissa. Luminara powoli skinęła głową.

– To prawda. Ale to nie sam Ansion jest taki ważny. Związany licznymi sojuszami może odciągnąć od Republiki dalsze systemy. O wiele więcej systemów, niż Rada Jedi by sobie życzyła. Dlatego musimy znaleźć sposób, aby utrzymać Ansion w Republice. Najlepszym sposobem byłoby zażegnanie sporów między mieszkańcami miast a nomadami i umocnienie przedstawicielstwa planetarnego. Jako osoby z zewnątrz, reprezentujące wolę senatu, możemy znaleźć na Ansionie szacunek, ale nie przyjaźń. Przez cały czas, jaki tu spędzimy, podejrzliwość mieszkańców będzie nam towarzyszyć. W tej skomplikowanej sytuacji, wobec wciąż zmieniających się sojuszy i możliwej obecności agitatorów spoza planety, uznano, że dwie pary negocjatorów będą bardziej skuteczne niż jedna.

– Rozumiem – powiedziała Barrissa.

Stawka była zbyt duża; z pewnością chodziło o coś więcej niż kłótnie między nomadami i mieszkańcami miasta. Czy Luminarze polecono aż do tej pory ukrywać przed padawaną prawdziwy cel ich podróży, czy też Barrissa była zbyt zajęta szkoleniem, że nie dostrzegła szerszych aspektów tej sprawy? Czy jej się podoba, czy nie, będzie musiała poświęcić więcej uwagi polityce galaktycznej.

Może się dowie, dlaczego siły spoza Ansionu chcą jego odłączenia się od Republiki tak bardzo, że gotowi są mieszać się w wewnętrzne sprawy planety? Co te nieznanne istoty mogą na tym zyskać? W Republice są tysiące, setki tysięcy cywilizowanych światów. Odejście jednego, a nawet kilku, nie powinno wiele znaczyć dla zarządzających galaktyką. A może jednak?

Była pewna, że coś ważnego umyka jej uwagi, i wydawało jej się to niezwykle frustrujące. Nie mogła jednak na razie zadawać Luminarze dalszych pytań, bo Obi-Wan mówił:

– Ktoś spoza Ansionu nie chce, aby te negocjacje się powiodły, i dąży do odłączenia planety od Republiki, niezależnie od konsekwencji, ja-

kie może to za sobą pociągnąć. – Jedi zmrzył oczy i spojrział w niebo, zachmurzone i grożące deszczem. – Dobrze byłoby się dowiedzieć, kto to taki. Powinniśmy byli zatrzymać jednego z napastników.

– To mogli być zwyczajni bandyci – zauważył Anakin.

Luminara rozważała to przez chwilę.

– To możliwe, ale jeśli nawet Obi-Wan ma rację i ta banda została wynajęta, aby przeszkodzić nam w kontynuowaniu misji, to na pewno zleceniodawcy starali się ukryć przed mordercami swoją tożsamość i cel. Nawet gdyby udało nam się złapać jednego z zabójców, przesłuchanie mogłoby nic nie dać.

– To prawda – musiał przyznać padawan.

– A więc ty także byłeś na Naboo? – Barrissa, która poczuła się odsunięta od rozmowy pomiędzy starszymi Jedi, z zaciekawieniem zwróciła się do Anakina.

– Tak, byłem – odpowiedział chłopiec z dumą.

Jaki on dziwny, pomyślała Barrissa. Dziwny, ale da się lubić. Nudziany wewnętrznymi sprzecznościami jak krzew momusa nasionami. Ale nie dało się ukryć, że ma w sobie wielkie zasoby Mocy.

– Jak długo jesteś padawanką mistrzyni Luminary? – zapytał.

– Dość długo, żeby zapamiętać, że ci, którzy przez cały czas mają otwarte usta, często mają również zamknięte uszy.

– Och, świetnie – wymamrotał chłopiec. – Nie będziesz chyba przez cały czas mówić aforyzmami, co?

– Przynajmniej mówię o czymś poza sobą – odparowała. – Jakoś mi się wydaje, że nigdy nie miałeś dobrych ocen za skromność.

Ku jej zdumieniu zmieszał się okropnie.

– Mówiłem o sobie? Przepraszam! – Wskazał na dwie postacie przed nimi. – Mistrz Obi-Wan mówi, że cierpię na nadmiar niecierpliwości. Chcę wszystko wiedzieć i wszystko robić... najlepiej natychmiast albo jeszcze wcześniej. No i nie udaje mi się ukryć faktu, że wolałbym być całkiem gdzie indziej. To nie jest zbyt ekscytujące zadanie.

Dziewczyna wskazała boczną uliczkę, usłaną stosami ciał.

– Jeszcze nie minął dzień od czasu, kiedy tu przybyłeś, a już wplątałeś się w walkę na śmierć i życie. Naprawdę nie wiem, jak rozumiesz słowo „ekscytujący”.

Prawie się roześmiał.

– A ty naprawdę masz poczucie humoru. Jestem pewien, że się doskonale dogadamy.

Barrissa myślała o tym, zanim doszli do targowiska po drugiej stronie placu i wmieszali się znów w falujący tłum ludzi i obcych. Ten

wysoki, niebieskooki padawan był bardzo pewny siebie. Może miał rację, kiedy mówił, że chce wszystko wiedzieć. Zachowywał się tak, jakby już mu się to udało. A może to ona myliła pewność siebie z arogancją?

Nagle się oddalił. Obserwowała, jak podchodzi do stoiska z suszonymi owocami i z warzywami pochodzącymi z najdalszych stron, od regionu Kander do północnych krańców Cuipernam. Kiedy wrócił z pustymi rękami, przyjrzała mu się niepewnie.

– Co się stało? Zobaczyłeś coś, co z daleka wyglądało smacznie, ale z bliska okazało się mniej apetyczne?

– Co takiego? – Wydawał się wyrwany z zadumy. – Nie. Nie chodziło o jedzenie. – Obejrzał się znów na skromny stragan z owocami i przyspieszył, by dogonić nauczycieli. – Nie widziałas? Chłopiec, który tam stał, ten w kurtce i długich spodniach, kłócił się ze swoją matką. Krzyczał na nią! – Z bólem pokręcił głową. – Pewnego dnia, gdy będzie starszy, pożałuje, że to zrobił. Nie powiedziałem mu tego wprost, ale chyba zdołałem przekazać mu ogólny sens. – Pogрузzył się w głębokiej zadumie. – Ludzie tak się spieszą żyć, że często zapominają o tym, co naprawdę ważne.

Co za dziwny padawan, pomyślała Barrissa, a jeszcze dziwniejszy człowiek. Byli mniej więcej w tym samym wieku, a jednak w niektórych sprawach wydawał się jej wręcz dziecinny, w innych zaś – o wiele starszy od niej. Zaczęła się zastanawiać, czy będzie miała dość czasu, żeby go lepiej poznać. Czy ktokolwiek przebywał z nim tak długo, żeby go dobrze poznać? Ona z pewnością nie zdołała tego dokonać podczas ich krótkich spotkań w Świątyni Jedi.

Nad ich głowami rozległ się grzmot. Dziewczyna nie wiedząc czemu zaczęła się zastanawiać, czy nie oznacza on czegoś więcej niż tylko deszczu.

ROZDZIAŁ

3

Ogomoor był niezadowolony. Szedł tak powoli, jak tylko mógł, zmierzając wysokim korytarzem do kwatery bossbana. Starał się ze wszystkich sił unikać spojrzeń zajętych swoimi sprawami służących, urzędników i pracowników, którzy przemykali się w obie strony. Wprawdzie jako majordomus bossbana był wyższy rangą od całej tej hałastry, ale najędźniejszy spośród nich okazywał więcej pewności siebie i zadowolenia niż on sam. Nawet niebieskozielony Smotl, znany jako Ib-Dunn, niosący naręczne wydruków większe od niego samego, rzucił mu pełne politowania spojrzenie, kiedy Ogomoor minął go i – o dziwo – nie poruszył nawet arkusika z brzemienia znacznie mniejszego pracownika.

Wszyscy mieli powód, żeby go dziś żałować. Cóż, nawet sam nad sobą się użalał. Wszystkie nowiny, i te dobre, i te złe, musiał osobiście przedstawiać bossbanowi Soerggowi Huttowi. A wiadomości, jakie przynosił mu teraz, były wyjątkowo nieprzyjemne. Ogomoor spędził znaczną część poranka na modlitwach o jakąś poważną chorobę z gorączką, najlepiej bardzo zaraźliwą. Niestety, zarówno on, jak i bossban cieszyli się niezmiennie doskonałym zdrowiem.

Czy dzięki temu zdoła jakoś przebrnąć przez nieuniknione spotkanie z Soerggiem? Stało się to przedmiotem spekulacji – a nawet nieformalnych zakładów zawieranych przez współpracowników. To dlatego odprowadzali go teraz zmartwionymi spojrzeniami. Zdumiewające, jak szybko złe nowiny roznoszą się wśród niższych rangą, dumął Ogomoor w jednej z tych niewielu chwil, kiedy nie pogrążał się w ubolewaniu nad własną niedolą.

Skręcił i znalazł się przed wejściem do sanktuarium bossbana. Drzwi strzegła para ciężkozbrojnych Yuzzemów. Zmierzyli go pogardliwym wzrokiem, jakby już był martwy. Wzruszył ramionami i zapowiedział się przez komunikator. Równie dobrze może już być po wszystkim, zdecydował.

Bossban Soergg Hutt, szarawy, pulsujący, sflaczały kłęb ciała i mięśni, mógłby się podobać chyba tylko innemu Huttowi. Siedział plecami do drzwi, z rękami splecionymi z przodu, wyglądając przez panoramiczne okno wychodzące na rozległy krajobraz Dolnego Cuipernamu. Z boku trzy konkubiny grały w bako. W tej chwili nie miały na sobie kajdan. Jedna była rasy ludzkiej, jedna broguńskiej, a trzeciej Ogomoor do dnia dzisiejszego nie zdołał zaklasyfikować. Majordomus nawet nie próbował sobie wyobrazić, co Soergg z nimi robi. Kiedy Brogunka podniosła na niego obie pary oczu, Ogomoor wiedział już, że siedzi po uszy w mopaku.

Soergg ciężko odwrócił się od okna. Małeńki automatyczny robot opiekuńczy pospiesznie podążył za tym ruchem, skutecznie, choć bez entuzjazmu wypełniając swoje zadanie, polegające na czyszczeniu ciągnących się za Huttem śladów śluzu i odpadów. Bossban splótł dłonie na pokaznym brzuszysku i groźnie spojrzął na Ogomoor wypukłymi, skośnymi ślepiami.

– No i co? Zawaliłeś?

– Nie ja, o Wszechmocny! – Ogomoor pochylił się tak nisko, jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę bliskość tej huttańskiej zarazy. – Wynająłem tylko najlepszych, takich, których mi polecano. To oni zawiedli, tak samo jak ci, którzy ich polecili. Tych bezwartościowych głupców już sam ukarałem. Jeśli chodzi o mnie, to jak zawsze byłem jedynie twym pokornym wysłannikiem.

Hutt wstrząsnął się i wydał basowy dźwięk. Ogomoor znalazł się dokładnie na linii ognia, bez szans na taktowny unik; musiał przyjąć na siebie pełną moc beknięcia bossbana. Cuchnąca struga powietrza omal nie zbiła go z nóg, ale dzielnie wytrzymał. Na szczęście nieuchronne skurcze jego własnego systemu trawiennego nie były zbyt widoczne.

– Może to w ogóle niczyja wina – odezwał się Soergg.

Ta uwaga była tak zadziwiająca, tak nietypowa, że Ogomoor natychmiast zaczął podejrzewać jakąś pułapkę. Dyskretnie usiłował wysondować rzeczywiste intencje bossbana.

– Jeśli ponieśliśmy porażkę, jak to możliwe, aby nikt nie zawinił, o Wielki?

Hutt machnął małą dłonią.

– Ci głupcy, którzy zawiedli, wiedzieli, że będą mieć do czynienia z jednym Jedi i jednym padawanem, nie z dwoma. Siła Jedi rośnie w postępie geometrycznym. Kiedy walczysz z jednym, to tak, jakbyś walczył z dwoma. Walka z dwoma bardziej przypomina starcie z czterema. A walka z czterema... – Przez całe ciało Hutta przeszedł widoczny dreszcz. Ogomoor był naprawdę pod wrażeniem. Wprawdzie nigdy jeszcze nie widział osobiście żadnego z legendarnych Jedi, ale jeśli coś może przyprawić bossbana Soergga o dreszcze, to z pewnością należy tego unikać.

– Druga para miała przybyć dopiero za dwa dni. – Soergg mruczał cicho, jakby do siebie, a słowa wylatywały z czeluści jego brzucha, jak bąble metanu wydostające się na powierzchnię zbiornika fermentacyjnego. – Ktoś mógłby sądzić, że wyczuli konfrontację i przyspieszyli przybycie. Ta zmiana planów jest podejrzana i należy zwrócić na nią uwagę innych.

– Jakich innych? – zapytał Ogomoor i natychmiast tego pożałował.

Soergg zmierzył go groźnym wzrokiem.

– A po co chcesz to wiedzieć, fagasio?

– Nie chcę... naprawdę nie... – Ogomoor skurczył się tak, jakby usiłował się schować we własnych butach.

– Tak będzie lepiej dla ciebie, wierz mi. Zadrżałbyś na samo wspomnienie pewnych imion, pewnych organizacji. Ciesz się swoją ignorancją i niskim stanowiskiem.

– Och, tak, Wasza Korpulencjo, cieszę się! – Ogomoor dałby wszystko, żeby się dowiedzieć, o czym mówi bossban. Spodziewane z takiej wiedzy zyski przeważały wszelkie obawy, jakie mógłby żywić.

– Sytuacja stała się fatalna – ciągnął Hutt – ponieważ wyszkoleni Jedi często potrafią wyczuć zakłócenia w pobliżu siebie. Dzięki temu piekielnie trudno ich zaskoczyć. Niektóre osoby nie byłyby zadowolone z takiego obrotu sprawy. Będą dodatkowe wydatki.

Tym razem Ogomoor zachował milczenie.

Ruchy Huttów są powolne, ale nie ich umysł.

– Wprawdzie masz zamknięte usta, ale wiem, że mózg ci pracuje. Szczegóły tego interesu to wyłącznie moja sprawa i lepiej, żebyś o nich nie wiedział – dodał Soergg. Świadom irytacji bossbana Ogomoor powstrzymał się od zapytania, jak miałby zapomnieć o czymś, czego mu nigdy nie powiedziano.

– Może to nie będzie miało znaczenia – powiedział ostrożnie. – Przedstawiciele unii są z każdym dniem coraz bardziej niezadowoleni

z niezdecydowania urzędników Republiki w sprawie roszczeń nomadów. Poinformowano mnie, że podobnie jak w wielu innych bieżących kwestiach opinia senatu jest podzielona.

– Tak, tak, wiem – zagrzmiał basem Soergg. – Zdaje się, że w galaktyce panuje teraz rozdzwięk zamiast zgody. – Skórzasta twarz zmarszczyła się w zadumie. – Chaos jest niedobry dla interesów. Dlatego Huttowie sprzymierzili się, choć dyskretnie, z siłami, które pragną zmian. Stabilizacja sprzyja handlowi. – Pogroził palcem asystentowi. – Przy odrobinie szczęścia Jedi będą potrzebowali czasu, żeby wywiązać się ze swojej misji. Nie od razu uda im się zażegnać konflikt między mieszkańcami miasta a Alwari. A to nam daje czas i możliwości, aby wyjść na swoje. Musimy o to zadbać. Nie można dopuścić, aby Jedi zachwiali opinią przedstawicieli unii. Należy poddać pod głosowanie oddzielenie się Ansionu od Republiki. – Po szczątkowym podbródku Hutta spłynęła strużka śliny, gdy ogromny jęzor przesunął się po grubych wargach. Robot pokojowy pospieszył złapać paskudną wydzielinę, zanim zdoła splamić podłogę.

– Nie wyobrażasz sobie – mówił dalej Soergg groźnie przyciszonym głosem – jakie mogą być reperkusje, jeśli nie zdołamy wywiązać się z kontraktu. Ci, którzy nas wynajęli, aby zrealizować swoje życzenia, mają opinię nieprzychylnych dla nieudaczników, co może się objawić w bardzo nieprzyjemny sposób.

Ogomoor miał aż za bogatą wyobraźnię w tym względzie.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy, bossbanie, jak zwykle. Ale czwórka Jedi...

– Dwoje Jedi i dwoje padawanów – poprawił go Soergg. Nagle zrobił sympatyczną minę, a przynajmniej jej huttański odpowiednik. – Ci żałośni maruderzy, których byłeś łaskaw wynająć, to amatorzy, typowi dla światów tak odległych jak Ansion. Do tej pracy potrzebujemy prawdziwego, doświadczonego zawodowca. Kogoś, czyja wiedza i umiejętności wykraczają poza granice republikańskiego prawodawstwa. Na przykład autentycznego łowcę nagród. Niestety, na Ansionie ich nie ma...

Przez dłuższą chwilę dumał smętnie.

– *Slatt!* – wykrzyknął w końcu. – Z naszej klęski wynika przynajmniej jedna dobra rzecz. Dzięki staraniom Jedi niewielu ocalałych najeźników zgłosi się po zapłatę.

– O Wielki, kiedy już ze mną skończysz, będę miał mnóstwo pracy. – Ogomoor zaczął powoli wycofywać się z pokoju. – Wkrótce przybędzie transport skór twearów z Aviprine...

– Nie tak szybko!

Majordomus niechętnie zatrzymał się w pół drogi.

– Mam nadzieję, że tym razem się przyłożysz, Ogomoorze. Mądry kupiec nigdy nie przepuszcza okazji. Okaż trochę tej przebiegłości, z której słynie twoje plemię. Sprawa powstrzymania Jedi ma priorytet nad wszystkim innym, z dostawą skór twearów włącznie. Oczekuję regularnych sprawozdań. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, rekwiruj, a ja już się zajmę stroną formalną. Trzeba powstrzymać naszych gości, inaczej wszystko skrupi się na nas! Czy wyrażam się dość jasno?

– Całkowicie – skłonił się nisko Ogomoor.

Hutt nadał się, jak rozsadzana pychą ropucha.

– Jak zwykle.

– Ku oświeceniu i nauce tych, którzy ci służą, o Przepotężny i Mądry Patronie...

Kiedy wreszcie Ogomoor zdołał wynieść się z komnaty, unosząc nietknięte stanowisko oraz wszystkie części ciała, mógł już ze spokojem ignorować wielorasowy chichot, który podążał w ślad za nim aż do drzwi jego własnego gabinetu. Nie ma się czym martwić, to nic takiego, powiedział sobie. Przede wszystkim musi zachować zaufanie i szacunek pracodawcy, a w tym celu należy dopilnować załatwienia obu Jedi i ich złośliwych padawanów. Takiego zadania może się podjąć nawet wiejski ignorant i półgłówek.

Bo tyle z niego zostanie, kiedy dobiórą się do niego rozgniewani Jedi. Tego Ogomoor był doskonale świadomy. A jednak musi być jakiś sposób. Co takiego powiedział ten wypchany, oślizły worek łożu? Właśnie, wspominał, jak trudno jest podejść i zaskoczyć Jedi. Czy to możliwe, aby nie istniała żadna możliwość obejścia ich niezwykłego talentu?

Albo jeszcze lepiej, wykorzystania go do własnych celów?

– Nie udało się. – Soergg klapnął przed stacją komunikacyjną. Hutt żywił szczególny respekt wobec drobnej ludzkiej istoty, do której się właśnie zwracał. Nie chodziło o osobowość Shu Mai, lecz o jej niezwykle dokonania handlowe.

– Co się stało? – zapytała oschle przewodnicząca Gildii Kupieckiej.

– Drugi Jedi i jego padawan zjawili się wcześniej, niż oczekiwano, i nie dopuścili do egzekucji pierwszej pary. – Soergg przybliżył usta do komunikatora. – Podaliście mi błędną informację – warknął z oburzeniem. – Straciłem wielu najemników. Poniosłem koszty.

Shu Mai była nieugięta.

– Nie zrzucaj na mnie winy za własne gapiostwo. Dostałeś najbardziej aktualną informację, jaka była dostępna. Myślisz, że śledzenie poczynañ pojedynczego Jedi jest równie proste, jak łażenie za tancerką po sali balowej? Nie trąbią wszem i wobec, dokąd się wybierają, i dobrze o tym wiesz. – W jej twarzy widać było niepokój. – Muszę przekazać tę nieprzyjemną informację dalej. Kiedy zamierzasz naprawić swoją kompromitującą porażkę?

– Sprawa jest w trakcie załatwiania. Nie dopuścimy, aby Jedi stanęli na przeszkodzie secesji Ansionu.

– Ansion jest twoim rodzinnym światem z wyboru – przypomniała Huttowi Shu Mai. – Nie obchodzi cię, czy zostanie w Republice, czy nie?

Soergg prychnął nieuprzejmie.

– Dom Hutta jest tam, gdzie jego interesy.

Przewodnicząca Gildii Kupieckiej pokręciła głową.

– Nawet członkowie Federacji Handlowej nie są aż tak przekupni.

– Uprzejme słowa ze strony osoby, której organizacja zatuszowała sprawę zanieczyszczenia niobarium na Vorianie Cztery.

Shu Mai zrobiła zdumioną minę.

– Wiesz o tym? Wydawałoby się, że osoba mająca dostęp do takich informacji nie powinna mieć problemów z wyeliminowaniem dwójki Jedi... i ich padawanów.

– Wydawałoby się, owszem – zgodził się Soergg. – Cóż, gdybym miał właściwą pomoc... Nie możesz mi przysłać kogoś odpowiedniego?

Shu Mai potrząsnęła głową.

– Otrzymałam ściśle instrukcje, by unikać wszelkich działań, które mogłyby ściągnąć dodatkową uwagę Rady Jedi. A przysłanie zawodców spoza planety właśnie do takich działań należy. Nasz przyjaciel miałby poważne kłopoty z wyjaśnieniem powodu takiego postępowania. Musi ci wystarczyć to, co znajdziesz na miejscu. Zapewniano mnie, że potrafisz sobie poradzić. Dlatego cię zatrudniłam.

– To nie taka prosta sprawa – poskarżył się żałośnie Soergg.

Przewodnicząca nachyliła się nad czujnikiem holograficznym, aż jej twarz wypełniła całą powierzchnię obrazu.

– Zaproponuję ci coś, Hutcie. Zamień się ze mną miejscami. Zajmę się tymi wścibskimi Jedi, a ty tutaj będziesz miał do czynienia z tymi, przed którymi ja się muszę tłumaczyć.

Soergg przemyślał sobie tę propozycję, ale doszedł do wniosku, że mu nie odpowiada. Huttowie nie doszliby do tego, do czego doszli, gdy-

by byli durniami. Poza tym zawsze istniała możliwość pominięcia Shu Mai, gdyby stała się zbyt natarczywa. Można ją przeskoczyć.

Czy tego właśnie chciał? Nie był pewien, czy naprawdę go interesuje, kto stoi za plecami niecierpliwiej Gildii Kupieckiej. W każdym razie na pewno nie osobiście.

– Czuję niepokój, poruszenie, a nawet wrogość – oznajmił Obi-Wan.

Anakin posłusznie włożył się za nim. Obi-Wan kierował się w stronę sali rady miejskiej Cuipernam, gdzie mieli odbyć oficjalne spotkanie z przedstawicielami Unii Społeczeństw – luźno powiązanej organizacji politycznej, która reprezentowała rozproszone miasta-państwa Ansionu i stanowiła na planecie najbliższy odpowiednik rządu planetarnego. Tylko, że ta namiastka rządu groziła teraz odłączeniem się od Republiki, upomniął się w duchu, a w ostatecznym rozrachunku pociąganiem za sobą dziesiątków innych systemów.

Luminara skinęła głową.

– Innymi słowy, mamy przed sobą stadko zdenerwowanych polityków. – Obejrzała się na Barrisę. – Istnieją pewne wartości niezmiennicze, niezależne od lokalizacji w galaktyce, moja droga. Prędkość światła, ruch mionów, a także niechęć polityków do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, która wymagałaby choćby minimalnej odpowiedzialności osobistej.

Padawanka jak zawsze zastanowiła się chwilę, zanim sformułowała odpowiedź.

– A więc jak ich przekonamy o tym, że rząd galaktyczny działa uczciwie, a w ich najlepiej pojętym interesie leży pozostanie w ramach Republiki?

– Nieraz wydaje mi się, że najlepiej działają pieniądze – odparł Obi-Wan łagodnie, ale sarkastycznie – Niezależnie jednak od tego, co dzieje się dzisiaj w senacie, metody działania Jedi są inne. W przeciwieństwie do polityków, nie możemy kupić lojalności tych ludzi obietnicami pomocy finansowej i nowatorskich projektów rozwojowych. Mamy do dyspozycji jedynie rozum i zdrowy rozsądek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zareagują na nie równie entuzjastycznie, jak na brzęczącą monetę.

Strażnicy nie musieli anonsować przybyłych gości zebranemu gremium – czekali na nich. Sala rady miejskiej była wspaniała, zwłaszcza jak na standardy Cuipernam – długa i wysoka, na wysokości drugiego

piętra ozdobiona scenami z życia planety, wykonanymi artystycznie z barwionego kwarcu. Miały one wywierać odpowiednie wrażenie na obywatelach i petentach, choć Obi-Wan pomyślał, że na Coruscant nie przyciągnęłyby uwagi nawet śmiertelnie znudzonego podróżnika. Co bynajmniej nie oznaczało, że mistrz Jedi czuł się lepszy czy ważniejszy niż miejscowi. Od wczesnego dzieciństwa wpajano mu, że osiągnięcia materialne są mało istotne. Każdy może sobie kupić wytworne stroje i wymyślne ozdoby, żyć w pałacu, pomiatać legionami żywej i mechanicznej służby. Mądrość jest o wiele trudniejsza do zdobycia.

Cała czwórka sumiennie wyraziła podziw dla otoczenia, obspując komplementami kobietę, która wyszła, aby ich formalnie powitać. Czekają na nich siedmioro delegatów, usadowionych przy długim stole, wyciętym z jednego kawałka fioletowego drzewa xell. Dwoje z nich było ludźmi, czworo Ansionianami, a jeden Armalatczykiem.

Luminara uważnie obserwowała Ansionian. Dominująca na tej planecie rasa była nieco niższa niż ludzie, o budowie ciała znacznie szczuplejszej, wręcz kościstej, a skórze barwy bladożółtej, prawie złocistej. Obie płcie były pozbawione owłosienia, z wyjątkiem pojedynczego pasma twardej szczeciny, szerokości mniej więcej piętnastu, a długości siedmiu do ośmiu centymetrów, które biegło od szczytu głowy przez cały grzbiet, przechodząc na końcu w piętnastocentymetrowej długości ogon, zazwyczaj starannie przystrzyżony i ukryty pod ciepłą, elegancko skrojoną odzieżą we wszystkich kolorach tęczy. Duże oczy o małych, czarnych źrenicach były zazwyczaj czerwone, nieraz przechodzące w jaśniejsze, żółtawe tony, rzadziej amarantowe. W ustach mieściło się mnóstwo ostrych jak noże zębów. Ansionianie byli wszystkożerni, ale spożywali stosunkowo znacznie więcej mięsa niż ludzie.

A zwłaszcza Alwari, przypomniała sobie Luminara.

Nie znalazł się tu oczywiście nikt, kto mógłby reprezentować interesy nomadów. Ci unikali miast i miasteczek; woleli przebywać na rozległych preriach, pokrywających znaczną część powierzchni Ansionu. Po tysiącletniach nieustannych konfliktów pomiędzy nomadami a mieszkańcami miast dwieście lokalnych lat temu zdołano wreszcie zawrzeć kruchy pokój. Ostatnio wymagania polityki międzygwiazdnej groziły zerwaniem tej ugody na strzępy i całkowitym odciągnięciem Ansionu od Republiki.

Nomadowie pragnęli pozostać w ramach Republiki, ale mieszkańcy miast buntowali się przeciwko ciężarowi przepisów i drobiazgowych nakazów, które napływały z Coruscant niekończącym się strumieniem. Zaczęli brać pod uwagę możliwość przyłączenia się do powstałego niedawno ruchu secesjonistycznego. W rezultacie pomiędzy nomadami

a mieszkańcami miast pojawiły się nowe zadrażnienia. Luminara wiedziała, że gdyby zdołali pogodzić sprzeczne interesy mieszkańców, Ansion mógłby pozostać w Republice. Lecz, jak to bywa w historii, lokalny konflikt zagrażał rozprzestrzenieniem się poza granice. Niewykluczone, że żadna ze stron tego międzynarodowego sporu nie wiedziała do końca, jaka jest prawdziwa stawka. Narastający spór pomiędzy mieszkańcami a nomadami odbijał się echem w całej galaktyce.

Oczy wszystkich, nie tylko tych, których wiązały formalne pakt i traktaty, skierowane były na wydarzenia rozgrywające się na Ansionie. Dzięki strategicznej lokalizacji i uwikłaniu w sieć powiązań, był to kluczowy świat w tej części galaktyki. Luminara wiedziała, że jeśli wyjmie się małą zatyczkę z tamy powstrzymującej wzburzone wody, potop może zalać wszystko.

Ansionianin, który wstał z za stołu, powitał ich ceremonialnym gestem. Pozostali delegaci nie ruszyli się z miejsca. Luminara odnotowała ten fakt w pamięci.

– Jestem Ranjiyn. Podobnie jak moi koledzy, reprezentuję unię, miasta Ansionu i ich mieszkańców.

Luminara wiedziała, że większość Ansionian używa tylko jednego imienia. Grzywa Ranjiyna ufarbowana była w naprzemienne białe i czarne pasy. Przedstawił pozostałych delegatów. Nie trzeba było mistrza Mocy, aby zauważyć ich czujność. Po zakończonej prezentacji stwierdził:

– My, mieszkańcy miast, witamy was, przedstawiciele Rady Jedi na Ansionie, i ofiarujemy wam wszelką gościnność i współpracę, jaka leży w granicach naszych możliwości.

Ładne słowa, pomyślał Anakin. Mistrz Obi-Wan spędził wiele czasu na zaspokajaniu zainteresowania swego padawana sprawami polityki. A pierwsza lekcja, którą pobrał student tego kontrowersyjnego tematu, mówiła, że słowa są najtańszą walutą używaną przez polityków i że szastają nią bez pamięci.

Tymczasem głos zabrała Luminara. Z pewnością jest niezwykłym Jedi, uznał Anakin. Na swój sposób potrafiła być równie onieśmielająca jak Obi-Wan. Była jednak przy tym przyjazna i wyrozumiała, a to więcej, niż mógł powiedzieć o jej wzorowej padawance Barrissie.

– W imieniu Rady Jedi, Obi-Wana Kenobiego i moim, Luminary Unduli, jak również naszych padawanów, Anakina Skywalkera i Barrissy Offee, dziękujemy wam za te miłe słowa. – Czwórka Jedi zajęła miejsce po drugiej stronie pięknego stołu, naprzeciwko gospodarzy. – Jak wicie, przybyliśmy tu, aby pośredniczyć na waszej planecie w sporze pomiędzy mieszkańcami miast a nomadami Alwari.

– Chwileczkę. – Wysoki, dystyngowany starszy mężczyzna wzgardliwie machnął ręką. – Proszę tylko bez sztuczek Jedi. Wszyscy wiemy, że jesteście tutaj po to, aby wszelkimi dostępnymi sposobami powstrzymać Ansion przed przyłączeniem się do ruchu secesjonistów. Lokalne sprzeczki, na które się powołujecie, nie są godne rozpatrywania ich przez Radę Jedi. – Uśmiechnął się złośliwie. – W każdym razie nie wysłaliby aż czworga przedstawicieli do załatwienia tak drobnej sprawy.

– Dla rady żaden konflikt nie jest drobny – odparł Obi-Wan. – Chcielibyśmy widzieć wszystkich obywateli Republiki żyjących w pokoju i zadowoleniu, gdziekolwiek mieszkają, niezależnie od gatunku, ich lokalnych zwyczajów i stylu życia.

– Życie w zadowoleniu! – Jedna z Ansionianek, o twarzy pociętej długimi pionowymi liniami i jednym zamglonym brązowym oku, sięgnęła pod stół, wyciągnęła stos dyskietek wielkości cegły i rzuciła na lustrzaną powierzchnię stołu. Wylądowały na niej z głuchym stukiem. – Styl życia! Czy wy w ogóle wiecie, o czym mówicie, Jedi?

Zanim Luminara czy Obi-Wan zdążyli odpowiedzieć, stwierdziła:

– To sprawozdania z obrad Senatu Republiki. Tylko z ostatnich dwóch miesięcy! – Machnęła ręką w stronę stosu, jakby to było jakieś paskudne morskie stworzenie, które nagle wyzionęło ducha na stole i właśnie zaczęło się rozkładać. – Same roczne wskaźniki zawierają w sobie więcej danych niż cała miejska biblioteka. Zgodność, przestrzeganie prawa, posłuszeństwo, tylko tym się ostatnio interesuje senat. A oprócz tego jeszcze preferencyjnym traktowaniem siebie i tych, których reprezentuje, zwłaszcza w handlu. Wielka niegdyś Republika Galaktyczna upadła pod naporem drobnych biurokratów i egoistycznych manipulatorów, którzy szukają jedynie osobistych korzyści i awansu, nie zaś sprawiedliwości i uczciwych interesów.

– Wyraźne faworyzowanie Alwarich jest tego dowodem – stwierdziła kolejna Ansionianka siedząca obok. – Senator Mousul informuje nas o wszystkim.

– Senat nie faworyzuje żadnej grupy społecznej ani etnicznej – zaprotestowała Luminara. – Ta podstawowa zasada zawiera się w prawach założycielskich Republiki i nigdy nie uległa zmianie.

– Przypadkiem zgadzam się z delegatką – spokojnie wtrącił Obi-Wan.

Zdezorientowani zgromadzeni skierowali uwagę na drugiego Jedi. Nawet Luminara wydawała się zaskoczona.

– Wybacz – wymamrotał Ranjiyn – ale czy powiedziałeś, że zgadzasz się z Kandah?

Obi-Wan skinął głową.

– Zaprzeczanie istnieniu biurokracji i problemów w senacie byłoby tym samym, co negowanie istnienia pulsarów. Z pewnością panuje tam zamieszanie i niezgoda. Z pewnością istnieje plaga biurokracji i konflikty. – Jedi ledwie zauważalnie podniósł głos, który zabrzmiał doskonale kontrolowaną energią. – Ale prawa Republiki wciąż obowiązują, są nienaruszalne i czyste. Jak długo zjednoczone istoty rozumne będą ich przestrzegać, w galaktyce będzie panował porządek. – Utkwił wzrok w Kandah. – Na Ansionie też.

Armalatczyk Tolut siedział u szczytu stołu, ponieważ nie mógł pod nim zmieścić masywnych nóg. Teraz wstał i wycelował w Obi-Wana jeden z trzech grubych paluchów.

– Gadanina Jedi! – huknął i małymi, czerwonymi oczkami powiódł po pozostałych delegatach. – Nie widzicie, dokąd on zmierza i czego próbuje dokonać? Chcą nas omamić sprytnymi słówkami! Uważają, że wszyscy Ansionianie to prymitywni wieśniacy, jestem gotów się założyć! – Nachylił się poprzez stół i wsparł potężne dłonie na gładkim, fioletowym drewnie. Solidny blat zatrzęszczał pod ciężarem jego siedmiuset kilogramów.

– Mistrzowie Mocy, hę? Mistrzowie knowań i chytrych wykrętów, mówię! To tylko przebiegłość Jedi!

– Tolut, proszę! – Ranjiyn usiłował uspokoić potężnego, o wiele większego od siebie towarzysza. – Okaż trochę szacunku dla Mocy, jeśli już nie dla naszych gości. Może i nie zgadzamy się we wszystkim, ale...

– Moc! Moc! Wszystkich was opętał i otumanił ten absurd! – Zielone palce dźgały powietrze w kierunku milczących gości. – To humanoidzi jak wy. Rozumni jak ja. Krwawią i umierają jak wszystkie inne stworzenia z krwi i kości. Dlaczego mamy dalej cierpieć pod ich uciążliwymi rządami? Ich przedstawiciele są skorumpowani albo nie wiedzą nic o potrzebach różnych gatunków, a może i jedno, i drugie. Kiedy rząd psuje się jak stary morski potwór, tak właśnie należy go potraktować. – Błysnął długimi jak dłuta zębami. – Wynieść i zakopać.

Sięgnął poprzez stół, jedną dłonią zagarnął dyskiety, które pozostawiła tam Kandah i z rozmachem rzucił nimi o ścianę, aż rozsypały się na wszystkie strony.

– Przepisy! Ograniczenia! Co ludy mogą robić, a czego nie! Wszystkie słowa... słowa, których my na Ansionie nie napisaliśmy. Powinniśmy przystać do tych, którzy chcą się odłączyć od Republiki i myśleć tak samo, jak ja mówię! Uwolnić Ansion! A jeśli Alwari nie przyłączy się do nas, załatwimy się z nimi tak, jak już nieraz w przeszłości.

Przez cały czas trwania tej tyrady goście siedzieli w milczeniu, tylko dłoń Anakina dyskretnie przesunęła się w kierunku miecza świetlnego. Wystarczył jednak cień uśmiechu na twarzy mistrza, by jego ręka zawisła w powietrzu. Anakina tak naprawdę bardzo niewiele obchodziło, czy Anision pozostanie w Republice, czy nie.

Skomplikowana machina galaktycznej polityki wciąż była dla niego tajemnicą. Ale Tolut obraził jego mistrza i chłopiec czuł narastający gniew. Zmusił się, aby zachować spokój, ponieważ jego mistrz życzył sobie tego. Wiedział doskonale, że Obi-Wan Kenobi sam potrafi o siebie zadbać.

Rycerz Jedi podniósł się z miejsca, ale ku zdumieniu Anakina uprzejmie ustąpił głosu siedzącej obok kobiecie.

– Mocy nie można tak łatwo przekreślić, mój duży przyjacielu – poinformowała Armalatczyka Luminara. – Zwłaszcza jeśli samemu nic się o niej nie wie.

Tolut znów wyszczerzył w szerokim uśmiechu wielkie, płaskie białe zęby i ruszył wokół stołu. Barrissa i Anakin napięli mięśnie, ale Obi-Wan siedział spokojnie, nie zwracając uwagi na masywnego Armalatczyka. Po twarzy błąkał mu się słaby uśmieszek. Luminara wstała i odsunęła się od krzesła.

– Myślisz, że tylko Jedi władają Mocą? – warknął Tolut. – Wszyscy się na tym znają, trzeba tylko poćwiczyć.

Wyciągnął wielką dłoń i skinął nią w kierunku stołu. Na blacie ustawiono siedem kryształowych karafek z wodą, aby uczestnicy spotkania mogli ugasić pragnienie. Jedna z nich zadrżała lekko, po czym uniosła się pół metra w górę. Po policzkach Toluta spływały grube, ciężkie krople potu, ale uśmiechnął się triumfalnie.

– Widzicie? Przy odrobinie ćwiczeń i silnej woli, wszyscy potrafią to, co Jedi. Wielki mi powód do dumy!

– Przeciwnie – łagodnie odparła Luminara. – Wiedza jest zawsze powodem do dumy.

Nie podniosła ręki. Nie musiała.

Karafka przestała dygotać, zawisła spokojnie. Luminara skoncentrowała się na niej, a naczynie powoli wzniosło się wyżej, aż dotknęło sufitu. Zafascynowani delegaci nie mogli oderwać od niej oczu. Ci mieszkańcy peryferyjnego świata nigdy wcześniej nie mieli okazji obserwować posługiwania się Mocą przez Jedi.

Niczym pękaty kryształowy ptak, karafka podryfowała pod sufitem i zawisła dokładnie nad głową Armalatczyka, który z wściekłą miną machał rękami w jej kierunku najpierw spokojnie, a potem coraz gwał-

towniej. Jego nerwowe gesty nie odniosły absolutnie żadnego skutku. Mógłby równie dobrze pomachać sobie przed lustrem.

Karafka gładko, jakby manipulował nią doświadczony kelner, odwróciła się do góry dnem, wylewając lodowatą zawartość na głowę coraz bardziej zdenerwowanego delegata. Z morderczą miną otarł twarz i ruszył w kierunku spokojnej Jedi. Barrissa sięgnęła po miecz świetlny, ale powstrzymała ją dłoń mistrzyni, podobnie jak chwilę wcześniej Obi-Wan poskromił zapędy swojego padawana.

Karafka jedna po drugiej wzbijały się w powietrze, aby pozbyć się zawartości wprost na głowę Toluta. Pośród pozostałych, jeszcze suchych delegatów, rozległy się śmiechy. Ludzie chichotali cicho, An-sionianie natomiast wydawali tubalne ryki, które dziwnie nie pasowały do ich wątlej budowy. Napięcie, które zapanowało w zgromadzeniu, znikło nagle jak ulatująca z wiatrem pajęczyna.

– Mam nadzieję, że nikomu za bardzo nie chce się pić – mruknęła Luminara, zajmując z powrotem swoje miejsce.

Prychający, przemoczony do suchej nitki wielki stwór ryknął groźnie – i nagle zmienił zdanie. Ociekając wodą z twarzy, zębów i lśniącego skózanego stroju, powędrował do swojego krzesła i klapnął na nie z młaśnięciem. Skrzyżował na masywnej piersi ramiona grubości ludzkiego tułowia i powoli skinął głową w kierunku kobiety odpowiedzialnej za jego mokrą porażkę.

– Tolut jest wielki pomiędzy swym ludem. Nie zawsze mówi dobrze, ale wielki nie musi oznaczać, że głupi. Tolut wie, kiedy nie ma racji. Ustępuję przed większą Mocą. Myliłem się co do zdolności Jedi.

Luminara obdarzyła go łagodnym uśmiechem.

– Nie ma wstydu w przyznaniu, że nie wie się wszystkiego. To oznacza mądrość. Coś znacznie cenniejszego niż siła fizyczna... a nawet umiejętność wpływania na Moc. Należy ci się pochwała, nie nagana. – Lekko skłoniła głowę. – Gratuluję ci bystrości osądu.

Tolut zawahał się, nie bardzo wiedząc, czy Jedi przypadkiem nie żartuje sobie z niego. Kiedy jednak zrozumiał, że komplement był szczerzy i pochodził z głębi serca, jego twarz się rozjaśniła, a całe zachowanie uległo zmianie.

– Może my z unii będziemy mogli z wami współpracować – oznajmił. Wciąż istniało zagrożenie, że poprzednia wojowniczość powróci pomimo właśnie otrzymanej nauczki. – Ale praca z Alwarimi to coś całkiem innego.

Obi-Wan pochylił się w kierunku Anakina i szepnął:

– To, mój młody padawanie, była demonstracja umiejętności znanej jako dyplomacja dynamiczna.

Skywalker skinął głową.

– Odnotowałem ten przykład, mistrzu. – Znow zapatrzył się w spokojną, piękną twarz Luminary Unduli. Zauważył też, że mina Barrissy zaczyna niebezpiecznie przypominać drwiący grymas.

Ranjiyn otarł ostatnią łzę rozbawienia z kącika oka i spróbował przywrócić poważny nastrój poprzedzający wodną demonstrację.

– Nieważne, co zrobicie. Nawet tysiąc zwariowanych sztuczek nie przekona Alwarich, aby dopuścili do wspólnego eksploataowania stepów. A unia tylko wtedy zgodzi się pozostać związana prawem Republiki, jeśli będziemy traktowani na całej planecie jednakowo... i nikt nas nie zmusi do zamknięcia się na wieki w granicach miast. Na razie Alwari dominują nad nami wielkim obszarem ziemi, a my kontrolujemy miasto. Jeśli za każdą próbą rozszerzenia naszych granic będą z wrzaskiem pędzić do senatu na skargę, to już lepiej nam będzie poza Republiką wraz z jej niezliczonymi przepisami i regulacjami.

– A mnie się wydaje, że to by oznaczało niekończącą się wojnę domową – odezwał się Anakin. Pochwycił spojrzenie Obi-Wana i po chwili namysłu dodał: – A co najmniej pewien rodzaj nieustannego konfliktu pomiędzy wami a Alwarimi.

– To osłabi obie strony – dodała Barrissa, poparta zachęcającym spojrzeniem Luminary.

Starszawy, wysoki mężczyzna z rezygnacją machnął ręką ze swego miejsca.

– Wszystko jest lepsze niż konieczność stosowania się do niewygodnych praw, które są przestarzałe, zanim jeszcze zostaną uchwalone. Nasi przyjaciele zapewnili nas, że jeśli ogłosimy naszą secesję z Republiki, okażą nam prawdziwą pomoc, taką, jakiej potrzebujemy, a jakiej nie jesteśmy w stanie wyegzekwować od senatu.

– Jacy przyjaciele? – uprzejmie zapytał Obi-Wan. Ton pytania był taki, jakby odpowiedź nie miała większego znaczenia, ale Anakin wiedział, że jest inaczej. Wyczuwał lekkie napięcie w postawie swojego mistrza.

Nie miał okazji stwierdzić, czy Ansionianin również je wyczuł, czy nie. W każdym razie nikogo nie wymienił.

Luminara wypełniła milczenie, które zapadło po tych słowach.

– Wszystko może być lepsze... z wyjątkiem pokoju. – Powiodła wzrokiem po wszystkich przedstawicielach po kolei. – Korzystając z naszych kompetencji przedstawiciele Rady Jedi, mamy dla was propozy-

cję. Jeśli zdołamy przekonać Alwarich, aby podzielili się z wami dominacją nad połową stepów, nad którymi obecnie sprawują kontrolę, oraz żeby pozwolili wam korzystać z niektórych zasobów, jakie kryją te ziemie, czy ludność unii zgodzi się przestrzegać praw Republiki, zgodnie z którymi dotąd żyła, i zapomni o niebezpiecznych dyskusjach o secesji?

Po tej nieoczekiwanej, niezwyklej ofercie delegaci zaczęli szeptać między sobą. Ton tych szeptów i skrywane podniecenie świadczyły, że nie uważali poprzedniej propozycji za szczególnie atrakcyjną.

Korzystając z ich dyskusji, Obi-Wan nachylił się do swojej towarzyszki.

– Dużo im obiecujesz, Luminaro.

Poprawiła na plecach kaptur szaty.

– Przed przybyciem na tę planetę spędziłam wiele czasu na studiowaniu historii ludów Ansionu. Trzeba zrobić coś dramatycznego, aby przerwać tę socjopolityczną blokadę. To jedyny sposób, aby oni wszyscy zaczęli myśleć o czymś innym niż o oderwaniu się od Republiki. – Uśmiechnęła się. – Pomyślałam sobie, że jeśli roztoczę nową perspektywę możliwości handlowych, to nieźle nimi wstrząsnę.

Obi-Wan spokojnie obserwował cicho rozprawiających delegatów. Ożywienie w ich twarzach i gestach było szczere, nie stanowiło przedstawienia na użytek gości.

– Z pewnością ci się to udało – stwierdził, podkreślając swoje słowa lekkim uśmiechkiem, do którego zaczynała się przyzwyczajać. – Ale jeśli się zgodzą, postawisz nas w kłopotliwej sytuacji, bo będziemy musieli się wywiązać z obietnicy.

– Pani Luminara zawsze spełnia swoje obietnice! – W głosie Barriissy zabrzmiał cień urazy.

– Bez wątpienia tak jest. – Obi-Wan pobłażliwie spojrział na padawanę. – Martwi mnie tylko, jak to wymóc na tej podzielonej, wiecznie skłóconej gromadzie nomadów, którzy zwą się Alwarimi.

Luminara przerwała ich rozmowę lekkim skinieniem głowy. Delegaci zakończyli właśnie ożywioną dyskusję i usiedli znowu twarzami do gości.

– Nikt nie wątpi, że uzyskanie zgody Alwarich na taki układ radykalnie zmieniłoby sytuację, jaka tu obecnie panuje – przemówiła trzecia przedstawicielka Ansionian, kobieta imieniem Induran. – Gdyby udało się zawrzeć ten traktat, z pewnością zaważyłby on na opinii tych, którzy obecnie sprzyjają secesji od Republiki, ponieważ uważają, że ta nic dla nich nie robi. – Wielkie, wypukłe oczy spoczęły na Jedi. – Jednak większość z nas uważa, że uzyskanie zgody Alwarich na taki układ jest wysoce nieprawdopodobne.

Po stronie gości opowiedział się jednak do niedawna wojowniczo nastawiony Tolut.

– Dla tych, którzy sprawiają, że w zamkniętym pomieszczeniu pada deszcz, nie ma rzeczy niemożliwych, nawet jeśli jest to rozsądny dialog z Alwarimi.

Luminara uśmiechnęła się do zwalistego humanoida. Może i lubił zaczepki, ale przynajmniej miał dość rozumu, aby zmienić zdanie, kiedy fakty tego wymagały. A to już było więcej, niż dałoby się powiedzieć do tej pory o jego ansioniańskich kolegach, choć i oni zaczęli mięknąć. W atmosferze wyczuwało się subtelną zmianę. Wyglądało, że gospodarze, choć mieli dość niepokonanej biurokracji Republiki, zapragnęli nagle się z nią pogodzić. Do Luminary i Obi-Wana oraz ich padawanów należało przekonanie ich do podjęcia właściwej decyzji.

Wszystko w tej chwili zależało od skłonienia nomadów do współpracy. Mistrzynie Jedi odniosła wrażenie, że będzie to wymagało znacznie więcej wysiłku niż żonglowanie karafkami z wodą w wygodnej sali.

– Jak znajdziemy Alwarich? – zapytał Anakin z lekkim zniecierpliwieniem.

Luminara spojrzała na padawana i zmrużyła oczy. Wyczuwało się w nim wielki potencjał Mocy. Nie znała go dobrze, ale wiedziała, że Obi-Wan nie wziąłby ucznia, który nie byłby naprawdę obiecujący. Na pewno zdoła okiełznać tego czupurnego, upartego młodzieńca, wygładzić szorstkie krawędzie diamentu i oszlifować go na prawdziwego Jedi. W słowach padawana nie było nic niewłaściwego, podobnie jak w tym, że w ogóle się odezwał. Po prostu istniała granica pomiędzy pewnością siebie a uporem, śmiałością a arogancją. Zerknięcie w prawo upewniło mistrzynię, że Barrissa nie jest bynajmniej zachwycona swym męskim odpowiednikiem. No cóż, młoda dama na pewno zachowa dla siebie te wątpliwości – chyba że Skywalker ją sprowokuje. Barrissa z natury była powściągliwa, ale niełatwo dawała się onieśmielić. Zwłaszcza jeśli próbował tego inny padawan.

Ranjiyn nie wahał się.

– Idźcie na wschód albo na zachód, albo dokąd chcecie. Oddalcie się od cywilizacji.– Zaprezentował ansioniańską wersję uśmiechu. – Zostawcie miasta daleko za sobą, a znajdziecie Alwarich. Albo oni znajdą was. Chciałbym tam być, żeby zobaczyć, jak próbujecie przemówić im do rozsądku. To byłoby warte obejrzenia.

– Warte obejrzenia – zgodnie powtórzył Tolut.

Luminara i Obi-Wan wstali jednocześnie. Konferencja dobiegła końca.

– Znacie naszą reputację – oznajmił Obi-Wan. – Tysiące razy ręczyliśmy nią za nasze przyrzeczenia. Tym razem nie będzie inaczej. Rozmowy z Alwarimi nie mogą być bardziej frustrujące niż przedzieranie się przez szlaki komunikacyjne na Coruscant. – Skrzywił się lekko na wspomnienie ostatniej swojej wizyty. Nie przepadał za jazdą po mieście.

Wspomnienie miejskiego zamętu umocniło ostrożne porozumienie pomiędzy delegatami a gośćmi, które nawiązało się w czasie konferencji – zresztą właśnie o to mu chodziło. Po zakończeniu oficjalnych rozmów goście i delegaci rozmawiali jeszcze w miłej atmosferze przez jakąś godzinę. Obie strony cieszyły się z możliwości wzajemnego poznania się na bardziej prywatnej płaszczyźnie i poza protokołem. Zwłaszcza prawie już suchy Tolut nabrał szczególnej sympatii do Luminary, która tolerowała awanse potężnego delegata bez sprzeciwu. Nieraz zdarzało jej się nawiązywać przyjaźnie ze znacznie bardziej paskudnymi istotami rozumnymi.

Zajęta rozmową zauważyła jednak z podziwem, jak łatwo przychodziło Obi-Wanowi uspokajanie pozostałych osób. Choć znany był ze swych talentów mediacyjnych i doświadczenia, jednak powszechnie uważano go za niegroźnego i łagodnego. Mówił spokojnie i z rezerwą, a jego słowa działały na słuchaczy jak leczniczy masaż. Gdyby nie został Jedi, mógł zrobić karierę w służbach dyplomatycznych.

Jednak to oznaczałoby utkwienie w samym sercu biurokracji, którą potępiali, a której potknięcia i błędy próbowali teraz naprawiać.

Barrissa robiła, co mogła, aby oczarować Ranjiyna i starszego przedstawiciela ludzi, Anakin zaś zalewał strumieniem wymowy drugą kobietę. Ta chłonęła uważnie każde słowo, bardziej niż Luminara mogłaby się spodziewać. Chętnie podsłuchałaby to i owo, ale musiała pracować nad Tolutem i wciąż podejrzliwą Kandah. A poza tym pilnowanie Anakina było rolą Obi-Wana, nie jej.

Gdyby tylko powodzenie ich misji zależało jedynie od doboru właściwych słów, myślała. Niestety, bywała już zaangażowana w zbyt wiele sporów na zbyt wielu niesfornych planetach, aby sądzić, że problemy Ansionu można rozwiązać wyłącznie za pomocą rozsądnej dyskusji.

Delegatka Unii Społeczeństw, Kandah, reprezentująca obywateli miast Ansionu, czekała niespokojnie w ciemnym korytarzu. W dali majaczyły światła ulicy Songoquin, pełnej gadatliwych kupców i wieczornych spacerowiczów. Podobnie jak cała jej wielkooka rasa,

Kandah bez trudu poruszała się nawet w bezkسیężycową noc, lecz tu, w ciasnym pasażu z jednym tylko wejściem, nawet widzący w ciemności Ansonianin mógł bez poczucia winy marzyć o odrobinie dodatkowego światła.

– Co masz dla mnie? – Natychmiast rozpoznała głos, ale przestraszyła się, kiedy niespodziewanie zabrzmiał jej nad uchem. – Jak się skończyło spotkanie gości z przedstawicielami unii?

– Aż za dobrze. – Nie tylko nie знаła nazwiska osoby, z którą się kontaktowała, lecz nawet nigdy nie widziała jej twarzy. Nie była pewna, czy to kobieta, czy mężczyzna. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Ważne, że osobnik płacił hojnie, bez opóźnień i w nieoznaczonych kredytach. – Delegacja z początku była nieufna i sceptyczna. Sama zrobiłam, co mogłam, aby zasiać zamieszanie i niezgodę, ale Jedi są zreżymowani zarówno w słowach, jak i w posługiwaniu się Mocą. Jestem pewna, że przekonali tego głupiego Armalaczyka, by za nimi głosował. Pozostali jeszcze się wahają.

Opisała szczegółowo cały przebieg spotkania.

– A więc Jedi zamierzają przekonać Alwarich, aby pozwolili na eksplorację i zabudowę połowy ziem tradycyjnie należących do nomadów? – Głos zaśmiał się z niedowierzaniem, napełniając ciemność echem. – To by było coś! Oczywiście, nic im z tego nie wyjdzie.

– Ja też tak sądziłam – szepnęła w mrok – dopóki sama ich nie poznałam i nie zobaczyłam w akcji. Są subtelni i bardzo, bardzo przebiegli.

Głos odparł z lekkim wahaniem:

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że mogą doprowadzić do ugody z Alwarimi?

– Chciałam tylko powiedzieć, że to prawdziwi Jedi, a ja nie mam kwalifikacji, aby przewidzieć, co mogą, a czego nie mogą dokonać. Jedno wiem na pewno: nie założylabym się przeciwko nim... o nic.

– Jedi są sławni jako wojownicy, nie jako mówcy – niepewnie wymamrotał głos.

– Doprawdy? – Kandah przypomniwała sobie dalsze szczegóły konferencji. – Ci rycerze i ich padawani to uosobienie sprytu i oglady. A skoro już o tym mowa, ilu Jedi widziałeś w akcji? Jakiegokolwiek akcji?

– Nie powinno cię obchodzić, co widziałem, a czego nie. – Właściciel głosu był wyraźnie zirytowany, choć raczej nie na informatorkę. – Muszę przekazać tę wiadomość mojemu szefowi. On będzie wiedział, co zrobić.

Doprawdy? – pomyślała Kandah. Lepiej on niż ja. Ona miała tylko przedstawić raport. Była zadowolona, że jej próba storpedowania misji Jedi nie wymagała niczego więcej.

– Swoją zapłatę otrzymasz jak zwykle – rzekł głos niedbałym tonem, wyraźnie zajęty rozmyślaniami nad informacjami delegatki unii.
– Jak zawsze doceniamy dobrą pracę. Kiedy Ansion nareszcie opuści Republikę i uwolni się od jej wpływów, dostaniesz swoją nagrodę: bezprawnie zagarnięte dobra rodzinne w Korumdah zostaną ci zwrócone.

– Jestem twoją pokorną służą – odparła grzecznie. Odwróciła się i dodała z wahaniem: – Jak sądzisz, co teraz zrobi twój szef, aby powstrzymać Jedi od wykonania zadania? Próba zabójstwa skończyła się sromotną porażką.

Z ciemności nie odezwał się żaden głos. Ogomoor otulił się ciemnym płaszczem i znikł w mroku nocy.

– A zatem Jedi zamierzają utrzymać unię w Republice poprzez załatwienie sporu z Alwarimi. Śmiały plan.

– I głupi, Wasza Wielkość.

– Tak sądzisz? – Soergg spojrział na niego z niszy, w której odpoczywał. Za oknem jeden z mniejszych księżyców Ansionu lśnił jak polerowana kość słoniowa.

– Nie ma szans na powodzenie.

– Doprawdy?

Ogomoor poczuł, że wymykają mu się kolejne argumenty, i postanowił zmienić taktykę.

– Co mi rozkażesz, panie? – zapytał z wahaniem. – Może spróbować przekupstwa?

Ogromne, skośne oczy wywróciły się w kierunku sklepienia.

– Przekupić Jedi! Ty naprawdę jesteś kompletnym ignorantem, prawda, Ogomoorze?

Majordomus przelknął zniewagę, dumę schował do kieszeni i odpowiedział z szacunkiem:

– Będę wdzięczny, jeśli zechcesz oświecić swego pokornego sługę.

– Zrobię to. – Hutt z obrzydliwym, lepkiem mlaśnięciem, odwrócił się na prawy bok, żeby lepiej się przyjrzeć swemu podwładnemu. – Wiedz jedno: Jedi nie można przekupić, przechytryć, złamać ani odwieść od tego, co sami uważają za jedynie słuszny i właściwy kierunek postępowania. Przynajmniej takie do tej pory miałem doświadczenia. – Splunął w bok, a robot pokojowy natychmiast rzucił się, żeby posprzątać. – To niemiłe jak wiele innych prawd. Dlatego musimy zająć się nimi w inny sposób. Podejź tu, a powiem ci, o co chodzi.

Czy naprawdę muszę? – pomyślał Ogomoor. Ale przed oddechem Hutta, podobnie jak przed wypełnieniem jego rozkazów, nie było ucieczki.

Za mało mi płacą za takie rzeczy, ubolewał, przyjmując wprost w twarz pełną moc trującego miazmatu.

ROZDZIAŁ

4

Jedną z zalet mieszkania i pracy na Coruscant była mnogość miejsc, gdzie można się było spotykać, nie narażając się na szybkie zlokalizowanie. W ten właśnie sposób grupka konspiratorów znalazła się w skromnej, mało znanej knajpce w niezbyt modnej części Kwadrantu H-46. W takich miejscach nie trzeba było specjalnie troszczyć się o zachowanie anonimowości. W każdym razie żadne z nich nie zostało rozpoznane przez innych klientów.

– To miejsce cuchnie klasą robotniczą. – Nemrileo, pochodzący z potężnego świata Tanjay, pociągnął nosem. – Ukryje smród zdrady.

Senator Mousul zdusił uśmiech.

– Mówisz o zdradzaniu zdrajców. Nie pomył się w swoich sympatiach, Nemrileo. Nie mamy na to czasu.

– Nie musisz mi mówić o czasie. – Mężczyzna pochylił się nad stolikiem. – Ale ta sprawa z Ansionem zaczyna mnie martwić.

– A nie powinna. – Mousul emanował pewnością siebie. Nic trudnego, stwierdził jego rozmówca, skoro wspierające ich czynniki obiecały mu poparcie przy wyborze na gubernatora sektora, gdy tylko Ansion i jego sojusznicy wycofają się z Republiki. – Jestem pewien, że wszystko odbywa się zgodnie z planem. Już wkrótce dominująca siła na mojej planecie, unia miast i miasteczek, zagłosuje za wycofaniem się z Republiki i uruchomi wszystko, na co mamy nadzieję.

– Wszystko? – zawołała samica polityk obcej rasy, której płowe futro zdawało się rozsadzać obcisły kombinezon kamuflujący. – A ja słyszałam co innego.

Mousul obojętnie machnął ręką.

– Drobne potknięcie. Nic, czym należałoby się martwić.

– Podziwiam twoją pewność siebie – zauważyła samica. – Nie każdy byłby tak spokojny, gdyby na jego planetę w samym środku delikatnych negocjacji na temat secesji przybyła dwójka Jedi wraz z padawanami.

– Mówiłem ci przecież. – Głos Mousula zabrzmiał groźnie. – Już się tym zajęto.

– Lepiej, żeby tak było – stwierdził Tam Uliss, wspólnik z Ansionu. – Moi ludzie zaczynają się niecierpliwić. Są gotowi do działania, i to już od jakiegoś czasu. Nie podoba im się, że muszą czekać na decyzję bandy poślednich istot ze zdecydowanie pośledniego świata.

– Przewodniczącej Gildii Kupieckiej nie spodobałoby się takie gadanie.

– Dlatego właśnie spotykamy się tutaj – mruknęła samica. – Abyśmy mogli bez niej spokojnie przedyskutować wszystkie możliwości. – Utkwiła w Mousulu palące spojrzenie żółtych oczu. – A gdybyś i ty nie był zainteresowany, nie byłoby cię tutaj.

Senator podniósł dłoń ostrzegawczo.

– Powiedziałem, że przyjdę, wysłucham was i poinformuję o postępach w sprawie Ansionu. Nie wygłaszam sądów. Ale jeśli Shu Mai zadecyduje, że powinniśmy wstrzymać się z działaniem, dopóki Ansion nie ogłosi secesji, sądzę, że musimy jej posłuchać.

– Naprawdę? – Kolejny członek grupy tonem i wyrazem twarzy okazał, że sam jest zupełnie odmiennego zdania. – Czy Shu Mai i Gildii Kupieckiej naprawdę można zaufać?

– Nie znasz jej – odparł Mousul. – Bądź pewien, że tak. Nasze interesy leżą jej na sercu.

– Czy rzeczywiście? – Nemrileo nie był o tym przekonany. – Z tego, co słyszałem, wynika, że ona nie ma serca.

– A ja jej wierzę – oznajmiła samica siedząca obok cynika. – Znam ją z jej prac w kwadrancie. Nie ufam za to moim własnym elementom.

Wokół stolika rozległ się śmiech.

– Ufać elementom... cóż za pomysł!

Zaledwie wesołość ucichła, Mousul podjął na nowo:

– Porozumiałem się z moim głównym kontaktem na Ansionie. Zapewnił mnie, że załatwi sprawę Jedi. Shu Mai wierzy tej osobie. Istnieją powiązania społeczne i handlowe, które cementują ten układ. Proponuję, abyśmy się rozeszli, wrócili na swoje stanowiska i byli dobrej myśli. – Przesunął dłonią po płytce reakcyjnej stołu. – A teraz odpręż-

my się i napijmy czegoś. Rzadko mamy okazję spotkać się tak nieoficjalnie.

Kilka pierwszych kolejek skutecznie rozproszyło napięcie. W towarzystwie grupy konspiratorów Mousul także się rozluźnił. Poczuje się jeszcze lepiej, kiedy doniesie Shu Mai, że jeden członek ich grupy prawdopodobnie nie jest całkowicie lojalny. Brak zaufania w konspiracji to paskudna sprawa. Może się okazać zabójczy.

Zwłaszcza dla danego osobnika.

Soergg był bardzo zadowolony ze swojego planu. Przemyślał go bardzo dokładnie, długo dopracowywał szczegóły, aż wreszcie wyeliminował wszystkie błędy. Plan miał dwie zasadnicze zalety: prostotę i bezpośredniość. Wyjaśnił go dokładnie Ogomoorowi. Majordomus słuchał uważnie; dopiero kiedy Hutt skończył, Ansionianin odważył się na komentarz:

– Z pewnością brzmi obiecująco...

– Obiecująco! – zagrzemiał bossban. – Jest doskonały!

Gniewnie pochylił się nad pokornie skulonym dwunogiem.

– A może nie jest?

– No cóż, widzę tylko jedną przeszkodę. Jedi mają zdolność wyczuwania zbliżającego się niebezpieczeństwa. Odbierają nadchodzące kłopoty jako zaburzenia w Mocy.

Soergg skinął głową na tyle, na ile może to zrobić ktoś nie posiadający szyi.

– Aż za dobrze znam te przekłete zdolności Jedi. Dlatego, aby wykonać nasze zadanie, wybrałem kogoś, kogo wrażliwi na zaburzenia Mocy Jedi nie wyczują. Dwóch twoich pobratymców, którzy mają niezwykle kwalifikacje.

– Nie zamierzam podważać twojej wiedzy, ale jak myślące, czujące istoty rozumne mogą opierać się zmysłom Jedi?

– Poznaj ich zatem, Ogomoorze, i osądź sam. – Odwrócił się, zaklaskał w tłuste dłonie i zawołał: – Bulgan, Kyakhta, chodźcie tu, poznajcie mojego majordomusa!

Zaciekawiony Ogomoor zwrócił się w kierunku drzwi wiodących z komnaty audiencyjnej bossbana do bocznego westybulu. Wygląd dwóch Ansionian, którzy weszli na wołanie Soergga, nie wzbudził w nim szczególnego entuzjazmu.

Jeden miał potarganą, strzępiastą grzywę płoworudych kudłów i prymitywnie dopasowane sztuczne ramię. Drugi był ogolony od głowy po

kark, o bladej, łysej skórze, z przepaską na oku i plecami zgiętymi na skutek jakiejś nieuleczalnej choroby wieku dziecięcego. Zaden nie był specjalnie wysoki ani silny. Wspólnie, zdaniem Ogomoor, mieliby niejakię problemy z porwaniem dziecka z rąk podstarzałego nosiciela wody.

Widok tego byle jakiego duetu zdumiał go tak bardzo, że przez chwilę zapomniał o strachu przed swym pracodawcą.

– Bossbanie, masz zamiar wysłać tych dwóch, aby pojмали Jedi?

– Nie Jedi, Ogomoorze. Jednego z ich padawanów. Jeśli jedno z młodych znajdzie się w niewoli, Jedi będą zmuszeni negocjować. – Nadał się i wyprostował. Był rzeczywiście wielki, imponujący, choć odrażający. – Zażądamy, aby się wycofali ze wszystkich negocjacji wiążących się z wewnętrznymi i galaktycznymi sporami Ansionian i aby nie przysyłano na ich miejsce żadnego innego Jedi. Kiedy się na to zgodzą, staną się bezbronni i nie uda im się w żaden sposób wpłynąć na wynik głosowania w sprawie secesji. Słowo jednego Jedi jest wiążące dla wszystkich. – Z trudem zatarł dłonie. – To lepsze, niż ich zabić. Będą zmuszeni podwinąć ogony pod siebie i odlecieć w poniżeniu i poczuciu klęski. A przy tym Rada Jedi nie będzie miała pretekstu do gniewu spowodowanego śmiercią członków zakonu. Po prostu ich wymanewrujemy i przechytrzymy. I to ja tego dokonam! – Nadał się tak bardzo, że Ogomoor przez chwilę myślał, że go rozsadzi. Niestety, skończyło się na pobożnych życzeniach. – Nieraz poniżenie jest skuteczniejsze od śmierci.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić, bossbanie. – Ogomoor odzy-skał część kontenansu i wskazał na dwóch potencjalnych porywaczy. Ten nazwany Kyakhtą gapił się z półotwartymi ustami na luksusowo urządzone wnętrze, jego garbaty towarzysz zaś stał zapatrzony tępo w podłogę, dłubiąc pracowicie w nosie. – Ale... czy ty poważnie chcesz wysłać tych dwóch, aby porwali padawana Jedi?

Soergg nawet nie ryknął, lecz cierpliwie odparł:

– Przyjrzyj im się, Ogomoorze. Dobrze im się przyjrzyj z bliska. Co widzisz? – Hutta najwyraźniej bawiło zdumienie pracownika.

Majordomus spojrział z powątpiewaniem na żalosną parę, nie zbliżając się do nich ani o centymetr bardziej, niż to było absolutnie konieczne. Dokładna inspekcja nie dodała mu otuchy.

– Rzykując, że urażę twój rozsądek, a może i ich, bossbanie, muszę stwierdzić, że wydają mi się cokolwiek *felek*. Stuknięci. Niepełnosprawni umysłowo.

– Ależ tak jest w istocie. Masz rację, oczywiście. – Soergg wydał się ogromnie z siebie zadowolony i okazywał to całą swoją ogrom-

ną osobą, opierając się na ogonie. – W trakcie różnych badań prowadzonych w związku z moimi interesami odkryłem, że nawet niewielkie uszkodzenie umysłu może spowodować znaczne zniekształcenie postrzegania Mocy u tych, którzy są do tego zdolni. Choroba psychiczna działa jak przydymiony kawałek transparistali, zniekształcając to, co się za nią kryje, choć nie przesłaniając całkowicie. – Wskazał na swoich nowych najemników. – Ci dwaj są rzeczywiście lekko stuknięci, a w ich szaleństwie leży tajemnica naszego sukcesu.

Ogomoor obejrzał sobie parę z nowym zainteresowaniem, choć bez większego szacunku.

– Próbuje rozpoznać ich po stroju. Oczywiście, to Alwari, ale muszę powiedzieć, że nie rozpoznaję klanów.

– I nic dziwnego – burknął Soergg. – Oni nie należą do klanów. Z powodu kalectwa fizycznego i umysłowego zostali wyrzuceni. Muszą mieszkac w znieawidzonym mieście, gdzie z trudem wiązą koniec z końcem, robiąc wszystko, co im się nawinie. – Rozpromienił się tak, jak tylko Hutt jest w stanie się rozpromienić. – Za to, co obiecałem im zapłacić, zrobią wszystko, co każę. Wszystko! Nawet spróbują pojmać padawana Jedi – prychnął wzgardliwie. – Jak dla większości istot, kredyty znaczą dla nich więcej niż honor.

Włącznie z ludem zwanym Huttami, pomyślał Ogomoor.

– Tak jest, tak – stwierdził Bulgan, odzywając się po raz pierwszy. Trochę trudno było go zrozumieć, ponieważ wciąż miał palec w nosie.

– Zrobimy to! – Wymowa jednorekiego towarzysza Bulgana była nieco lepsza, może dlatego, że nie miał w nosie blokady, która nie pozwalała mówić jego kompanowi. – Możemy to zrobić.

Na słowa Kyakhty Bulgan mrugnął zdrowym okiem; gruba, nieprze-zroczysta powieka przesunęła się znacząco z lewa na prawo.

– Jedi nie wyczują ich nadejścia. – Soergg najwyraźniej delektował się swoim rewelacyjnym planem.

– Poprzez Moc prawdopodobnie nie, bossbanie, ale przecież mają oczy, a ich reakcje są znacznie bardziej wyostrzone niż u większości istot rozumnych.

Hutt skinął głową cierpliwie, jakby przemyślał sobie wszystko już wcześniej.

– Nasi przyjaciele zorganizują porwanie późnym popołudniem. Nawet Jedi od czasu do czasu potrzebują odpoczynku. Zaobserwowano, że nasza czwórka lubi spacerować po Cuiperam. Wtedy czasem się rozdzielają. Może i są Jedi, ale różnej płci. Kobiety często szukają innych rozrywek niż mężczyźni. Jeśli młodego padawana uda się zaskoczyć

w pewnej odległości od mistrza, porwanie powinno się udać. Podobno większość Jedi polega na swoich zmysłach, jeśli chodzi o wykrywanie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Nie wyczują zagrożenia ze strony tej pary idiotów i będą ich ignorować, zwiedzając miasto. – Władczym gestem dłoni odprawił pomyłonych, lecz chętnych porywaczy.

– Odejdźcie! Wiecie, gdzie mieszkają nasi goście. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Zresztą wszyscy wiedzą, ponieważ są oficjalnymi gośćmi delegacji unii i rady miejskiej Cuipernam. Jeśli wam się uda, zabierzcie padawana w wyznaczone miejsce i czekajcie na dalsze rozkazy.

Kyakhta odwrócił się i skłonił. Drugi przyglup nie poszedł w jego ślady, więc kompan plasnął go w łusą czaszkę. Bulgan szybko się odwrócił, ale ponieważ był już zgarbiony, nie musiał się dodatkowo schylać. Przynajmniej jednak wyjął paluch z nosa. Razem wycofali się z pokoju przez te same drzwi, którymi zostali wpuszczeni. Ogomoor wciąż nie wiedział, co o tym myśleć, ale czuł już pierwszy dreszczyk emocji.

– Śmiały plan, bossbanie, doprawdy. Ale bardzo ryzykowny.

– Co to za ryzyko? – Soergg przechylił się w lewo i wsadził łapę do miski wypełnionej mętną cieczą, wylawiając z niej coś, na widok czego Ogomoor wyraźnie pobladł. Niezrażony tym Hutt odchylił głowę do tyłu i wpuścił ruchliwą zawartość garści do przepastnej otchłani gardzieli, przełknął głośno i mlasnął wargami na znak zadowolenia. – Ryzyko leży wyłącznie po stronie tych dwóch kretyńców. Jeśli zawiodą, Jedi po prostu ich zabiją.

– A jeśli nie? Jeśli tylko ich zrzną i uwiężą? Może i nie są mądrzy, ale z pewnością powiedzą Jedi, kto ich wynajął do tego zadania.

Potężny brzuch Soergga zatrzęsł się w serdecznym śmiechu.

– Jak tylko rozpoczną operację, będą musieli zgłaszać się do mnie osobiście w określonych odstępach czasu przez komunikator działający na zastrzeżonym paśmie. Dwie noce temu, kiedy spali snem sprawiedliwych, mój lekarz zainstalował w karku każdego z nich mały przyrządek. Uaktywnię je zdalnie, jeśli się nie zgłoszą choć raz. – Postukał palcem w otwartą, tłustą dłoń. – Zanim zdołają cokolwiek wygadać, małe, ale skuteczne ładunki wybuchowe oddzielią im głowy od ramion. Obawiam się, że trochę przy tym nabrudzą.

– A co wtedy, o Wielki? – ciekawie dopytywał się Ogomoor.

Soergg wzruszył tłustymi ramionami, aż fale przeszły po całym sflaczałym cielsku.

– Bezklanowi imbecyle są tani, nawet w Cuipernam. Jeśli ci dwaj zawiodą, weźmiemy kolejną parę.

Kyakhta owinał się ciasniej lekką wodoodporną szatą, aby lepiej ukryć twarz. Były to szaty Pangay Ous, nie jego klanu. On i Bulgan pochodzili z Asbirów, z Południowego Hagatai. Ale dobrze było znowu mieć na sobie strój klanu, nawet nie swojego, nawet jeśli na niego nie zasłużył.

Szaty były konieczne, aby się wmieszać w tłum. Pamiętając o małym urządzeniu przypiętym do szarfy pod szatami, dotknął go lekko palcem, zgodnie z instrukcjami pana Hutta. Soergg bardzo nalegał, żeby regularnie nawiązywali łączność. W końcu poinformował ich też, jak działają urządzenia wybuchowe w ich szyjach, aby wiedzieli, czym ryzykują, nie zgłaszając się we właściwym czasie. Nie żyliby nawet tak długo, aby zainkasować forszę. Kyakhta i Bulgan byli bardzo wzruszeni czułą troską o ich zdrowie i dobre samopoczucie, jaką okazał Hutt.

Na Ansionie były większe place targowe niż ten w Cuipernam. W dobie nowoczesnego intergalaktycznego handlu większość transakcji wymagała niewiele więcej niż wymiany liczb i symboli, ale na wielu planetach starożytnie tradycyjne targowiska wciąż pozostawały drogą sercom mieszkańców. Handel na odległość był z pewnością sprawniejszy, pozwalał też na nieskończenie większą różnorodność i objętość sprzedawanych i kupowanych towarów, ale nie dostarczał tyle radości. Rozkosze robienia interesów twarzą w twarz pozostawały jedną z drobnych przyjemności życia w coraz bardziej zautomatyzowanej cywilizacji galaktycznej.

A zresztą na co lokalnemu sprzedawcy marthańskich owoców komplikacje i koszty związane z elektronicznym węzłem handlowym? Ilu gości, gapiów i turystów ściągnie na przedmieścia przenośny przekaznik informacji? Nie mówiąc już o tym, że handel bezpośredni pozwalał uniknąć wielu podatków. Wśród tych, którzy z całego serca popierali secesję Ansionu, nie brakowało poważnych kupców. Właściwie to nawet nie podatki sprawiły, że tak zapragnęli odsunąć się od Republiki – raczej nieskończona i wciąż rosnąca lista przepisów i regulacji. Wprawdzie przekazywali swoje obawy – które zresztą podzielała cała Republika – poprzez przedstawicieli w senacie, ale podobnie jak wiele innych spraw, one także pozostały bez oddźwięku. Wyizolowany rząd galaktyczny na odległym Coruscant coraz bardziej oddalał się od potrzeb i aspiracji ludów, którymi podobno rządził.

Kyakhta i Bulgan bez trudu wmieszały się w tłum, choć Kyakhta musiał mieć na oku towarzysza, kiedy mijali kolejne stragany. Głupawy, garbaty Bulgan miał nieprzyjemny zwyczaj częstowania się wystawionymi towarami, zapominając, że należy za nie zapłacić. Dziś nie

mieli czasu na takie rzeczy. Czekala ich wazna misja! Moze nie tak istotna, jak przepedzanie bydla, wyścigi czy swietowanie ze swoim klanem, ale wystarczajaco wazna dla takich bezklanowcow, jak oni.

– Tam są! – szepnal z napięciem do kuśtykajacego za nim Bulgana. Tamten wytezył jedyne dobre oko i wyprostował się na tyle, na ile mógł. Pociagal nosem i gapil się bez slowa.

– Nie ma straży – zauwazył po chwili. Bulgan był przyglupem, ale nie tak kompletnym, jak mogłoby to sugerowac jego zachowanie lub wyglad.

Kyakhta spróbował powstrzymac się od wzgardliwego tonu.

– Oczywiście, że nie mają straży, tępoto! Po co Jedi jacyś strażnicy? To oni są strażnikami innych.

Bulgan zmarszczył czoło i spojrzal niepewnie.

– Jakich innych?

Kyakhta nie raczył odpowiedziec. Kryjac twarz na tyle, na ile bylo to mozliwe, stwierdzil, że gościom nie towarzyszy lokalny przewodnik. Ich skromne, powściągliwe zachowanie sugerowalo, że wolą poruszac się bez najmniejszej choęby swity. Nie chcieliby pewnie przyciagac uwagi tłumy. To dobrze. Zadanie, jakie wraz z Bulganem mieli do wykonania, wymagaloby jak najmniejszej liczby komplikacji i, oczywiście, świadków. Prawe ramie nad protezą zaczelo pulsowac lekko, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany.

– Ktorego bierzemy? – Bulgan musial kręcic głową z boku na bok, żeby zobaczyc cokolwiek przez tłum spacerowiczów, którzy niekoniecznie byli wyzsi od niego, tyle że chodzili prosto.

– Nie wiem. Nie jest trudno odróżnic padawana od jego Jedi. Jest znacznie mlodszy. Nie pamietam, czy pomiedzy płciami istnieją różnice, jeśli chodzi o silę.

Nawet nie próbował pytac, czy Bulgan pamietä. Bulgan miał klopoty z przypomnieniem sobie, jaki dziś dzieñ, a nieraz nawet własnego imienia.

Zastanawial się tylko, po co Huttowi Soerggowi padawan Jedi. No cóż, to w końcu nie jego sprawa. On i Bulgan mają jedynie wykonać swoje zadanie. Zresztä kiedy zaczynal myśleć o więcej niż jednej rzeczy naraz, bolala go głowa.

– Idźmy za nimi – zaproponował pokurcz. Uwaga byla tak oczywista i celna, że Kyakhta nie mógł nawet protestowac.

Przyjezdni Jedi zachowywali się jak wszyscy inni turyści. Słuchali wyjaśnieñ przewodnika, spacerowali po rynku, sumiennie podziwiając widoki i co jakiś czas przystajac, by skosztowac specjälów tutejszej

kuchni. Od czasu do czasu jedno z nich podchodziło do straganu, aby podziwiać rękodzieło czy obrazek, zgrabnie wytoczoną bransoletę lub błyszczącą śpiewającą roślinę z rejonów równika. Kyakhta zauważył, że niczego nie kupują. Po co Jedi majątek osobisty, kiedy rada ciągle każe im podróżować? Lecz wędrowny tryb życia nie przeszkadzał im oglądać i podziwiać.

Jedno z padawanów zatrzymało się przed sklepikiem, w którym sprzedawano rzeźby z drzewa sanwi z Płaskowyżu Niruu. Alwari z Niruu słynęli ze swoich dzieł. Kyakhta zauważył, że to młoda kobieta. Skromny sklepik, jeden z wielu, które wychodziły na plac targowy, był znacznie większy od straganów i wózków wypełniających plac.

No, wejdź do środka, usiłował zachęcić w myśli zamyśloną padawanek. No, włącz, włącz, popatrz na te cudenka. Stojący obok Bulgan zamilkł nagle, czując, że zbliża się właściwy moment. Czekając i obserwując, Kyakhta nie zapominał o dotykaniu urządzenia namierzającego przy pasku.

Padawanka zamieniła kilka słów ze swoim równie młodym towarzyszem i weszła do sklepiku. Jej kolega odwrócił się i odszedł, doganiając dwójkę starszych Jedi, pogrążonych w ożywionej rozmowie. Wydawało się, że nawet nie zauważyli samotnej wycieczki swojej podopiecznej.

– Teraz, szybko! – Kyakhta ruszył przed siebie, z trudem powstrzymując się przed przyciągającym uwagę biegiem.

Wichry Whorh im sprzyjały. W sklepie była tylko właścicielka, pomarszczona, starsza mieszkanka miasta, która wyglądała na równie sfatygowaną, co niektóre z jej antycznych artefaktów. Owinęli się szatami, aby jak najdokładniej ukryć twarze i udawali, że podziwiają rytualne krzesło Nazay z wysokim oparciem, pochodzące z Delgerhanu. Padawanka była smukła i nie wydawała się szczególnie muskularna, ale Kyakhta wiedział, że Jedi nie polegają w obronie wyłącznie na brutalnej sile.

Gestem wezwał Bulgana i odczekał, aż ten wyciągnie spod płaszcza sieć polus. Kiedy Bulgan był już gotowy, Kyakhta podszedł do lady. Cierpliwie uśmiechnięta właścicielka podreptała w jego kierunku. Ostatni szybki rzut oka na targ upewnił go, że okolice sklepiku są czyste. Poprzez dużą pojedynczą szybę nie było widać innych gości.

– Witaj w moim skromnym warsztacie, sir. – Starowina przyjrzała się jego szatom i dodała: – Widzę, że jesteś z Pangay Ous. Daleko cię zaniósł od twego stepu, sir. – W jej głosie pojawiła się nagle nutka niepewności. – Co prawda nie wyglądasz mi na kogoś, kto mieszkał

w Pasmach Północnych. Nie widzę na twoim czole tatuażu, a grzywa jest...

– Ale zapach mojego ciała pochodzi wprost z Pangay Ous – stwierdził stanowczo. – Czujesz?

Wyciągnął spod szaty mały rozpylacz, podsunął jej pod nos i przysnął prosto w twarz, zanim zdążyła zaprotestować. Odruchowo wciągnęła powietrze, jej oczy powędrowały w głąb czaszki i upadła na ziemię, po drodze uderzając podbródkiem w kontuar. Spray działał tak szybko, że nawet nie zdążyła się zdziwić.

– *Haja!* – zawołała, odstępując od lady. – Ta biedna kobieta zemdlą! To na pewno serce!

– Poczekaj, zobaczę. – Barrissa podbiegła, czujna i gotowa nieść pomoc w każdej sytuacji. – Nie jestem zbyt dobra w fizjologii Ansionian, ale istnieją pewne stałe wartości krążeniowe i oddechowe wspólne dla wszystkich dwunożnych, które...

Kyakhta usunął się na bok, nie słuchając niezrozumiałej medycznej paplaniny. I tak nic by z tego nie zrozumiał. Bulgan już ruszył do ataku. Jeszcze jedno spojrzenie na zewnątrz upewniło ich, że na ulicy wciąż nie widać Jedi. Padawanka wyminęła ladę i przyklekła obok leżącej właścicielki.

– Oznaki życia wydają się silne – szepnęła z nutą zdziwienia. – To chyba nic poważnego. Po prostu zemdlą. – Zaczęła wstawać z kolan. – Pryśnijcie jej w twarz zimną wodą, to powinno wystarczyć. Ciekawe, co spowodowało, że upadła tak nagle i bez słowa?

– Może to? – Kyakhta wysunął dłoń ze sprayem i młoda kobieta przyjęła w twarz cały strumień. Ponieważ miała dwoje nozdrzy zamiast jednego, wciągnęła znacznie większą dawkę niż Ansionianka. Zamrugowała, ale oczy nie uciekły w głąb czaszki, a dłoń sięgnęła do miecza zawieszzonego u pasa. Zaskoczony Kyakhta spanikował i spryskał ją po raz drugi, a potem trzeci, zanim wreszcie upadła. Cóż, w końcu przyjęła dawkę, która bez trudu powaliłaby cały oddział żołnierzy.

– Szybko, szybko! – poganiał Kyakhta. Usiłując podzielić swoją uwagę między wejście a nieprzytomną w tej chwili padawankę, pomagał Bulganowi wepchnąć bezwładne ciało do mocnego worka, który ze sobą przynieśli. Na koniec podnieśli ładunek, który okazał się zaskakująco ciężki i pospieszyli w kierunku zaplecza. Jak zwykle w tych nieco lepszych sklepikach, było tam drugie wejście. Uldas im sprzyjał – brudna alejka dostawcza również była pusta. Kyakhta pamiętał o tym, aby znów dotknąć sygnalizatora przy boku, po czym ruszył w stronę ulicy Jaaruls, gdzie czekało na nich dobrze ukryte, doskona-

le chronione mieszkanko i bezpieczeństwo. Poczul narastające podniecenie. Udało im się!

Teraz musieli tylko przetrzymać branke, zachowując ją przy życiu i dobrym zdrowiu, no i oczekiwać dalszych instrukcji od Soergga. W porównaniu z porwaniem, którego właśnie dokonali, takie drobiazgi wydawały się Kyakhie dziecinną zabawą.

Nikt nie spytał o zawartość pękatej, ciężkiej torby, którą dwaj Alwari wlekli alejkami i wąskimi uliczkami. Biznes to biznes, a biznes nomady to wyłącznie jego sprawa.

Luminara odłożyła pięknie emaliowane lustro, wycięte z jednego kawałka zwierciadlanego minerału, i rozejrzała się niespokojnie. Coś było nie tak. Coś odbiegało od normalności. Musiała rozglądać się i szukać przez dłuższą chwilę, zarówno wzrokiem, jak i umysłem, żeby przkonać się, co to takiego. Od pewnego czasu nie widziała Barrissy.

Gdzie się podziała padawanka? Błądzenie po zakamarkach nie było do niej podobne. Padawan cieszył się pewną niezależnością, ale nie miał dostępu do większej wiedzy. Kenobi zauważył niepokój Luminary i podszedł bliżej.

– Coś nie w porządku, Luminaro?

– Nie widzę Barrissy, Obi-Wanie. Zazwyczaj spija mi słowa z ust, podobnie jak wszystkim, którzy mi akurat towarzyszą.

Uśmiechnął się pocieszająco.

– A więc nic dziwnego, że gdzieś sobie poszła. Od kilku dobrych chwil prawie się nie odzywaliśmy.

– Kiedy ją widziałem po raz ostatni – wtrącił Anakin – oglądała rzeźby z drewna w sklepiu.

Nie sięgnął po broń, ale jego naturalny instynkt obrońcy przebudził się w jednej chwili.

Błękitne oczy Luminary zwróciły się ku niemu.

– W jakim sklepiu? – zapytała.

– Nic się nie stało, pani – odparł Anakin. – Obserwuję wejście od chwili, kiedy tam weszła. Do tej pory nie wychodziła.

– Nie wyszła tymi drzwiami, chcesz powiedzieć. To pewnie nic takiego, a ona nie lubi, kiedy jestem dla niej bardziej matką niż nauczycielką, ale zwykle ogląda wszystko bardzo szybko i idzie dalej. Nie ma w zwyczaju stać i się gapić. – Wbiła wzrok w twarz padawana. – Który to sklepić?

Anakin wyczuł powagę w jej głosie i odsunął do siebie resztki złości. Podniósł dłoń i pokazał palcem.

– Tamten, po drugiej stronie.

Ruszył za dwójgiem Jedi w stronę wskazanego budynku, niemal depcząc im po piętach.

Drzwi były otwarte, co nie było niczym niezwykłym, ale nikt nie wyszedł im na spotkanie, a to już nie wydawało się normalne.

– Barrissa? – Luminara z rosnącym niepokojem krążyła po sklepiku, zaglądając nawet pomiędzy większe drewniane rzeźby stojące w głębi. Głośny okrzyk Obi-Wana odwrócił jej uwagę. Już sam fakt, że krzyczał, był alarmujący. Zwykle nawet nie podnosił głosu.

– Luminaro, chodź tutaj!

Na kolanie delikatnie podtrzymawał głowę starszej ansioniańskiej kobiety. Anakin stał nad nim wstrząśnięty, dziwnie pokorny, pozbawiony zwykłej buty.

– Wody! – zawołał Obi-Wan. Chłopiec rzucił się w kierunku zaplecza i po chwili gorączkowego szperania znalazł chłodziarkę pełną polimerowych pojemników. Wyjął jeden, zawierający zimną wodę, podał mistrzowi i obserwował, jak tamten delikatnie skrapia wodą twarz staruszki. Jej duże oczy o barwie jasnego wina zamrugały lekko.

– A niech mnie... na Ramię Nomgona! – Powiodła wzrokiem po obcych ludzkich twarzach, które obserwowały ją z troską. – Kim wy jesteście? Co mi się stało?

Podparła się rękami, dźwignęła do pozycji siedzącej i lekko oszolomiona dodała:

– Dlaczego leżę na podłodze?

Luminara przyglądała jej się uważnie.

– Miałam nadzieję, że ty nam to wyjaśnisz.

Obi-Wan i Anakin pomogli jej podnieść się do pozycji stojącej.

– To... to mój sklep. Mój dom. Pokazywałam coś klientowi... – Podniosła jedną dłoń do czoła i potarła szarą grzywę, ściągając ją ku przodowi. – To był Alwari... Mówił, że należy do Pangay Ous i miał odpowiedni strój, ale dziwnie się zachowywał... – Na jej twarzy zmarszczki niesmaku pomieszały się ze zmarszczkami starości. – Był z nim jeszcze jeden. Pamiętam go, bo był okropnie brzydki, a jednak przy swoim kumplu wyglądał na prawie przystojnego.

– A młoda kobieta, ubrana tak jak my? – wtrąciła Luminara. – Widziałś kogoś takiego?

Starsza tubylka zamrugała oczami.

– *Ou*, no pewnie. Oglądała bardzo uważnie, choć na mój rozum nie miała zamiaru niczego kupować. – Uśmiechnęła się, pokazując ostre

ansioniańskie zęby. – Kiedy ktoś siedzi w interesie tak długo, jak ja, wyczuwa takie rzeczy, nawet u innych ras.

– Gdzie ona jest teraz? – zapytał Obi-Wan swym cichym, ale nie znoszącym sprzeciwu głosem.

– Gdzie...? Nie wiem. Nie wiem, gdzie oni się wszyscy podzieli... – Rozejrzała się i potrząsnęła głową. – Pamiętam, że rozmawialiśmy o zapachach, a potem... – podniosła nierozumiejący wzrok – a potem otworzyłam oczy i zobaczyłam was troje pochylonych nade mną. Jak sądzicie, co...?

– Mistrzowie, tutaj!

Na wołanie Anakina oboje Jedi rzucili się na zaplecze sklepu, a potem wypadli przez tylne wyjście, którego drzwi były teraz uchylone. Znaleźli padawanę w alejce; klęczał i wskazywał coś palcem. Bruk był suchy, pokryty grubą warstwą kurzu, na którym wyraźnie było widać odciski dwóch par stóp. Dzięki Mocy, pomyślał Obi-Wan, że w osłoniętej alejce nie wiało zbyt mocno.

– Ślady Ansionian. – Luminara podniosła wzrok i rozejrzała się po alejce. – Same w sobie niczego nie dowodzą. – Pokazała im inne ślady, które znaczyły grubą powłokę pyłu. – Tą ścieżką szło niedawno wiele stóp.

– Ale tylko te ślady zaczynają się dokładnie od progu – sprzeciwił się Anakin. – I patrzcie, jakie są głębokie w porównaniu z innymi. Jak gdyby ta para, która je zrobiła, niosła coś ciężkiego. – Zmrużył oczy i spojrzał w ciemny tunel alejki. – Wszyscy Ansionianie są mniej więcej tego samego wzrostu... i wagi.

– Troje weszło do sklepu, dwoje wyszło i do tego żadne z nich nie było człowiekiem. – Obi-Wan skinął twierdząco głową. – Uczysz się widzieć nie tylko rzeczy oczywiste, Anakinie. Mam nadzieję, że tak już pozostanie.

Luminara mocno zacisnęła powieki, ale zaraz otwarła je znowu.

– Nie wyczuwam nigdzie obecności Barrissy. Gdyby została porwana, powinnam odebrać jej wzburzenie. Ale nie czuję nic.

– Może jest nieprzytomna. – Obi-Wan skierował się w głąb alejki, żeby lepiej wysondować jej najdalsze zakątki. – Jeśli ci, którzy ją porwali, mieli złe zamiary, mogli użyć do jej obezwładnienia tej samej metody, co w przypadku właścicielki sklepu.

– A może nie żyje – zauważył Anakin. W innych okolicznościach, wśród innych ludzi, jego słowa mogłyby wywołać wybuch zgrozy i gniewu, ale ani Luminara, ani Obi-Wan nie zareagowali. Jako Jedi nie czuli się urażeni obiektywnymi przypuszczeniami, niezależnie od tego, jak delikatnej materii dotyczyły.

Wewnątrz jednak Luminara aż kipiała. Jedi może nie okazuje zbyt wielu uczuć, ale to nie znaczy, że ich nie ma.

– To wielkie miasto. Jak ją odnajdziemy? – Starła się utrzymać na wodzy ogarniający ją gniew.

– Możemy poprosić o pomoc władze miasta – podsunął rozsądnie Anakin.

Obi-Wan machnięciem ręki odsunął ten pomysł.

– Akurat tego właśnie nam potrzeba na tak delikatnym etapie negocjacji! Przyznać się naszym gospodarzom, że jedno z nas zniknęło, a my nie potrafiliśmy temu zapobiec! Jak sądzisz, ile zaufania do naszej wszechmocy wzbudzi takie wyznanie?

Anakin ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Rozumiem, co masz na myśli, mistrzu. Czasem jestem zbyt bezpośredni.

– To choroba wspólna wszystkim niedoświadczonym istotom i nie jesteś jej winien. – Znów spojrzał na Luminarę. – Musimy odnaleźć ją sami, nieważne, w jakim stanie. – Jego zaniepokojona towarzyszka uśmiechnęła się lekko. – I to szybko, zanim nasi ansioniańscy gospodarze wywęszą, że coś jest nie w porządku.

Luminara wskazała na sklepik.

– Najpierw musimy uzyskać możliwie jak najdokładniejszy opis tych Alwari, którzy tu byli w tym samym czasie, co Barrissa. A potem, jak sądzę, powinniśmy się rozdzielić. Niech każde z nas weźmie na siebie jedną trzecią miasta. Zaczniemy od tego sklepu jako centrum poszukiwań, a potem przeszukamy wszystko, co się da. Będziemy wypytywać wszystkich, od czasu do czasu obiecując nagrodę, spróbujemy wyczuć obecność Barrissy.

– Obi-Wanie, myślisz, że stoją za tym ci sami, którzy nasłali zbirów na panią Luminarę i padawanę Barrissę, kiedy tu przybyliśmy? – zastanowił się Anakin.

– Nie potrafię powiedzieć – odparł rycerz Jedi. – Na tym świecie istnieje tyle walczących ze sobą frakcji, że może to być dzieło każdej z nich. W dodatku jak wiecie, interesy spoza planety też się tutaj mieszają. – Anakin zauważył, że na swój spokojny sposób Obi-Wan był mocno niezadowolony. – Tylko tego nam brakuje... płomienia z tej iskry. No, ale to nie polityka jest teraz najważniejsza. Musimy odnaleźć Barrissę. – Nie dodał „całą i zdrową”.

NEWSBLINK (sieć informacyjna Coruscant). Nemrileo-irm-Drocubac, przedstawiciel Tanjay VI, poniósł wczoraj śmierć w kolizji swojego pojazdu powietrznego z ciężkim wehikułem dostawczym w południowym kwadrancie, sekcja trzydziesta trzecia ekskluzywnej dzielnicy Bindai, gdzie mieszkał. Przesłuchany na miejscu pilot pojazdu dostawczego stwierdził, że system wewnętrznego naprowadzania jego pojazdu posiadał niewykrywalny błąd oprogramowania, który był bezpośrednią przyczyną tragicznej w skutkach kolizji. Służby śledcze na miejscu wypadku próbowały potwierdzić lub odrzucić tę tezę, lecz ich prace zostały w znacznym stopniu utrudnione przez duże uszkodzenia, jakich doznały oba pojazdy.

Przedstawiciel Tanjay irm-Drocubac pozostawił po sobie żonę i troje dzieci. Choć działał aktywnie w secesjonistycznej frakcji rządu i podejrzewano go o sympatyzowanie z najbardziej skrajnymi członkami tego ruchu, cieszył się szacunkiem kolegów i współpracowników, jak również swoich zwolenników na rodzinnej planecie. Zgodnie z tradycją Tanjay, jego popioły zostaną rzucone jutro nad stolicą, gdzie mieszkał i pracował przez ostatnie piętnaście lat swojego życia.

Mowę pożegnalną wygłosi pogrążony w smutku Kanclerz Palpatine.

(koniec transmisji, koniec artykułu)

ROZDZIAŁ

5

– Jak na młodą ludzką samicę waży więcej, niż mógłbym się spodziewać. – Kyakhta jęknął ze zmęczenia, kiedy wreszcie on i jego towarzysz złożyli worek na łóżku. Dostrzegając ruch wewnątrz, Bulan rozluźnił zamknięcie. Barrissa usiadła i zsunęła worek z ramion, aż opadł jej do pasa, a kiedy wstała, do stóp. Nogi miała związane w kostkach, ręce skrepowane na plecach. Szybko spojrzała w dół, a potem na porywaczy, skupiając wzrok na uśmiechniętej twarzy Kyakhty.

– Tego szukasz, uczennico? – Z torby przerzuconej przez ramię wyjął jej pas z narzędziami. Miała tam wszystkie rzeczy osobiste, z komunikatorem i mieczem świetlnym włącznie. Bulgan przyczłapał i nieśmiało dotknął lśniącej broni.

– Miecz świetlny Jedi. Zawsze chciałem se spróbować.

Kyakhta szarpnięciem wyrwał mu pas i wsunął z powrotem do torby jak uśpionego węża.

– Nie ruszaj tego, ty idioto! Nie pamiętasz, jak Hutt nas ostrzegał, żebyśmy nie dotykali takich rzeczy? Miecz świetlny Jedi może być dostrojony do jego osobistego pola elektrycznego. Spróbuj go włączyć, a na pewno rozprysnie się na kawałki. Prawdopodobnie razem z twoją durną głową.

– *Ou*, to prawda, Bulgan zapomniał. – Jeszcze raz się przyjrzał związanej kobiecie. – Niby nic takiego, no nie? Rozwaliłbym ją jednym palcem.

– Tylko fizycznie. – Niezdolna uciec ani wykonać najmniejszego bodaj gestu, Barrissa usiadła na łóżku. – Widać, że wiecie, kim jestem

i kogo reprezentuję. Powinniście też wiedzieć, że nawet teraz, kiedy rozmawiamy, trójka Jedi przetrząsa miasto i nie będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą, co się stało.

Kyakhta ryknął śmiechem, Bulgan zawtórował mu chrapliwym chichotem.

– Niech szukają. Nie znajdują cię tutaj. – Wskazał na otaczające ich wysokie, gładkie mury. – To bezpieczne miejsce, a poza tym nie zostaniesz tu długo. – Przypomniał sobie i wcisnął przełącznik nadajnika. – Pozostali już wiedzą. Przyjdą tutaj i zabiorą cię. Będzie z głowy. A wtedy staniemy się trochę bogatsi.

Nie próbowała zaprzeczać:

– Czego ode mnie chcecie, wy albo ci, dla których pracujecie? – spytała łagodnie.

Alwari porozumieli się wzrokiem.

– Nie nasz interes – oznajmił w końcu Kyakhta. – Mieliśmy cię złapać i tyle. Pytania nie nasz interes. – Odwrócił się, żeby wyjść. – Idę powiedzieć, że się udało. Już się cieszę. Bossban myślał, że nie damy rady. Fajna niespodzianka. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Chyba go trochę przetrzymam, zanim mu powiem. – Dźgnął kompana łokciem. – Pilnuj jej, Bulgan. Uważaj na sztuczki Jedi.

– Nie bój nic, Kyakhta. – Zgarbiony wpełzł, ale czujny Alwari usadowił się na stołku naprzeciwko skrepowanej dziewczyny. – Bulgan patrzy pilnie.

Barrissa spojrzała na ciężkie drzwi, które zamknęły się za Kyakhtą. Usłyszała głośnie kliknięcie. Bez miecza świetlnego nie będzie w stanie przebyć tej bariery, a ograniczone umiejętności we władaniu Mocą nie pozwolą jej przebić się myślą. Była w pułapce, dopóki przyjaciele jej nie odnajdą. Była pewna, że to uczynią, martwił ją tylko upływający czas. Czy wystarczy go, zanim zabiorą ją z tego miejsca i przewiozą do osoby, która zaaranżowała jej porwanie? Mogła być pewna tylko jednego: kimkolwiek jest ten ktoś, będzie na pewno znacznie okrutniejszy i o wiele bardziej kompetentny niż ci dwaj naiwni Ansionianie.

Obserwowała, czekając, aż jej strażnika ogarnie znużenie albo będzie musiał wyjść. Daremnie. Nie była również w stanie, pomimo usilnych starań, wpłynąć na jego umysł. Po namyśle stwierdziła, że to z pewnością dlatego, iż według wszelkich oznak nie było na co wpływać. Wyjaśniało to także, dlaczego ani ona, ani mistrzowie nie wyczuli wrogich intencji.

Użyli nieprzytomnej sklepikarki, aby odwrócić jej uwagę. Była wściekła na siebie, że pozwoliła tak się zwieść, ale próbowała zdławić

rosnącą irytację. Gniew był kolejnym rozprasającym czynnikiem. Nie mogła sobie na niego pozwolić.

– Może bossban da Kyakhcie i Bulganowi premię – zauważył głośno strażnik. – Miecz świetlny Jedi będzie fajny. A potem Bulgan pójdzie do domu, pokaże go klanowi i pozwolą mu wrócić. A tym, którzy się będą wściekać – wykonał powłóczysty ruch ciężkim ramieniem – poobcina łby!

– Mówisz z sympatią o swoim bossbanie. – Barrissa spróbowała przybrać bezradną i zrezygnowaną minę. – Kim jest ta imponująca osoba?

Uśmiech powoli rozlał się po twarzy jej nadzorcy.

– Padawanka próbuje oszukać Bulgana. Żadnych sztuczek Jedi. Bulgan i Kyakhta może trochę powoli myślą, ale nie są głupi. – Dźwignął się i pochylił nad nią, szeroki w ramionach, bezwłosy – ogromna, wyjątkowo ciężka jak na Ansionianina masa mięśni i kości. – Uważasz, że Bulgan głupi?

– Nie powiedziałam tego, nawet nie miałam zamiaru – odparła łagodnie. Alwari cofnął się. – Ale widzę w tobie coś innego.

Oczy wielkiego tubylca zwięzły się niebezpiecznie.

– Co to? Uważaj, padawanie człowieku, Bulgan się ciebie nie boi.

– Zauważyłam. Ale widzę także, i czuję w sposób, jakiego sobie nawet nie potrafisz wyobrazić, że i ty, i twój wspólnik cierpicie ból... prawdopodobnie od bardzo dawna.

Brazowe, złoto nakrapiane ansiońskie oko Bulgana wytrzeszczyło się na nią.

– Skąd... skąd to wiesz?

– Oprócz zwykłego szkolenia Jedi wielu z nas specjalizuje się w obszarach nauki, w których jesteśmy szczególnie uzdolnieni i które nas pociągają. Ja jestem praktykującym uzdrowicielem.

– Ale ludzkim. Nie ansiońskim.

– Wiem. – Jej głos był czuły, uspokajający... kuszący. – Nie potrafię naprawić twoich biednych pleców ani dać ci protezy w miejsce brakującego oka. Ale ból w twoim umyśle jest taki sam, jaki odczuwają niemal wszystkie ciepłokrwiste istoty rozumne. Wynika on z pewnych uszkodzeń i nieprawidłowości. To tak, jakby ktoś próbował połączyć w całość bardzo skomplikowany komputer, miał do tego celu wszystkie niezbędne materiały i komponenty, ale nie całkiem wiedział, jak to wszystko ze sobą powiązać. I zrobił to trochę zbyt pośpiesznie. Rozumiesz, co mówię, Bulganie?

Alwari skinął głową powoli.

– Bulgan nie jest głupi. Bulgan rozumie. *Haja*, właśnie tak się Bulgan czuje przez cały czas. Niedobrze połączony. – Przechylił głowę na bok i uważnie przyjrzał się jej zdrowym okiem. – Padawanka potrafi to naprawić.

– Nie mogę obiecać nic pewnego, ale mogłabym spróbować.

– Naprawić ból w głowie... – Jej strażnik wyraźnie ugiął się pod ciężarem tego wysiłku umysłowego. – Nie ma już tutaj bólu... – Potarł czoło otwartą dłonią. – To by było wielkie. Jeszcze większe niż kredyty. – Utrudzony zbyt długim procesem myślowym, który wyczerpał jego skromne zasoby intelektualne, spojrzął na nią raz jeszcze. – Jak Bulgan wie, że ma ci ufać?

– Daję ci moje słowo padawana, ucznia sztuki Jedi, osoby, która poświęciła życie dla szczytnych ideałów... i opanowania sztuki uzdrawiania.

Wyraźnie rozdarty wewnętrznie strażnik odetchnął głęboko, podejrziwie spojrzął na drzwi i znów na nią.

– Spróbuj naprawić Bulgana. Ale jeśli zaczniesz coś kombinować...

– Dałam ci słowo – przerwała, uprzedzając pogroźkę. – A poza tym dokąd pójde? Drzwi są zamknięte i zabarykadowane z zewnątrz. A może nie wiedziałeś, że jesteś tu ze mną zamknięty? – spytała poważnie. – Twój przyjaciel nie chce ryzykować.

– Zamknięty? – Potarł nagą czaszkę, przesuwając dłonią w miejscu, gdzie powinna znajdować się ciemna grzywa. – Bulganowi się pomieszało.

Natychmiast skorzystała z otwartej drogi.

– Pomieszenie spowodowane jest bólem, z którym żyjesz. Pozwól, sobie pomóc, Bulganie. Proszę. Jeśli mi się nie uda, niczym nie ryzykujesz. Nawet jeśli zdołam to uczynić, wciąż będziesz mnie pilnował, bo drzwi są zamknięte od zewnątrz.

– Prawda. Padawanka mówi prawdę. *Ou*, próbuj.

Spokojnie patrząc mu w oczy, wskazała na związane ręce.

– Musisz mnie rozwiązać. Do takiej pracy potrzebuję dłoni.

Natychmiast odzyskał czujność.

– Po co? Sztuczka Jedi?

– Nie. Proszę, zaufaj mi, Bulganie. Tu chodzi o znacznie ważniejsze rzeczy niż moje życie czy wielkość twojego konta kredytów. Wiesz, co to ruch secesjonistyczny?

Ansionianim zaprzeczył.

– Jedyne ruch, jaki Bulgan zna, to ruch wnętrzości. – Zastanowił się przez chwilę. – *Kyakhta* będzie niezadowolony – mruknął. Niechętnie podszedł do niej od tyłu i przesunął rozdzielaczem po jej przegubach.

Gruba warstwa wiążąca je do tej pory rozpuściła się natychmiast, rozkładając się na celulozę, katalizator i wodę. Barrissa z ulgą rozmasowała sobie nadgarstki. Kiedy poczuła, że wraca krążenie krwi, skinęła, żeby się zbliżył.

– Chodź tu, Bulganie – poinstruowała go łagodnie. Spełnił polecenie z pochyloną głową, szurając stopami jak dziecko, które podchodzi do matki. Bardzo silne, bardzo niebezpieczne dziecko, upomniała się w duchu. Nie musiała go prosić, żeby pochylił się jeszcze bardziej. Biedne, wygięte plecy sprawiły, że jego głowa znalazła się w zasięgu jej ręki. Wyciągnęła obie dłonie, czule objęła nimi jego czaszkę, uważając, aby nie przesłonić otworów usznych. Jego skóra była ciepła w dotyku – normalna temperatura ciała Ansionianina była o kilka stopni wyższa niż temperatura ciała człowieka. Z przymkniętymi oczami zaczęła się koncentrować.

W miarę jak jej wrażenia nabierały ostrości, ogarnęło ją dziwne pulsowanie. Nieustanny, morderczy ból, który poprzez szkolenie i wysiłek uczyniła swoim własnym. Pozwoliła, aby jej istota spłynęła na Bulgana, otoczyła go kojącym balsamem własnego harmonijnego wnętrza. Pośród uszkodzonych, źle połączonych neuronów stanowiących źródło ciągłego bólu tubylca, Moc dokonała subtelnej przesunięcia tkanek, prawie niedostrzegalnej, lecz fizycznie istotnej zmiany.

Stała tak z dłońmi na jego głowie przez kilkanaście długich, męczących minut: uzdrowicielka i pacjent związani ze sobą w tajemniczym, nieprzeniknionym wzajemnym transie, który potrafiły zrozumieć jedynie inny uzdrowiciel Jedi. Dopiero kiedy wszystko wróciło do normy i naturalnego, prawidłowego położenia, pozwoliła sobie na wycofanie się ze stanu, w jaki wprowadziła ich oboje.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że znów wpatruje się w swego porywacza. Wydawał jej się teraz jakby odmieniony – niewielka, lecz dostrzegalna zmiana postawy, błysk w oku zamiast tępego przymglenia. Wyprostował się odrobinę, na tyle, na ile pozwolił jego złamany, na zawsze zniekształcony kręgosłup, i powoli rozejrzał się po pokoju.

– Jak się czujesz? – zapytała po chwili, przerywając milczenie.

– Czuję? Bulgan się czuje... czuję się dobrze. Bardzo dobrze! – Zwinął obie trójpalczaste dłonie w pięści i uniósł je do góry. – Naprawdę niesamowicie, fantastycznie, wyjątkowo dobrze! *Haja, jaha ou ou!* – Zaczął tańczyć i podskakiwać w miejscu, co chwila radośnie wyrzucając w górę ramiona. Poczuła, jak wstępuje w nią otucha.

Nagle Ansionianin zatrzymał się, opuścił ramiona i odezwał się zupełnie innym, nowym głosem:

– Ale wciąż jesteś moim więźniem, padawanko. – Ramiona jej opa-
dły, a on zaśmiał się radośnie. – Jeszcze przez jakąś minutę – dodał.

Jego intencje stały się jasne, kiedy podszedł do niej tak sprężyste,
jak nigdy dotąd i przesunął rozdzielacz po więzach na kostkach. Rozpu-
ścili się natychmiast, pozwalając jej wstać. Stopy i nogi miała zdre-
twiałe od długiej bezczynności i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał
jej silnymi ramionami.

W tym momencie drzwi kliknęły i do pokoju wszedł Kyakhta.

Trudno byłoby nazwać zdumieniem uczucie, jakiego doznał starszy
Alwari, kiedy do jego umysłu dotarł widok, jaki przedstawił się wybału-
szonym oczom. Byłoby to niedopowiedzenie godne starszego poborca
podatkowego. Widok padawanki Jedi bez więzów był już sam w sobie
dość niepokojący. Ale obraz tejże padawanki spoczywającej bezwład-
nie w ramionach jego partnera był zdecydowanie nierozwiązywalną łam-
igłówką. Gdyby Khakhta nie usłyszał zaraz jakiegoś wyjaśnienia, skłon-
ny był cofnąć się za drzwi i zamknąć tych dwoje razem.

Na szczęście bezrozumny do tej pory Bulgan dysponował już od-
powiednimi zasobami umysłowymi, aby mu wszystko wytłumaczyć.

– Naprawiła mnie – poinformował kompana bez ogródek, stukając
się w czaszkę. – Naprawiła mnie, o tu. Ciebie też może naprawić.

– Żadnych obietnic – ostrzegła Barrissa.

– Co naprawić? – Kyakhta czujnie cofnął się o krok. – A bo to ja
jestem zepsuty? Co to znaczy, naprawić?

– No, tutaj! – Uleczony umysłowo Bulgan raz jeszcze dotknął dło-
nią głowy. – Nie czuję już bólu w głowie. Wiem, że cierpisz z powodu
tego samego syndromu, drogi przyjacielu. Pozwól, niech Jedi cię uzdro-
wi swoimi metodami.

Kolejny krok w tył. Drzwi w zasięgu ręki. Łatwo będzie skoczyć za
próg, zatrzaskać bariery i uszczelnić zamek. Ale... co się wydarzyło
w czasie jego nieobecności? Kyakhta był bardzo ciekaw. Przecież nie
było go tylko kilka minut, i oto jego dobry, uczciwy, głupi jak but kom-
pan na wspólnym wygnaniu zaczyna gadać jak cholerny radny miejski!
Nie, nie jak radny, poprawił się sumiennie.

Jak prawdziwy nomada Alwari: niezależny, pewny siebie i wolny.

Trzy palce zawisły nad klamką. Jedi nie próbowała go zatrzymać,
choć czuł, że była w stanie to zrobić.

– Co to za bzdura z uzdrawianiem Jedi?

– Wypróbowała to na mnie. Uzdrowiła moją głowę, mój umysł.
Już nic mnie nie boli, Kyakhta! Znów mogę myśleć jasno. Moje myśli
nie były tak wolne od czasu, kiedy w dzieciństwie zrzucił mnie ten

suubatar. – Zniżył głos. – To przez ten upadek, niewłaściwy krok przy zsiadaniu, złamałem kręgosłup i straciłem oko... i uszkodziłem sobie mózg.

– Ale ja... – Kyakhta nie mógł znaleźć słów. W obliczu dowodów, patrząc na rozjaśnioną twarz przyjaciela, musiał przyjąć do wiadomości prawdę pozornie niewiarygodną.

Była jeszcze druga prawda, której musiał stawić czoło, i to szybko. Z wyciągniętymi, wolnymi od więzów dłońmi, Jedi ruszyła w jego stronę.

– Pozwól sobie pomóc, Kyakhto. Składam ci tę samą obietnicę, co Bulganowi: czy ci pomogę, czy nie, pozostanę twoim więźniem.

To prawda, zorientował się Kyakhta. Z więzami czy bez, on i jego przyjaciel wciąż mieli przewagę. Tylko oni znali drogę wyjścia z budynku, w którym mieściła się cela, tylko oni potrafili przeprowadzić Jedi przez zewnętrzne stráže i punkty kontrolne. Rycerz Jedi pewnie załatwiłby się z takimi przeszkodami w mgnieniu oka, ale wciąż ucząca się padawanka...

Musiał przyznać, że w przypadku Bulgana dokonała cudu. Czy mogłaby usunąć również jego ból, który cierpiał przez całe swoje dorosłe życie, zabrać te fale cierpienia, które regularnie zalewały jego mózg? Czy nie warto przynajmniej spróbować?

– Bierz się do roboty – zdecydował i dodał ostrzegawczo: – Ale jeśli to jakaś sztuczka, bossban nie dostanie cię w stanie nieuszkodzonym.

Nie zwracając uwagi na groźbę, Barrissa położyła mu dłonie na skroniach, przyciągając ku sobie jego głowę. Jej palce były chłodne i miała ich za dużo, ale poza tym dotyk nie był nieprzyjemny. Przeciwnie, przynosił nawet ukojenie.

Po chwili spojrzął na nią i zamrugał z tym samym pełnym zachwytem zdumieniem, które dopiero co ogarnęło jego towarzysza. W przeciwieństwie do Bulgana, nie wyrzucił w górę ramion, tańcząc w kółko, ale pochylił się nisko. W wykonaniu Ansionianina gest ten był szczególnie wymowny.

– Jestem ci winien mój rozum, padawanko. Gdyby nie twoje działanie, ból, z którym przyszło mi żyć, pewnego dnia doprowadziłyby mnie do całkowitego obłądzenia, a ostatecznie do śmierci. Widzę to teraz bardzo wyraźnie.

Odwrócił się i uściskał dawnego towarzysza niedoli, otaczając długoimi ramionami szerokie barki Bulgana. Łysa i grzywiasta głowa chwiały się w gorącym, wspólnie przeżywanym zachwycie.

Radosny widok Ansionian, których zdołała uzdrowić, stanowił balsam na serce Barrissy... ale nie pomógł jej wydostać się z tego miejsca ani wrócić do przyjaciół.

– Nazywam się Barrissa Offee, moją mistrzynią jest Jedi Lumina-ra Unduli. Im szybciej ją odnajdziemy, tym lepiej dla mnie... i myślę, że tym bezpieczniej dla was. Z pewnością wasz pracodawca nie ucieszy się z nieoczekiwanego obrotu sprawy, jaki mu zafundowaliście.

– Bossban Soergg! – wykrzyknął Bulgan. Kiedy wymknęło mu się to imię, spłoszony spojrzął na towarzysza, ale Kyakhta nie przejął się ani trochę jego wpadką.

– To już nieważne, Bulganie. Już przekazałem informację o naszym sukcesie do jego kwatery głównej. Ktoś inny będzie musiał go poinformować o zmianie planów, a my zwiążemy nasz los z tą kobietą. Zamiast oddać ją w szpony Soergga, zaczekamy, aż ona uwolni nas od niego. – Spojrzął na Jedi wyczekującego. – Możesz to uczynić? Oddajemy się pod twoją obronę, bez której my, dwaj bezklanowcy, staniemy się pożywką dla krążących shanhów, zanim zabłyśnie światło nowego dnia.

– Wyprowadźcie mnie stąd w jednym kawałku – odparła z posepnym uśmiechem – a ja obiecuję wam wdzięczność dwóch rycerzy Jedi i drugiego padawana... nie wspominając już, że sama się czuję waszą dłużniczką. – Wymownie spojrziała na otwarte drzwi. – To gwarancja, jaka wystarczyłaby chyba każdemu w całej galaktyce.

– Dziwne – mruknął Bulgan, idąc za swoim kompanem i za niedawnym jeńcem w kierunku wyjścia – jak jasne myślenie wpływa na czyjś pogląd na życie. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zaczynam widzieć siebie jako osobę, a nie nędzny obiekt kpin i okrutnych żartów.

– Ja nigdy tak o tobie nie myślałem, przyjacielu – rzucił w jego stronę Kyakhta, kiedy wchodzili na spiralne schody.

– A właśnie, że myślałeś – odparł Bulgan. – Ale nie mam ci tego za złe. To nie twoja wina. Wszystko siedziało w twoim umyśle.

– Obelgi każdemu łatwo przychodzą. – Barrissa czuła się niekompletnie ubrana bez swojego pasa z narzędziami, ale podążyła za Kyakhtą na górę. – Gdzie mój pas?

– W magazynku. Zabierzemy go przed wyjściem.

W pomieszczeniu był tylko jeden strażnik. Dorun siedział w głębokim krześle, specjalnie przystosowanym do jego potężnego zadu. W splecionych mackach trzymał owalny czytnik. Kiedy Kyakhta wynurzył się z klatki schodowej, okulary na szypułkach zwróciły się w jego kierunku.

– Jak tam więzień?

Kyakhta ze zdumieniem wzruszył ramionami i przepuścił Bulgana przed siebie. Barrissa starała się nie rzucić w oczy, więc przycupnęła za nimi.

– Siedzi cicho. To podobno bardzo dziwne zachowanie jak na samice humanoida. Tak mi mówili.

– Założę się, że z rezygnacją poddała się losowi. – Dorun wrócił do swojego czytelnika. Żadne z niezależnie obracających się oczu nie zauważyło Bulgana, który wziął do ręki puste krzesło, aby zaraz opuścić je na głowę strażnika.

– Teraz szybko! – Kyakhta wystukał na klawiaturze kombinację cyfr; kiedy wysunęła się szuflada, sięgnął do niej i wyjął pas Barrissy. Dziewczyna z ulgą stwierdziła, że miecz świetlny wciąż jest na swoim miejscu. Zapinając pas, zauważyła, że Kyakhta dotyka niewielkiego aparatu przymocowanego u pasa.

– Co to jest?

– Musimy regularnie zgłaszać naszą pozycję – wyjaśnił ponuro Alwari. – Inaczej zginieemy.

Potał kark dłonią.

– Bossban Soergg wysył nam materiał wybuchowy, żeby zapewnić sobie nasze posłuszeństwo.

Barrissa mruknęła pod nosem przekleństwo wyjątkowo nieprzyzwoite jak na padawanę.

– Typowe dla Hutta. Na pewno nie pozwolimy mu się śledzić. Pokaż, niech to obejrzę.

Bulgan i Kyakhta posłusznie podeszli. Barrissa wyjęła z pasa skaner i ostrożnie przesunęła go nad miejscem na karku wskazanym przez Kyakhtę. Nietrudno było znaleźć wszczepione urządzenie. Po prawej stronie grzywy pod skórą widać było wyraźną wypukłość.

Sprawdziła odczyt skanera i wprowadziła sekwencję, po czym raz jeszcze przesunęła przyrząd nad karkiem Alwariego. Następnie powtórzyła tę samą procedurę z Bulganem. Usatysfakcjonowana, ostrożnie ruszyła w kierunku drzwi zewnętrznych.

Kyakhta poszedł za nią, pocierając zgrubienie na szyi.

– Materiał wybuchowy wciąż tam jest – mruknął. Z jasnym umysłem czy bez, wciąż czuł się niepewnie, mając go pod skórą.

Barrissa rozejrzała się po ulicy. Ruch wydawał się całkowicie normalny.

– Mogłabym to wyciąć, ale wolę zrobić to porządnie, a nie mam przy sobie odpowiednich narzędzi – wyjaśniła. – Dlatego tylko zdezakty-

wowałam te urządzenia. Są całkowicie nieszkodliwe. Lepiej jednak się pospieszmy, bo może sam fakt ich wyłączenia spowodował przesłanie informacji do kogoś, kto was monitoruje w imieniu bossbana. Teraz już pewnie wiedzą, że coś poszło nie tak. Sądzę, że zareagują bardzo szybko.

– No to lepiej chodźmy. – Bulgan przepchnął się obok niej, otworzył drzwi i bez namysłu wyszedł na ulicę. Kyakhta i ich niedawna ofiara podążyli za nim.

– Najlepiej pójść na główny rynek. Do sklepu, gdzie mnie znaleźliście. – Barrissa ruszyła za Kyakhtą. – Szukając mnie, towarzysze z pewnością się rozdzielił i zaczną poszukiwania właśnie od tego miejsca. – Dotknęła komunikatora przy pasie. Działał na zastrzeżonym paśmie. – Kiedy oddalimy się stąd na bezpieczną odległość, oczywiście poinformuję ich, dokąd zmierzamy i że nic mi nie jest. – Uśmiechnęła się. – I o tym, że zmieniliście zdanie, też.

– Lepiej powiedzieć, że zmieniliśmy sposób myślenia. – Bulgan widział teraz wszystko całkiem inaczej. Jednak śmiercionośny pakcik wszczepiony mu w kark, chociaż unieszkodliwiony przez padawanekę, uwierał i swędział. – Chciałbym się tego jak najszybciej pozbyć.

– Załatwimy to – zapewniła go Barrissa, gdy skręcili za róg, aby znaleźć się w znacznie ruchliwszej okolicy. – A do tego czasu każdemu, kogo spotkamy, będziemy mówić, żeby się liczył ze słowami, bo jesteś bardzo wybuchowym osobnikiem – zażartowała.

Przed zabiegiem Bulgan na tę uwagę po prostu rozdziawiłby gębę i spojrzał tępo. Teraz i on, i jego przyjaciel z wielką radością się roześmieli.

Tego rodzaju przyjemności nie zaznali od bardzo dawna.

Ogomoor wiedział, że wcześniej czy później bossban Soergg znudzi się wysłuchiwaniami złych nowin od swojego majordomusa. A kiedy to nastąpi, lepiej być gotowym do ucieczki – a przynajmniej znaleźć się daleko poza zasięgiem potężnego ogona Soergga.

– Znikła! – Soergg spoczywał na leżance w apartamencie sypialnym. Właśnie odbywał popołudniową drzemkę, kiedy zdenerwowany i przerażony Ogomoor poczuł się w obowiązku go zbudzić. – Przepadła! A ci dwaj włóczędzy wraz z nią?

– Nie wiemy, czy oni są z nią, o Wielki. Wiemy tylko, że uciekła. Oni też. Strażnik stwierdził, że zaatakowano go od tyłu i że prawdopodobnie był to jeden z tych półgłówków. Dlaczego mieliby nagle postanowić pójść za nią?

– Kto wie? – Hutt z ciężkim stęknieniem zwlókł ciastowate ciało z kanapy na podłogę. Para służących gerilów natychmiast rzuciła się wypełnić swój odrażający obowiązek czyszczenia ślimaczego korpusu. Soergg zignorował je i marszcząc czoło spojrzął na podwładnego.

– Czuję za tym niepowodzeniem smród działania Jedi.

– Urządzenia miały podobno zapewnić lojalność obu porywaczy?...

– Ogomoor nie oczekiwał odpowiedzi na swoje pytanie.

– Włączyłem je, jak tylko mi powiedziałaś, co się stało. Albo ci kretyni są już bez głów, albo Jedi znów maczali w tym swoje lepkie paluchy.

Z przyczepionymi do cielska gerilami, które spokojnie kontynuowały swoją pracę, Soergg popęzł przed siebie. Ogomoor podążył za nim, okazując odwagę, której wcale nie czuł. Jego własna głowa wciąż trzymała się ramion wyłącznie dzięki temu, że jeszcze miał jakąś wartość dla Hutta.

– Rozgłoś to pośród wszystkich włóczęgów, kryminalistów, łobuzów i zboczeńców w całym Cuiperam. Tysiąc kredytów republikańskich dla tego, kto przyprowadzi do mnie żywą tę przeklętą padawanę albo przyniesie głowy zabitych Jedi. Szybko! Wciąż mamy szansę, jeśli zdołają ją pochwycić, zanim dotrze do swej kompanii.

– Słyszę i wykonuję, bosskanie. – Ogomoor był zbyt szczęśliwy, że go odprawiono, by obawiać się strzału w plecy. Okręcił się na pięcie i z komunikatorem gotowym do użytku wybiegł bezceremonialnie z sypialni.

Za jego plecami gerile odruchowo zatkały nozdrza, gdy ich odrażający pracodawca ulżył swojemu niezadowoleniu w wyjątkowo cuchnący sposób.

Ogomoor nie wiedział, że jego onieśmielający zwierzchnik sam musiał złożyć sprawozdanie ze swojej klęski komuś znacznie ważniejszemu niż pierwszy lepszy Hutt. Soergg nie obawiał się tej osoby, ale ją szanował. Prawie tak samo, jak szanował kredyty wpłacane na jego miejscowe konto w zamian za usługi świadczone sprawie ansioniańskiej secesji.

Kto stał za płatnikiem? Często się nad tym zastanawiał. Zasadniczo nie miało to większego znaczenia. Ważne były kredyty. Huttowie tylko w niewielkim stopniu interesowali się polityką, jeśli nie służyła bezpośrednio ich interesom. Soergg kompletnie nie dbał o to, czy Ansion, wraz ze światami, z którymi był związany poprzez liczne pakt i traktaty, pozostanie w Republice, czy też od niej odejdzie.

Nie obchodziło go także, czy wydarzy się coś innego, czego jeszcze się nie dostrzeże i o czym się nie mówi.

ROZDZIAŁ

6

Nikogo nie zdziwiło, że to właśnie Luminara jako pierwsza z zaniepokojonych poszukiwaczy natrafiła na Barrissę i jej nowych sprzymierzeńców. Spotkali się pośrodku podrzędnego placu targowego. Dwaj Alwari przyglądali się z zainteresowaniem, jak mistrzyni i padawanka bez skrępowania padły sobie w ramiona. Otaczający ich tłum kupców i spacerowiczów ignorował ich kompletnie, zajęty własnymi, codziennymi sprawami.

– Co to za dzielni tubylcy? – Luminara z zainteresowaniem przyglądała się Alwarim. Kyakhta poczuł, jak oczy Jedi wwiercają mu się w mózg. Z niezrozumiałych przyczyn zaczął nagle przestępować z nogi na nogę.

– To moi porywacze, pani. – Na widok wyrazu twarzy Luminary Barrissa nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Nie sądź ich zbyt surowo. Obaj cierpieli na kalectwo umysłowe. W rewanżu za to, że ich uzdrowiłam, pomogli mi w ucieczce.

– Muszę ci przypomnieć, że to tylko chwilowa ucieczka, Barrisso – odparł Bulgan. Wyciągając szyję ponad głowami tłumu, szukał oznak zbliżającego się ataku. – Założę się o moją ostatnią kredytę, że w tej samej chwili, kiedy wy radujecie się tą szczęśliwą chwilą, bossban Soergg wysyła za nami całą bandę płatnych morderców.

– A więc musimy szybko stąd odejść. – Luminara wyjęła z pasa komunikator, powiedziała do niego parę słów, wysłuchała odpowiedzi, znów coś powiedziała i schowała aparacik z powrotem. – Obi-Wan i Anakin spieszą już do nas. Spotkamy się przy fontannie po drugiej stronie placu.

Objęła ramieniem Barrissę i pociągnęła ją w tamtym kierunku.

– Cieszę się, że miałaś okazję wykorzystać w praktyce sztukę uzdrawiania, ale w przyszłości wolałabym, abyś znalazła sobie inne zwierzątka doświadczalne niż porywacze. Właściwie powinnam się na ciebie gniewać, że zapomniałeś o koniecznej ostrożności, ale zanedbało się ciebie, że wróciłaś cała i zdrowa, żeby na ciebie krzyczeć.

Czekały na stopniach fontanny tylko krótką chwilę, zanim szerokie szaty powiewające w tłumie oznajmiły przybycie Obi-Wana. Anakin deptał mu po piętach. Powitali Barrissę na modłę Jedi – ceremonialnie, lecz serdecznie.

Bulgan obserwował tę scenę w milczeniu. Dopiero kiedy formalnościom stało się zadość, odezwał się:

– Co zamierzacie teraz zrobić?

Luminara spojrzała na niego.

– Udało nam się skłonić Unię Społeczeństw, aby zawarła pokój z nomadami, jeśli Alwari wyrażą zgodę na przekazanie części należących do nich ziem ludziom z miast. W zamian mieszkańcy miast udostępnią Alwarim wszelkie nowoczesne urządzenia i usługi, nie próbując jednak w jakikolwiek inny sposób zmieniać ich odwiecznego trybu życia. Obie strony mają się wzajemnie szanować, senat zaś będzie się trzymał... na tyle, na ile jest to możliwe dla tych biurokratów... z dala od spraw Ansionu. W zamian Ansion pozostanie w Republice, co zapewni jego ekonomiczną i polityczną niezależność od Gildii Kupieckiej. Nie stanie się drugą Naboo – dodała posępnym tonem.

Kyakhtha podrapał się po karku, ostrożnie, by nie dotknąć wciąż ukrytej tam bomby.

– Wydaje mi się to dość skomplikowane.

– Bo tak jest – przyznał Obi-Wan. – Bardziej skomplikowane, niż powinno. Ale właśnie tak to się w dzisiejszych czasach odbywa.

– Sądzicie, że Alwari zgodzą się na taką propozycję? – Barrissa równocześnie obserwowała swoich przyjaciół i kłębiący się tłum.

Dwaj nomadowie spojrzeli po sobie.

– To zależy, jak im to przedstawicie – stwierdził wreszcie Kyakhtha. – Jeśli uda wam się dotrzeć do najważniejszego z nadklanów, Boro-kiich, i skłonić ich do zgody, pozostali pójdą za ich przykładem. Wśród Alwarich właśnie tak się sprawy mają.

Luminara w zadumie przytaknęła.

– Musimy więc skłonić ich przedstawicieli, aby przybyli do Cui-pernam i zechcieli porozmawiać z nami osobiście.

Bulgan zaczął się śmiać, ale urwał, kiedy stwierdził, że Jedi mówi poważnie.

– Żaden wódz Borokiich nie podejdzie na sto *huus* do Cuipernam ani żadnego innego miasta unii. Nie ufają tym z miasta ani ich przedstawicielom. Mówię teraz jako Tasbir z Południowego Hatagai, choć – dodał z bólem – obecnie bezklanowiec.

Luminara nachyliła się do Obi-Wana i zaczęła coś do niego szeptać. Wkrótce drugi Jedi uśmiechnął się i skinął głową. Luminara spojrzała na nowych przyjaciół Barrissy.

– Jeśli jesteście teraz bezklanowcami – powiedziała poważnie – to znaczy, że nie macie dokąd pójść. Żadnej odpowiedzialności, ale i żadnego miejsca, które możecie nazwać domem.

– *Haja*, to niestety szczerą prawdą – żałośnie odparł Kyakhta. – Ktoś, kto nie ma klanu, nie ma również korzeni, jak latający krzak irgul.

– A zatem – ciągnęła mistrzyni, mrugając do Barrissy – możecie pracować dla nas. Chcielibyśmy, żebyście nas zaprowadzili do Borokiich.

– *Ou*, myślę, że... – Kyakhta urwał, zamrugał i wytrzeszczył oczy na Jedi. Jednocześnie otworzył usta, a wąskie wargi rozszerzały się dalej i dalej, ukazując coraz więcej bieli zębów. – Chcecie powiedzieć, że... wzięlibyście takich dwóch bezklanowców jak Bulgan i ja jako przewodników? Nawet po tym, co zrobiliśmy waszej padawance?

– To już przeszłość – zapewniła ich Luminara. – A poza tym Barrissa twierdzi, że to właściwie nie była wasza wina, a teraz jesteście już zdrowi. Przyjmuję jej wyjaśnienia.

– Przewodnicy Jedi! My! – Bulgan ledwie mógł uwierzyć całkowitej odmianie losu, która dokonała się w ciągu jednego dnia... od pracy dla takiego nędznika jak bossban Soergg do przewodników rycerzy Jedi.

Anakin, jak zawsze czujny, pochylił się do ucha Obi-Wana.

– Mistrzu, czy sądzisz, że to rozsądne zaufać komuś takiemu jak oni? Obi-Wan wydał wargi.

– Nie wyczuwam w nich zagrożenia.

– Barrissa też nie wyczuwała – rozsądnie zauważył Anakin. – Dopóki jej nie porwali.

– To było przedtem, zanim ich uzdrowiła. Sądzę, że teraz ta wdzięczna para dobrze się nami zaopiekuje. Dają nam też coś, czego nie możemy się spodziewać po mieszkańcach miasta: jako Alwari, potrafią odnaleźć właściwą drogę i dokonać w odpowiednim czasie prezentacji, tak samo albo i lepiej niż ci, których możemy wynająć na miejscu.

Anakin dumiał nad tym przez chwilę.

– A więc w ostatecznym rozrachunku wszystkie stosunki pomiędzy istotami rozumnymi sprowadzają się do takiego czy innego rodzaju polityki, mistrzu Obi-Wanie?

– Wielu tak się wydaje. Dlatego ciągle próbuję wbić ci do głowy podstawowe zasady zręcznej dyplomacji. Kto wie? Pewnego dnia mogą ci pomóc zarówno w stosunkach zawodowych, jak i osobistych.

Myśl ta wystarczyła, aby uciszyć padawana i skierować jego myśli na całkiem inny tor. Tymczasem dwaj starsi Jedi omawiali z przewodnikami szczegóły wyprawy, powoli opuszczając zatłoczony rynek.

– Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest usunięcie wam spod skóry tych urządzeń – oznajmiła Luminara.

– Znam uzdrowiciela, który zrobi to w minutę i nie będzie się bał, zwłaszcza teraz, kiedy zostały zdezaktywowane. – Kyakhta błysnął ku Barrissie ostrymi białymi zębami. – To dobry fachowiec, ale nigdy nie przyszedłoby mu do głowy, żeby nas leczyć... przedtem. Oznaczałoby to narażenie się na gniew bossbana Soergga.

– W porządku. – Luminara zesłała z drogi trójce wędrujących Mielpów, zgiętych w pół pod ciężarem toreb z zakupami prawie tak wielkich, jak oni sami. – Potem możemy wynająć ścigacz i...

– Nie, nie! – ostrzegł ją Bulgan. – Żadnych ścigaczy. Musimy wziąć ze sobą tak mało wytworów technologii galaktycznej, jak to tylko możliwe. Wszyscy Alwari to bezkompromisowi tradycjoniści. Jak wiecie, cały spór pomiędzy nimi a mieszkańcami miast koncentruje się głównie na różnicach pomiędzy ustanowionymi z dawien dawna obyczajami a nowymi sposobami życia i robienia różnych rzeczy. Jeśli chcecie od początku zaskarbić sobie zaufanie Borokiich, udowodnić, że nie jesteście wyłącznie po stronie mieszkańców miasta, musicie zbliżyć się do nich w szacunku dla tradycji.

Obi-Wan zgodnie skinął głową.

– Doskonale. A zatem nie ścigacze. Jak będziemy podróżować?

– Wiele zwierząt nadaje się doskonale do podróży wierzchem po stepach.

– Wierzchem? – skrzywił się Anakin. Zawsze wolał pracować z maszynami. Gdyby dali mu wystarczająco dużo czasu, narzędzi i części zamiennych, zbudowałby pojazd, który działałby zgodnie z ich życzeniem. Ale tubylcy byli nieugięci. Żadnych ścigaczy.

– Najlepsze z nich są suubatary – entuzjastycznie poinformował Kyakhta. – Jeśli stać was na nie, są najczęstszym sposobem podróżowania wysoko urodzonych Alwarich. Przybycie do obozowiska na takim wierzchowcu od razu klasyfikuje gościa jako ważną osobę. Że nie wspomnę o dobrym gościu.

Luminara zamyśliła się.

– Rada Jedi woli, abyśmy podróżowali skromnie. Mamy do dyspozycji niewielkie zasoby finansowe.

– Sądzę, że wystarczą – zapewnił ją Obi-Wan. – Biorąc pod uwagę, że polecono nam załatwić tę sprawę możliwie jak najszybciej, chyba nikt nie będzie miał pretensji, jeśli wydamy trochę więcej, aby osiągnąć ten cel. Im szybciej opuścimy Cuiper nam w poszukiwaniu Boro-kiich, tym większe mamy szanse powodzenia i tym bezpieczniejsi będziemy wszyscy.

– Dosiadać suubatarą to jak ujeżdżać wiatr! – Zachwycony Bulgan przeskoczył przez śpiącego crowlyna. Zwierzę rozwarło potężne szczęki, obojętnie machnęło łapą w jego stronę i zasnęło z powrotem.

Anakin wzruszył ramionami.

– Jestem mistrzem wyścigów. Obawiam się, że żaden z organicznych wierzchowców, choćby uznawany za wyjątkowo szlachetnego nie będzie w stanie zrobić na mnie większego wrażenia.

Bardzo się mylił.

Zaawansowana technologia przysłużyła się nowoczesnemu transportowi szczególnie w jednej dziedzinie: eliminacji smrodu. Tego zaś z kolei nie brakowało na targu, gdzie proponowano zdumiewającą różnorodność udomowionych wierzchowców. Oboje Jedi wraz z przewodnikami ruszyli na poszukiwanie odpowiednich zwierząt, para padawanów zaś stanęła na straży.

– Przeprosiłam już moją mistrzynię za to, że dopuściłam do porwania – mówiła Barrissa, ale jej oczy nie zatrzymywały się ani na chwilę na jednym punkcie; obserwowała sprzedawców i sklepikarzy, handlarzy i treserów, szukając wśród nich potencjalnego zagrożenia.

Anakin także niedawno pozwolił, aby fałszywy spokój otoczenia uspił jego czujność, i teraz on również ani na chwilę nie przestawał się rozglądać. Stał obok partnerki, marząc, by na jej miejscu znajdował się ktoś zupełnie inny, choć cały czas okazywał należny podziw dla jej dzielności i talentu.

– Nie ma się czego wstydzić. Ja też zrobiłem w życiu wiele głupstw.

– Nie powiedziałam, że to było głupie – zaprotestowała i odwróciła się do niego tyłem.

Zawahał się na ułamek sekundy.

– No dobrze, przepraszam. Mam wrażenie, że od początku jakoś nam nie wychodzi. Przyjmij na moje usprawiedliwienie, że mam na głowie mnóstwo spraw.

– Jesteś padawanem Jedi. To zrozumiałe, że masz mnóstwo spraw na głowie. – Barrissa zerknęła z ukosa na woźnicę seuvhata, który kierował się wprost na nich. Jej dłoń powędrowała ku mieczowi świetlnemu, ale kiedy pojazd skręcił, opuściła rękę.

– Chodzi mi o to, że jestem półprzytomny. – Położył jej dłoń na ramieniu, mając nadzieję, że gest ten nie zostanie niewłaściwie zrozumiany. Nie musiał się tym martwić. – Gdyby tak nie było, gdybym myślał o tym, co robię, zwróciłbym większą uwagę na sklepik, do którego weszłaś. Może nawet poszedłbym za tobą i udaremnił porwanie.

– To ja popełniłam błąd, nie ty. Zawiniłam, bo skupiłam się tylko na jednej sprawie. Poza tym – dodała oschle – gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie miałabym okazji pomóc tym nieszczęsnym Alwarim i wciąż jeszcze szukalibyśmy przewodników, którzy zawiedliby nas do nadklanu. Jak mówi mistrz Yoda, przez życie wiedzie wiele ścieżek, dlatego najlepiej cieszyć się tą, na którą ostatecznie się zdecydowaliśmy.

– Ach, tak, mistrz Yoda... – Anakin zamyślił się bardzo głęboko.

Obserwując tłum w poszukiwaniu oznak nadciągających kłopotów, Barrissa rzucała od czasu do czasu przelotne spojrzenie na drugiego padawana. Twardy orzech do zgryzienia z tego Anakina Skywalker. Moc w nim aż kipi. Moc i... inne rzeczy. Już teraz czuła, że ten chłopiec jest znacznie bardziej skomplikowany niż którykolwiek z uczniów Świątyni. Już to było czymś niezwykłym. Jeśli ktoś wybrał ścieżkę Jedi, była ona zwykle prosta i nieskomplikowana. A tego o Anakinie Skywalkerze nie dałoby się powiedzieć.

– Mówiłeś, że chodzisz półprzytomny – powiedziała wreszcie. – Czuję, że nie jesteś z tym szczęśliwy.

– Nawet teraz? – spytał takim tonem, że nie wiedziała, czy to sarkazm, czy rzeczywiście się z nią zgadza. Za ich plecami Jedi i przewodnicy targowali się jeszcze o wierzchowce. Młody Jedi uznał, że marzy o tym, aby to wszystko już się skończyło. Miał dość tej planety, dość tego zadania. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie, że Ansion, a choćby i kilkadziesiąt związanych z nim światów, odłączy się od Republiki? Biorąc pod uwagę obecny stan rządu galaktycznego i senatu, z udowodnionymi przypadkami korupcji i bałaganu, któż by ich za to winił? Może posłużyłoby to jako ostrzeżenie dla reszty Republiki, że jeśli nie uporządkują swoich spraw, będzie jeszcze gorzej.

Zuchwałę myśli, jak na padawana. Uśmiechnął się do siebie. Oby się mylił. Czasem myślę również o tym, co się dzieje wokół mnie, nie tylko o sobie, stwierdził.

– Tak, tak sędzę – odezwała się Barrissa. Nie onieśmiał jej ani trochę. – A co cię tak zajmuje, Anakinie Skywalkerze? Dlaczego jesteś zawsze taki zamyślony?

Miał wielką ochotę powiedzieć jej prawdę. Ostatecznie jednak zdecydował, że wyjaśni tylko część nurtujących go problemów. Machnięciem ręki ogarnął targ, otaczające go uliczki, mieszany tłum Ansionian i obcych, i całe leżące za nimi miasto.

– Po co tu jesteśmy? Mistrz Obi-Wan próbował mi to wyjaśnić, ale obawiam się, że pokrętne ścieżki polityki są mi zupełnie obce. Trudno mi to wszystko zrozumieć, nie wiem, jaki wpływ mają na moje życie. Od dziecka byłem typem dość bezpośrednim. – Spojrzał na nią uważnie. – Tam, gdzie wyrosłem, wpajano mi ważną zasadę: jeśli rozpraszasz swoją energię, beczynnie tracisz czas, nie pożyczysz długu. Chcesz znać moją szczerą opinię o tej misji?

Skinęła głową, nie spuszczać z niego wzroku.

– To strata czasu. Zadanie dla jazgoczących dyplomatów, nie dla Jedi.

– Rozumiem. A co ty byś zrobił, gdybyś był u władzy, Anakinie?

Nie wahał się ani chwili.

– Zebraliśmy przywódców obu ludów, mieszkańców miast i nomadów do kupy, zamknął w jednym pokoju i powiedział, że jeśli w ciągu tygodnia nie zawrą pokoju, Republika wyśle pełne siły zadaniowe i przejmie całkowitą kontrolę nad sprawami lokalnymi.

Skinęła powoli głową z irytująco spokojnym wyrazem twarzy.

– A jak na to zareagowałyby Gildia Kupiecka, biorąc pod uwagę jej znaczne zainteresowanie tym sektorem?

– Gildia Kupiecka robi to, co jej przynosi zysk. Wojna z Republiką zysku nie przyniesie. – Wydawał się o tym całkowicie przekonany. – Tyle już się nauczyłem.

– A jeśli ansioniańska unia miast i miasteczek w wyniku twoich działań spełni swoją groźbę i przyłączy się do ruchu secesjonistycznego, a inne światy, związane z Ansionem, pójdą w jej ślady?

– Nie zmieni to w najmniejszym stopniu warunków życia ludności. Handel będzie trwał, codzienne życie na zaangażowanych światach będzie się toczyć, jak dawniej – stwierdził.

– Jesteś pewien, że zaryzykowałbyś tysiące istnień, aby się o tym przekonać? A co się stanie z Alwarimi, którzy nie zgadzają się z obecną ścieżką obraną przez unię? Czy Gildia Kupiecka i jej sprzymierzeńcy ich nie zniszczą?

– Cóż, nie jestem pewien, czy... – Pod naporem bezlitosnej logiki Barrissy, ściana uporu zaczęła pękać.

Odwrociła wzrok, powracając do studiowania kłębiącego się tłumy.

– Chyba jednak lepiej jest wysłać parę Jedi wraz z padawanami, aby spróbowali załatwić sprawę. To znacznie mniej groźne niż siły zadaniowe. I tańsze, a to zawsze podoba się senatowi...

Westchnął.

– Twoje argumenty są logiczne. Ale Ansion to taka zapadła dziura! Nawet Obi-Wan się zastanawia, co w nim takiego ważnego. Mówił mi to wiele razy, podobnie jak o tym, co uważa za złe w dzisiejszej Republice.

– Ogniska zapalne – odparła ostro. – Z pewnością mówił ci również o ogniskach zapalnych i konieczności ich zdławienia, zanim przestąpią się w nieposkromiony pożar.

– Owszem mówił, bez końca... – Westchnął z rezygnacją i powrócił do obserwacji tłumy.

– To dobra cena! – Ansioniański kupiec nosił grzywę ufarbowaną w srebrne i czarne romby, które schodziły mu aż na plecy, aby zniknąć pod nisko wyciętym kołnierzem. Wypukłe lawendowe oczy spokojnie obserwowały klientów, nie zdradzając żadnych uczuć. – Nigdzie indziej w Cuipernam czy na Płaskowyżu Sorr-ul-Paan nie znajdziecie szczęściu tak wspaniałych, wdzięcznych i silnych zwierząt. Nawet za potrójną cenę!

– Nie bądź taki nachalny – ostrzegł go Kyakhta – bo twoje nieustanne jeremiady przyprawiają moich państwa o zgarę.

Odwrocił się od handlarza i zniżył głos, szeptem porozumiewając się z Bulganem i swoimi nowymi pracodawcami.

– On ma rację, pani Luminaro. Cena, której żąda, jest uczciwa. Może trochę wygórowana, ale zwierzęta rzeczywiście są w doskonałym stanie.

– Wsiąść na takie zwierzę! – Bulgan ledwie mógł ukryć podniecenie.

– Dajcie nam chwilę. – Luminara odwróciła się i pozostawiła dwóch Alwari, aby ciągnęli dalej negocjacje, choć na tym etapie ograniczały się one do uszczknięcia marnych groszy z ostatecznej oferty handlarza. – Co o tym sądzisz, Obi-Wanie?

Rozejrzał się po otaczającym ich bazarze, wciąż czujny na oznaki zbliżającego się niebezpieczeństwa.

– Sądzę, że powinniśmy polegać na doświadczeniu naszych przewodników. Po tym, co zrobiła dla nich twoja padawanka, chyba sami

prędzej by kogoś oszukali, niż pozwolili ją wykorzystać. – Rzut oka przez ramię upewnił go, że dwaj Alwari wciąż przyjaźnie targują się z handlarzem. – Poza tym chętnie przejadę się na takim zwierzęciu. Mam przecucie, że już niedługo będę miał do dyspozycji tylko stare skoczki i zdezelowane śmigacze.

Podniósł wzrok i wpatrzył się w błękit nieba.

Luminara zerknęła na padawanów.

– Pomiedzy Barrissą i Anakinem wciąż panuje napięcie.

– Tak – westchnął Obi-Wan. – Też to zauważyłem. Ale zdaje się, że od czasu jej porwania sprawy mają się nieco lepiej. Barrissa jest świetną uczennicą. Moc przepływa przez nią silnym strumieniem.

– To prawda, ale nie tak mocno, jak przez młodego Anakina. Twój padawan to rwąca rzeka. Jest pełen energii, która szuka upustu.

– Zaczął szkolenie wyjątkowo późno, matka wychowywała go dłużej, niż to się zdarza w przypadku innych uczniów.

Luminara znów spojrzała w stronę padawanów.

– Znał swoją matkę? To więc, której uczniowie Jedi na ogół nie odczuwają. Może stanowić źródło najróżniejszych komplikacji i trudności.

– Wiem. Sam nigdy bym go nie przyjął, ale został wybrany przez mojego własnego mistrza, Qui-Gona Jinnę. Jego życzenie, wypowiedziane przed śmiercią, przysiągłem uszanować. Po jego odejściu musiałem zająć się opieką i wychowaniem tego niezwykle niesfornego młodzieńca.

– Jak ci poszło? – zapytała z wyraźnym zainteresowaniem.

Obi-Wan z nieobecna miną pogładził się po brodzie.

– Bywa impulsywny i to mnie martwi. Nieraz daje się ponieść niecierpliwości, i to jest niebezpieczne. Ale wiele przeszedł, jest też spragniony wiedzy i nauki Jedi. Są dziedziny, w których celuje, na przykład walka na miecze świetlne. I wydaje się urodzonym pilotem. Ale nie lubi poświęcać czasu na meandry historii czy dyplomacji, a polityka przyprawia go dosłownie o mdłości. A jednak wytrwał. Zdaje się, że wytrzymałość odziedziczył po matce, którą Qui-Gon znał przelotnie; twierdził, że była spokojną, ale bardzo silną kobietą.

Mistrzynie Jedi w zadumie skinęła głową.

– Jeśli ktokolwiek zdoła przerobić ten niewdzięczny surowiec w wyszlifowanego rycerza Jedi, to chyba tylko ty, Obi-Wanie. Wielu ma dość wiedzy, ale nie starcza im cierpliwości.

– Ty też mogłabyś to zrobić, jak mi się zdaje.

Spojrzała mu w twarz. Stojąc naprzeciw siebie, dwoje Jedi długo patrzyło sobie w oczy. Każdy widział coś odmiennego, lecz niezmiernie

cennego, nawet wyjątkowego. A kiedy odwrócili wzrok, uczynili to równocześnie.

Obi-Wan podszedł do spierających się tubylców. Luminara spoglądała za nim przez chwilę w zadumie, po czym wróciła do obserwacji tłumu.

Poganiani przez Obi-Wana Kyakhta i Bulgan zakończyli wreszcie targowanie. Wspaniałe suubatary mierzyły w kłębie trzy razy tyle co człowiek. Miały po sześć nóg o szeroko rozpostartych palcach; takie stopy wydawały się kompletnie nie na miejscu u stworzenia, którego przeznaczeniem było przemierzanie trawiastych stepów.

Anakin zwrócił uwagę Kyakhty na ten pozorny błąd ewolucji, ale Alwari roześmiał się tylko.

– Zobaczysz, po co one są, padawanie Jedi! – Ściągnął podwójne wodze i bez trudu zawrócił swego nowego wierzchowca.

Lekkie, ale mocno wypchane siodło było przypięte pomiędzy przednimi a środkowymi łopatkami. Zagłębienie między środkowymi łopatkami a kłębem mieściło za to pokazną ilość bagażu. Pracownicy pomocnicy kupca właśnie ładowali na łagodne zwierzęta zakupione i zapłacone zapasy.

– Jedzenie, woda, sprzęt... wszystko wyliczone, pani Barrisso. – Bulgan wsunął długopalczaste, obute stopy w strzemiona zwisające po obu stronach karku suubatara, zamiast u dołu siodła. Łagodny łuk siodła wygodnie podtrzymywał jego kalekie plecy.

– *Haja!* – wykrzyknął z wyraźną radością. – Taka jazda przywodzi mi na myśl wspaniałe chwile.

Luminara dosiadła swojego wierzchowca, stosując się dokładnie do instrukcji Kyakhty. Pomimo wysokości zwierzęcia nie miała z tym żadnego kłopotu. Po pierwsze, dlatego że wierzchowiec przykleknął w oczekiwaniu na jeźdźcę, a po drugie, dlatego że jego ciało było wąskie i smukłe. Wtedy też okazało się, po co potrzebne jest siodło. Bez niego siedziałoby się wprost na rzędzie wystających kręgów.

– *Elup!* – warknął Kyakhta. Suubatar wstał, prostując trzy pary nóg po kolei: najpierw przednie, potem środkowe, wreszcie tylne. Wyjaśniło się również przeznaczenie wysokiego oparcia w tylnej części siodła. Gdyby nie ta podpora, ką, pod jakim znalazł się grzbiet zwierzęcia przy wstawaniu, spowodowałby zsunięcie się Luminary na ziemię.

Każde ze zwierząt pyszniło się własnym wzorem ciemnozielonych pasów na tle krótkiego, miękkiego futra w jasnym odcieniu brązu. Taka kombinacja kolorów pozwalała im, pomimo wielkości, wtopić się w stepowe otoczenie. Luminara spodziewała się, że suubatary to zwykłe tra-

wożerne przeżuwacze i ze zdumieniem dowiedziała się, że w istocie były wszystkożerne i mogły przetrwać dzięki wielu rodzajom pożywienia. Długie, smukłe szczęki miały nisko umieszczone stawy, co pozwalało na zaskakująco duże rozwarście paszczy; dzięki temu mogły jednym kłapinięciem pochłonąć duży owoc lub spore zwierzę. Cztery kły wystawały u góry i u dołu szczęk, sprawiając przerażające wrażenie, na przekór ich łagodnej naturze.

– Oczywiście to są osobniki udomowione – zaznaczył Bulgan, odgadując jej myśli. – Znane są przypadki, kiedy dzikie suubatory napadały i niszczyły całe karawany.

– Bardzo pocieszające. – Anakin przechylał się z jednej strony na drugą na grzbiecie cierpliwego zwierzęcia i z trudem utrzymywał równowagę. Kyakhta zauważył to i pospieszył z dobrą radą.

– Siedzisz zbyt prosto, mistrzu Anakinie. Oprzyj się o viann, oparcie siodła. Proszę, właśnie tak. Widzisz, jak naturalnie twoje stopy znajdują teraz strzemiona?

– W ogóle niewiele widzę – mruknął padawan, szamocząc się z podwójnymi wodzami.

– Sądzę, że jesteśmy dość wysoko, żeby zobaczyć to, co trzeba – zapewnił go Obi-Wan. Rozparł się w siodle, jakby się w nim urodził. – Uważaj to za kolejny nieoczekiwany epizod w twojej edukacji.

– Wolalbym raczej edukować się w najnowszym modelu śmigacza terenowego – burknął Anakin, ale Kyakhta miał rację. Im bardziej przechylał się w tył i ufał siodłu, tym swobodniej i pewniej się czuł. Może nie będzie tak źle.

Czy może zaufać temu dziwnemu, nieznanemu zwierzęciu? Suubatory z pewnością były ładnymi stworzeniami o wypukłych, nakrapianych srebrem oczach, pojedynczym, szerokim, rozdętym nozdrzu i gładkich czaszkach. Uszy wtapiały się w okrągłe głowy; w przeciwieństwie do Ansionian, nie miały grzyw. Pasiaste futro było gęste i krótkie, aby zapewnić maksymalną izolację przy minimalnym oporze powietrza. Ogony, długie do ziemi, wydawały się dość cienkie. Wszystko w tych zwierzętach wydawało się stworzone w jednym, jedynym celu.

Do pędu.

– Wszyscy gotowi? – Kyakhta bez wysiłku trzymał wodze swojego rumaka jedną ręką. Obejrzał się na towarzysza. Bulgan dał znak, że ostatnie z zapasów zostały załadowane. – No to ruszajmy na spotkanie Borokiich! – Pochylił się do przodu, klepnął wierzchowca po gładkim karku i ostro krzyknął: – *Elup!*

Suubatary wydawały się wzbijać w powietrze. W istocie po prostu puściły się galopem, według rozkazu. Luminara z zachwytem stwierdziła, że sześcionożny bieg jest wyjątkowo dobrze amortyzowany. Prawie żadnych wstrząsów i podrzutów. Oparła się w viannie siodła, zagłębiła w strzemionach zgrabne, silne nogi aż do pół łydki i obserwowała, jak miasto śmiga obok nich. Leniwi piechurzy musieli na czworakach uciekać im z drogi.

O wiele szybciej, niż się spodziewała, przemknęli pod wysokim łukiem Bramy Gowialty i znaleźli się na bitej drodze wiodącej na zachód. Kyakhta z tętentem kopyt zrównał się z nią. Chociaż zdaniem Jedi pędzili na złamanie karku, mistrzyni stwierdziła, że jego wierzchowiec nawet się nie zadyszał.

– Pani Luminaro, wygodnie pani? – Przewodnik musiał krzyknąć, żeby go usłyszała.

– To cudowne! – krzyknęła w odpowiedzi. – Jak jazda na chmurze z dramassańskiego jedwabiu!

Poza murami miasta uderzyły w nich prawie nieustannie wiejące tutaj wiatry, niezmordowanie okrążające planetę. Zimne powietrze ze świstem muskało twarz Luminary, gdy długa, wąska czaszka suubatara przecinała je niczym dziób okrętu.

Jedno spojrzenie w tył ukazało jej Barrissę wczepioną w siodło jak w deskę ratunkową i twarz Anakina, wyrażającą coś pośredniego między ponurą determinacją a młodzieńczym niepokojem. Obi-Wan Kenobi siedział dostojnie w haftowanym siodle, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i przymkniętymi oczami. Wodze przywiązał do uchwyty przy łęku. Ze zdumieniem stwierdziła, że równie dobrze mógłby siedzieć w fotelu pierwszej klasy na liniowcu gwiezdny. Znała wielu Jedi, ale żaden nie był tak opanowany w obliczu nieznanego.

– Kyakhta – zawołała do jeźdźcy, który galopował teraz równo z nią. – Dobrze, że tak szybko opuszczamy miasto, ale czy nie boisz się, że przemęczymy zwierzęta? Czy takie tempo nie znuży ich zbyt szybko?

– Przemęczyć? Znużyć? – Spojrzał na nią pytająco ze swojego siodła. Nagle go olśniło – *Ou*, pani nie rozumie. Ale to oczywiste, żadne z was nigdy wcześniej nie widziało suubatara, nie mówiąc już o dosiadananiu go. – Wysunął chude nogi ze strzemion, stanął na grzbiecie pędzącego zwierzęcia i obejrzał się za siebie, zachowując równowagę dzięki wysokiemu viannowi. – Nikt nas nie ściga, ale jestem pewien jednego: bossban Soergg nie śpi.

Usiadł z powrotem w siodle i uśmiechnął się do niej.

– Na pewno pani wygodnie?

– Czuję się, jakbym się w tym urodziła. Mówiłam już, że mi się podoba.

Odpowiedział jej ansioniańskim odpowiednikiem skinienia głową.

– A więc nie ma co marudzić. – Podniósł głos, raz jeszcze przechylił się do przodu i zawołał: – *Elup!*

Jednocześnie mocno uderzył piętami w obie przednie łopatki zwierzęcia.

– Na Moc! – wrzasnął Anakin, chwytając się na oslepek czego popadnie. Barrissa zaczęła nerwowo chichotać, gdy pęd zdarł jej z głowy kaptur, a płaszcz powiewał za nią jak płomień. Obi-Wan raczył się obuździć.

Wydawało się, że do tej pory suubatarzy jechały stępą. Na rozkaz Kyakhty rzuciły się w sześcionożny galop, a ich długopalczaste stopy zdawały się nie dotykać ziemi. Kiedy jednak już jej dotknęły, wbiły się z ogromną siłą w ubity kurz i odrzucały go w tył. Trzydzieści sześć takich sztychów napędzało każdego śmigającego nad drogą suubatara do takiej szybkości, że nawet zachwyconej, upojonej pędem Luminarze brakowało tchu.

I nic dziwnego, bo w tej chwili pędzili szybciej niż wiatr.

Daleko za nimi barwna grupka starannie dobranych zbójów, drabów i rzeźmieszków zebrała się na szczycie tej samej bramy, przez którą wyjechali Jedi i ich przewodnicy. Daleko na horyzoncie, nad niskim, łagodnym, okrytym trawą wzgórzem powoli rozpraszała się ledwie widoczna chmura kurzu. Dla Ogomora równie dobrze mogłaby to być chmura gazu trującego.

– To z pewnością oni. – Obejrzał się na potężnego Varvvana, który stał obok. – Zbierz ludzi. Jedziemy za nimi.

– Nigdy ich nie dogonimy. Słyszałeś, co mówili ludzie na rynku? Pojechali na suubatarach. Czystej krwi. – Za jego plecami inni członkowie pospiesznie zebranej bandy zaczęli mamrotać między sobą.

– Weźmiemy powietrzną ciężarówkę. Żaden suubatar nie prześcignie powietrznej ciężarówki.

– Prześcignąć nie, ale wymanewrować... – Varvvan skierował na Ogomora gałki oczne na szypułkach. – Próbowales kiedyś zapędzić w kąć Alwariego na dobrym suubatarze? Dobry sposób na szybką śmierć.

– *Batasi!* – krzyknął niecierpliwie Ogomoor. – Jak sobie życzysz. Co oprócz ciężarówki powietrznej mogłoby cię przekonać, żebyś posłuchał mojego rozkazu i ruszył za tą szóstką?

Varvvan zadumał się, pocierając oko i obserwując ostatnie smużki chmury pyłu.

– Ciężka broń – oznajmił wreszcie.

– Nie bądź durniem! – ofuknął Ogomoor najemnika. – Nawet bossban Soergg nie może użyć ciężkiej broni na Cuipernam! Są pewne granice, których nawet on... grh!

Varvvan chwycił wijącego się majordomusa za kołnierz, podniósł z ziemi i przytrzymał w tej pozycji.

– Nigdy... nie... nazywaj... mnie... durniem!

Ogomoor, świadom, że go chyba trochę poniosło, pospiesznie uspokajał najemnika.

– To tylko takie wyrażenie... nic osobistego... a teraz proszę, postaw mnie na ziemi i... może mógłbyś wciągnąć gałki oczne? Cieknie z nich.

Varvvan syknął i postawił go na ziemi. Ogomoor obciągnął płaszcz i tęsknie spojrzał w kierunku wzgórze, za którym zniknęła jego zwierzyna.

– A czym się tu przejmować? Przecież ci, którzy ich prowadzą, to bezklanowi włóczędzy! – oznajmił Varvvan, przerzucił przez ramię rusznicę, jeszcze raz syknął i odwrócił się tyłem. Jego rasa odznaczała się wyjątkową dzielnością i pomimo tego, co twierdził Ogomoor, durniami bynajmniej nie byli.

– To ty tak twierdzisz. Ale ja i moi współnicy wierzymy tylko w to, co widzimy. A widzimy czterech gości i dwóch przewodników, którzy wcale nie jeżdżą jak bezklanowi włóczędzy. – Ogomoor ruszył w kierunku schodów wiodących na ulicę. – Jeżdżą jak Alwari.

Zrozpaczony majordomus przeniósł swoją uwagę z bezużytecznych najemników na przestrzenie stepów, ciągnących się daleko poza Cuipernam. Gdzie znajdzie morderców godnych jego rozkazów? – zawył w duchu. Czy istnieje ktoś chętny podnieść broń na tych niewiarygodnych Jedi? Czy naprawdę skuteczna pomoc okaże się nieosiągalna?

A co najważniejsze, gdzie znajdzie kogoś, kto powie Soerggowi Huttowi, że Jedi i ich padawanowie znów zwiali poza zasięg jego podobnych życzeń i wpływów?

Tymczasem, ku wielkiemu zdumieniu Ogomooora, Soergg wysłuchał jego raportu spokojnie.

– Cóż, znowu za późno. Punktualność to dewiza dobrego mordercy.

– Nie byłem w stanie niczego zdziałać, bossbanie. Ci, których wynająłem, odmówili ścigania uciekających Jedi.

– Tak, tak, już mi mówiłeś. – Soergg lekceważąco machnął ręką. –
Więc mówisz, że jadą na suubatarach? Biorąc to pod uwagę, wcale się
nie dziwię, że twoi niezdarni najemnicy wykazali taki mały entuzjazm.
– Potarł potężny podbródek, aż całe cielsko zadygotało jak siarkowe
odpady w szczególnie ohydny osadniku. – Najpierw spartaczone za-
bójstwo, potem spartaczone porwanie. Jedi będą się teraz pilnować.

– I tak nie można ich wziąć z zaskoczenia – niepotrzebnie dorzucił
Ogomoor.

– Nie można, nie można... – Ogromne skośne oczy spoglądały
poprzez asystenta gdzieś w dal. – Z pewnością my nie możemy...

– Nie rozumiem, mistrzu.

Soergg nie odpowiedział. Wciąż wpatrywał się w ten odległy punkt,
snując huttańskie rozważania.

ROZDZIAŁ



Step, który pokrywał większość kontynentu ansioniańskiego nie był po prostu piękny – był wspaniały. A przynajmniej tak uważała Luminara. Barrissa zgadzała się z nią. Obi-Wanowi podobało się tutaj, ale bez przesady. Anakin oczywiście marzył, żeby być zupełnie gdzie indziej, ale powstrzymywał się przed powtarzaniem tego częściej niż raz dziennie.

– Rok temu jęczałby nad sobą mniej więcej co godzina – wyjaśnił Obi-Wan Luminarze. – To chyba znak, że dojrzewa.

Niedaleko nich Kyakhta i Bułgan rozbijali obozowisko, szykowali posiłek i herbatę. Za nimi, w oddali, sześć wspaniałych suubatarów ułożyło się do snu. Pełne wdzięku zwierzęta zwinęły nogi pod potężnymi, smukłymi tułowiami i zajęły się przeżuwaniami otaczających ich w obfitości traw i dzikich zbóż.

Stepy Ansionu nie były nieprzerwanymi polami trawy. Żółtozielone równiny przecinały tu i ówdzie rzeki, łagodnie falujące wzgórza urozmaicały monotonię terenu. Gdzieś tam porozrzucane były kępy dziwnych, splatających się ze sobą drzew i rozłożystych grzybów. Wyższe grzbiety górskie lśniły białymi jak kość śladami dawnej aktywności wulkanicznej. Dziwny to był krajobraz, niezwykła kombinacja różnych formacji geologicznych pomieszanych razem w sposób, jakiego Luminara do tej pory nie oglądała.

– Dlaczego ten dzieciak jest przez cały czas taki napięty? – spytała. Siedziała oparta o viann siodła, które przewodnicy zdjęli z grzbietu spokojnie pasącego się zwierzęcia, i w zadumie gryzła orzechowy batonik odżywczy, czekając, aż herbata się zagotuje.

Płonące pośrodku obozu ognisko odbijało się w oczach Obi-Wana.

– Anakin? Jak zwykle w takich przypadkach powodów jest wiele.

Po pierwsze, czuje się w obowiązku zawsze być najlepszym. Spowodowane to jest głównie jego trudnym dzieciństwem, tak różnym od dzieciństwa przeciętnego padawana. A poza tym tęskni za tym, czego nie ma.

– Każdy, kto chce się szkolić na Jedi, wie, że musi się wyrzec wielu rzeczy.

Twierdząco skinął głową.

– Obawia się, że już nigdy nie zobaczy swojej matki, którą bardzo kocha.

– To była straszna pomyłka. Dzieci wrażliwe na Moc są zabierane od rodzin, zanim wytworzą się te niebezpieczne, trwałe więzi. – Chwilami w głosie Luminary brzmiały tęskne nuty. – Nieraz sama się zastanawiam, co robi moja matka, nawet teraz, kiedy tu siedzimy i rozmawiamy o takich sprawach. Zastanawiam się, czy ona też tak myśli o mnie. – Odwróciła wzrok i spojrzała na ciemniejący horyzont. – A ty, Obi-Wanie? Czy nigdy nie myślisz o swoich rodzicach?

– Mam tyle innych rzeczy, o których muszę myśleć. Poza tym każdy Jedi, który dostaje pod opiekę ucznia, staje się kimś w rodzaju rodzica. Odkąd sam nim jestem, nie mam czasu myśleć o mojej rodzinie. A kiedy już takie uczucia mącą mój spokój... wtedy myślę o moich nauczycielach albo o mistrzu Qui-Gonie, a nie o własnych rodzicach. Nieraz... nieraz się zastanawiam, czy zabieranie dzieci od rodzin nie jest pewną wadą szkolenia Jedi.

– Dowód prawdy leży w powodzeniu systemu, a w to nie można wątpić.

– Tak sądzę – odparł i dodał z bladym uśmiechem: – Żaden Jedi nie jest fanatykiem, który nie może sobie pozwolić na kwestionowanie systemu, tak samo, jak wszystkiego innego.

Spojrzała w prawo, na drugą stronę obozowiska.

– Twój Anakin ma z pewnością wiele wad, ale niechęć do kwestionowania wszystkiego na pewno nie jest jedną z nich. Jak sądzisz, czy zobaczy kiedyś znowu swoją matkę? – zapytała w zadumie.

– A któż może wiedzieć? Gdyby to od niego zależało, na pewno by do niej wrócił. Ale on nie ma na to żadnego wpływu, tak samo jak ja nie mam wpływu na to, gdzie za chwilę wyruszę. Jedziemy tam, gdzie wysłała nas rada. Lepiej zadawać te pytania mistrzowi Yodzie niż mnie. – Znow uśmiechnął się nieśmiało. – Spytaj jego, czy i on myśli o swych rodzicach.

Musiała się roześmiać.

– Rodzice mistrza Yody? No, teraz rzeczywiście zaczynamy opowiadać o historii starożytnej. – Po chwili znów spoważniała. – Zdaje się, że mistrz Yoda ma ostatnio na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Uśmiechnął się blade.

– Jak zawsze. A przede wszystkim ten fermentujący ruch secesjonistyczny. Zmienne, nieprzewidywalne sojusze wewnątrz samego senatu. A co do Anakina, oprócz matki martwią go jeszcze inne sprawy. Czuję ten zamęt, który w nim wrze. Ale kiedy poruszam ten temat, on twierdzi, że żadne niepokoje nigdy nie istniały. Dziwne, jak chętnie kwestionuje każdą prawdę z wyjątkiem swoich własnych niepewności.

Luminara westchnęła i podniosła samoogrzewający się kubek gorącej ansioniańskiej herbaty, czarnej, słodkiej, z wyraźnym posmakiem otwartych przestrzeni. Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, że na tej planecie wszystko pachnie stepem.

– Czy uważasz, że przy takim braku wiary we własne siły zdoła kiedykolwiek stać się prawdziwym rycerzem Jedi?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale obiecałem mistrzowi Qui-Gonowi, że zrobię wszystko, aby tak się stało. Nawet w obliczu rady sprzeczałem się o to z mistrzem Yodą. Tak, mam swoje wątpliwości. Ale obietnica to obietnica. Jeśli Anakin zdoła pokonać swoje wewnętrzne demony, będzie z niego wspaniały Jedi, a osąd mistrza Qui-Gona znajdzie swoje potwierdzenie.

– A ty? Jaki jest twój osąd, Obi-Wanie?

– Staram się nie sądzić. – Wstał i otrzepał szatę. – Anakin wie, że ma problemy. Uczę go, doradzam, oferuję współczucie i chętnie ucho. Ale ostatecznie tylko Anakin może zdecydować, kim Anakin zostanie. Sądzę, że o tym wie, ale nie chce tego zaakceptować. Chce, żebym to ja albo ktokolwiek inny, załatwił to za niego, począwszy od sytuacji z jego matką, a na sytuacji galaktyki skończywszy. – Uśmiechnął się nieco weselej. – Sama zresztą chyba zauważyłaś, że potrafi być uparty, kiedy czegoś bardzo pragnie.

– Wolę używać terminu „zdecydowany”. – Odsunęła kubek od ust. Para unosząca się z naczyń wężowymi smugami wiła się przed jej twarzą, rozmazując wyraźne kontury tatuaży na podbródku. – Co stanowi największy problem? Jego matka? Swobodny tryb edukacji?

– Gdybym to wiedział, próbowałbym temu zaradzić. Sądzę, że to jest ukryte znacznie głębiej. Tak głęboko, że chyba sam sobie tego nie uświadamia. Pewnego dnia to wyjdzie na wierzch. A kiedy to się stanie, mam przeczucie, że czekają nas bardzo interesujące chwile.

– Czy to uczucie emanuje z Mocy? – zawołała w ślad za nim.

– Nie. – Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął. – To uczucie, które emanuje z Obi-Wana Kenobiego.

Mistrzynie była sama tylko przez chwilę. Barrissa z własnym kubkiem przysiadła obok. Spojrzeniem odprowadziła oddalającego się Jedi.

– O czym rozmawiałaś z Obi-Wanem, pani?

Luminara znów oparła się o wygodny, miękki łuk vianna. Po drugiej stronie obozu jeden z suubatarów zaczął wyc do półksiężyców, wiszących na niebie jak kolczyki skradzione królowej po abdykacji.

– O niczym ważnym dla ciebie, moja droga.

Barrissa nie była zadowolona z tej odpowiedzi, ale zrozumiała, że nie powinna pytać dalej. Odchyliła głowę w tył i zapatrzyła się w nocne niebo, migoczące odległymi, jaskrawymi gwiazdami, niezmacone chmurami i zepsuciem. W przeciwieństwie do starzejącej się, walącej w gruzy Republiki, pomyślała z goryczą.

– Tyle gwiazd, pani, tyle planet. A na wielu z nich istoty rozumne, kultura, ideologie. Niektóre należą do Republiki, inne nie, jeszcze inne nie zostały dotąd zbadane ani nawet odkryte. Bardzo chciałabym odwiedzić jak najwięcej z nich. – Padawanka spojrzała w oczy starszej kobiecie. – To jeden z powodów, dla którego cieszę się, że jestem Jedi.

Luminara roześmiała się. Jej śmiech nie był miękki i subtelny, jak należałoby sądzić, lecz zaskakująco głośny.

Barrissa spoważniała.

– Czy jesteś samotna, pani Luminaro?

Pomalowane na ciemno wargi kobiety cmokały cichutko, kiedy popijała mocną, orzeźwiająca herbatę. Cóż, urocza, ale wścibska Barrissa nie należała do osób, które ukrywają ciekawość za zasłoną fałszywej delikatności.

– Wszyscy Jedi są samotni w większym czy mniejszym stopniu, padawanko. Wkrótce sama się o tym przekonasz. Różnice polegają właśnie na stopniu. Są tacy, którym bardziej odpowiada ascetyczny tryb życia, innym mniej. W ramach zasad istnieje pewna elastyczność. Musisz ją po prostu znaleźć.

Barrissa spojrzała na drugą stronę ogniska.

– Czy to właśnie próbuje zrobić Anakin? Znaleźć tę elastyczność?

Jaka ona wrażliwa, zachwyciła się Luminara. Jej padawanka będzie kiedyś wyjątkową uzdrowicielką.

– Z pewnością czegoś poszukuje. Może odpowiedzi na pytania, których sam jeszcze nie zadał. Zobaczmy, czy znajdzie ich tyle, aby poczuł się szczęśliwy. Rozmawiałam o nim z Obi-Wanem. On też nie jest pewien. Wie tylko, że jego padawan ma ogromny potencjał.

Barrissa wstała.

– Jeśli potencjał pozostaje niezrealizowany, to równie dobrze mogłoby go nie być.

Ze swojego wygodnego siedziska Luminara spoglądała w noc.

– Nie bądź taka szybka w osądach, Barrisso. Niektórzy z nas bardziej cierpią od niepewności niż inni. W walce mogłabym mieć u boku Anakina Skywalkera tak samo, jak każdego innego znanego mi padawana.

– W walce tak, pani, ale w innych sytuacjach... – Padawanka pozostawiła tę myśl bez zakończenia, obróciła się na pięcie i powędrowała na swoje posłanie.

Luminara obserwowała, jak młoda kobieta udaje się na spoczynek. Czy i ona bywała kiedyś taka niespokojna, taka niepewna? Znów odchyliła się w tył i zapatrzyła w gwiazdy. Rzeczywiście, tyle ich jest, dumala, przypominając sobie słowa padawanki. Każdy system ma własne problemy, każda istota żyje swoimi nadziejami i lękami, triumfami i cierpieniami. Nawet teraz dziesiątki, setki, tysiące rozumnych istot leżą może tak, jak ona pod gołym niebem, i obserwują gwiazdy. Zastanawiają się, czy i inni czują to samo co oni i patrzą poprzez lata świetlne w poszukiwaniu rozwiązania. Nadziei.

Wysączyła resztkę herbaty i odstawiła kubek. Praca Jedi nigdy się nie kończy, nieważne, czy chodzi o wbicie rozumu do głowy upartym radom planetarnym, takim jak Unia Ansionu, w walce o utrzymanie jedności Republiki, czy o doradzanie pojedynczym zbłąkanym duszom. Wystarczy pracy dla każdego. Ona potrafi poradzić sobie z trudnościami. Podobnie jak Obi-Wan Kenobi. Pewnego dnia to samo będzie można powiedzieć o Barrissie Offee. A co z Anakinem Skywalkerem? Na to pytanie odpowie przyszłość.

Potencjał, powiedziała Barrissa. Czy istnieje jakiegokolwiek inne słowo tak brzemiennie w konflikty? A przyszłe szczęście Anakina – czy gdziekolwiek zostało zapisane, że będzie szczęśliwy jako przykładowy Jedi? Zadowolony, tak. Pogodzony, z pewnością. Ale „szczęśliwy”? Czy ja jestem szczęśliwa?

Zajmij się swoim zadaniem, powiedziała sobie stanowczo. A to zadanie nie polegało na zaspokojeniu ciekawości jej uczennicy ani na zrozumieniu skomplikowanego padawana, Anakina Skywalkera; nawet nie na wspieraniu celów i ideałów Republiki. Nie, jej zadaniem było teraz dobrze odpocząć przez noc, mimo braku wygodnego łóżka. Odwróciła się na bok, podciągnęła pod brodę termoczuły koc, przymknęła oczy i pogrążyła się w głębokim, uspokajającym śnie, gdzie nawet Jedi może

przez krótką chwilę swobodnie odłożyć na bok wszystkie swoje zadania.

Majordomus był pod wrażeniem, choć nie całkiem przekonany. Plan bossbana wydawał się dość sprytny, ale nie gwarantował powodzenia. Mimo to podziwiał niektóre jego rozwiązania i wyraził to na głos, zachowując dla siebie uwagi krytyczne. Plan polegał na wykorzystaniu w praktyce pewnych utartych opinii o nomadach. A jedyne, co Ogomoor wiedział na pewno o nomadach, to że z nomadami nigdy nic nie wiadomo na pewno.

Jednak plan nie wymagał od niego nadstawiania własnego karku, a ten akurat aspekt budził jego szczery, choć milczący zachwyt. Postanowił natychmiast wprowadzić go w życie. Istniało spore niebezpieczeństwo, że wszystko spali na panewce, ponieważ polegali wyłącznie na radach innych. Skoro jednak Soergg zdawał się ufać ich opiniom, Ogomoor nie miał innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na to samo.

Jeśli jednak się uda, to, oczywiście, bossban osiągnie wszystko, czego chciał, samemu niczym nie ryzykując. I na tym polegało piękno tego planu. Co więcej, kiedy prawda wyjdzie na jaw, dokona się jeszcze głębszy podział między mieszkańcami miast unii a nomadami ze stepów. A wtedy nic i nikt nie będzie w stanie powstrzymać Ansionu przed odłączeniem się od Republiki, wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami, do których bossban tak skwapliwie zamierzał się przyłożyć.

Przy odrobinie szczęścia, jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowano, osiągną pożądane wyniki za tydzień lub dwa.

Woda była szeroka, głęboka i czysta, a prąd nie stanowił zagrożenia dla Luminary. Siedzący na wierzchołku obok niej Kyakhta pozwolił, aby zwierzę ze znacznej wysokości opuściło głowę ku ziemi i pochwytiło kilka źdźbeł cętkowanej trawy zeka, a przy okazji ze dwa gryzoniowate koleaki. Odgłos miażdżenia ich kruchych kości w potężnych szczękach tworzył oryginalne tło dla słów przewodnika.

– Rzeka Torosogt – oznajmił dumnie Kyakhta. – Dotarliśmy w dobrym czasie. Po jej przebyciu znajdziemy się naprawdę w królestwie Alwarich. Od tego miejsca nie ma już miast. I nie ma wszędobylskiej, aroganckiej unii.

– Kiedy dotrzemy do Borokiich? – zapytała mistrzyni.

Czarne źrenice spojrzały na nią z ciemnych oczodołów.

– Trudno powiedzieć. Mają swoje stałe pastwiska, ale podobnie jak każdy inny klan, Borokii są zawsze w ruchu.

– Szkoda, że nie możemy ich zlokalizować przy użyciu robota szpesczacza i oznaczyć latającym układem śledzącym – zauważył Anakin zza ich pleców.

Kyakhta błysnął ostrymi zębami w kierunku padawana.

– Alwari postanowili zachować wiele starych obyczajów, ale zawsze chętnie korzystają z nowych wynalazków, które nie pozostają w sprzeczności z tradycją. Ponieważ zawsze mieli broń, chętnie widzą wszelkie nowości w tej dziedzinie. I użyją ich natychmiast, aby zestrzelić wszelkie urządzenia monitorujące, jakie się na nich naśle.

Anakin przyjął to wyjaśnienie bez dyskusji.

Kiedy ja wreszcie nauczę się widzieć dalej niż to, co oczywiste? – zgañił się w myśli. Chociaż talent ten był wspaniałą zaletą u pilota ściagacza, niekoniecznie pomagał w zostaniu Jedi.

Grupa znów ruszyła przed siebie. Wierzchowiec Kyakhty wypluwał po drodze drobne kostki.

– Widzisz teraz, jaki problem mają emisariusze unii. Jak mogą podpisywać traktaty i prowadzić handel z Alwarimi, jeśli klany nie pozostają w jednym miejscu nawet na tyle długo, żeby z nimi porozmawiać? A jednak są to te same tradycyjne prawa, których broni Republika. Nic dziwnego, że miasta rozważają porozumienie, aby wspólnie dołączyć do ruchu secesjonistów. Jeśli uda im się oderwać Ansion od Republiki, będą mogli załatwić się z Alwarimi według własnego widzimisie.

– A jednak Alwari uważają, że my możemy reprezentować roszczenia unii – odparła Luminara.

Kyakhta spojrział na nią z inteligencją, o którą trudno by go było podejrzewać przed uzdrowicielskimi zabiegami Barrissy.

– Czy wasze główne zadanie polega na utrzymaniu Ansionu w Republice?

– Oczywiście – odparła bez wahania.

– A zatem Alwari mają prawo kwestionować sposoby, których możecie użyć w tym celu. Wiedzą, że oni i ich interesy nie stanowią dla was priorytetu.

– Tak samo jak delegaci unii – westchnęła ze znużeniem. – Wiesz, Kyakhto? Obie strony żywią takie same podejrzania co do naszych motywów. Nie jest to co prawda solidny fundament dla wzajemnego porozumienia, ale dobre i to na początek.

Skarpa prowadząca nad brzeg rzeki nie była dość stroma, aby spowolnić pełzającego niemowlaka, a co dopiero potężne suubatary. Grupa zatrzymała się na brzegu, a Kyakhta i Balkan rozejrzeli się, szukając najlepszego miejsca do przeprawy. Wreszcie Bulgan ruszył pierwszy, a Kyakhta nakazał swoim podopiecznym czekać.

Torosogt jest głęboka, ale Bulgan uznał, że znalazł piaskową mieliznę dość płytką, aby suubatary dały radę przejść większą część drogi. Dalej popłyną.

Luminara pochyliła się naprzód w siodle.

– Zdaje się, że wszystkim przyda się kąpiel.

– Nie, nie – uśmiechnięty Kyakhta pospieszył wyjaśnić nieporozumienie. – My nie będziemy pływać. Suubatary nas poniosą. – Nie zważając na odległość od ziemi, wychylił się, żeby pokazać środkowe nogi zwierzęcia. – Widzi pani, futro suubatara jest krótkie, ale porasta go aż do samych stóp i nawet między palcami. Przy sześciu nogach i długich palcach są świetnymi pływakami.

Luminara musiała przyznać, że myśl o pływających suubatarach jaśkoś nie przysła jej do głowy. Jak słusznie zauważył Kyakhta, sześć pracujących łap to wystarczający napęd.

Miała czas, aby zaakceptować ten obraz, gdy Bulgan pokonywał rzeckę. W pół drogi przystanął, obrócił się w siodle i zamachał. Do tej pory, pomimo wysokiego siodła, woda sięgała mu do kolan. Luminara zaczęła się zastanawiać, jak głęboka jest rzeka po obu stronach „płytkiej” mielizny. Rzucając wierzchowcowi prawidłowo akcentowane „*elup!*” ruszyła naprzód i stwierdziła, że pędzi u boku Kyakhty.

Woda wznosiła się powoli, aż dotarła do jej stóp w strzemionach. Jej wierzchowiec był nieco wyższy niż suubatar Bulgana, więc pozostała sucha. Barrissa i Anakin nie mieli tyle szczęścia. Słyszała, jak narzekają za jej plecami. Obi-Wan, kiedy woda dosięgła mu do stóp, zwyczajnie wysunął je ze strzemion i skrzyżował na siodle. Każdy, widząc to, uznałby, że Jedi jeździł na suubatarach od dziecka.

Bulgan czekał, aż do niego dołączy, zanim ruszył dalej. Luminara odniosła najpierw wrażenie, że spada, potem, że się szybko wynurza i nagle zdała sobie sprawę, że już nie idą po dnie. Ruch w wodzie odbywał się jeszcze płynniej niż zdumiewający galop. Zwierzęta bez wysiłku wiosłowały do przodu, utrzymując długie, wąskie głowy tuż nad powierzchnią. Nie oznaczało to, że nie czuły zmęczenia. Parskały pojedynczym, szerokim nozdrzem.

Woda pluskająca o buty i łydki mistrzyni była lodowata. Spojrzała w dół i spostrzegła gromadkę smukłych, wielonożnych zwierząt,

płynących na fali ciągnącej się w ślad za jej wierzchowcem. Długie na palec, ziemnowodne stworzonka złożyły długie odnóża płasko wzdłuż boków, żeby oszczędzać energię.

Skoncentrowała uwagę na przeciwnym brzegu, kiedy nagle wierzchowiec Bulgana ostro odbił w prawo. Obaj Alwari zakleli jednocześnie, choć różnymi słowami, i wyciągnęli broń. Dłoń Luminary automatycznie powędrowała do miecza świetlnego, ale choć wyteżała wzrok, nie widziała żadnego napastnika.

W tym momencie coś mocno uderzyło w bok jej własnego suubantara. Gdyby nie to, że stopy miała mocno wciśnięte w strzemiona, z pewnością wyrzuciłoby ją z siodła wprost do wody. Skoncentrowała się na tym, co działo się wokół niej, usłyszała krzyk Kyakhty, ostrzegający przed gairkami. Ciekawe, co to jest gairk.

Jej ciekawość została skutecznie zaspokojona, kiedy przyszczaty, bezkształtny, oliwkowzielony pysk wychynał z wody o wiele za blisko jej lewej stopy.

Pełna guzów i wyrostków paszcza gairka nie była podobna do żadnego stworzenia, jakie zdarzyło jej się oglądać. Grube wałki warg zdawały się wędrować po całej kostropatej asymetrycznej mordzie. Nad nimi sterczała para wielkich, wypukłych, zielonoszarych ślepiów. Luminara wysoko wzniesionym mieczem świetlnym zaatakowała wodne paskudztwo, ale stwór zanurkował pod powierzchnię, zanim cios zdołał go osiągnąć. Drugi odrażający zwierz wynurzył się o kilka metrów dalej.

Mistrzynie Jedi czuła, że pogrąża się w rosnącym zamęciu. Szum mieczy świetlnych Jedi, ryk wierzgających i kłapiących paszczami suubatarów, okrzyki jej towarzyszy i grzechot świeżo nabytych miotaczy przewodników powodowały ogłuszający hałas. Wiedziała, że powinna się bardziej bać, a przynajmniej czuć większy niepokój.

Co prawda, o ile mogła stwierdzić, gairk nie miał zębów.

Jeśli więc stworzy nie były mięsożerne, po co atakowały przeprawiającą się grupę? Może stosowały jakiś inny, mniej widoczny sposób chwytania i pożerania ofiary? Gdy wierzchowiec Luminary wspiął się, aby obu szponiastymi przednimi łapami zaatakować gairka, który zaplątał się w jego pobliże, stwierdziła, że pysk wodnego potwora jest dość wielki, aby w całości połknąć człowieka. Wciąż jednak nie widziała zębów czy ostrych pazurów, a nawet trujących kolców. A jednak Kyakhta i Bulgan traktowali je tak, jakby całe składały się z kłów i szponów.

Wtedy usłyszała krzyk. Odwróciła się w siodle, zapominając o własnym bezpieczeństwie, i spojrzała na suubantara Barrissy. Wciąż był za

nią, utrzymywał mniej więcej tę samą odległość, co na początku przeprawy.

Z jedną różnicą.

Wysokie siodło zwierzęcia było puste.

Barrissa wypłynęła niedaleko, doskonale widoczna we wzburzonych falach, bo wywijiała włączonym mieczem świetlnym. Kyakhta kłął siarczyście. Luminara spostrzegła, że jej padawanka spływa w dół rzeki szybciej, niż mógł to powodować prąd. Powiedziała o tym Bulganowi.

– To gairki! – wykrzyknął zrozpaczony Alwari. – Porywają ją!

Luminara skrzywiła się.

– Jak to porywają? Czym? Przecież nie mają łap...

Zamiast tłumaczyć, przewodnik po prostu otworzył usta i uformował je w wielkie, przepaściste O. Luminara poczuła, że przebiega ją dreszcz zimniejszy niż woda w rzece. Zrozumiała.

W tej samej sekundzie, kiedy Barrissa, zrzucona z wierzchowca, zaczęła płynąć w dół rzeki, Anakin skoczył za nią. Nie zastanawiał się nad tym, co robi. Zadziałał całkowicie odruchowo. Wiedział, że gdyby sytuacja się odwróciła, teraz to Barrissa płynęłaby ze wszystkich sił, żeby go dogonić. Kiedy stwierdził, że dziewczyna zbyt szybko oddała się od niego, podwoił wysiłki. Był świetnym pływakiem. Polubił ten sport, kiedy przez długie zimowe miesiące musiał przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. Wkrótce znalazł się w zasięgu głosu padawanki.

– W porządku? – zawołał do niej. – Jak się czujesz, Barrisso?

– Mokra – odkrzyknęła. – Bardzo... мокро!

– Możesz płynąć ze mną do brzegu? – Wskazał jej miejsce, gdzie zebrał się pozostali.

– Obawiam się, że nie – odparła. – To mnie wciąga.

Widząc jego osłupiałą minę, wolną ręką pokazała w dół.

– Mówię dosłownie.

Zaczerpnął tchu i zanurkował. Kryształowo czysta woda nie zakłócała widoczności. Ujrzał wierzgające nogi Barrissy, a poniżej pojedynczego gairka, z gębą otwartą na całą szerokość i rozdętymi skrzelami. Wciągał wodę równym strumieniem, wypuszczając ją skrzelami i w ten sposób równomiernie zasysał dziewczynę w dół rzeki. Anakin wyskoczył na powierzchnię i machnął ręką.

– Trzymaj się, zajmę się tym.

Znów zaczerpnął tchu i zanurkował. Popłynął ku stworowi, zręcznie wymijając po drodze nogi Barrissy.

Gairk nie próbował uciekać. Widocznie nie musiał, bo Anakin nagle stwierdził, że coś go pochwyciło. Obejrzał się i stwierdził, że aż trzy takie istoty zajęły pozycję za jego plecami. Każda z trzech paszczy była zupełnie inaczej ukształtowana, ale kiedy stwory złożyły głowy razem, ich szczęki pasowały do siebie jak elementy układanki. Teraz wspólnie zasysały młodego padawana. Wkrótce dołączył czwarty. Anakin poczuł, że cztery połączone pyski ściągają go ku sobie z niepokonaną siłą. Teraz dopiero, tak jak przedtem Luminara, stwierdził, że nie mają zębów. Nie musiały. Samym ssaniem dosłownie wchłaniały swoją ofiarę.

Ich metoda była nieskomplikowana. Ściągały podróżnych z niejadalnych wierzchowców takich, jak suubatary, wsysały pod wodę i odciągały od ewentualnej pomocy, a następnie przetrwایwały w spokoju. Tyle tylko, że Anakin i Barrissa nie byli bezradnymi trawożercami. Brak powietrza wkrótce stał się nie do zniesienia. Padawan wierzgał z całych sił, ale nie mógł się uwolnić z mocy poczwórnego ssania. Co tak często powtarzał Obi-Wan? Jeśli nie możesz stawić czoła burzy, daj się jej unieść.

Anakin odwrócił się i ruszył prosto na napastników. Ciemne paszcze rozwarły się w oczekiwaniu. Brak tlenu sprawiał, że widział jak przez mgłę, ale podплыnął dość blisko, aby uderzyć mieczem. Cztery połączone gairki rozpierzchnęły się pod ciosem, a siła działająca na jego ciało znikła. Resztkami sił wyplynął na powierzchnię i z jękiem wdzięczności zaczerpnął świeżego powietrza. Obok ujrzał Barrissę, która zamiast do brzegu plynęła w jego stronę.

– W porządku? – zapytała. Wydawała się zdumiewająco opanowana.

– Spieszyłem ci na ratunek – wychrypiał, ocierając wodę z twarzy. – Byłem już blisko...

– Doceniam twój gest – odparła uprzejmie, nie przestając płynąć. – Ale naprawdę nic mi nie groziło.

Wiedząc, że mistrzowie i przewodnicy obserwują ich z brzegu, wykrztusił pierwszą odpowiedź, która mu przysłała do głowy.

– Wyglądało to zupełnie odwrotnie. Ciągnęło cię w dół rzeki.

– Wiem. Musiałam poczekać, aż zdołam odwrócić się w wodzie i zaatakować gairka. – Patrzyła mu ostro w oczy, kiedy wyłączała i zabezpieczała miecz świetlny. – Mogłeś zostać na swoim suubatarze. Słyszałeś, żebym wzywała pomocy? Prosiłam cię, żebyś mnie ratował?

– Rozumiem – warknął Anakin. – Obiecuję ci, że to się więcej nie powtórzy.

Ruszył wściekły w kierunku brzegu.

Bez trudu dotrzymywała mu tempa.

– Nie zrozum mnie źle, Anakinie. To był piękny gest, doceniam, że ryzykowałeś dla mnie życie – roześmiała się cicho i delikatnie. – Nie wspominając o przemoknięciu do suchej nitki.

– No, to mi się naprawdę udało – powiedział spokojnie. – Dobrze pływasz.

Roześmiała się znowu.

– Moc jest ze mną. Ściągajmy się do brzegu.

– A masz tyle... – Zanim zdążył dodać „siły”, wystrzeliła naprzód jak węgorz. Byłby ją dogonił, ale dotknęła piasku plaży o sekundę wcześniej.

– Nooo, ładnie wyglądacie razem, wy dwoje. – Luminara stała nad nimi z rękami na biodrach. – Barrisso, co się stało?

Barrissa odwróciła wzrok.

– To moja wina. Przechyliłam się zanedo na jedną stronę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, straciłam równowagę i wpadłam do wody. A potem coś zaczęło mnie wciągać i zasysać w dół. Zauważyłam, że to jakieś wodne stworzenia, ale spadając z siodła, zaplątałam się w płaszcz i miałam sporo kłopotów, żeby się od niego uwolnić i dotrzeć do miecza świetlnego.

– Doskonale się spisałaś, padawanko – pochwalił ją Obi-Wan. Zwrócił uwagę na drugiego ucznia. – A ty co powiesz, Anakinie?

Wyższy padawan szurnął nogą ruchem, który jego matka rozpoznaby natychmiast, i wymamrotał niechętnie:

– Chciałem tylko pomóc. Kiedy do niej dotarłem, okazało się, że nie potrzebuje mojej pomocy. Ale z początku o tym nie wiedziałem. – Spojrzał w górę, w oczy mistrza. – Mogłem polegać jedynie na moich zmysłach, a one podpowiadały mi, że wpadła do wody i ma kłopoty. Przykro mi, jeśli zrobiłem coś niewłaściwego albo pogwałciłem jakąś kolejną tajemniczą zasadę Jedi.

Obi-Wan długą chwilę milczał z kamienną twarzą, aż wreszcie uśmiechnął się szeroko.

– Nie pogwałciłeś żadnych zasad, padawanie... zrobiłeś dokładnie to, co powinieneś. Nie miałeś możliwości sprawdzić, w jakim stanie jest twoja koleżanka. W takich okolicznościach zawsze najbezpieczniej jest przyjąć, że może potrzebować pomocy. Lepiej, żeby cię zbeształ żywy przyjaciel, niż wybaczył martwy.

Przez krótką chwilę Anakin wyglądał na zbitego z tropu. Komplementary od Obi-Wana były równie rzadkie jak kryształowe lodowe na

Tatooine. Kiedy zdał sobie sprawę, że mistrz powiedział to serio, a Barrissa i Luminara uśmiechają się do niego zachęcająco, odetchnął. W każdym razie nie miał wielkiego wyboru. Trudno zachować dumną postawę, kiedy się ocieka wodą. Mokre ubranie oblepiające drżące z zimna ciało jest zabójcze dla poczucia godności człowieka.

– Chciałem tylko pomóc – wymruczał. Nie zdawał sobie sprawy, że to jego mantra od dzieciństwa.

– Możesz teraz pomóc sobie – wtrącił Obi-Wan – ściągając te mokre rzeczy i przebierając się w suche.

Odwrócił się i spojrzął na linię falujących traw, która podchodziła aż do brzegu.

– Po tej stronie rzeki wiatr nie jest wcale cieplejszy niż po tamtej, a ja wolałbym, żebyś się nie rozchorował.

– Postaram się, mistrzu.

– To dobrze. – Obi-Wan zmrużył oczy, wpatrując się w bezchmurne niebo. – Nie mamy czasu, żeby chorować, niezależnie od tego, jak pouczające było samo doświadczenie.

Anakin i Barrissa zdjęli przemoczone ubrania i suszyli się na słońcu, a ich mistrzowie rozpakowywali swoje osobiste bagaże. Przewodnicy zajmowali się ciepłymi suubatarami i obserwowali gości z czysto akademickim zainteresowaniem

– *Haja* – mruknął Bulgan. – Popatrz no na nich. Nie mają nawet przyzwoitych grzyw, tylko trochę futra na czubku głowy.

– Ani porządných zębów – dodał Kyakhta. – Tylko te krótkie, płaskie białe kostki.

Bulgan pogładził po pysku odpoczywającego suubatarę, który parsknął zadowolony i mocniej przycisnął nozdrze do pieszczotliwej dłoni przewodnika.

– Widziałeś ich palce. Za krótkie do jakiegokolwiek porządnej roboty. A palce u nóg... zupełnie bezużyteczne!

– I mają ich o wiele za dużo – zauważył Kyakhta. – Pięć na każdej nodze... prawie tyle, co suubatar! Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że są spokrewnieni raczej ze zwierzętami niż z istotami myślącymi. – Pokręcił głową osadzoną pod dziwnym kątem. – Aż smutno się robi na widok takich zniekształceń.

Bulgan pociągnął pojedynczym nozdrzem.

– Może to i dobrze. Najwyżsi z Borokiich będą się nad nimi litować. A litość to zawsze dobry punkt startowy do rozpoczęcia negocjacji.

Jego towarzysz nie był aż tak tego pewny.

– Może i tak, a może uznają ich za bluźnierstwo przeciwko naturze i każą pozabijać.

– Lepiej niech niczego podobnego nie próbują! – Bulgan nadął się z oburzenia, mrugając jedynym okiem. – Mamy dług wobec tych gości, a przynajmniej wobec tej, która ma na imię Barrissa, za to, że zwróciła nam zdrowie umysłów.

– Nie wspominając o drobnym fakcie – dodał Kyakhta, pocierając miejsce, gdzie sztuczne ramię łączyło się z żywą tkanką – że jeśli zbyt wcześnie zginą, nie dostaniemy zapłaty.

Obserwując obcych jednym okiem, zastanawiał się, czy mają dość czasu, żeby pokopać trochę w piasku w poszukiwaniu małży vaoloi. Duszone vaoloi byłyby wspaniałym dodatkiem do kolacji.

Bulgan poprawił opaskę na oku.

– Wolałbym poświęcić całą naszą zapłatę niż życie jednego przyjaciela – burknął.

Ciężkie powieki Kyakhty opadły do połowy.

– Bulgan, przyjacielu, może Barrissa nie do końca cię wyleczyła tymi metodami Jedi. Może przydałaby ci się jeszcze jedna sesja.

– Nieważne. – Bulgan poklepał po szyi suubatara, którego do tej pory głąskał, zdjął wodze i poprowadził zwierzę w kierunku najlepszej trawy. – Nikt w tej wyprawie nie zginie. Podróżujemy z rycerzami Jedi.

– Temu nie można zaprzeczyć. – Kyakhta nawet teraz, kiedy wypowiadał te słowa, myślał o tym, jak łatwo istota imieniem Barrissa dała się zrzucić do wody agresywnemu gairkowi. Doszedł do wniosku, że nie wie, na ile odporni i twardzi są obcy, którym służył za przewodnika.

– Wiesz, oni wyjechali.

Ogomoor rozsiadł się w fotelu w pięknym, kosztownie urządzonej iumeblowanym apartamencie, odpowiednim na dłuższy pobyt gościa-dygnitarza. Jego obecny właściciel nalał sobie do wysokiej szklanki czegoś zimnego w kolorze lawendy. Ogomoor wzdrygnął się wewnętrznie. Cóż za niezrozumiałe zбочzenie to zamiłowanie ludzi do lodowatych napojów.

Członek delegacji unii znacząco uniósł butelkę.

– Może szklaneczkę? Dobry rocznik, porządnie sfermentowany.

Ogomoor uśmiechnął się na ludzką modłę i uprzejmie odmówił. Czuł zimno promieniujące z butelki nawet z miejsca, gdzie siedział.

Człowiek wzruszył ramionami, odstawił butelkę, uniósł szklankę i wypił. Ogomoor poczuł, jak jego wnętrzności kurczą się współczująco.

– Wiem, że wyjechali. Wszyscy wiemy. Udali się do Alwarich, aby próbować ugody. Jak sądzisz, mają szanse?

– Myślę, że to tak, jakby już nie żyli. Nie ma ich od wielu dni. Ani żadnych wieści. – Poprawił się w niewygodnym ludzkim fotelu, w którym nie przewidziano miejsca na jego krótki ogon.

– Jedi już tacy są, że nie otwierają ust, dopóki nie mają do powiedzenia czegoś ważnego. Skoro już o tym mowa... – dodał, siadając na kanapie obok. – Po co przyszedłeś?

– W sprawie przyspieszenia decyzji, która zaważy na przyszłości Ansionu. Na mojej przyszłości. Twojej przyszłości. Przyszłości każdego obywatela.

Delegat ludzi powoli sączył napój.

– Mów dalej.

Ogomoor pochylił się do przodu, czując ulgę, gdy ogon sprężyste wysunął mu się spod pośladków.

– Rada Unii miała właśnie poddać pod głosowanie, czy odłączyć się od Republiki, czy nie, kiedy przybyli ci Jedi z innej planety.

– Wiem. – Mężczyzna nie był zadowolony, a to już dobry znak, uznał Ogomoor. – Tak właśnie działa senat. Zawsze wysłał Jedi, kiedy ich dyrektywy są ignorowane. Dobrze tak Ansionianom. Chyba powinni się już tego spodziewać.

– Jedi nie mają nic wspólnego z Ansionem – zaprotestował Ogomoor. – Wszystkie rasy tego świata, osadnicy i tubylcy, zawsze żyli i działali niezależnie, i bronili własnych interesów.

Delegat uniósł szklankę w parodii toastu.

– Za Republikę, której część wciąż stanowimy. Przykro mi, Ogomoorze, ale nasza niezależność nie sięga dalej.

– Jeśli się odłączymy, będzie inaczej. Inni do nas dołączą.

– Tak – westchnął człowiek. – Czytałem adnotacje drobnym drukiem na traktatach. To dzięki nim jesteśmy ważniejsi, niż się wydaje. Stąd to zainteresowanie Jedi.

– Jak zamierzasz głosować? – Ogomoor starał się nie okazywać zbyt dużego zainteresowania.

Delegat nie dał się jednak oszukać.

– Chciałbyś wiedzieć, co? Ty i twój pan Hutt, i jego wspólnicy w handlu galaktycznym.

– Bossban Soergg istotnie ma wielu przyjaciół. – Oczy Ansioniana zatrzymały się na twarzy człowieka. – Nie wszyscy są partnerami w interesach.

Wyraz twarzy delegata, do tej pory dość uprzejmy, zmienił się na złośliwy.

– Czyżbyś mi groził, Ogomoorze? Ty i ten przerośnięty ślimak, którego nazywasz szefem?

– Wcale nie – szybko odparł gość. – Przeciwnie, jestem tu, aby okazać ci uszanowanie, moje i mojego bossbana... i jego wspólników. Jako rezydenci Ansionu, wszyscy troszczymy się o przyszłość naszego świata. – Uśmiechnął się. – Jeśli nawet przybyło tu paru Jedi, to jeszcze nie oznacza, że wszyscy musimy być tym zachwyceni.

Człowiek zmrużył oczy.

– Do czego zmierzasz?

Ogomoor niedbale machnął ręką.

– Dlaczego unia miałaby z założonymi rękami, czekać na powrót Jedi? A jeżeli w ogóle nie wrócą ze stepów? Pojechali wpłynąć na Alwarich. A co, jeśli to Alwari wywrą wpływ na nich?

Wyraz twarzy człowieka zdradzał, że on sam nie brał pod uwagę takiego rozumowania.

– Gdyby Jedi nie wrócili... lub wrócili odmienieni... uważasz, że po rozmowach z Alwarimi mogą przyjąć punkt widzenia nomadów?

Ogomoor odwrócił wzrok.

– Wcale tego nie powiedziałem. Chodzi mi tylko o to, że podczas nieobecności Jedi Rada Unii może dalej działać. Czy my, Ansionianie, jesteśmy dziećmi? Czy mamy siedzieć i czekać na jakiś ruch tych obcych... czy są Jedi, czy nie?

Człowiek powoli skinął głową i dokończył drinka jednym długim haustem.

– Co miałbym według ciebie zrobić?

Ogomoor pociągnął jedynym szerokim nozdrzem.

– Wezwij radę na posiedzenie. Zróbcie głosowanie. Jeśli Jedi nie spodoba się wynik, niech złożą skargę do senatu. Ansion ma swój rząd, i to wolny od zewnętrznych wpływów. W czym tu może zaszkodzić głosowanie?

– Senat może je unieważnić.

Ogomoor ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Trudniej jest unieważnić głosowanie, które już się odbyło. Gdyby Jedi tu byli, istniałby powód, żeby nie głosować. Ale skoro ich nie

ma... – wskazał na okno, a właściwie na odległe stopy. – Sami chcieli tam jechać.

Delegat milczał przez dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie spojrzął na gościa, w jego głosie brzmiało wahanie.

– To, czego żądasz, nie będzie łatwe. Zwłaszcza Armalaczyk będzie się sprzeciwiał. Wiesz, co oni potrafią.

Ogomoor znacząco uniośł dłoni.

– Czas niszczy upór. Im dłużej Jedi pozostają z dala od Cuiper-
nam, tym łatwiej będzie podważyć zaufanie do ich zdolności wśród in-
nych członków rady. Mój bossban i jego przyjaciele polegają na twojej
znanej umiejętności perswazji.

– Ale... cóż, sam nie wiem – mruknął człowiek, wyraźnie w roz-
terce.

– Twoje starania nie pozostaną niedocenione. – Ogomoor wstał,
zadowolony, że wreszcie może opuścić niewygodne, źle dopasowane
krzesło. – Pomyśl o tym. Mój bossban twierdzi, że w Republice nad-
chodzą zmiany. Zmiany, jakich nie potrafimy sobie nawet wyobrazić...
ani ty, ani ja.

Mijając gospodarza po drodze do drzwi, nachylił się do niego i zni-
żył głos:

– Jestem pewien, że lepiej będzie pozostawać po stronie zmian
niż po przeciwnej.

Człowiek nie odprowadził gościa. Nie miał czasu – zbyt dużo spraw
musiał przemyśleć.

ROZDZIAŁ

8

Atak gairków nie spowodował żadnych szkód, doszła do wniosku Luminara, kiedy następnego ranka ruszyli dalej przez stepy. A może nawet sprawił coś dobrego: uprzytomnił im, że choć pozostawili w tyle niedoszłych porywaczy Barrisy, planeta Ansion kryje rozmaite inne niebezpieczeństwa.

Luminara i Obi-Wan jechali spokojnie, z powagą, jak przystało na dojrzałych Jedi. Ich padawanowie byli znacznie mniej opanowani. Po incydencie z gairkami stali się cokolwiek nerwowi. Pomimo wygodnych, wysokich sioseł na grzbietach suubatarów wciąż widzieli potencjalne zagrożenie we wszystkim, co się rusza. Luminara obserwowała reakcje Barrissy z pewnym rozbawieniem, ale ich nie komentowała. Nie ma nic lepszego niż praca w terenie, aby nauczyć świeżo upieczonego padawana, kiedy się skoncentrować, a kiedy odprężyć.

Anakin chwilami wydawał się wręcz tęsknić za kolejnym atakiem, jakby koniecznie chciał się sprawdzić. Obi-Wan opowiadał o zrećności, z jaką młodzieniec posługiwał się mieczem świetlnym, Luminara wiedziała jednak, że ważne jest także to, by wiedzieć, kiedy broni nie należy używać. Z drugiej strony nie potrafiła być wobec niego zbyt krytyczna. Tak bardzo chciał imponować i wzbudzać sympatię!

Doskonałą lekcją okazało się nadlatujące z zachodu stado ongun-nurów. Ich ogromne, błoniaste skrzydła przesłoniły niebo. Każdy miałby prawo sądzić, że te potężne stwory, o długich jak rapiery dziobach i świecących żółtych oczach stanowią zagrożenie. Anakin wyjął miecz, ale go nie włączył. Barrissa tylko sprawdziła, czy ma broń pod ręką.

Stado zbliżało się nieuchronnie, ale nie próbowało na razie spaść na pędzące suбаты. Palec Anakina nerwowo pocierał włącznik miecza. Barrissa, która widać także nie mogła już wytrzymać, popędziła wierzchowca, aby zrównać się z nauczycielką.

– Pani Luminaro, czy nie powinniśmy czegoś zrobić? – Wskazała nadlatujące stado. – Te stwory, czymkolwiek są, kierują się wprost na nas.

Luminara wskazała na Kyakhtę.

– Spójrz na naszych przewodników, Barrisso. Czy wyglądają na przestraszonych?

– Nie, pani, ale to nie znaczy, że się nie boją.

– Powinnaś częściej i dokładniej studiować różnice pomiędzy istotami rozumnymi, moja droga. Obserwuj inteligentnych tubylców każdego świata i ich reakcje na potencjalne niebezpieczeństwo. Ufaj własnym zmysłom. Bądź czujna, ale nie wyciągaj pochopnych wniosków. – Luminara uniosła dłoń i wskazała na czarne stado, wiszące prawie nad ich głowami. – Jeśli coś jest wielkie i potężne, to jeszcze nie znaczy, że jest niebezpieczne. Patrz, jak wiatr nimi rzuca.

Barrissa zauważyła, że to prawda. Ongun-nury szybkowały unoszone wiatrem, nie leciały z własnej woli. Pędziły w kierunku podróźnych nie po to, by atakować, lecz w nadziei, że intruzi usuną się im z drogi. W ostatniej chwili zdołały zmienić kąt lotu tylko na tyle, aby wyminąć karawanę. Przeleciały tak blisko, że Anakin i Barrissa odruchowo zniżyli głowy. Wtedy dopiero zobaczyli, że skrzydła stworzeń były cienkie jak papier, a korpusy rozdymało powietrze, nie mięśnie. Ongun-nury leciały tam, gdzie niesie je wiatr i nie mogły zmienić kierunku. Na pewno bardziej się bały jeźdźców na suubatarach niż oni ich.

Było to bardzo pouczające spotkanie, z którego naukę Barrissa jak zwykle starannie zachowała w pamięci. Od tej pory zwracała większą uwagę na reakcje przewodników niż na zjawiska, które mogły się pojawić na niebie czy na ziemi. Dlatego uznała, że należy baczenie się rozejrzeć, kiedy Kyakhta i Bulgan zwolnili, prostując się w siodłach.

Zatrzymali się na wzgórzu i stwierdzili, że znajdują się nad niewielką kotliną. Uformowało się tam rozległe, lecz płytkie jezioro. Całe, z wyjątkiem środka, było porośnięte dziwnym, plamistym, wielokolankowym, błękitnawym sitowiem. Po jednej stronie jeziora rozbito obóz. W prowizorycznej zagrodzie pasły się udomowione dorgумы i większe od nich awiquody o ciężkich garbach. Ze składanych chat, zmontowanych z rozmaitych importowanych elementów, unosił się dym. Każda chata była pokryta amorficznym materiałem solarnym, przetwarzającym światło słoneczne Ansionu w energię.

Luminara i Obi-Wan Kenobi podjechali do Kyakhty i Bulgana. Ich przewodnicy, wychyleni do przodu obok głów swoich wierzchowców, obserwowali obóz.

– Borokii? – zapytała z nadzieją Luminara.

– Sądząc z wyglądu ich obozu, to raczej Yiwa – poinformował ją Kyakhta. – Z Qiemo Adrangar. Nie jest to mało znaczący klan, taki jak Eijinowie czy Gaxunowie, ale też nie nadklan w rodzaju Borokiich czy Januulów.

– Jeśli mają zasilanie – zastanowił się Obi-Wan, patrząc na solarne dachy chat – to po co im ogniska?

– Tradycja. – Bulgan wykręcił zgarbiony tułów tak, aby zdrowym okiem spojrzeć na stojącego obok mężczyznę. – Do tej pory powinieś już wiedzieć, Jedi, jakie to istotne dla Alwarich... i powodzenia waszej misji.

Obi-Wan spokojnie przyjął delikatną reprimendę. Taka uwaga wzbogacała zasoby wiedzy i należało być za nią wdzięcznym, a nie reagować obrażą.

– Idą nas powitać – pokazał palcem Kyakhta. – Yiwowie to dumny klan. Są stale w ruchu, bardziej niż większość Alwarich. Może będą coś wiedzieć na temat nadklanu Borokiich... i może zechcą nam o tym powiedzieć.

– A dlaczego mieliby nie chcieć? – spytała bez ogródek Luminara. Bulgan mrugnął okiem.

– Yiwowie to wrażliwy naród. Szybko się obrażają.

– A więc będziemy tak uprzejmi, jak to tylko możliwe. – Obi-Wan odwrócił się w siodle. – Prawda, Anakinie?

Padawan niepewnie zmarszczył brwi.

– Dlaczego patrzysz właśnie na mnie?

Yiwowie nadjechali galopem na sadainach, bez trudu pokonując lekkie wzniesienie. Krepie i silne czworonożne wierzchowce miały okrągłe pyski z czworgiem oczu. W przeciwieństwie do suubatarów, ich uszy były długie i sztywne, na końcu wachlarzowato rozpostarte, a budowa przystosowana do dużego i długotrwałego wysiłku, nie zaś do pędu. Obserwując te przedziwne uszy, których mocno ukrwione płatki przeświecały pod słońce na czerwono, Obi-Wan pomyślał, że świetnie się nadają do wykrywania obecności skradających się shanhów i innych potencjalnych drapiezców, które mogłyby zląkomić się na stada Yiwów.

Komiteta powitalny zwolnił. Było ich z tuzin, wszyscy mieli na sobie odpowiednio wspaniałe barbarzyńskie stroje. Domowej roboty dzwonki i kły zdobyte na mniej łagodnej części fauny Ansionu mieszały się

z jaskrawymi kolorpanami i najnowszymi błyskotkami, importowanymi z innych światów Republiki. Jeźdźcy mieli grzywy pomalowane w różne, często ryzykownie zestawione barwy i wzory, a nagą skórę po obu stronach czaszki zdobiły wytatuowane skomplikowane wzory, stanowiące chaotyczną mieszaninę tradycji i nowoczesności – właśnie tego można się było spodziewać na świecie takim jak Ansion.

Dwóch przybyłych trzymało komunikatory, bez wątpienia służące do stałej łączności z obozowiskiem, a kilku jeźdźców mogło się pochwalić doskonałym, nowoczesnym uzbrojeniem.

Korzystając z przewagi, jaką dawał mu wysoki wierzchowiec, Kyakhta wysunął swojego suubatarę o kilka kroków i przedstawił najpierw siebie, a potem swoich towarzyszy. Yiwowie słuchali z kamiennymi twarzami. Wreszcie jeden z nich, ubrany w powłóczysty płaszcz z dwóch pasiastych skór shanha, uderzył piętami w boki swojego bogato przystrojonego sadaina. Wypukłe czerwono-brązowe oczy podejrzliwie wędrowały od Alwari do obcych przybyszów i z powrotem. Luminara spodziewała się, że pierwsze słowa zostaną skierowane do niej lub jednego z jej towarzyszy. Myliła się. Pospieszne przeszkolenie w dziedzinie najczęściej używanych lokalnych gwar i dialektów, jakie cała czwórka przeszła przed przyjazdem na Ansion, teraz okazało się bardzo przydatne. Dialekt Yiwów był szorstki, ale dość zrozumiały.

– Jestem Mazong Yiwa. Co bezklanowcy robią na suubatarach?

Kyakhta przełknął ślinę. Obi-Wan był wstrząśnięty, jak łatwo i szybko dało się zbić z tropu ich pewnego siebie przewodnika.

– Błagamy o zrozumienie, Urodzony Mazongu. Mój przyjaciel i ja – wskazał na Bulgana – zostaliśmy zmuszeni nie z własnej winy do pójścia ścieżką wygnańców. Wiele przecierpieliśmy i dopiero niedawno ci mądrzy i hojni pozaświatowcy przywrócili nam zdrowie, choć nie klany. Są przedstawicielami samej Republiki Galaktycznej, a przybyli, by pertraktować z nadklanem Borokiich.

Mazong przechylił się w lewo i splunął pod nogi suubatarę Kyakhty. Wielkie zwierzę ani drgnęło. Anakin napiął mięśnie, ale kiedy stwierdził, że jego mistrz nie wydaje się zaniepokojony, postarał się ukryć zdenerwowanie.

– To wasza wersja. Dlaczego mamy wam wierzyć i zaprosić do skorzystania z naszej gościnności?

– Jeśli nie nas, to przynajmniej naszych przyjaciół – odparł Bulgan. – To rycerze Jedi.

W grupie Yiwów zawrzało, Luminara przypomniała sobie, co jej opowiadano w Cuipernam: nomadowie Alwari wybrali tradycyjny tryb

życia, ale nie oznacza to wcale, że są prymitywni i że unikają nowoczesnych wynalazków. Komunikatory i domy zasilane energią słoneczną, rusznice laserowe i krótka broń, którą mieli przy sobie, świadczyły o tym aż nadto dobitnie.

Wzrok Mazonga powędrował w kierunku ludzi. Przyglądał się im uważnie, osłaniając oczy smukłą, trójpalczystą dłonią. Ansionianie mieli bardzo wypukłe gałki oczne, przez co nie mogli zmrużyć powiek. Luminara odkryła na targu, że na widok mrugającego człowieka lub innej zdolnej do tego istoty, każdy Ansionianin, który był dość blisko, by to zauważyć, wyraźnie się krzywił. Sama myśl o przymknięciu powieki była dla nich równie przyjemna, co dla człowieka wsłuchiwanie się w zgrzyt paznokcia na szybie.

– Słyszałem o Jedi. – Przywódca grupy Yiwów nie odrywał dłoni od kółka ze sprężystego metalu, umocowanego w uprząży nad pojedynczym, ogromnym nozdrzem sadaina. – Powiadają, że to uczciwi ludzie. W przeciwieństwie do tych, dla których pracują.

Kiedy żaden z gości nie zareagował na tę zaimprovizowaną prowokację, Mazong wydał z siebie zadowolony pomruk.

– Jeśli szukacie nadklanu, dlaczego niepokoicie swoją obecnością Yiwów? – Grupka jeźdźców za jego plecami zafalowała w oczekiwaniu.

– Wiecie, jak wędrują Borokii i jak zareagowaliby na namierzanie ich za pomocą maszyn. – Kyakhta głąskał uspokajająco swojego suubatara.

Mazong roześmiał się. Kilku z jego towarzyszy uśmiechnęło się również.

– Zestrzeliliby je z nieba, a potem tych, którzy przyjdą za nimi.

– *Haja* – zgodził się Bulgan. – A zatem szukamy ich w tradycyjny, od wieków przyjęty sposób. – Wskazał na wioskę nad jeziorem. – Piękny obóz, ale prowizoryczny, jak zwykle. Yiwowie zawsze mają takie, podobnie jak inni Alwari. Czy w waszych ostatnich podróżach trafiliście na któryś z nadklanów?

Przepięknie ubrana samica popędziła swojego sadaina, podjechała do Mazonga i szepnęła mu coś w jedno z zagłębień usznych. Zastanowił się chwilę i znów spojrzął na gości.

– To nie miejsce na rozmowy. Jedźcie z nami do obozu. Zjemy coś, pogadamy i zastanowimy się nad waszymi problemami. – Omijając wzrokiem obu przewodników, zaczepnie spojrzął w oczy Luminary. – Przyjemny kolor, niebieski. Nie wiadomo, czy kryjąca się pod nim osoba też jest przyjemna.

Odwrócił się i popędził sadaina do galopu. Pozostali członkowie grupy ruszyli w ślad za nim, pokrzykując i wymachując bronią.

Goście podążyli za nimi bez pośpiechu.

– Nie wygląda to zbyt obiecująco, mistrzu. – Przyzwyczajona do dostojnej postawy miejskich Ansionian Barrissa zachwyciła się dzikim wyglądem i zachowaniem Yiwów.

– Przeciwnie, padawanko. Dobry handlarz wie, że jeśli zdąży wsadzić but w drzwi, zanim serwomotory je zamkną, to tak, jakby był w polowie drogi do sfinalizowania transakcji.

Zaprowadzono ich na zaimprovizowany centralny plac, nad brzegiem jeziora, który otaczało pół tuzina automatycznie rozkładających się chat. Nagle, jakby znikąd, wyskoczyło mnóstwo rozszczebiotanych, chichoczących dzieci. Otoczyły przybyszów, a młodzież w wieku Anakina i Barrissy z zazdrością spoglądała na dwójkę młodych padawanów. Anakin robił, co mógł, aby opanować niepożądane poczucie wyższości. Zawsze miał z tym problemy, chociaż Obi-Wan pracował w pocie czoła, aby pomóc mu się pozbyć tej wady.

Ich suubatary odprowadzono dalej pośród szmerów podziwu, jaki wzbudzał widok tak wspianiałych zwierząt. Luminara przez ułamek sekundy obawiała się o zapasy, ale Kyakhta ją uspokoił.

– Jesteśmy teraz oficjalnie ich gośćmi, pani. Kradzież najmniejszej z naszych rzeczy oznaczałaby pogwałcenie odwiecznych praw gościnności. Złodzieja wygnano by z klanu na zawsze... albo rzucono shanhom na pożarcie. Nie obawiaj się o waszą własność.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wybacz, że ci nie dowierzałam, Kyakhto. Wiem, że powiedziałeś mi, gdybym miała jakikolwiek powód do obaw.

Zaprowadzono ich na brzeg jeziora. Część szuwarów w tym miejscu wycięto, aby bez przeszkód obserwować całą spokojną powierzchnię wody. Małe kulki czarnego puchu kręciły się pośród trzciny, ćwierkając jak sygnały alarmowe. Wprost na ziemi leżały pracowicie wypłatanym maty, zasłane mocno wypchanymi poduszkami. Dorośli zajmowali się swoimi sprawami; dzieci, którym dopiero zaczynały sypać się grzywy, obserwowały wszystko w milczeniu i z odpowiedniej odległości. Mazong i dwie jego doradczynie usiedli ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw gości. Podano posiłek i napoje. Luminara pociągnęła łyk ciemnozielonej ciecicy, którą przed nią postawiono, i zakrzuszyła się ostro przyprawionym naparem. Zatrokana Barrissa natychmiast znalazła się u jej boku.

Mazong wyszczerzył zęby; musiał aż podnieść do ust dłoń o długich palcach, aby stłumić szczery śmiech. Jego doradczynie chichotały otwarcie. Lody zostały przełamane, ale nikt nie wiedział, że Jedi pijała

nawet mocniejsze lokalne napitki, a całą scenę zaaranżowała jedynie w tym celu, aby rozluźnić atmosferę.

Nie oznaczało to, oczywiście, że w ten sposób natychmiast zdobędzie przyjaźń i pomoc Yiwów.

Jedna z doradczyń, niemłoda istota o długiej, pięknie wygiętej, lecz całkowicie siwej grzywie, pochyliła się do przodu.

– Dlaczego mielibyśmy wam pomóc w odnalezieniu nadklanu?

To pytanie pozwoliło Obi-Wanowi dokładnie wyjaśnić cel ich przybycia na Ansion. Yiwowie słuchali w milczeniu, od czasu do czasu biorąc sobie coś do jedzenia lub picia ze skromnie zastawionej maty, którą przed nimi rozłożono.

Kiedy Jedi zakończył przemowę, obie doradczynie poszeptały coś przez chwilę między sobą, a potem z Mazongiem. Dał znak, że się zgadza, po czym zwrócił się do gości:

– Jak wszyscy Alwari, nie lubimy mieszkańców miast i nigdy nie będziemy ufać ich intencjom, choć wszyscy nieustannie mamy do czynienia z unią. To, co planujecie, na zawsze zmieni stosunki na tej planecie. – Uniósł dłoń, powstrzymując komentarz Luminary. – Jednak... niekoniecznie musi to być złe. Czas zmienia wszystko i nawet Alwari muszą się przystosować. Zanim jednak zgodzimy się to zrobić, musimy mieć gwarancję, że nasz tradycyjny tryb życia będzie chroniony. Wiemy, że wysłannicy senatu już wcześniej odwiedzali naszą planetę. Nie ufamy im... i nigdy nie zaufamy. Jeśli zaś chodzi o Jedi... – znów spojrzął na Luminarę – słyszeliśmy, że są inni. Że są uczciwi. Że są dobrze urodzeni. Jeśli potraficie nam to udowodnić w zadowalający sposób, wówczas uznamy, że możemy bezpiecznie wskazać wam kierunek, w którym mogą znajdować się Borokii.

Luminara i Obi-Wan porozumieli się szeptem; przez ten czas przewodnicy i padawanowie obserwowali ich w milczeniu.

– Żądaj od nas, czego chcesz, szlachetny Mazongu – przemówiła wreszcie Luminara – a jeśli w naszej mocy będzie spełnić twoje życzenie, nie omieszkamy tego uczynić.

Wódz i doradczynie wydali głośne okrzyki zadowolenia. Jakiego dowodu mogą od nas zażądać? – pomyślała Barrissa. Jakie zabezpieczenie mogą pozaświatowcy dać tubylcom? Co mogłoby ich przekonać o dobrych intencjach gości?

Nie była zaskoczona, kiedy się okazało, że oczekiwania Yiwów są zupełnie inne.

Mazong wstał i wskazał na obóz.

– Dziś u nas wielkie święto. Będą pokazy. Wśród Alwarich to goście powinni dać przedstawienie. Nigdy nie słyszałem, aby przedstawiciele

senatu raczyli to uczynić. Dla nas oznacza to, że nie mają dusz. Jeśli Jedi pokażą nam, że mają dusze, podobnie jak Yiwowie, Yiwowie uwierzą, że mają oni coś, czego brak jest ich politykom.

Barrissa otworzyła usta ze zdumienia na widok uprzejmego uśmiechu Luminary.

– Spełnimy twoje warunki, szlachetny Mazongu. Ale muszę cię ostrzec: sztuka nie jest najważniejsza w życiu mistrzów Jedi. Możesz stwierdzić, że nasze przedstawienie jest mniej interesujące niż to, co pokazują zwykle twoi goście.

Mazong wstał i położył przyjaźnie dłoń na jej głowie. Długie palce dotykały karku Jedi.

– Cokolwiek pokażecie, będzie to dla nas miało zaletę nowości. A teraz mam już tylko jedno pytanie, które zaprzęta mi głowę od chwili waszego przybycia.

Podniosła wzrok na Yiwę, ale poczuła tylko lekki niepokój.

– O co chodzi?

– Dlaczego – spytał bez ogródek – tatuujesz sobie podbródek i dolną wargę, zamiast czubka głowy, jak należy?

Luminarę ogromnie ciekawiło wszystko, co się wokół niej działo. Zaskoczyło ją zwłaszcza pulsowanie światła prętów żarowych, które rozjaśniały prowizoryczny plac. Nie wahała się spytać o to Mazonga.

– Jeśli chcesz, moi przyjaciele i ja możemy naprawić te światła – zaproponowała. – Ich wewnętrzna budowa jest dość prosta.

Mazong okazał zakłopotanie.

– Ale przecież działają jak należy.

Zawahała się.

– Powinny dawać stałe światło. O jednakowej jasności.

Odpowiedź wodza Yiwów zaskoczyła ją: Mazong roześmiał się tylko.

– Och, wiemy to doskonale, o bystra i spostrzegawcza Jedi. Ale szanujemy wiedzę i tradycję naszych przodków, którzy zawsze zbierali się przy świetle pochodni.

Nagle zrozumiała. Pręty żarowe zostały umyślnie tak zmodyfikowane, żeby udawały migoczące światło pochodni. Wydawało się, że wśród Yiwów bardziej się ceni starożytną tradycję niż nowoczesną funkcjonalność. Zastanawiała się, czy i w nadkłanie tak samo szanują rytuał.

Jej termoczułe szaty nie dopuszczały do ciała wieczornego chłodu i wszechobecnego wiatru. Zająła miejsce pomiędzy Obi-Wanem a dwójkiem uczniów. Mazong siedział opodal, a jego dwie doradczynie tuż za

nim. Wydawało się, że większość klanu stłoczyła się wokół placu. Setki wyłupiastych ansoniańskich oczu lśniły w świetle prętów żarowych. Po drugiej stronie obozu tępe dorgumy i nerwowe awiquody chrząkały i syczały, walcząc o miejsce z nieustępliwymi sadainami. Głośniejsze i niższe syki, brzmiące jak para wypuszczana z sauny, wskazywały lokalizację suubatarów podróżnych.

Po raz drugi od przybycia postawiono przed nimi obfity posiłek i napoje. Próbowali już niektórych potraw Yiwów i stwierdzili, że większość dań nie jest specjalnie egzotyczna. Z przenośnej, ale świetnie wyposażonej kuchni przyniosły je szeregi młodych Yiwów w odświętnych strojach. Kyakhta i Bulgan siedzieli jak prawdziwi dostojnicy, wciąż ledwie wierząc własnemu szczęściu. Dzięki leczeniu Barrissy i hojności Jedi dwaj bezklanowcy przeszli długą drogę w zaskakująco krótkim czasie.

Było również coś w rodzaju muzyki, w wykonaniu kwartetu siedzących na ziemi Yiwów. Dwóch grało na ręcznie robionych tradycyjnych instrumentach, a ich młodszy koledzy dręczyli zaimprovizowane syntezatory elektroniczne. Rezultat był czymś pośrednim pomiędzy uduchowionym koncertem a jękami konającego porgaka. Luminara była nie tyle zauroczona, co ogłuszona.

Poza muzyką nie zaproponowano im żadnych rozrywek. Wiedziała, że tę lukę mają wkrótce wypełnić goście klanu. Jeśli pokaz uzyska aprobatę, być może otrzymają odpowiedzi na swoje pytania. Jeśli nie, będą musieli znaleźć inne, łatwiejsze źródło informacji na temat obecnego miejsca pobytu nadklanu.

Wreszcie wszyscy najedli się do syta. Modulowany pisk generowany przez lokalny zespół ucichł, ustępując miejsca spokojowi niezgłębionej stepowej nocy. Mazong, ssąc cienką jak igła łydżkę bulwiastego owocu, odwrócił się ku swej kompanii.

– A teraz, przyjaciele, nadszedł czas, aby nam udowodnić, że Jedi nie tylko są zdolni i sprawni, lecz mają też wewnątrz i duszę, czego nie można powiedzieć o wspaniałym, lecz pozbawionym ducha senacie.

– Czy mogę zaproponować... – zaczął Kyakhta. Wódz uciszył go ostrym gestem.

– Niczego nie możesz proponować, bezklanowy włóczęgo. Yiwa wciąż nie mają pewności, jak cię potraktować. – Obejrzał się na Jedi i uśmiechnął. – Bądźcie spokojni, choćbyście okazali się naprawdę do niczego, nikt was tu nie zje. Nie przestrzegamy tradycji aż tak ściśle.

– Miło wiedzieć – mruknął Obi-Wan. Nie zastanawiał się, czy on i jego towarzysze nadają się do jedzenia, czy nie. Obawiał się tylko, że

nie uzyskają informacji. Jeśli Yiwa nie zechcą im pomóc, stracą wiele tygodni na poszukiwanie Borokiich. Przez ten czas mściciele i secesjoniści w gronie unii z pewnością nie będą próżnować.

Ważne było też, aby to, co zrobią, nie tylko znalazło uznanie u gospodarzy, ale i nie pogwałciło żadnego ze skrzętnie kultywowanych i ściśle przestrzeganych obyczajów. Bez dokładniejszych informacji na ich temat Jedi mogli tylko czujnie obserwować reakcje, które mogłyby świadczyć, że ich występ obraża Yiwów.

– Ja pójde pierwsza. – Barrissa wstała gwałtownie. Wyszła na środek otwartej przestrzeni, wysypanej teraz świeżą warstwą czystego piasku kwarcowego, przyniesionego z plaży nad jeziorem, i stanęła twarzą do przyjaciół. Przez tłum Yiwów przeszedł szmer. Co może zaprezentować ta płaskooka, wielopalca i bezgrzywa samica? Nikt jednak nie czekał z większym zaciekawieniem niż Anakin.

Luminara gestem zachęciła padawanę. Barrissa skinęła głową i odpięła miecz świetlny od pasa. Kilkunastu Yiwów natychmiast chwyciło za broń. Mazong stwierdził jednak, że pozostali goście siedzą spokojnie, więc gestem odprawił zaniepokojone strażę.

Miecz Barrissy rozjarzył się w zimnym, nieruchomym powietrzu wczesnego wieczoru. Uniosła go prostopadle w górę; cichy szum broni unosił się ponad pełnymi uznania szeptami obserwatorów. Anakin pomyślał, że to niezbyt dynamiczny, ale niewątpliwie zachwycający pokaz. Zastanawiał się, czy przybranie efektownej pozy wystarczy, aby zadowolić wymagania gospodarzy.

Lecz wtedy właśnie Barrissa poruszyła się.

Najpierw zrobiła powolny krok w prawo i z powrotem, potem z północy na południe, śladami stóp na piasku znacząc cztery strony świata. Yiwowie natychmiast zrozumieli, komu składa hołd tym tańcem. Jako nomadowie, docenili ten gest szczególnie. Padawanka poruszała się coraz szybciej i szybciej, zwiększając tempo skoków od punktu do punktu, aż wreszcie wydawało się, że odbija się od niewidzialnej trampoliny. Przez cały czas trzymała miecz w górze, a świetlne ostrze wbijało się w mroczne niebo. Pokaz dawał dobre świadectwo jej kondycji i umiejętnościom. Anakin musiał przyznać, że wykracza daleko poza podstawowe szkolenie Jedi.

I nagle, kiedy zdawało się, że już nie można poruszać się szybciej, padawanka zaczęła kręcić mieczem. Widzom opadły szczęki, zabrzmiały pierwsze syki i gwizdy szczerzego zachwyty.

Dla Anakina było to jak objawienie. Nigdy nie myślał o tradycyjnym mieczu świetlnym Jedi inaczej, jak tylko o broni. Nie przyszło mu

do głowy, że poza kręgiem szermierczym może również stanowić dzieło sztuki. Lecz w rękach Barrissy ze śmiercionośnego narzędzia miecz nagle zmienił się w przedmiot artystyczny niezwyklej urody.

Promień widmowej energii wirował nad jej głową tak szybko, że wydawał się tworzyć nieprzenikalny pierścień światła, podczas gdy stopy nieustannie przemykały po czterech punktach kompasu. Wymachując mieczem, stworzyła świetlną tarczę najpierw po lewej, potem po prawej stronie. Przeskakując z północy na południe, podciągnęła kolana pod brodę i przeciągnęła ostrze pod stopami, co wywołało wśród widzów okrzyki przerażenia i podziwu. Powtórzyła ten niebezpieczny skok wiele razy. Anakin, obserwujący ją równie uważnie jak Yiwowie, wiedział, że najmniejszy błąd w obliczeniu skoku czy kąta zamachu spowodowałby amputację jej stóp w kostkach. Większy błąd mógł zaowocować utratą ramienia, nogi... a nawet głowy.

Potencjalne śmiertelne niebezpieczeństwo tańca znacznie zwiększało napięcie, ale również podkreślało piękno występu. Barrissa zmierziała do zakończenia: skoczyła w kierunku Mazonga, wykonała podwójne salto z wirującym pod stopami mieczem świetlnym i wylądowała na klęczkach o długość ramienia od wodza. Trzeba przyznać, że wódz Yiwów nawet nie mrugnął. Nie spuszczał jednak oczu z wirującego miecza.

Kolejny fragment tradycji Alwarich goście poznali w chwili, gdy zebrany klan zademonstrował swój aplauz nie tylko sykami i gwizdami, ale także masowym strzelaniem kostek zwinnych dłoni o długich palcach. Fale trzasków przebiegły przez całe zgromadzenie. Tylko Mazong spokojnie porozumiewał się ze swymi doradczyniami.

Zadyszana Barrissa, z wyłączonym mieczem przypiętym już do pasa, opadła na swoje miejsce u boku towarzyszy. Luminara nachyliła się ku swojej padawance.

– Piękny pokaz, Barrisso, ale ten ostatni skok był naprawdę ryzykowny. Nie chciałabym wracać do Cuipernam z tobą w więcej niż jednym kawałku.

– Już to wcześniej ćwiczyłam, pani. – Padawanka była bardzo z siebie zadowolona. – Wiem, że to niebezpieczna figura, ale chcemy chyba wyrzucić na tych ludziach jak najlepsze wrażenie, aby zechcieli nam pomóc.

– Obcięcie sobie ręki lub nogi na pewno wywarłoby ogromne wrażenie. – Na widok posmutniałej nagle twarzy dziewczyny Luminara uściśnęła ją serdecznie. – Nie chciałam być zbyt krytyczna. Świetnie ci poszło. Jestem z ciebie dumna.

– Ja też. – Obi-Wan spojrział w prawo, gdzie siedział zamyślony młody człowiek. – Twoja kolej, Anakinie.

Anakin spojrział na niego, nagle wyrwany z zadumy.

– Ja? Ależ, mistrzu Obi-Wanie, ja nie potrafię niczego podobnego. Nigdy nie byłem w tym szkolony. Jestem wojownikiem, a nie artystą. Cokolwiek zrobisz, nie dorastam do pięt występowi Barrissy.

– Nie musisz. – Obi-Wan był bardzo cierpliwy wobec swego padawana. – Ale wódz wyraźnie powiedział, że chce przekonać się o istnieniu duszy w każdym z nas. To znaczy, że i w tobie, Anakinie.

Młody człowiek zagryzł dolną wargę.

– Nie wystarczy zaprzysiężone przy świadkach oświadczenie, że ją posiadam?

– Obawiam się, że nie – oschle odparł Obi-Wan. – Stań tam, Anakinie i pokaż im trochę duszy. Wiem, że ją masz. Moc jest pełna piękna i siły. Czerp z niej.

Z wielką niechęcią Anakin rozprostował nogi i wstał. Czując na sobie wiele par oczu, zarówno ludzkich, jak i ansioniańskich, powoli ruszył w kierunku wysypanej piaskiem sceny. Nie wiedział, co zrobić, aby przekonać tych ludzi o swej najskrytszej naturze, pokazać im, że potrafi czuć tak samo, jak drwiąca z praw grawitacji Barrissa. Musi zrobić cokolwiek. Mistrz na to nalegał.

Nie chciał się tu znajdować, w tym kręgu światła pośrodku wielkiej nicości, na świecie, który także jest niczym. Chciał być na Coruscant albo w domu, albo...

Jedno wspomnienie nagle zagłuszyło wszystkie inne, przerwało jakąś tamę. Wspomnienie z dzieciństwa. Miało jedną zaletę: prostotę. Pieśń powolna, smutna i melancholijna, lecz pełna miłości. Matka śpiewała ją często, kiedy brakowało pieniędzy i kiedy na zewnątrz skromnego domku wyły pustynne wichry. Lubiła słowa tej pieśni, którą syn próbował śpiewać wraz z nią przy różnych okazjach. Nie robił tego od wielu lat, od czasu, kiedy opuścił rodzinny świat i dom.

Teraz wyobraził sobie, że matka stoi przed nim z odważnym uśmiechem na czulej twarzy, że czuje na sobie jej ciepły wzrok. Nie było jej tu jednak, by zaśpiewać razem z nim, więc musiał polegać wyłącznie na własnej pamięci.

Gdy tak oczami wyobraźni widział ją przed sobą, wszystko inne zasnęło się mrokiem: wyczekujący Mazong, gapiący się Yiwowie, towarzysze, nawet mistrz Obi-Wan. Była tylko matka i on. Ich dwoje, śpiewających to razem, to osobno, tak jak dawno temu, kiedy był dzieckiem. Śpiewał z coraz większą pewnością siebie i siłą, a jego głos unosił się na lekkim wietrze, który od czasu do czasu przemykał przez obozowisko.

ROZDZIAŁ

9

Prosta, lecz chwytająca za serce melodia z dzieciństwa płynęła przez uważnie słuchający tłum, uciszając dzieci i sprawiając, że zarówno sadowiny, jak i suubatary, zwracały senne uszy w kierunku centralnego obozowiska. Leciała silna i swobodna nad jeziorem, pośród trzciny, by na koniec zatracić się w przestrzeni północnych stepów. Żaden z uważnie słuchających Yiwów nie rozumiał ani słowa, ale siła głosu młodego człowieka i ładunek emocjonalny wystarczyły, aby przekazać im wrażenie samotności. Choć ludzka pieśń była całkowicie odmienna od ich głośniejszych i bardziej rytmicznych melodii, jak każda muzyka zdołała wypełnić otchłań dzielącą oba gatunki.

Anakin potrzebował dłuższej chwili, żeby zauważyć, że skończył. Zamrugał i rozejrzał się po mieszanej widowni. Wtedy rozległy się pierwsze syki, gwizdy i trzaskanie kostkami. Powinien się cieszyć, ale odwrócił się tylko i pospiesznie zajął miejsce u boku swego mistrza. Spuścił głowę, policzki mu płonęły. Usiłował ukryć zmieszanie, ale nie potrafił. Ktoś klepał go po ramieniu – to Bulgan, pochylony i skrzywiony, lecz z twarzą rozjaśnioną radością.

– Piękne dźwięki, panie Anakinie, piękne dźwięki! – Położył jedną dłoń na otworze usznym. – Radują każdego Alwariego.

– Jak było? – zapytał z wahaniem Anakin siedzącego obok Obi-Wana. Ku swojemu zdumieniu zauważył, że mistrz patrzy na niego z niekłamany zadowoleniem.

– Za każdym razem, kiedy mi się wydaje, że już cię rozgryzłem, Anakinie, szykujesz mi kolejną niespodziankę. Nie wiedziałem, że potrafisz tak pięknie śpiewać.

– Ja też nie – przyznał nieśmiało padawan. – Udało mi się znaleźć pewną inspirację w starych wspomnieniach.

– Nieraz to najlepsze miejsce. – Obi-Wan wstał. Przyszła kolej na niego. – Może tego nie zauważyłeś, ale kiedy śpiewasz, głos bardzo ci się obniża.

– Zauważyłem, mistrzu – uśmiechnął się Anakin i obojętnie wzruszył ramionami. – Chyba jeszcze się zmienia.

Obserwował, jak nauczyciel pewnym krokiem zmierza ku środkowi piaskowej sceny. Co zrobi Obi-Wan, żeby ukazać Yiwom swoje najskrytsze „ja”? Anakin był tego równie ciekaw, jak pozostali widzowie. Nigdy nie widział, aby Obi-Wan śpiewał lub tańczył, malował czy rzeźbił. Właściwie, kiedy teraz o tym myślał, Obi-Wan Kenobi miał bardzo oschły charakter. Co zresztą – jak sobie Anakin zdawał sprawę – w żaden sposób nie ograniczało jego zdolności pedagogicznych.

Obi-Wan spędził krótką chwilę na przypomnieniu swojego zasobu lokalnego dialektu, upewniając się, że da radę posłużyć się narzeczem Yiwów. Złożył dłonie na piersi, odchrząknął i zaczął mówić. Tylko tyle. Żadnych akrobatycznych skoków padawanki Barrissy. Żadnych melodyjnych deklaracji uczuć jak Anakin. Po prostu mówił.

Lecz i tak brzmiało to jak muzyka.

Podobnie jak gimnastyczne wyczyny Barrissy z mieczem świetlnym, to także było dla Anakina nowością. Początkowo, podobnie jak wielu Yiwów, niespokojnie oczekiwał czegoś większego, bardziej imponującego. Jeśli Jedi zamierzał wyłącznie przemawiać, mogą zająć się własnymi sprawami. I istotnie, niektórzy odeszli. Lecz w miarę jak Obi-Wan deklamował, wznosząc i zniżając głos w wyraźnym, melodyjnym rytmie, urzekającym i spokojnym, dezerterzy zaczęli wracać, patrzeć i słuchać, jakby sam głos miał mesmeryczną moc najpotężniejszego narkotyku.

Obi-Wan snuł opowieść, która, podobnie jak większość wielkich opowieści, zaczynała się bardzo prosto. Nawet niezbyt obiecująco. Ale w miarę jak pojawiały się nowe szczegóły, jak ujawniały się głębokie prawdy widziane przez pryzmat przygody, nikt nie miał dość sił, by odejść. Próbowali, chcieli, ale ani młodzi, ani starzy Yiwowie nie byli w stanie oderwać się od historii, którą opowiadał Jedi.

Był tam oczywiście bohater. I bohaterka. A kiedy taka para pojawia się na scenie, musi towarzyszyć temu historia miłości, bolesnej i prawdziwej. Stawką były tu większe sprawy niż uczucia tych dwojga. Na szali ważyły się losy milionów, ich własne życie i życie ich dzieci zależało od prawidłowej decyzji, od walki o sprawiedliwość i prawdę. Było po-

święcenie i wojna, zdrada i objawienie, chciwość i zemsta, a na końcu, gdy los obu kochanków wisiał na włosku, odkupienie. A co było dalej, narrator nie potrafił powiedzieć. Jego wyznanie wyrwało z ust widzów okrzyki niezaspokojonej ciekawości.

Obi-Wan spytał z lekkim uśmiechem, czy naprawdę chcą wiedzieć, jak to się skończyło. Chór zgodnych głosów, żądających zakończenia, obudził pół obozowiska. Anakin zauważył, że nawet Mazonga wciągnęła opowieść Obi-Wana, nawet on żądał epilogu.

Obi-Wan uniósł dłonie i natychmiast otoczyła go cisza tak kompletna, że słychać było nawet, jak małe, kosmate gryzonie szorują brzuskami po skałach po drugiej stronie jeziora. Podjął opowieść. Ani na chwilę nie podnosił głosu, lecz wyrzucał z siebie coraz szybszy i szybszy potok słów, aż wreszcie słuchacze, pochyleni do przodu, by lepiej słyszeć i nie uronić ani słowa, omal nie zaryli nosami w piasek.

Gdy wreszcie przedstawił niespodziewaną puentę, publiczność zaczęła wznosić okrzyki radości. Pełne uznania śmiechy mieszały się z ostrymi dyskusjami na temat usłyszonej właśnie opowieści. Obi-Wan zignorował to wszystko i spokojnie zajął swoje miejsce. Yiwowie byli tak pochłonięci opowieścią, że zapomnieli nawet o syczeniu i gwizdaniu, i żadna kostka nie strzeliła na wiwat. Saga Obi-Wana nie tylko się spodobała; spotkała się z całkowitą akceptacją.

– Mistrzu, oczarowałeś wszystkich – powiedział Anakin. – Mnie zresztą też.

Jedi przesypywał piasek z dłoni. Rozbrajająco wzruszył ramionami.

– Taka jest siła opowieści, mój młody padawanie.

Anakin rozważył te słowa dokładnie, nauczył się tak postępować z każdą informacją, przekazywaną mu przez Obi-Wana Kenobiego.

– Trzymałeś wszystkich w niesamowitym napięciu, właściwie w zawieszeniu. Nie wiedziałem, że wszystko dobrze się skończy, nie spodziewałem się tego, bo nic na to nie wskazywało. Czy każda twoja opowieść ma szczęśliwe zakończenie?

Obi-Wan odrzucił na bok garstkę piasku i spojrzał na ucznia tak ostro, że ten aż podskoczył.

– Tylko czas to pokaże, Anakinie Skywalkerze. W bajkach nic nie jest pewne, niezwykłość staje się codziennością, każdy uczy się oczekiwać nieoczekiwanego. Ale kiedy spotkają się ludzie pełni dobrej woli i zrozumienia, szczęśliwe zakończenie jest niemal pewne.

Padawan zmarszczył brwi.

– Mówiłem o opowieściach, mistrzu. Nie o rzeczywistości.

– Jedno jest tylko odbiciem drugiego. Nieraz trudno powiedzieć, co jest oryginalne, a co wtórne. Z bajek można się nauczyć wielu rzeczy, których historia nie zna. – Obi-Wan uśmiechnął się lekko. – To jak pieczenie ciasta. Wiele zależy od doboru składników, zanim w ogóle zacznie się proces pieczenia.

Zanim Anakin zdążył skomentować to stwierdzenie, Obi-Wan odwrócił się znów do zgromadzenia.

– Porozmawiamy o tym później, jeśli chcesz. Teraz musimy obdarzyć naszą towarzyszkę Luminarę taką samą uwagą, jak Yiwowie.

Anakin nie był usatysfakcjonowany, ale zrozumiał i odwrócił się od mistrza ku scenie, gdzie czekała już Luminara. Oświetlenie było słabe, podłoże nierówne, a nazwanie widowni prostoduszną byłoby dla niej komplementem, jednak mistrzyni wyszła na środek takim krokiem, jakby znajdowała się w najwspanialszym teatrze na Coruscant. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo dokuca jej zimny wiatr omiatający stopy, więc nikt się nie dziwił, że nie porzuciła długich szat. Yiwowie, oszołomieni akrobacjami Barrissy, wzruszeni pieśnią Anakina i oczarowani opowieścią Obi-Wana, czekali teraz niecierpliwie na występ ostatniego z gości.

Luminara przymknęła oczy, ale po chwili je otworzyła, uklękła i wzięła do ręki garść piasku. Pochwycone wiatrem lśniące ziarenka białawym łukiem wysypały się z jej ręki. Kiedy zabrakło piasku, po prostu lekko otrzepała dłonie, aby nie zostało na nich ani ziarenko.

Kilku Yiwów zaczęło się niespokojnie wiercić. Coś takiego najmniejsze dzieci klanu potrafią zrobić same. Pokazanie wszystkim garści piasku nie było specjalną atrakcją. Z pewnością to nie wszystko!

Tymczasem Luminara uklękła i znów wzięła garść piasku, pozwalając mu przesypywać się pomiędzy palcami. Z tłumu odezwały się stłumione warknięcia. Zatraskana Barrissa zauważyła, że Anakin podziela jej zmieszanie i niepewność. Siedzący obok Mazong zmarszczył gniewnie brwi. Tylko Obi-Wan wydawał się nieporuszony. Co prawda nie świadczyło to o niczym. Zawsze tak wyglądał.

Padawanka pochyliła się do przodu i wytrzeszczyła oczy. Coś dziwnego działo się ze stróżką piasku spływającą z palców jej mistrzyni. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zorientować się, o co chodzi, a wtedy otworzyła usta ze zdumienia.

Piasek spadał pod wiatr.

Był to zwykły plażowy piasek, przyniesiony z brzegu jeziora, ale w delikatnych, choć silnych palcach Luminary stał się częścią magii. Światło z pobliskich prętów żarowych odbijało się w spadających dro-

binach, mikę zmieniając w lusterka, a kwarc w diamenty. A kiedy ostatnie ziarenka spadły z palców Luminary, zmieniły kierunek. W tłumie rozległo się kilka stłumionych okrzyków „Haja!”, bo piasek zaczął lecieć w górę.

Teraz kolumny ziarenek zaczęły owijać się wokół Jedi, otaczając ją wolno wznoszącą się spiralą. Niczym wąż, który od razu urodził się dorosły, z ziemi podniosła się druga spirala piasku, zmierzając w drugą stronę. Piaskowe zwoje kręciły się teraz w odwrotnych kierunkach, rozdzielając się na coraz cieńsze i cieńsze nitki, aż wreszcie Luminarę spowiły dziesiątki wstęg składających się z drobnych, obrobionych przez wodę ziarenek. Wyglądało to tak, jakby pochłonał ją słup tańczących diamentów.

Zaczęła się obracać z początku powoli, balansując na jednej nodze, podczas gdy drugą odpychała się od ziemi. Migoczące spirale piasku zareagowały natychmiast, jedna część wirowała wraz z nią, druga w kierunku przeciwnym. A choć wszystko odbywało się w całkowitym milczeniu, Barrissie wydawało się, że słyszy muzykę.

Luminara wirowała coraz szybciej i szybciej, ścigając się z roztańczonym piaskiem. Siła odśrodkowa uniosła rąbek jej szat, a lśniące spirale cofnęły się wraz z nim. Im szybciej wirowała, tym wyżej unosiły się szaty.

I nagle cała widownia wydała chóralne westchnienie. Luminara Unduli, owinięta szatami i piaskiem, powoli uniosła się w górę. Nie przestawała wirować, jej stopy unosiły się coraz wyżej, aż znalazła się mniej więcej o długość ramienia nad ziemią. Wciąż się obracając, wychyliła się do przodu i teraz kręciła się jednocześnie w osi pionowej i poziomej, wciąż pozostając w powietrzu. Był to jedyny w swoim rodzaju pokaz panowania nad Mocą, najbardziej niezwykły, jaki Barrissa kiedykolwiek widziała i najbardziej zachwycający.

Piaskowe spirale naśladowały ruchy Luminary i wirowały wraz z nią, aż wreszcie utworzyły nieprzezroczystą kulę lśniących, migoczących cząsteczek wokół prawie niewidocznego ciała. Nagle rozległ się cichy syk powietrza, jakby to obłok westchnął. Luminara wylądowała na szeroko rozstawionych stopach, z wyciągniętymi ramionami. Opuściła ręce i spokojnym krokiem powróciła do przyjaciół. Zanim usiadła, Obi-Wan lekko skłonił się w jej kierunku.

- Jestem pod wrażeniem. Jak się czujesz?
- Kręci mi się w głowie. – Luminara uśmiechnęła się łagodnie i mrugnęła. Poza tym nic nie wskazywało, co naprawdę czuje.
- Proszę, powiedz pani... na czym polega ta sztuczka z wirowaniem? – Barrissa bardzo chciała się dowiedzieć.

Luminara spojrzęła z ukosa na ciekawską padawanę i odpowiedziała przez zaciśnięte zęby:

– Cała sztuka, moja droga, polega na tym, żeby nie zwymiotować. Przynajmniej do chwili, kiedy znajdziesz się z dala od sceny...

Nie było braw. Żadnego gwizdania, syczenia ani radosnego trzaskania stawami. Pojedynczo, parami, całymi rodzinami klan Yiwów po prostu rozszedł się do swoich składanych domów i świątecznych ognisk. Część uzbrojonych mężczyzn skierowała się na miejsca posterunków, by podjąć nocną wartę w obronie przed shanhami i innymi drapieżnikami, które mogłyby szukać ofiar wśród drzemiących stad. Goście, szybciej niż się spodziewali, zostali sam na sam z Mazongiem i jego doradczykami.

– Klan przyjmował wielu gości i oglądał wiele występów – zaczął wódz Yiwów – ale nigdy, odkąd sięgamy pamięcią, żadne przedstawienie nie było tak różnicowane, tak nieoczekiwane i tak zachwycające.

– Nie miałem okazji pokazać mojego żonglowania – wymamrotał rozczarowany Bulgan. Kyakhta dźgnął go pod żebro.

Mazong udał, że nie słyszał.

– Dotrzykaliście swojej części umowy z nawiązką. – Jego wzrok spoczął na Luminarze. – Dużo bym dał, żeby wiedzieć, jak to zrobiłaś.

– Ja też – wtrącił Anakin. – Przydałoby mi się to w walce.

Luminara zwróciła się do gospodarza i wdała w długi wykład na temat Mocy: co to takiego, jak korzystają z niej Jedi, jaka jest jej natura – zarówno mroczna, jak i dobra. Kiedy skończyła, Mazong i jego doradczynie poważnie skinęły głowami.

– Poruszasz się po niebezpiecznych obszarach – stwierdził posepnie Mazong.

– Niebezpieczeństwo istnieje zawsze, zwłaszcza kiedy coś wygląda obiecująco – odparła. – To tak, jak z przymierzem pomiędzy unią mieszkańców miast a klanami Alwarich. Kiedy traktujemy Moc z szacunkiem, ostatecznie staje się ona narzędziem dobra. To samo może wyniknąć z ugody, którą pragniemy osiągnąć.

Mazong porozumiał się ze swymi doradczyniami. Barrissa stwierdziła, że dwie starsze istoty zdawały się mieć znacznie lepszy humor. Gdy wódz wreszcie zwrócił się do swoich gości, ciałniej otuliła się szatą. Choć wiatry Ansionu traciły na intensywności po zmierzchu, nigdy nie ustawały całkowicie. Było jej zimno.

– Zgadamy się na wszystko. – Mazong wielkopańskim gestem wskazał na Kyakhtę i Bulgana. – Przekażemy waszym przewodnikom wskazówki, które umożliwią wam jak najszybsze dotarcie do Borokiich.

Ci dwaj bezklanowcy znacznie zyskali w oczach innych dzięki odpowiedniemu doborowi pracodawców.

– Jak długo potrwa, zanim dotrzemy do najbliższych grup? – zapytał Obi-Wan.

– Tego nie można przewidzieć. – Mazong wstał, a jego goście razem z nim. – Borokii są Alwarimi. Może właśnie rozbili obóz, jak Yiwo-wie, a może wędrują. Będziecie musieli ich poszukać. Możemy was skierować jedynie w stronę ich ostatniego miejsca pobytu. Ale nie rozpaczajcie – pocieszył ich. – Dzięki naszym wskazówkom znajdziecie ich o wiele szybciej, niż gdybyście sami próbowali ich odszukać.

– Dziękujemy wam za uprzejmość i gościnność – odrzekła Lumina-nara.

Odpowiedział jej tajemniczym gestem.

– Odpłaciliście nam z nawiązką. Doprawdy, wstyd nam za nasze po-dejrzenia.

– Nie należy przeproszać za ostrożność. – Obi-Wan przeciągnął się. Jedi może obywać się bez snu zdumiewająco długo... ale nigdy nie zrobiłby tego z własnego wyboru. Czuł się zmęczony. Wszyscy byli zmęczeni.

Anakin nie potrafił zapomnieć występu Jedi Luminary. Myślał o nim przez cały czas, przygotowując się do snu i leżąc z szeroko otwartymi oczami aż do świtu. Wydawało mu się, że widział już i przestudiował wszystko, co wiąże się z używaniem Mocy. I oto pokazano mu, jak bardzo się mylił. Nie potrafił sobie wyobrazić, ile czasu trzeba się uczyć i jaką osiągnąć kontrolę, aby dokonać takiego czynu. Niewyobrażalna umiejętność jednoczesnego kontrolowania własnego ciała i tysięcy pojedynczych ziarenek piasku przekraczała wszelkie granice jego wyobrażeń.

Na razie, pomyślał, leżąc na plecach w gościnnej chacie. Doskonale znał i rozumiał swoje obecne ograniczenia, ale także bezgranicznie wierzył we własne możliwości. Ta wiara pozwoliła mu przetrwać trudne dzieciństwo, dała mu umiejętności niezbędne do nauczenia się naprawy robotów, dzięki czemu stał się niezbędny dla skrzydlatego Watto, a także pozwoliła mu uczestniczyć w uwolnieniu Naboo spod blokady Federacji Handlowej. I ta sama wiara pewnego dnia pozwoli mu osiągnąć wszystko, czego zapagnie. Cokolwiek to będzie.

Wyjechali następnego dnia, bez ceremonii pożegnalnej. Chór młodych Yiwów nie ustawił się w szpaler, by odprowadzić ich serenadą.

Tyraliera jeźdźców klanu nie odprowadziła ich na północ wśród powiewających sztandarów i grających rogów. Goście dostali odpowiednie instrukcje i poszli swoją drogą.

Kiedy tak jechali na wypoczętych suubatarach, Luminara zapytała Bulgana, dlaczego obyło się bez uroczystego pożegnania. Jednooki Alwari wzruszył lekceważąco ramionami.

– Życie nomady jest wypełnione po brzegi, choć jego los nie jest już tak ciężki, jak niegdyś. Nie ma czasu na zabawę. Trzeba oporządzać zwierzęta, nauczać młodzież, budować domy lub rozbierać je na drogę, opiekować się starszymi, rozdzielać żywność i wodę pomiędzy Alwari i zwierzęta. Dlatego właśnie rytuały, jak ten wczorajszy, są takie ważne. Rozrywka jest potrzebna i mile widziana, ale tylko wtedy, kiedy jest na nią czas. – Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu, po czym Bulgan dodał: – Z całą pewnością Yiwowie mają teraz bardzo korzystną opinię o zakonie Jedi. – Ręka o długich palcach zakreśliła krąg obejmujący pozostałe suubatary. – Dzięki wam wszystkim.

– Nam też się to spodobało – odparła mistrzyni. – Nieczęsto zdarza się nam odślaniać tę stronę naszej osobowości. Większość czasu spędzamy na wyjaśnianiu polityki Republiki albo broniению jej, albo na jednym i drugim naraz. Wierz mi – dodała z mocą – niewiele osób w galaktyce tak dobrze rozumiałoby to, co właśnie powiedziałeś o życiu nomady jak Jedi.

Przewodnik poważnie skinął głową i rozjaśnił twarz uśmiechem.

– Wy tak samo jak Alwari potraficie się bawić! – zauważył, a kiedy nie odpowiedziała, dodał z nadzieją: – Potraficie, prawda?

Westchnęła i poprawiła się w wysokim siodle na grzbiecie galopującego suubatara.

– Nieraz sama się zastanawiam. Bywają chwile, że pojęcia „zabawa” i „Jedi” zdają się wzajemnie wykluczać. – Nagle przypomniała coś sobie i uśmiechnęła się. – Co prawda przypominam sobie figiel, który mistrz Mace Windu spletał mistrzowi Ki-Adi-Mundi. Chodziło o trzech padawanów i liczbę oczu w pomieszczeniu...

Opowiedziała historię Bulganowi, który słuchał z zainteresowaniem. Kiedy skończyła, bezradnie machnął ręką, a na jego twarzy wyraźnie było widać wysiłek, z jakim próbował zgłębić to, co niezgłębione.

– Przykro mi, pani Luminaro, ale nie widzę w tej historii nic zabawnego. Może poczucie humoru Jedi jest równie tajemnicze jak siła Jedi. Może trzeba znać Moc, żeby zrozumieć wasz dowcip.

– Nie sądzę. – Jechała przez chwilę w milczeniu, po czym lekko pociągnęła nosem. – No cóż, mnie to się wydawało zabawne.

W dalszym ciągu jechali w doskonałym tempie. Wszyscy byli zadowoleni ze spotkania z upartymi, choć bardzo przyjaznymi Yiwami, dzięki którym znali teraz kierunek podróży, choć w przybliżeniu. Przy najmniej, myślała Barrissa, nie galopowali bez celu po otwartym stepie w nadziei, że wpadną na wędrujący nadklan. Wskazówki Mazonga były dokładne, choć wciąż musieli brać poprawkę na ciągle wędrowki Borokiich. Zastanawiała się, czym ich rytuały i obyczaje różnią się od Yiwów. Kyakhta mówił, że pomiędzy licznymi klanami Alwarich istnieją duże różnice.

Jechali cały czas na północ. Wreszcie przewodnicy zarządzili postój. Barrissa rozejrzała się wokół z wysokości siodła. Horyzont w każdym kierunku wyglądał tak samo dziś, jak i kilka dni temu. Niekończące się trawy, falujące pola rodzimych zbóż, z rzadka przetykane kępami niewielkich drzew, zagłębieniami pełnymi wody i odosobnionymi pagórkami. Żadnych budynków, niczego wyższego od suubataro stojącego na tylnych i środkowych nogach. Padawanka była ciekawa, po co Kyakhta i Bulgan zatrzymali grupę i dlaczego wydawali się mocno wystraszeni.

– Co się stało? – Luminara i Obi-Wan Kenobi wysunęli się naprzód, żeby wypytać przewodników. Dokładne rozejrzenie się na wszystkie strony nie oświetliło ich ani trochę bardziej niż ich równie zdziwionych padawanów. – Dlaczego się tu zatrzymujemy?

– Słuchajcie uważnie. – Obaj Alwari pochylili się w siodłach, nadstawiając uszu.

Luminara i jej towarzysz zamilkli. Ciszę maciły tylko stłumione odgłosy zucia suubatarów, skubiących dojrzałe kłosa dzikich zbóż, nieustający szmer wiatru w trawie i kłótlive nawoływania się miękko skrzydłych arthropodów, polujących na kilki.

A potem mistrzyni usłyszała. Najpierw był to tylko cichy, jak echo wiatru, równomierny i rozdzierający dźwięk, nadchodzący z północy. Stopniowo przechodził w coraz głośniejsze buczenie, wciąż stłumione, lecz złowroźnie narastające. Luminara długo wpatrywała się w kierunek, z którego dochodził dźwięk, i przez chwilę wydawało jej się, że widzi tam zarysy niskiej, ciemnej chmury.

Suubataro zaczęły tańczyć w miejscu, odrzucając w tył spiczaste głowy i waląc w ziemię środkową i przednią parą nóg. Luminara z trudem opanowała wierzchowca. Jednocześnie Kyakhta wytrzeszczył oczy z przerażenia.

– Kyreny! – jęknął rozpaczliwie.

– Szybko, przyjaciele! – Bulgan uniósł się w siodle, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. – Musimy znaleźć schronienie.

– Schronienie? – Obi-Wan, siedząc spokojnie, ogarnął wzrokiem najbliższe otoczenie. – Tutaj?

– Przed czym? – chciała się dowiedzieć Barrissa. Teraz ona także słyszała i widziała nadlatującą chmurę. – Co to jest kyren?

Bulgan zbliżył się do jej suubatara.

– To latające stworzenie, które podróżuje po stepach Ansionu. Migruje z jednego regionu do drugiego, zależnie od pory roku. – Wskazał na ziemię. – Kiedy trawy na jednym obszarze dojrzewają i kłosa na każdym źdźble robią się ciężkie od ziarna, kyreny ruszają w podróż, jedząc do syta. Następnie osiadają na jakiś czas, by odpocząć i rozmnożyć się, a kiedy młode dorosną, znów wylatują w dalszą drogę w poszukiwaniu pożywienia.

Barrissa popatrzyła w kierunku zamglonego cienia na horyzoncie.

– To przecież nie może być jedno stworzenie...

– Bo nie jest – wyjaśnił z obawą Bulgan. – Jest ich tam znacznie więcej.

– Nie wiem, o co tu chodzi. – Anakin podjechał do nich, by przyłączyć się do rozmowy. – Czego możemy się obawiać ze strony stada ziarnożerców? Przecież one naprawdę jedzą tylko ziarno, prawda? – upewnił się na wszelki wypadek.

Na twarzy przewodnika pojawił się dziwny wyraz, jakiego jeszcze nie widzieli u tego długogrzywego Ansionianina o wypukłych oczach i pojedynczym nozdrzu.

– Ziarno jedzą najchętniej, to fakt. Ale kiedy już się wzbiją w powietrze, nie są w stanie zmienić kursu... albo po prostu nie są tym zainteresowane. Nawet nie wzniosą się wyżej, aby wyminąć nieoczekiwaną przeszkodę na drodze. – Z trudem przełknął ślinę. – O skały się rozbija, drzewa zetną lub połamią. Jeśli chodzi o hutle, suubatary, sycjeny i inne żywe istoty, przeżerają się przez nie na wylot. Chyba że tym zwierzętom uda się znaleźć jakieś schronienie albo uciec im z drogi.

– Hutle? Suubatary? – cicho zapytała Barrissa. – A... ludzie?

Jakoś nie była zdziwiona, gdy Bulgan poważnie skinął głową.

Dłoń Anakina powędrowała do pasa.

– Mamy miecze świetlne i inną broń. Czy nie możemy się przed nimi obronić? A w ogóle, jakie to jest duże?

Bulgan podniósł obie dłonie o długich palcach i umieścił je po obu stronach głowy.

– Mają mniej więcej taką rozpiętość skrzydeł.

– Tylko tyle? – Anakin zmarszczył brwi. – Nie rozumiem, czemu z Kyakhtą tak się martwicie.

– A ile ich tam jest? – dopytywała się Barrissa. – W przeciętnym stadzie?

Przewodnik opuścił dłonie i spojrzął na nią.

– Nikt nie wie. Nikt nie pozostał na miejscu dość długo, aby policzyć przeciętne stado. – Wskazał na północny horyzont, teraz wyraźnie ciemniejszy. – Ale sądzę, że to jest coś więcej niż przeciętne stado.

– A ty jak myślisz? – Palce prawej dłoni Anakina wciąż błąkały się w okolicy miecza świetlnego. – Ile tych zwierzątek mamy przed sobą według ciebie?

Bulgan odwrócił się w siodle i jeszcze raz przyjrzał się horyzontowi.

– Nie jest to wielka liczba, ale wystarczająca, aby stanowić poważne niebezpieczeństwo, jeśli szybko nie znajdziemy schronienia. Powiedziałbym, że nie więcej niż sto, dwieście milionów.

Anakin odsunął dłoń od miecza.

– Sto milionów? Sto albo dwieście? – Jedyne schronienie w okolicy była kępa trzech smętnych drzew wolgiń, samotnie stojących na prawo od nich. Nie dawały dużo cienia.

– Tędy! – Kyakhta wskazał palcem w lewo i popędził suubatarę w tym kierunku. Rycerze Jedi pognali w jego ślady. Padawanowie zamykali kawalkadę.

Barrissa z trudem ukrywała niepokój. Zamiast uciekać, pędzili wprost w nadlatującą chmurę. Stado kyrenów i grupa jeźdźców zbliżali się do siebie coraz bardziej. Padawanka nigdy w życiu nie widziała kyrena, ale wierzyła, że Kyakhta dostrzegł schronienie bardziej namacalne niż miraż i solidniejsze od pobożnych nadziei.

ROZDZIAŁ

10

Po kilku minutach morderczego pędu, wciąż jeszcze nie można było rozróżnić pojedynczych kyrenów, ale ich połączony wrzask pochłonał wszystkie inne odgłosy stepu. Stado shanhów, zwykle nieustraszonych, pędziło w popłochu w przeciwnym kierunku. Groźne drapieżniki były śmiertelnie przestraszone. Bały się stworzeń, które na śniadanie chrupią nasionka, podsumowała Luminara. Małych, lekkich, skrzydlatych stworzonek, żywiących się trawami, z których każde zmieściłoby się na jednej dłoni. Widok uciekających shanhów był deprymujący. Mistrzynie zgodnie z poleceniem popędziła suubatara, starając się nie zostać w tyle. W naturze były zjawiska, którym nawet mistrz Mocy nie był w stanie stawić czoła. Jeden kyren – bez problemu. Tuzin, z pewnością. Kilkaset, zapewne. Kilka tysięcy? Trudno powiedzieć. Jednak sto milionów czegokolwiek to zbyt wielka liczba, by mogła stawić jej czoło nawet większa grupa Jedi. Nawet jeśli przeciwnicy byli tylko małymi, latającymi istotami o miękkich ciałach i skłonności do ziarna.

Zanim zauważyła, dokąd prowadzi ich Kyakhta, połączony wrzask milionów i milionów kyrenów prześwidrował jej bębenki na wylot. Zasłoniły już słońce, jak niespodziewane zaćmienie, a ich smród był tak przenikliwy, że pozbawił Luminarę węchu i przyprawił ją o zawroty głowy. Z ponurą miną ścisnęła wodze i nie wyjmowała stóp ze strzemion. Jedną ręką chwyciła skraj szaty i zasłoniła nią twarz, żeby odciąć się trochę od kurzu i odoru.

– Tędy! – Przebijając wzrokiem gęstniejący mrok; ledwo słyszała krzyk Kyakhty i nie miała pojęcia, dokąd ich prowadzi.

Z półmroku przed nimi wyłoniło się wysoko sterczące ponad trawę, chaotyczne zbiorowisko pochyłych filarów i kolumn. Ich barwa wahała się od jasnego beżu do ciemnego brązu; najbardziej przypominały grobowce istot nie z tego świata, rozrzucone w sercu otwartego stepu. Porównanie nie było zachęcające. Każdy taki słup miał kształt nierównego trójkąta, zakończony szpicem. Nie wszystkie stały pionowo. Niektóre wyrastały z ziemi pod dziwnym kątem, inne leżały połamane i strzaskane.

Później Luminara dowiedziała się, że były to kopce jijitów, malutkich stworzonek żyjących w ziemi i karmiących się korzonkami różnych gatunków traw. Kopce składały się z mikroskopijnie małych kamyczków połączonych naturalną zaprawą, wydzielaną przez specjalnie dobranych robotników jijitów. Filary służyły do odprowadzania gorącego powietrza z tuneli mieszkalnych pod powierzchnią, chłodziły śródowisko jijitów. Stanowiły one również wieże strażnicze, z których dalekowzroczne jijity obserwowały otaczające równiny oraz blakających się bez celu przedstawicieli własnego gatunku. Nie były owadami, przypominały raczej jakiś rodzaj gadów.

Teraz nie było widać czworonożnych strażników, obserwujących równinę czerwonymi, wąskimi oczami. Już dawno spostrzegły nadlatujące kyreny i wraz ze swymi braćmi przeniosły się głęboko pod ziemię, do swoich rojnych kurhanów, doskonale zabezpieczonych przed nadlatującym rojem.

Luminara z wielkim wysiłkiem zmusiła pędzącego suubatarę do zwolnienia kroku, by nie minął w pędzie zbiorowiska filarów. Kyakhta, krzyżąc, aby go usłyszano, wyjaśnił, że muszą się podzielić na dwuosobowe grupy, ponieważ nawet największa z kolumn nie pomieści więcej osób.

Obi-Wanowi nie podobał się ten pomysł, ale nie miał wyboru ani czasu na dyskusje. Mogli oczywiście pozostać razem, wspierając się i pomagając sobie nawzajem, ale to oznaczałoby przywiązanie wierzchowców oddzielnie, bez opieki i kontroli jeźdźców. Zsiedli pospiesznie.

– Jeśli jeden suubatar spanikuje, reszta może pognąć za nim – wyjaśnił Bulgan, przysuwając usta do ucha Luminary, żeby go usłyszała. – To wspólna cecha wszystkich stadnych zwierząt na stepie. W ocenie niebezpieczeństwa polegają na reakcjach pozostałych członków grupy. A jeśli jesteś potencjalną ofiarą, lepiej dać nogi za pas niż zostać, aby samemu ocenić sytuację.

Mocno chwycił wodze własnego suubatarę.

– Jeśli nie zostaniemy ze zwierzetami, możemy je stracić. – Zwrócił się do Obi-Wana. – Wiem, że możecie skontaktować się z Cuipernam

i wezwać pomoc, ale nawet uzbrojony śmigacz nie zdoła się przebić przez stado kyrenów. To nasza jedyna szansa.

Luminara dała znak, że rozumie.

– Nie sądzę, abyśmy mieli czas na wzywanie pomocy. Dobrze, Bulganie, podzielimy się.

Szybko ocenili sytuację, nie marnując słów. Luminara chciała zostać z Barrissą, a Anakina umieścić z Obi-Wanem, ale większy sens miało połączenie każdego z padawanów z doświadczonym przewodnikiem. Mistrzowie Jedi mieli zabrać swoje zwierzęta za największy ze sztucznych filarów. Choć odległość między kolumnami była niewielka, wszyscy boleśnie odczuwali konieczność rozłąki.

Jak tylko Luminara z Obi-Wanem zdołali przekonać zwierzęta, by położyły się za brązowym słupem, sami także poszukali schronienia, ciasno tuląc się do siebie w środku trójkątnego filara. Wodze suubarów owinęli wokół podstawy kolumny i zabezpieczyli w sposób, jaki zdążył pokazać im Kyakhta. Kiedy wszystko było gotowe, Luminara stwierdziła, że chce jej się śmiać. Jej towarzysz od razu to zauważył.

– To miło, że znalazłaś w naszej sytuacji coś wesołego. Jeśli to nie tajemnica, sam też chętnie bym się pośmiał.

Luminara nachyliła się do mistrza, z trudem przekrzykując ogłuszający skrzek, który rozbrzmiewał już prawie nad ich głowami.

– Lata ciężkiej nauki, spędzone na opanowywaniu niezliczonych umiejętności, przemierzanie galaktyki wzdłuż i wszerz w służbie Republiki, podziw współbraci... i oto jestem tutaj, chowając się za kamieniem i gapiąc na tłuste zadki obcych zwierząt.

Kiedy Obi-Wan stwierdził, że istotnie siedzi przyciśnięty do kamienia i wpatruje się w parę potężnych zwierzęcych zadów, także nie mógł opanować śmiechu.

Niebo było teraz ciemne jak w pochmurny zmierzch. Coś plasnęło cicho za plecami ściśniętych Jedi. Potem drugi raz i trzeci, coraz szybciej i szybciej. A potem rój znalazł się tuż nad ich głowami i płaszczyzna zmieniła się w równomierne, głucho dudnienie. Luminara w myśli dziękowała małym kopaczom, których nawet nigdy nie widziała. To dzięki ich ciężkiej pracy podróżni mieli się gdzie schronić i przeżyć.

Ale jak długo? Łomot uderzających w filar kyrenów narastał, aż wreszcie mieszanina kamieni i cementopodobnej śliny zaczęła drżeć pod ich naciskiem. Jak wielkie było to stado? Czy ten i pozostałe filary, chroniące ich towarzyszy, zdołają przetrzymać uderzenia tysięcy kyrenów rzucających się bezmyślnie na ich ściany?

Czarne kształty, liczone w setkach milionów, przelatwały obok z zawrotną prędkością. W tłoku drobnych ciał trudno było wypatrzeć pojedyncze osobniki. Stado wyglądało jak cyklon skrzydeł, oczu i rozwartych pysków. Coś uderzyło Luminarę w prawą kostkę. Jedi podrywała się z lekkim okrzykiem. Obi-Wan pochylił się i delikatnie podniósł oburącz trzepoczące, podskakujące stworzenie. Drgało jeszcze przez chwilę z połamanymi skrzydłami i zmiażdżonym ciałem, zanim znieruchomiało mu w dłoniach.

Było prawie całkiem czarne i miało cztery błoniaste skrzydła o rozpiętości stulonych dłoni Jedi: jedna para wyrastała na wysokości żeber, druga para sterczała z grzbietu. Nic dziwnego, że może tak długo lecieć, pomyślała Luminara. W razie potrzeby może szybować na dolnych skrzydłach, górnymi nabierając szybkości. Każde skrzydło zdobiła jaskrawożółta plama, być może rodzaj znaku rozpoznawczego dla braci w powietrzu. Zamiast nóg stworzenie miało dwa grube, puszyste futrzane wątki, biegnące pod brzuchem jak płozy sań. Widocznie nie miało ani okazji, ani zamiłowania do pieszych wycieczek.

Metoda masowego żerowania uprawianego przez kyreny znalazła swoje wyjaśnienie w kształcie pyszczka. Szeroki otwór gębowy był od góry i dołu obramowany czymś w rodzaju rogowych grzebieni. W lecącym stadzie stworzenia na samym dole obcinały pożywne kłosa traw nie zatrzymując się, bo dolne, ostre grzebienie działały jak latające sierpy. Kiedy jedno się najadły, kolejna, głodna warstwa zajmowała ich miejsce. Najedzone stwory leciały w środku albo w górnej części stada, spokojnie trawiąc posiłek i ani na chwilę nie przerywając lotu. Chmura kyrenów pozostaje w ciągłym ruchu nie tylko naprzód, ale również wewnątrz grupy.

Kolejny kyren nadleciał, trzepocząc bezradnie i objijając się o podłoże. Jeśli nie zauważać smrodu, jaki wydawały, były to ładne stworzonka o smutnych pyszczkach. Luminara wychyliła się lekko i spojrzała w prawo nad ramieniem Obi-Wana.

– Barriso! Wszystko w porządku? Słyszysz mnie?

Jej wołanie zginęło w szumie skrzydeł. Nie widziała nic poprzez gęstą, nieprzerwaną falę pędzących kyrenów, a ich rozdzierający uszy skrzek zagłuszał wszelkie inne odgłosy. Przypomniała sobie, że Barrisa jest z Bulganem. Luminara nie martwiła się specjalnie o swoją uczennicę, która nieraz już udowodniła, że doskonale potrafi o siebie zadbać. Znajome, lekkie drgnienie w Mocy wskazywało, że jej obecność jest wciąż żywa i silna. Jednak przelotny choćby widok znajomej postaci byłby bardzo krzepiący.

Wydawało się, że siedzą tak wciśnięci w słup jijitów przez cały ranek. W istocie upłynęła nie więcej niż godzina. Suubatary, przytulone do siebie w poszukiwaniu ochrony i spokoju, opuściły żałośnie trójkątne głowy. Kyreny śmigały po obu stronach lub powyżej, zbyt zajęte utrzymaniem się w powietrzu, by skręcić w lewo czy w prawo i skubnąć trawy obok leżących suubatarów.

Kolumny z kamienia były jedyną ochroną zarówno dla ludzi, jak i wierchowców, ale i one zaczęły drgać pod uderzeniami setek samobójczych ataków. Stłoczone ciasno w stadzie, kyreny nie miały wolnej przestrzeni ani po bokach, ani od góry, gdzie przytłaczały je tysiące współbraci. Pozbawione możliwości ucieczki, uderzały w kamień, ponosząc śmierć niejako instynktownie, nie zaś z chęci popełnienia zbrojowego samobójstwa. Nie umierały z własnej woli – po prostu nie miały dokąd uciec. Niebo było nimi zatłoczone.

Po chwili odgłos małych ciał uderzających o kolumnę zaczął cichnąć, choć zamieć czarnych kształtów przelatywała obok z niezmienną intensywnością. Wreszcie i ten dźwięk prawie ustał. Wkrótce już tylko tysiące kyrenów mijały słup, potem setki. Niebo pojaśniało, czerń ustępowała miejsca błękitowi. Pojawiło się kilka chmur. Z prawej strony Obi-Wan znów widział skulone postacie Barrissy i Bulgana, siedzących pod niewzruszoną tarczą jijitów.

Zaledwie ostatni maruderzy przelecieli, wściekle trzepocząc skrzydłami, aby dogonić główne stado, podróżni opuścili swoje schronienia, by spotkać się znowu w radosnej i spokojnej atmosferze. Napięcie i zmęczenie ulotniły się w obliczu ulgi, jaką odczuwali. Nikt nie ucierpiał, choć ciekawski Anakin dostał kyrenem w twarz, kiedy wychylił się na ułamek sekundy zza kolumny chroniącej jego i Kyakhtë. Nie wielkie zadrapanie na czole było jedynym śladem, jaki pozostał po jego krótkim na szczęście spotkaniu z lecącym stworzonkiem.

Cóż, przynajmniej się nauczyli, że niebezpieczeństwo nie zawsze nadchodzi od strony potężnych i groźnych, ale również tych małych i często nie dostrzeganych.

Ogromne stado pożywiało się z podziwu godną precyzją. Tylko pod leżącymi suubatarami zostało trochę zgniecionej trawy. Wszystkie inne źdźbła stały pionowo, dokładnie ogolone z dojrzałych nasion. Jak okiem sięgnąć, trawa wyglądała tak, jakby została świeżo skoszona ogromną kosiarką.

Wkrótce też okazało się, dlaczego tak wcześniej ustał odgłos ciał rozbijających się o kamienne słupy. Przy każdym filarze od północy urosła góra martwych kyrenów. Było ich dość, aby utworzyć miękką,

ochronną poduszkę pomiędzy słupem a resztą napowietrznej hordy. Jak zawsze dociekliwy Obi-Wan podniósł jednego, trzymając za zwisające skrzydło i pokazał Bulganowi.

– Zdaje się, że te wielkie stada mogłyby stanowić znakomite źródło protein dla podróżujących nomadów. Czy one nadają się do jedzenia?

Bulgan odpowiedział mu wymownym, pełnym obrzydzenia spojrzaniem jedyne go oka. Wszelkie dodatkowe wyjaśnienia pozostawił Kyakhcie.

– Nawet po ugotowaniu kyren smakuje jak gotowane błoto. – Kyakhta spojrział niepewnie na Obi-Wana. – Czy Jedi chciałby skosztować?

Barrissa zmarszczyła nos z niesmakiem.

– Jedi na ogół wolą sami zdobywać wiedzę... ale w niektórych przypadkach rozumieją, że lepiej jest polegać na doświadczeniu innych. – Z zakłopotaniem obejrzała się na swoją nauczycielkę. – Czy mam rację, pani Luminaro?

– W tym przypadku tak – bez wahania odparła mistrzyni. – Poza tym nie jestem głodna.

Spojrzała w dół, na swoją szatę, oceniając efekty uboczne siedzenia przez godzinę pod stadem kyrenów przelatujących nad głową.

– Wydaje mi się, że najbardziej potrzebna mi kąpiel.

Ani Barrissa, ani Anakin, ani nawet obaj przewodnicy nie mieliby chyba nic przeciwko temu.

Wszyscy wyglądali żałośnie, nie wspominając już o odrażającym smrodzie. Barrissa pocieszała się tylko, że odchody kyrenów nie są toksyczne. Nic dziwnego, że kiedy następnego dnia odkryli czysty strumień wijący się dnem płytkiej kotliny, nie mogli się oprzeć pokusie.

Zanim ich pracodawcy rozebrali się do bielizny i weszli do wody – Anakin, Barrissa i Luminara radosnym biegiem, Obi-Wan powoli i z godnością – przewodnicy uwolnili cierpliwe suubatary od ładunku i warstwy brudu. Dopiero wtedy również weszli do rzeki, pędząc przed sobą wysokie wierzchowce. Suubatary bez trudu utrzymywały nad powierzchnią długie pyski. Dotarły na sam środek rzeczki, całkowicie zanurzając zbrukane, cuchnące ciała w oczyszczającym nurcie.

Dwunożni uczestnicy wyprawy zostali na płyciźnie, myjąc się i rozmawiając. Luminara rozkoszowała się ciepłą wodą w płytkim zagłębieniu; wreszcie czysta, mogła się położyć na rozgrzanym słońcem piasku i pozwolić, aby strumień łagodnie omywał jej zmęczone ciało. Choć Jedi byli szkoleni do wytrzymywania nawet najtrudniejszych warunków,

nie oznaczało to, że odmawiali sobie wszelkich przyjemności. Jasne, że nie jest to pachnąca kąpiel w najwyższej klasy hotelu na Coruscant, myślała leniwie Luminara, patrząc jak coś małego, niebieskiego i nieszkodliwego przemyka obok w czystej wodzie, ale po długich dniach spędzonych na grzbiecie suubataru odpoczynek w jasnym słońcu i czułych objęciach przejrzystej wody był niczym okno do rajów.

Niedaleko niej rozległy się wybuchy śmiechu. Obi-Wan stał pomiędzy dwoma przewodnikami i, korzystając z Mocy, kierował fontannę rzecznej wody na boki pary suubatarów, które wyszły na płyciznę. Zwierzęta kiwały głowami w górę i w dół, najwyraźniej ogromnie zadowolone. Ich szczupłe, muskularne ciała falowały pod orzeźwiającym masażem wodnym.

Nieco dalej Anakin i Barrissa próbowali naśladować Obi-Wana, tyle że zamiast kierować napędzane Mocą strumienie wody na brodzące suubatary, dwoje padawanów zaczęło oblewać się wzajemnie. Luminara usiadła, wciąż zanurzona po pas. Uśmiechała się do siebie. Gdyby tylko mistrz Yoda mógł zobaczyć, jaki użytek robi się z jego nauk!

Jesteś często zbyt poważna, zgaśniła się w duchu.

Znów położyła się w wodzie i obserwowała pojedynczą, puszystą chmurkę, która wędrowała spokojnie po szafirowym, czystym niebie. Pewna, że jej towarzysze są zajęci i nikt nie patrzy, zaczęła najpierw ostrożnie, potem z coraz większym zapałem sprawdzać, jak wysoko potrafi wyrzucić wodę prawą stopą.

Przewodnicząca Gildii Kupieckiej mogła, dzięki swojemu bogactwu, zarządzać legionami służby, tysiącami pracowników i dziesiątkami ochroniarzy. Liczne przedsięwzięcia prowadzone przez jej ludzi rozsiane były w całej cywilizowanej galaktyce, od jednego krańca Republiki po drugi. Przez wszystkich, nawet przez najzagorzalszych konkurentów, uważana była za osobę o niezwykłej inteligencji i przenikliwości. Zazwyczaj już kilka minut rozmowy wystarczało jej, aby rozpoznać i ocenić przeciwnika lub przyjaciela.

Na przykład senator Mousul. Utalentowany, ale próżny, lojalny, ale samolubny. Trzeba go przez cały czas pilnować. Co nie znaczy, że Shu Mai uważała go za niepewnego. Senator siedział w tym już zbyt głęboko i zbyt wiele położył na szali, by się wycofać. Shu Mai widziała go w akcji w senacie. Mousul potrafił być fascynującym mówcą. Poza senatem, poza swoim oficjalnym, wpływowym stanowiskiem, był tylko jeszcze jednym Ansionianinem – i dlatego należało go pilnować.

Co ważniejsze, mieli ten sam pogląd na to, co czeka chorą, chwiejącą się Republikę. Przy politycznym wsparciu senatora i sojuszy, z pomocą finansowych i handlowych zasobów Gildii Kupieckiej, nie było dla nich rzeczy nieosiągalnych. Ale jeszcze nie teraz. Republika wciąż jest silna, a jej odwieczne instytucje jeszcze nie osłabły na tyle, by je ignorować.

W sprawach politycznych Shu Mai chętnie wysługiwała się senatorem, choć nie zawsze. Szanowała opinie swojego sojusznika, podobnie jak Mousul wierzył, że przewodnicząca Gildii Kupieckiej słucha uważnie jego rad. Ale senatorowi zdarzało się czasem zapomnieć, że w tym układzie to on był młodszy o kilka stopni w hierarchii. A choć Mousul świetnie sobie radził przy zjednywaniu kolegów po fachu, cieszył się, że to właśnie Shu Mai kontaktuje się z niewidzialnym osobnikiem, którego interesy reprezentowali.

Pojazd wodny, na którym teraz odpoczywali, dryfował swobodnie po jeziorze Savvam, wspaniałym zbiorniku wodnym, zresztą sztucznym podobnie jak wszystko inne na Coruscant. Nad jeziorem istniało prywatne miejsce rozrywek dla najbogatszych, pod osłoną drzew i genetycznie zmienionych kwiatów, kwitnących przez cały rok, napełniających powietrze mieszaniną najróżniejszych zapachów. Inne statki dostojnie krążyły w pobliżu, niektóre większe, niektóre mniejsze od statku Shu Mai. Mogła przyćmić ich wszystkich, ale wołała trzymać się w cieniu. Byli sami. Żywa służba ma uszy, których używa. Roboty pilotujące – nie.

– Nasi zwolennicy zaczynają się niecierpliwić. – Mousul pozwolił, by słońce ogrzewało mu pierś. Jego promienie były starannie prze-filtrowane przez niepozorny, polaryzowany ekran wiszący nad statkiem. – Martwi mnie zwłaszcza Tam Uliss. Niełatwo się z nim rozmawia, znacznie gorzej niż z nieszczęsnym Nemrileo.

– Niecierpliwość to choroba potencjalnie śmiertelna. – Shu Mai odwróciła się na lewy bok, wzięła do ręki szklanke z napojem orzeźwiającym i z upodobaniem zaczęła sączyć jej zawartość. – Jeśli wierzyć w to, co mi mówisz, wydarzenia na Ansionie rozwijają się w sposób całkowicie przewidywalny i z rozsądną szybkością. To tamci muszą się nauczyć, jak powstrzymać własną impulsywność.

– Nie jest łatwo powstrzymać ludzi, którzy nawrócili się na nowe idee, sama wiesz.

Shu Mai uniosła szklanke i spojrzała przez przezroczystą ciecz, która zabarwiała światło słoneczne na złoty kolor.

– To twoje zadanie, przyjacielu. Ja zajmuję się gildią, a ty masz trzymać za twarz lokalnych polityków i biznesmenów. Zaczniemy, kiedy przyjdzie czas.

Mousul sprężył się wewnętrznie, słysząc ten rozkazujący ton. Nadal jednak uśmiechał się i kiwał głową. Na razie rządzi Shu Mai. Niech sobie śni swój sen o wielkości. Po secesji Ansonu i wybraniu Mousula na gubernatora sektora ich pozycje ulegną odwróceniu. Wtedy to Shu Mai ze swoją gildią przyjdzie po prośbie. Spokojnie spojrzął w oczy niższej towarzysze.

– Jedi komplikują sprawę. Cokolwiek myśli Uliss i inni, nie nie wyjdzie z oficjalnego głosowania, dopóki nie załatwimy Jedi. Pozostają w stałym kontakcie z naszym agentem i dosłownie wczoraj zapewniono mnie, że goście będą zneutralizowani.

– Lepiej, żeby tak było. – Shu Mai usadowiła się wygodniej w fotelu. – Gdyby jeszcze udało się przekonać rycerzy Jedi do naszego sposobu myślenia... Uprościłoby to bardzo całą sprawę.

– To się nie uda. – Mousul palcem zamieszał drinka, uwalniając kilka narkotyków z opóźnionym działaniem. – Jedi nie da się przekonać.

Przewodnicząca Gildii Kupieckiej wzruszyła ramionami.

– Może nie wszyscy są takimi twardzielami, jak sądzisz.

Mousul zamrugnął zdziwiony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czas pokaże. Tymczasem wydarzenia na Ansonie będą się rozgrywać we własnym tempie. My zaś musimy czekać i przekonać innych, by czekali wraz z nami. – Pociągnęła długi łyk własnego napoju, wolnego od narkotyku.

Mousul mruknął coś i zamilkł. Biznesmeni, tacy jak ten nerwus Tam Uliss, po prostu tego nie rozumieją. Co prawda życie jest krótkie, a okno, przez które można dokonać wielkich rzeczy, szybko się zamyka, ale niczego nie można przyspieszać. Zbyt nagły ruch byłby ryzykowny dla całej operacji. Jeśli tylko Uliss i reszta zechcą okazać cierpliwość, przyszłość zostanie im podana na tacy.

Głęboko pod spiskującą parą, grzejącą się w błogim słońcu Coruscant, tysiące nieszczęsnych istot harowało w kompleksie dwustupiętrowych budynków, których dach tworzyło jezioro znane jako Savvam.

Gdyby nie misja, podróżnicy z pewnością spędziliby w spokojnym obozowisku kolejną dobę. Niestety, jak zwykle, czas gonił, a obowiązki wzywał.

Droga zalecana przez Yiwów doprowadziła ich do łańcucha wysokich wzgórz, który ciągnął się nieprzerwanie przez cały północny horyzont. Kyakhta i Bulgan nie znali ich nazwy, ale kilka wzniesień było dość wyso-

kich, aby je nazwać górami. Łagodne stoki, z rzadka tylko poprzecinane klifami, choć pełne wrytych przez wodę żlebów i szczelin, nie stanowiły najmniejszej przeszkody dla cudownie zwinnych, długonogich suubatarów. Aby jednak oszczędzać czas i siły wierzchowców, podróżnicy postanowili jechać jedną z krętych szczelin, które przecinały łańcuch. Żadna z nich nie miała szczególnie stromych zboczy, przypominały raczej dolinę niż jar. Luminara stwierdziła, że to stare góry, dawno zżarte przez erozję.

Jadąc obok Kyakhty, zauważyła, że przewodnik jest niezwykle spięty:

– Widzisz coś, co cię niepokoi, Kyakhto?

– Nie, pani Luminaro. Ale Alwari nie lubią tego rodzaju terenu.

Wolimy płaskie powierzchnie, trawiaste równiny, otwarte przestrzenie. Urodzeni na rozległych stepach, źle się czujemy w zamkniętych miejscach. – Wskazał łagodne, pokryte trawą zbocze po lewej. – Mój umysł podpowiada mi, że nie ma tu wielu miejsc, gdzie można by się ukryć, oczy mówią, że nie widać żadnych zagrożeń, ale serce moje jest pełne lęków, wpajanych od dzieciństwa, kiedy moja grzywa była tylko niedojrzałym puchem rosnącym mi na grzbiecie. Stare przyzwyczajenia niełatwo umierają.

Luminara przyjrzała się uważnie zboczu.

– Jeśli to cię pokrzepi, ja także nie widzę tam zagrożenia – pocieszyła przewodnika.

Tego zagrożenia nie można było zobaczyć. Najwyżej wyczuć.

Spływający wzdłuż falujących wzgórz, wszechobecny wiatr Ansionu, wpadając w wąskie szczeliny i kaniony, stał się jeszcze mocniejszy. Nie był to jeszcze huragan, ale podróżni musieli zakryć sobie nosy i usta ochronną warstwą tkaniny.

Nagle Bulgan wyprostował się w siodle, przynajmniej na tyle, na ile pozwalał mu zgarbiony grzbiet. Obi-Wan uznał, że coś go zaniepokoiło, ale nie zdążył go o to zapytać.

– Chawix! – krzyknął Bulgan. Ściągnął wodze suubatara i gorączkowo rozejrzał się wokół siebie. Na ostrzegawczy okrzyk przyjaciela Kyakhta błyskawicznie obrócił wierzchowca i rzucił się w kierunku najbliższego z nawisów.

– Szybko do mnie, razem ze zwierzętami!

Luminara, choć sama nie widziała żadnego zagrożenia, pospieszyła w ślad za Kyakhtą. Zaledwie miała czas skłonić zwierzę do przykłęknięcia, aby zsiąść, kiedy przewodnik wyrósł przed nią jak spod ziemi.

– Proszę tu zostać, pani Luminaro. – Obejrzał się przez ramię i skrzywił, kiedy coś przemknęło niedaleko nich. – Tu chyba jesteśmy

bezpieczni, ale jeśli wyjdzie pani dalej, może pani złapać powiew wiatru.

– A co w tym złego? – Opuściła tkaninę z twarzy i spojrzała w kierunku, z którego przybyli. Widziała tylko wąski przesmyk, który właśnie mijali, i zбочa wzgórze po drugiej stronie.

– Może pani złapać powiew wiatru niosący chawix.

Obi-Wan podszedł do nich i, podobnie jak jego towarzyszka, zaczął uważnie studiować pozornie bezpieczny przesmyk.

– Co to za zwierzę, ten chawix?

– To nie zwierzę – wyjaśnił przewodnik. – To roślina.

Kyakhta odwrócił się nagle i przykucnął. Na czworakach zbliżył się do krawędzi szczeliny i pierwszych kamyków rozgrzanego słońcem przesmyku, położył się na brzuchu i dał im znak, aby się zbliżyli.

Leżąc płasko na ziemi, zauważyli, jak mijają ich w podskokach dziecięsiutki wielkich kłębów niemożliwie poplątanych, węzłowatych gałęzi. Były widać lekkie, bo wiatr, nieustannie wiejący przez przesmyk, unosił je i rzucał o ziemię, a one odbijały się, podskakiwały wysoko w powietrze, przelatowały znaczną odległość, żeby znów opaść, odbić się i poszybować w górę.

– Nie jest dobrze, kiedy chawix cię uderzy. – Bulgan przesłiznął się obok leżących Jedi, a dwójka padawanów tuż za nim.

– Pewnie, że to może być nieprzyjemne – zastanawiała się głośno Barrissa. Była zainteresowana, ale niezbyt zadowolona. Pełzanie po twardej, brudnej skale nie należało do jej ulubionych zajęć. – Ale nie rozumiem, dlaczego zaraz wpadać w panikę.

– Może nasi przyjaciele obawiają się, że któryś z tych kłębków mógłby uderzyć suubatarę w pysk. – Anakin, osłaniając oczy przed kurzem i jasnym światłem, obserwował kule giętkich roślin, w podskokach mijające ich kamienne schronienie. – Wygląda to tak, jakby mogło mieć kolce...

Kiedy obserwowali pędzące kule, z nory po drugiej stronie kotliny wychynał membibi i ruszył pod wiatr, kierując się ku innej norze. Mały czworonożny owadożerca miał bezwłosą, płamistą skórę, długi, podobny do pejsza ogon i nisko osadzoną spiczastą mordkę, która wisiała najwyższej parę centymetrów nad ziemią.

Wirujący chawix, napędzany wiatrem i bez celu tańczący po dnie kotliny wylądował nagle na grzbiecie kicającego membibi. Luminara myślała, że roślina odskoczy od zwierzątka, tak jak przedtem odbiła się od kamiennej powierzchni. Ale nie spodziewała się tego, co po chwili zobaczyła.

Czując bliskość mięsa, roślina wystawiła chyba z tuzin cierni, długości od centymetra do kilkunastu, jak kot wysuwający pazury. Membibi, przebity tymi drewnianymi sztyletami, wydał stłumiony pisk i upadł na bok, konwulsyjnie wierzgając łapkami. W ciągu kilku minut znieruchomiał. Chawix, wczepiony głęboko w ciało zwierzątka, zaczął pożerać martwego membibi. Bezpieczni pod nawisem po drugiej stronie wąwozu widzowie tej sceny obserwowali, jak blade ciernie zabarwiają się na ciemno, wsysając rozpuszczone ciało ofiary.

– Z tego wynika, że chawix to drapieżna roślina, która wykorzystuje wiatry Ansionu, by poruszać się po terenie. – Obi-Wan cofnął się ostrożnie w głąb szczeliny, nie spuszczać wzroku z drogi. – Zdaje się, że nawet para najlepszych gogli nie wystarczyłaby jako ochrona.

– Membibi istotnie zginął dość szybko – zauważyła Luminara.

Siedzący blisko niej Bulgan mruknął:

– Ciernie kryją w sobie mocną truciznę paraliżującą układ nerwowy. Membibi, Ansionianin czy człowiek, dla chawiksa nie ma to wielkiego znaczenia. Dla trucizny też nie.

– Najpierw kyreny, teraz chawix. To już dwa przykłady masowych wędrówek na wietrze, który umożliwia przemieszczanie się w poszukiwaniu pożywienia. – Potrząsnęła głową. – Teraz rozumiem, dlaczego na równinach Ansionu spokojny dzień jest dla Alwarich powodem do świętowania.

– W miastach bylibyśmy bezpieczniejsi – przyznał Kyakhta. – Ale nie tak wolni. I nie bylibyśmy Alwarimi.

Bulgan dał znak, że się zgadza.

– Wolę żyć wolny pośród zasadzek pustyni niż bezpieczny w ciąsnym, śmierdzącym domu w Cuipernam. W mieście zresztą też jest niebezpiecznie.

Jego przyjaciel syknął z aprobatą.

– Na otwartych równinach nie ma Huttów. Strasznie bym chciał, żeby Soergg spotkał się z kilkoma latającymi chawiksami. Na nim urosłyby wielkie jak drzewa!

– Ten Soergg Hutt... – wtrąciła Luminara – ten, który wam kazał porwać Barrissę... czy on wam kiedykolwiek powiedział, po co jej potrzebował?

Alwari wymienili spojrzenia.

– Wtedy nasze umysły pracowały inaczej, ale nie, nie sędzę, żeby wspomniał, po co mu ona.

Bulgan potwierdził odpowiedź przyjaciela.

– Myślałam, że chodzi o to, żeby zgarnąć okup. Zazwyczaj po to się właśnie ktoś pyrywa, no nie?

- Nie zawsze. A ty, Obi-Wanie? Co o tym sądzisz? – spytała.
Drugi Jedi wyglądał na jeszcze bardziej zadumanego niż zwykle.
- Wiemy, że są ugrupowania, które chętnie widziałyby klęskę naszej misji, bo z całego serca pragną secesji Ansionu od Republiki. Najpierw zaatakowano ciebie i Barrisę, potem ci dwaj dostali rozkaz jej porwania.
- Niekoniecznie jej. – Bulgan wskazał palcem padawanę Luminary. – Mieliliśmy zabrać obojętne którego ucznia.
- Obi-Wan niecierpliwie machnął ręką.
- Na jedno wychodzi. Hutt nie miałby odwagi zdrzeć z zakonem, gdyby nie zamierzał wyciągnąć z tego znacznego zysku. A z tego wynika interesujące pytanie: kto zapłacił Soerggowi za zorganizowanie porwania, a prawdopodobnie także napaści na ciebie i Barrisę?
- Nie mamy dowodu, że stał za tym Hutt – zauważyła Luminara. – Ale to całkiem logiczny wniosek.
- Obi-Wan skinął głową.
- Dwa razy próbowali nas powstrzymać, a więc należy sądzić, że próbują znowu. Musimy uważać na każdy krok, kiedy wrócimy do Cui-pernam.
- Interesuje cię, kto może być zleceniodawcą Hutta, Obi-Wanie. – Luminara zastanawiała się, obserwując ostatnie chawiksy mijające ich ukrycie. – Pośród secesjonistów jest wiele potężnych osób. Zdaje się, że niektóre z nich urosły w siłę bardziej niż inne. Gdybyśmy się dowiedzieli, kto wynajął Hutta, moglibyśmy oskarżyć ich przed senatem. A to tylko przysporzyłoby kłopotów ich sprawie.
- Mistrz westchnął lekko.
- Luminaro, bardziej ufasz senatowi niż ja. Po pierwsze, zaraz stworzyliby komisję do rozpatrzenia oskarżenia. Następnie komisja wydałaby raport. Raport poszedłby do nadkomisji, która na jego podstawie przygotowałaby komentarz. Komentarz odleżałby swoje do czasu, aż senat znajdzie czas na głosowanie nad raportem. Po głosowaniu, zależnie od wyników, przedstawiono by zalecenia... albo nakazano komisji od początku zająć się raportem. – Spokojnie popatrzył jej w oczy. – A do tego czasu Ansion i jego sojusznicy odłączyliby się od Republiki i stworzyli własny rząd, wybuchłaby wojna domowa, Ansion podzieliłby się i zreformował. Aby doczekać ostatecznego wyniku, trzeba by chyba żyć tyle, co mistrz Yoda.
- Stojący obok Anakin w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Wiedział, że mistrz Obi-Wan ma rację. Wystarczy przedstawić sprawę senatowi, aby nigdy nie została załatwiona. Doszedł do wniosku, że właś-

nie w tym najlepsi są Jedi: w załatwianiu spraw od początku do końca. Nie zważali na wyniki bezsensownej, ciągnącej się bez końca debaty senackiej. Czysty miecz świetlny zawsze przewyższa skutecznością mętłą gadaninę.

Odsunął się nieco od pozostałych, oparł o ścianę nawisu i bez zainteresowania gapił się na śmiercionośne rośliny, które mijaly go w podskokach. Było ich zresztą coraz mniej. Wkrótce grupa wędrowców będzie mogła ruszyć dalej. Barrissa zauważyła jego izolację i podeszła, żeby mu przeszkodzić.

– Nie interesują cię poruszane wiatrem mięsożerne rośliny? Nie-wielu tak szybko znudziłyby cuda innego świata, Anakinie.

Zerknął na nią.

– Nie o to chodzi, Barrisso. Mam inne sprawy na głowie. – Wyprostował się i odsunął od ściany. – Chyba po prostu bardzo chciałbym skończyć już z tym zadaniem.

Ruchem podbródka wskazał na wąwóz.

– Gdybyśmy mieli śmigacz, nie musielibyśmy się przejmować czymś takim jak chawix. Kyrenami owszem, ale nie chawiksem. – Pomacał się po kręgosłupie. – I tyłek by mnie tak nie bolał...

Ukryła uśmiech.

– Masz źle dopasowane siodło?

– Cały ten świat jest do mnie źle dopasowany. Chciałbym być całkiem gdzie indziej.

– Gdzie indziej... Dziwnie to brzmi: gdzie indziej. Słyszałam wiele o tym „gdzie indziej”.

Twarz mu się zmieniła.

– Teraz się ze mnie nabijasz.

– Nie, wcale nie – odparła z naciskiem, ale jej ton i wyraz twarzy niewiele mówiły. – Po prostu czasami wydaje mi się, że jak na Jedi, jesteś za bardzo skoncentrowany na sobie. Trochę zanadto skupiasz się nad tym, co jest dobre i ważne dla Anakina Skywalkera, w porównaniu z tym, co jest dobre dla twoich kolegów i dla Republiki.

– Republika! – Popatrzył na starszych Jedi, którzy rozmawiali teraz z przewodnikami. – Powinnaś słyszeć, co mistrz Obi-Wan czasami mówi o Republice. O tym, co się z nią dzieje, co się dzieje w rządzie.

– Mówisz o dyskusjach na temat ruchów secesjonistycznych?

– O tym i o innych rzeczach też. Nie zrozum mnie źle. Mistrz Obi-Wan jest prawdziwym Jedi. Wierzy we wszystko, co Jedi sobą reprezentują i co robią. Jeśli dobrze rozumiem, nie ma to nic wspólnego z wiarą w obecny rząd.

– Rządy się zmieniają. To mutujący organizm. – Barrissa nie mogła oderwać zafascynowanego wzroku od chawiksa, który dojadał resztki nieszczęsnego membibi. – I, jak każda żywa istota, rośnie i dojrzewa.

– Lub, jak każda żywa istota, umiera i zostaje zastąpiony przez inny. Wiara w Republikę to nie to samo, co wiara w senat.

– Ach... ta zatłoczona wylegarnia rozgadanych deklamatorów!

Spojrzał na nią z nagłym zaskoczeniem.

– Myślałem, że się ze mną nie zgadzasz.

– W sprawie Republiki i tego, co sobą reprezentuje? Zgadzam się. Ale senat to całkiem inna historia. Anakinie, politycy nie są Jedi, a Jedi nie są politykami. Podlegamy radzie, to jej dyrektywy nas prowadzą, a dopóki się to nie zmieni, obawiam się, że nie podzielę twojego przesadnego cynizmu w ocenie stanu Republiki.

– Wychowywałaś się w innych warunkach niż ja. Nie widziałas tego co ja. – Spojrzał na nią uważnie. – Nie odczuwasz takiej straty jak ja.

– Nie, to prawda – przyznała chętnie. – Nie odczuwam.

Nie była już taka zadziorna, w jej głosie pojawiło się zaciękanie.

– Jak to jest, znać swoją matkę. Wyrastać u jej boku?

Musnął ją w przejściu, kiedy kierował się w stronę pozostałych.

– Trudno opisać uczucie takiej straty. Musisz tylko wiedzieć, że to boli. Lepiej, że nie znasz tego bólu, Barrisso. Nie bierz tego do siebie, ale wolałbym o tym nie mówić. Nawet Jedi mają prawo do odrobiny prywatności. Nawet padawanowie. – Zmusił się do uśmiechu. – No cóż, to było dawno temu. Sprawdźmy, czy nasi przewodnicy uważają, że bezpiecznie jest ruszać dalej.

Chciała go zapytać jeszcze o wiele innych rzeczy, ale miał rację. Przebywając ze sobą tak długo, skazani na siebie Jedi i padawanowie pragnęli pewnej intymności. A choć bardzo była ciekawa i pełna troski, postanowiła to uszanować. W ciągu czasu wspólnie spędzonego na Ansonie Anakin nie uczynił nic, aby musiała zwątpić w jego kompetencje. W zakresie nauk Jedi był równie niezawodnym i świadomym padawanem, jak wszyscy inni, których znała – może trochę bardziej upartym. Denerwowały ją jednak jego wewnętrzne problemy i sprzeczności, którym tylko od czasu do czasu pozwalał się ujawniać.

Nie chciała ani się z nim kłócić, ani go oskarżać. Chciała pomóc. Ale żeby się to miało udać, musiałyby się dla niej otworzyć. Jeśli nie dla niej, to dla Obi-Wana. Najwyraźniej nie tylko pragnął wiernie służyć swemu mistrzowi i zostać prawdziwym Jedi; zależało mu na wielu jeszcze innych sprawach.

Może wraz z upływem czasu stanie się bardziej chętny do zwierzeń, pomyślała padawanka. A ona może na razie obserwować jego zmienne emocje i być przy nim, gdyby potrzebował pogadać z kimś prócz własnego mistrza. Na razie pozostaje dla niej zagadką. Podeszła, aby dołączyć do wszystkich. W każdym razie Anakin z pewnością był jedyny w swoim rodzaju. Jeśli jednak ma nadzieję, że kiedykolwiek stanie się prawdziwym Jedi, będzie musiał najpierw rozwiązać swoje problemy.

Nigdy do tej pory nie spotkała się ze skłóconym wewnątrz Jedi. No, ale również nigdy wcześniej nie spotkała się z Jedi wychowanym przez matkę.

ROZDZIAŁ



Wysyp chawiksów nie trwał długo. Wystarczyło czasu tylko na przekąskę, zaspokojenie pragnienia i krótki odpoczynek, po którym podróżni przygotowali się do dalszej drogi. Barrissa właśnie sadowiła się w siodle, kiedy zauważyła, że jakieś stworzenie grzebie w jukach z zapasami, przerzuconymi przez drugie zagłębienie w grzbiecie suubatara. niespodziewany widok zaskoczył ją do tego stopnia, że zastygła w miejscu.

Istota wyglądała prawie tak, jak każdy Ansionianin: błyszczące, wypukłe oczy, długie, zwinne palce u rąk i nóg były identyczne. Jednak zamiast wąskiej grzywy biegnącej od szczytu głowy wzdłuż kręgosłupa i kończącej się krótkim ogonkiem, intruz był całkowicie okryty krótkim, gęstym, ciemnobrązowym futerkiem, naznaczonym bladożółtymi pasami. W dodatku miał wijący się ogon długości prawie jej ramienia.

A co dziwniejsze, wzrostem sięgał jej ledwie do pasa.

– Hej, zostaw! – wrzasnęła w popularnym ansioniańskim.

Przestraszony okrzykiem intruz poderwał się i spojrzał na nią, nie wypuszczając z ramion trzech opakowanych w plastik pakietów z żywnością. Wydał z siebie zaczepny skrzek, odwrócił się i zeskoczył z grzbietu obojętnego na wszystko suubatara. Barrissa bez wahania zsunęła się z siodła i okrążyła wierzchowca. Gdyby stworzonko zostało tam, gdzie było, znalazłoby się w pułapce pod ścianą nawisu. Nawet gdyby nie zdołała go złapać i udałoby mu się uciec, będzie bardzo łatwe do wyśledzenia na zboczach kotliny.

Kiedy mijała łeb suubatara, ten podniósł mordę i obwąchał ją przyjaźnie, po czym przymknął oczy i odpoczywał dalej. Spodziewała się,

że złodziejaszek będzie na nią czekał przyklepiony do ściany lub spróbuje popędzić do wyjścia. Zamiast tego ujrzała parę pięt znikających pod wystającą półką skalną w pobliżu dna zagłębienia.

Szybkie spojrzenie za siebie utwierdziło ją w przekonaniu, że jej towarzysze rozmawiają lub szykują się do wyjazdu. Jeśli nieproszony gość sądzi, że uda mu się ukryć w dziurze, to się grubo myli. Opadła na czworaki i wcisnęła się tam za nim. Jeśli zdoła chwycić bodaj jedną małą stópkę, z pewnością da radę wyciągnąć go z powrotem.

Nieoczekiwanie dziura okazała się szeroką szczeliną, wiodącą w głąb wzgórza. Z góry wpadało trochę światła. Barrissa zawahała się. Przyłapanie złodzieja w ślepym zaułku to jedno, ściganie go w ciasnym tunelu nie wiadomo jak długim to całkiem co innego. No, ale... potrzebowali tych zapasów. A im dłużej będzie się zastanawiać, tym większa odległość będzie ją dzieliła od złodzieja.

Zdecydowała się nie dać umknąć rabusiowi. Wstała i rzuciła się w pogoń. Jeśli skalna szczelina rozgałęzi się w kilka przejść, będzie musiała zakończyć pogoń i wrócić, pokonana, do swoich towarzyszy. Z drugiej strony, jeśli kończy się gdzieś niedaleko, wtedy dorwie kosmatego bandytę.

Tunel z pewnością został wyżłobiony przez wodę, ale na szczęście nie rozgałęział się na boki. Zwinny intruz nie mógł biec szybko, dzwигając ciężki łup. Nie udało mu się całkiem zniknąć jej z oczu. Zaczęła go już nawet doganiać, kiedy złodziejaszek nagle odwrócił się i rzucił w jej kierunku. Podskakując jak oszalały, obrzucił ją lawiną wściekłych wrzasków, które z trudem tylko rozumiała. Ten dialekt był o wiele trudniejszy do rozszyfrowania niż język miasta, idiomy, jakimi posługiwali się Kyakhta i Bulgan, a nawet uproszczony wariant używany przez wędrownych Yiwów.

– Wracać, wracać, odejść, odejść, zostawić, zostawić! – Oprócz tych pojedynczych słów stworek wyrzucał z siebie z prędkością miotacza całe zdania, których nie potrafiłaby przetłumaczyć, ale mniej więcej rozumiała ich znaczenie dzięki nieprzyzwoitej gestykulacji, która im towarzyszyła. Po dokładnym przemyśleniu sprawy Barrissa stwierdziła, że z pewnością nie miały pochlebnego znaczenia. Obelgi i wyzwiska były jej zresztą całkowicie obojętne.

Bardziej się przejęła tym, że na górnej półce tunelu zebrał się tłumek współplemieńców złodzieja, wrzeszcząc, wymachując rękami i obrzucając ją wyjątkowo paskudnymi epitetami. Ich kolega stał dumnie wyprężony naprzeciwko niej i miał na gębie wyraz niekłamanego tryumfu.

Drobne istoty były zaskakująco podobne do Ansionian. Różniły się tylko proporcjonalnie nieco większymi oczami i sierścią na całym ciele. Mały złodziejasek i jego kamraci najwyraźniej byli przedstawicielami jakiegoś odgałęzienia gatunku Kyakhty i Bulgana, jego karłowatą odmianą. Barrissa rozszyfrowała ich dialekt – pewną odmianę standardowego ansioniańskiego. Przy okazji stwierdziła, że każde stworzenie ma na futrze odmienny wzór.

Szczelina we wzgórzu okazała się rzeczywiście ślepa. I dla złodzieja, i dla ścigającego. Ale to złodziej miał obok siebie grupę sprzymierzeńców. Przyszło jej do głowy, że jej towarzysze nie wiedzą, że ma kłopoty; może nawet jeszcze nie zauważyli, że zniknęła. Pani Luminara będzie niezadowolona. Ostrożnie sięgając po miecz, miała szczerą nadzieję, że niebawem osobiście się o tym niezadowoleniu przekona.

– Hahahhiiiiiii! – Złodziejasek jak szalony skakał wokół, okazując coraz większy entuzjazm i energię. – Tooqui oszukać, oszukać! Teraz ty być w dobra pułapka, ty wielka gołe plecy ciastowata! Zamykane oczy! Lepki smród! Co teraz zrobi?

A, to zależy głównie od tego, co zrobią twoi kamraci, pomyślała. Gdyby spokojnie i powoli wycofała się drogą, którą tu przyszła, czy będą w stanie śledzić ją z góry? A może całkowicie stracą zainteresowanie i zajmą się podziałem łupu swojego sprytnego towarzysza?

Odpowiedź spadła na nią w postaci gradu kamieni. Żaden z nich nie był szczególnie wielki, ale gdyby choć jeden taki trafił ją między oczy, byłoby po niej. Reakcja, wyćwiczona podczas szkolenia, była całkowicie odruchowa. Barrissa uniosła rękę i z całej siły się skoncentrowała.

Rzucane kamienie uderzały w ściany wąskiego tunelu i w ziemię u jej stóp, ale żaden nawet jej nie musnął. Była zbyt zajęta odpychaniem pocisków, żeby się zastanawiać, jak długo zdoła utrzymać koncentrację. Poczwała na czole pierwsze krople potu. Nie mogła marnować energii na wzywanie pomocy. Biorąc pod uwagę odległość, którą przebyła krętą szczeliną, jej przyjaciele pewnie i tak by nic nie usłyszeli.

Musiała radzić sobie sama.

Było to dziwne uczucie mimo całkiem realnego niebezpieczeństwa. Po raz pierwszy została zaatakowana osobiście, jeśli nie liczyć porwania w sklepie w Cuipernam. Tam zresztą użyto tylko lekkiej mgiełki usypiającego gazu. Tu było całkiem inaczej. Wyjące, gestykujące stworzenia nad jej głową wylażyły ze skóry, żeby rozwalić jej czaszkę.

Ciekawe, czy w końcu się zmęczą? – zastanawiała się. Napięcie powoli dawało o sobie znać. Poczwała, że z wysiłku zaczyna jej się kręcić w głowie. Kiedy zobaczą, że słabnie, mogą zdwoić wysiłki.

Jeśli upadnie, to niewykluczone, że nikt jej tu nie znajdzie. Ci, których znała, z którymi się uczyła, będą jej żałować i zastanawiać się, co się jej przytrafiło na odległym i nagle niebezpiecznym Ansionie.

Już myślała, że upadnie ze zmęczenia, ale lawina stopniowo straciła na intensywności, aby wreszcie ustać całkowicie. Stworzenia zebrane nad jej głową jazgotały teraz podniecone. Od czasu do czasu pokazywały palcami na niedoszły cel, stojący poniżej. W takich momentach Barrissa starała się emanować jak największą pewnością siebie. Ból głowy powoli ustępował. Zobaczyła, jak jeden z jej napastników popycha drugiego i wkrótce wśród małego ludku wybuchła bójka – poszły w ruch wściekle, drobne piąstki. Zdaje się, że istotki należały do zapalczego gatunku.

Miała nadzieję, że pamięta jeszcze cokolwiek ze swojego kursu językowego. Jednym okiem sprawdzając, czy w jej stronę nie leci kolejny kamień, podniosła głowę i zawołała do nich najgłośniej, jak mogła.

– Słuchajcie!

Zaskoczeni, natychmiast przerwali bójki i kłótnie. Kilka tuzinów wielkookich twarzy zwróciło się ku niej.

– Nie musimy ze sobą walczyć. Moi przyjaciele i ja nie chcemy was skrzywdzić. Nie jesteśmy z tego świata, z Ansionu. Jesteśmy ludźmi i chcemy być waszymi przyjaciółmi. Rozumiecie? Przyjaciółmi! – Odwróciła się i palcem pokazała drogę, którą się tu dostała.

– Dwaj z moich towarzyszy są rycerzami Jedi. Ja i jeszcze jeden jesteśmy padawanami, ich uczniami. Mamy również ze sobą dwóch przewodników Alwarich.

To akurat było chyba niepotrzebne. Na wspomnienie o przewodnikach wojownicze stworzenia znów zaczęły wyć i skakać – choć Barrissa zauważyła, że już nie tak głośno, jak poprzednio. Z trudem śledziła znaczenie bezładnie wykrzykiwanych słów.

– Nienawidzić Alwari! ... Alwari źli, źli, źli! ... Tutaj nie Alwari! ... Zabić Alwari! ... Alwari odejść, odejść! ...

Niektórzy podnieśli nowe kamienie i zaczęli nimi wymachiwać. Podniosła obie ręce.

– Proszę, posłuchajcie! Dwaj Alwari, którzy z nami podróżują, są bezklanowcami i pozostają pod kontrolą moich przyjaciół i na pewno was nie skrzywdzą. Chcemy tylko być przyjaciółmi!

Podniesione kamienie nie wróciły na podłoże, ale ręce opadły, a stworzenia usadowione wzdłuż krawędzi szczeliny znów zaczęły swoje swary. Barrissa stwierdziła, że gdyby nie ich nieukrywana wrogość,

byłyby całkiem sympatyczne z tą swoją różnobarwną sierścią. Na koniec kłótnie uspokoiły się nieco, choć nie wygasły całkowicie. Przez krawędź przechylił się osobnik o szarej sierści, widocznie członek starszyzny. Wytrzeszczył na nią oczy.

– Ty dziwna osoba. Co to „rycerz Jedi”?

– Co to „ludź”? – zawołał drugi, wpadając mu w słowo. Nagle zalała ją kolejna lawina, tym razem nie kamieni, lecz pytań. Starła się odpowiadać na wszystkie po kolei, walcząc z niedostatkami lokalnego słownika.

Tymczasem złodziejasek, który spowodował całą konfrontację, stanął pod tylną ścianą tunelu, wciąż ściskając ciężkie łupy.

– *Haja*, a co z moja? Co z Tooqui?

Próbował podnieść jeden z wielkich pakunków nad głowę, ale tylko opuścił go sobie na nogę. Jego kamraci, bardziej zainteresowani wypytywaniem wysokiego przybysza, zignorowali go zupełnie, położył więc na ziemi swój ciężar i zaczął skakać jak szalony, wywijając długopalcymi piąstkami ku zebranym na górze.

– Słuchać moja! Mówić do moja! Nie do ta brzydka paciorkowe oczy! Do was moja mówi, wy głupie pały! To ja Tooqui! Słuchać moja! – Wściekły, że go ignorują, miotał się od ściany do ściany.

Tymczasem Barrissa usiłowała pokonać słabą znajomość języka i odpowiedzieć na możliwie najwięcej pytań, zadawanych przez coraz bardziej ciekawskich współplemieńców złodziejaska. Dowiedziała się, że nazywają siebie Gwurranami, że mieszkają w jaskiniach i szczelinach skalnych przecinających te wzgórza i że nienawidzą nomadów Alwari.

– Nie wszyscy nomadowie są źli – wyjaśniała im Barrissa. – Alwari są tacy, jak i inne narody. Są pomiędzy nimi i dobrzy, i źli. Wśród ludzi jest tak samo.

– Nomadowie zabijają Gwurranów – poinformował ją jeden z członków plemienia. – Gwurran zmuszeni żyć tutaj, w górach, żeby przeżyć.

– Nie nasi nomadowie – odparła. – Mówiłam już, że oni przybyli z bardzo daleka. Jestem pewna, że nigdy w życiu nie skrzywdzili Gwurranina. Może nawet go nie widzieli.

Miała szczerą nadzieję, że mówi prawdę. Trudno było sobie wyobrazić troskliwego Kyakhte i łagodnego Bulgana okazujących niezrozumiałą wrogość kuzynom, nawet w poprzednim stanie umysłowego otumanienia.

– Może chcecie się sami przekonać? Chodźcie ze mną, poznacie moich przyjaciół. Zrobimy sobie przyjęcie. Spróbujecie naszego jedzenia.

Napastnicy wymienili zachwycone spojrzenia.

– Przyjęcie? – wymamrotał któryś z nadzieją w głosie.

– Jedzenie! – zawołał inny radośnie.

– ...czy ktoś mnie słuchać? – Gwurrarin, który sam siebie nazywał Tooqui, tak długo obijał się o ściany, że stracił większość energii i trochę tchu. – Tooqui mówić. Wy znać Tooqui. Tooqui, który... – Złodziej odrzucił na bok swoją zdobycz, usiadł na dnie szczeliny i odechnął głęboko. – Ach, *moojpuck*! Nikt nie obchodzi. Gwurran banda głupcy! – Wystawił oskarżający palec w kierunku Barrissy i podniósł głos.

– Wszystko twoja wina, ty mała głowa wielka gęba z za świata! Przekreść hałas mowa, robić przyjaciele zapominać Tooqui. Ja cię nienawidzić.

Podeszła do zropaczonego stworzonka, a jego towarzysze na skraju szczeliny nagle ucichli. Gadatliwy Tooqui, widząc zbliżającego się znacznie większego intruza, porwał jeden z pakietów i cofnął się najdalej, jak mógł.

– Z daleka od Tooqui, długonoga brzydka paskuda! Tooqui walczyć! Tooqui zabić!

Zatrzymała się i wskazała palcem na paczkę, którą trzymał niezgrabnie jak kamień gotowy do rzutu.

– Chyba nie tym odwodnionym budyniem. Nie dasz rady. – Aby go ośmielić, przyklekła, zbliżając twarz do poziomu oczu Gwurrarina. Rzykowała. Koncentrując się na złodzieju, nie mogła mieć na oku jego uzbrojonych w kamienie kamratów nad głową. Jeśli postanowią zbombardować ją, kiedy będzie rozmawiała z Tooqui, nie zdoła się obronić. Ale, jak powiadała Luminara, trudno dokonać czegokolwiek ważnego, nie podejmując żadnego ryzyka.

Nie miała pojęcia, że dokładnie w tej samej chwili na odległym Coruscant grupa niezmiernie bogatych i bardzo zdeterminowanych osób rozważała tę samą złotą myśl – choć dla nich stawka była niewyobrażalnie wyższa.

– Nie zamierzam cię skrzywdzić, Tooqui. Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi. – Wskazała głową na jego kamratów, uwieszonych rządkiem nad szczeliną. Niektórzy w silnych, trójpalczastych dłoniach wciąż trzymali kamienie. Próbowwała nie okazać zdenerwowania. – Chcę, żebyśmy wszyscy byli przyjaciółmi.

Gwurrarin zaważał się, czując, że jego współplemieńcy śledzą tę konfrontację z ogromnym zainteresowaniem.

– Ty nie skrzywdzi Tooqui? Nie zły na niego?

Uśmiechnęła się pogodnie.

– Przeciwnie, podziwiam cię za to, co zrobiłeś. Wyobrażam sobie, że nie każdy Gwurrnin byłby taki odważny i próbował w środku dnia ukraść coś wielkim, silnym obcym istotom, jak ja i moi towarzysze.

Niepewnie, nie spuszczać z niej nieufnego wzroku, powoli opuścił rękę z pakietem i odsunął się od ściany.

– *Jaja*, wielka prawda. Tylko Tooqui taki dzielny i mądry, żeby to zrobić. – Podszedł trochę bliżej. – Tooqui najdzielniejszy dzielny z Gwurrnan.

– Nie wątpię w to – odparła, powstrzymując uśmiech. – Właściwie wydaje mi się, że jesteś bardzo miły.

Od razu się obruszył i wyprostował na całą wysokość, dzięki czemu jego twarz znalazła się na wysokości brzucha padawanki.

– Tooqui nie miły! Tooqui wściekły. Straszny morderca wszystkich wrogów Gwurrnan!

– O tak, na pewno – zgodziła się i wyciągnęła rękę, żeby przygłodzić mu sterczącą czuprynkę. Odskokzył od niej, potknął się i wymachując rękami, próbował sam zaprowadzić porządek na głowie.

– Nie robi! Nie dotyka Tooqui! – Przygłodził sobie futerko i groźnie spojrzał na nią wyłupiastymi, pomarańczowymi oczami. – Tooqui bardzo dumny.

– Przepraszam. – Opuściła rękę, pokazując mu wnętrze dłoni. – Ale jeśli ty i ja mamy być przyjaciółmi, Tooqui, i jeśli chcesz iść z nami na przyjęcie, musisz oddać to, co zabrałeś.

Gwurrnanin niepewnie łypnął okiem na trzy pakiety.

– Tooqui ciężko pracować, żeby to ukraść.

– Uwierz mi na słowo, nie smakowałoby ci to. Nie umiałbyś odpowiednio przyrządzić. Jeśli pójdziesz ze mną, dopilnuję, żebyś spróbował tego jako pierwszy.

– Pierwszy? Tooqui pierwszy? – Pojedyncze nozdrze obwąchało pakiet. – Tooqui zawsze pierwszy!

Na pewno w twoim wyobrażeniu, ty mała szelmo, pomyślała.

– No to co, załatwione? Pójdziesz ze mną, zostaniemy przyjaciółmi i zrobimy sobie przyjęcie?

Gwurrnanin wahał się jeszcze tylko krótką chwilę. Wreszcie z pełnym zaufaniem włożył w ramiona Barrissy najpierw pierwszą, a potem dwie pozostałe paczki budyniu.

– Tooqui zgoda iść z twoja. – Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na kamratów. – Teraz dobrze dobrze. Tooqui zrobił obcy bezpieczny. Wszy-

scy Gwurranie teraz zejść na dół i spokój. Zobaczycy, co brzydkie paskudne obce mają dla Gwurrana.

Barrissa uśmiechnęła się do siebie na widok zadziornego malca i obserwowała, jak pozostali trajkoczący Gwurranie zręcznie jak pająki schodzą na dno szczeliny. Przepychali się i przeciskali, aby być jak najbliżej niej, całkowicie ignorując Tooquiego. Obmacywali jej stopy, obnażone przedramiona i ochronną odzież. Wytrzymała tę niewinną ciekawość wielkookich stworów przez kilka długich minut, dopóki nie przybrała formy bardziej bezczelnej, niż zamierzała na to pozwolić. Wtedy odsunęła ich od siebie i ruszyła z powrotem szczeliną. Trzy pakiety budyniu przewiesiła przez ramię. Za nią tłoczyła się wielka gromada trajkoczących, podnieconych i bardzo ciekawskich Gwurrana.

Smukłe, silne palce szarpały ją cały czas, a strumień pytań płynął nieprzerwanie.

– Skąd przyjść ludzie?... Dlaczego takie głupio wielkie?... Gdzie reszta waszych włosów?... Jak wy widzieć patrzyć takie małe małe płaskie płaskie oczy? Co to takie błyszczą tutaj ładnie?

– Nie dotykaj tego. – Trzepnęła po palcach błąkających się w okolicy jej pasa. Wizja miecza świetlnego w dłoniach niesfornych, wojowniczych Gwurrana była bardziej niż niepokojąca. W ciasnej szczelinie nieustanny i bezładny szczebiot malutkich Ansionian po prostu ogłuszał.

– Przecież nie mogła rozpląnąć się w powietrzu!

Luminara po raz nie wiadomo który analizowała w myślach wszystkie możliwości. Barrissa wyszła spod bezpiecznego nawisu i udało jej się zgubić. Może zobaczyła coś ciekawego i poszła aż na szczyt? Może coś wielkiego i głodnego spadło nagle z nieba i porwało ją? Może udała się na stronę i zajęło jej to więcej czasu niż zwykle.

Ta ostatnia możliwość zdawała się najbardziej prawdopodobna, ale nawet przy najcięższej niedyspozycji żołądkowej, padawanka już dawno powinna się była pojawić. W najgorszym przypadku mogła użyć komunikatora, a sam fakt, że tego nie zrobiła, dawał duże pole dla wyobraźni. A jeśli urządzenie uległo uszkodzeniu, baterie wysiadły w jakiś niewytłumaczalny sposób, zgubiła je gdzieś, a teraz szuka po wszystkich dziurach albo ktoś odebrał jej go siłą? Luminara nie wiedziała, kto mógłby zrobić coś takiego, ale musiała brać pod uwagę wszystkie możliwości razem i każdą z osobna.

Coś poruszyło się za jej plecami – Obi-Wan, Kyakhta i Anakin wrócili z poszukiwań wokół ciasnego schronienia.

– Ani śladu – szepnął zatroskany Anakin. – Czy mogła gdzieś pobiec?
– To chyba zależy od okoliczności, prawda? – Luminara z trudem powstrzymała się od bardziej sarkastycznej i gniewnej odpowiedzi. Wiedziała, że nieobecność Barrissy nie ma nic wspólnego z Anakinem. Ale to ona, Luminara, była odpowiedzialna za padawanekę i jeśli dziewczynie coś się stało...

Anakin aż się zjeżył na ton głosu Luminary, ale wytrzymał. Nie miał prawa kwestionować słów rycerza Jedi, nawet jeśli były to słowa niezbyt grzeczne. Nie mógł na razie odpowiedzieć jak równy równemu komuś takiemu, jak Luminara Unduli. Może niedługo... Niedługo...

Bulgan spojrział na nią zdrowym okiem.

– Weźmiemy suabatary i przeszukamy wzgórze i kotliny po spirali, pani Luminaro. W ten sposób obejmiemy znacznie większą powierzchnię. Może wpadła do jakiejś skalnej rozpadliny i złamała sobie nogę.

Zmartwiona Luminara pokiwała głową. Wysokie siodło na grzbiecie suabatara z pewnością pozwoli na bardziej skuteczne poszukiwania niż wędrowanie na piechotę. Wnioski, jakie się nasuwały, nie były pocieszające. Jeśli Barrissa naprawdę wpadła do jakiejś rozpadliny i jeśli ta rozpadlina okazała się dość głęboka, by dziewczyna straciła przytomność, mogą jej nigdy nie znaleźć.

W tej właśnie chwili usłyszała wołanie.

– Hej, wy tam! Tutaj jestem!

Pędem wyminęli parę odpoczywających suabatarów i ujrzeni obiekt zmartwienia wszystkich obecnych, wyłaniający się na czworakach zza wystającego skalnego bloku. Wąski korytarz był doskonale ukryty przed wzrokiem każdego, kto nie stał na wprost niego i nie zaglądał pod kamień.

– Barrissa! Wszystko w...! – Luminara zwolniła nagle, a wyraz jej twarzy szybko zmienił się z zatroskanego w zagniewany – Gdzie byłaś, padawanko? Wszędzie cię szukaliśmy. I... nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. – Barrissa wypełza z korytarza, wstała i otrzepała ręce, przeciągając się lekko. – A to nasi nowi przyjaciele.

Luminara odskoczyła w tył i nie ona jedna zareagowała w ten sposób. Z ukrytego korytarza wylała się fala hałaśliwych, rozgadanych, porośniętych sierścią dwunogów. W jednej sekundzie otoczyły ciasnym kręgiem towarzyszy Barrissy i zaczęły ich obmacywać z takim samym entuzjazmem i brakiem wszelkich zahamowań, jak poprzednio ją samą.

– Suabatar! – krzyknął jeden i wspiął się na siodło wierzchowca Kyakhty. Przewodnik zirytowany zmarszczył brwi i popędził w tamtym kierunku.

– Hej, ty, mały! Złaż stamtąd! Złaż natychmiast!

Brażowo-niebieski Gwurrarin, usadowiony na środkowych łopatkach obojętnego na wszystko suubatara, robił głupie miny do wściekłego przewodnika.

– *Nymgwah nooglik*, głupio gadasz pupilek obcego bez włosów! Możesz mi skoczyć skoczyć!

– Ty mały...! – Kyakhta był gotów ruszyć z pięściami na nieznosnego karzelka, ale Luminara go powstrzymała.

– Daj sobie z nim spokój, Kyakhto.

– Ale, pani Luminaro, to jest...

– Powiedziałam, daj spokój. Chodź, poznasz ten lud.

– Lud? – mamrocząc pod nosem Kyakhta niechętnie posłuchał polecenia Jedi. – To nie lud. To banda brudasów.

Barrissa wyjaśniła przyczyny swojej długiej nieobecności i Luminara zmiękła. Opowieść padawanki była krótka, ale bardzo intrygująca.

– ...no i przekonałam Tooqui, żeby oddał to, co zabrał, a przy okazji przyprowadził całe swoje plemię – skończyła i z wahaniem popatrzyła na nauczycielkę. – Obiecałam im coś w rodzaju przyjęcia.

Luminara zmarszczyła brwi.

– To nie jest podróż dla przyjemności, padawanko. Obi-Wanie, co o tym sądzisz?

Drugi Jedi zmarszczył brwi, ale po chwili, dość niespodziewanie, wybuchnął śmiechem.

– Obietnica padawana nie wiąże Jedi, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy jej uszanować. Nie mamy grajków, a jeśli o mnie chodzi, to chyba już swoje odpracowałem w dziedzinie przemysłu rozrywkowego. Ale i tak możemy im pokazać to i owo, no i dać im skosztować naszych potraw. Może zgodzą się na krótkie szkolenie z zakresu galaktycznej kultury zamiast śpiewu i tańca. Może samo międzyrasowe spotkanie będzie dla nich wystarczającą rozrywką.

Tak naprawdę pomysły podróźnych, nie miały najmniejszego znaczenia. Gwurranie zdawali się cieszyć i bawić wszystkim, co robili lub mówili ludzie. Czy chodziło o pokazanie urządzeń technicznych, czy odsłonięcie bezwłosego ciała o różnych odcieniach skóry, czy porównanie pięciu grubych ludzkich palców z trzema smukłymi palcami Ansonian, całe plemię było po prostu zachwycone. Absolutnie pozbawieni taktu Gwurranie rozpełzli się dosłownie wszędzie: po samych podróźnych, po drzemiących suubatarach, a nawet po jukach. Nikt jednak nie próbował niczego zwędzić. Kiedy jakaś młoda osobniczka usiłowała przemyścić plastycynową osłonę juków, została natychmiast schwyтана i surowo zbesztana

przez dorosłych. Luminara przekonała się z radością, że pierwsze więzy przyjaźni zostały zadziergnięte, nawet jeśli nie doszło do pełnego zrozumienia.

Oznaczało to w praktyce, że przyjazne stosunki połączyły Gwurrana i ludzi. Dwaj naburmuszeni Alwari obserwowali całą scenę w ponurym milczeniu, tolerując harce plemienia, ale nie okazując nawet odrobiny zrozumienia – do tego stopnia, że Luminara nabrała ochoty zapytać ich o przyczynę tej dziwnej niechęci.

– Cóż to za miny, przyjaciele? – zapytała. – Czyżbyście mieli złe doświadczenia z ich pobratymcami?

– Nigdy w życiu nie widziałem takich stworzeń. – Kyakhta wcisnął się w bok spokojnie oddychającego suubatara, jakby się obawiał, że Gwurranie załadują sobie odpoczywające zwierzę na ramiona i uniosą w nieznanym kierunku. – Nie znam tych istot i chyba nie chcę ich poznać.

– Alwari trzymają się z daleka od takich górzystych terenów – dodał Bulgan. – Nic dziwnego, że mój klan nie miał okazji się z nimi spotkać.

– Oni przecież nie różnią się od was tak bardzo – zauważyła. – Są dużo mniejsi, to prawda. Ale dzięki temu powinni być mniej niebezpieczni. A co z tego, że ich oczy są proporcjonalnie trochę większe od waszych i że w przeciwieństwie do Alwarich są całkowicie pokryci sierścią? Mówią językiem podobnym do waszego, wyglądają i zachowują się tak samo, jak przedstawiciele wielu innych plemion, jakie widziałam w Cuipernam.

– Nie Alwari – zaprotestował zazwyczaj zgodny Bulgan. – To tylko małe, głupie, ignoranckie dzikusy.

– Ach, rozumiem. – Odwróciła się, żeby popatrzeć na radość, z jaką przyjęto pokaz działania samogrzającego się pakietu prowiantów, zaimprowizowany przez Obi-Wana. Włochata widownia wydawała okrzyki i piski zachwytu, jednocześnie prowadząc między sobą ożywioną konwersację.

– A więc Alwari to wykształceni, inteligentni, dalekowzroczni mędrcy, a Gwurranie to prymitywni ignoranci.

Milczenie przewodników było wystarczającą odpowiedzią.

Luminara skinęła głową, przyglądając się każdemu z nich z osobna.

– Czy nie tak samo mieszkańcy miast widzą Alwarich?

Kyakhta zmieszał się nieco. Twarz Bulgana wykrzywiła się dziwnie przy próbie zrozumienia pytania. Wreszcie spojrzął na swojego przyjaciela i towarzysza. Jeśli Alwari w ogóle może zbaranieć, obu przewodnikom udało się to osiągnąć.

– Jest pani dobrą nauczycielką, pani Luminaro. – Kyakhta wstał z miejsca. – Zamiast wrzeszczeć i łać, pozwala pani swoim uczniom dojść do rozwiązania własnymi metodami i własną drogą. – Spojrzał do tyłu i wraz z Bulganem przez chwilę obserwowali oszałamiająco ruchliwych, ale poczciwych Gwurran z całkowicie nowej perspektywy. – Może ma pani rację. Może oni są po prostu ciekawscy, co nie oznacza, że żyją z kradzieży.

– Dajcie im szansę. Tylko tego od was wymagam. Tak jak Barrissa dała szansę tobie i Bulganowi.

– To uczciwe postawienie sprawy. – Kyakhta machnął ręką na zgodę i poszedł, żeby się zapytać, czy może pomóc Obi-Wanowi w pokazie.

Luminara czuła się tak, jakby właśnie położyła mały kamyczek węgielny pod tolerancję i zrozumienie, konieczne dla stworzenia silnego i sprawiedliwego rządu planetarnego.

I trwałej Republiki również, dodała po namyśle, obserwując Barrissę, która była w swoim żywiole.

– Nie jesteście nomadami. – Padawanka próbowała wyjaśnić naturę i zadanie rycerzy Jedi małej grupce uważnych, ale wyraźnie niewiele rozumiejących Gwurran.

– Właśnie że jesteście – zaoponował jeden z nich. – Ty mówisz, co robić Jedi: podróżować-podróżować przez cały czas, z tego miejsca do tego miejsca do tamtego miejsca, zawsze ruch, nigdy siedzieć w to samo miejsce bardzo długo. – Obejrzał się na swoich towarzyszy, szukając u nich poparcia. – To znaczy ty nomada.

– To prawda, niektórzy z nas wydają się nigdzie nie zapuszczać korzeni – przyznała Luminara. – Ale inni przez długi czas mieszkają w jednym miejscu. Jeśli na przykład zajmujesz stanowisko w Radzie Jedi, większość czasu musisz spędzać na Coruscant.

– Co to Coruscant? – zapytał inny Gwurranin.

– Inny wielki świat, taki jak Ansion – wyjaśniła Barrissa.

Współplemieńcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

– A co to Ansion? – zapytał wreszcie jeden z nich z rozbrajającą szczerością. Barrissa westchnęła z rezygnacją i w miarę możliwości usiłowała wytłumaczyć im pojęcie różnych światów. W nocy byłoby jej łatwiej, bo mogłaby pokazać im gwiazdy na niebie. Cóż, wyglądało na to, że horyzonty Gwurran są jeszcze bardziej ograniczone niż Alwarich.

Przez pozostałą część dnia wędrowcy, zamiast galopować przez wzgórza i leżące za nimi rozległe stopy, pilnie nauczali i zabawiali Gwurran, którzy z kolei wykazywali ogromną żądę wiedzy. Chcieli od razu

dowiedzieć się wszystkiego o każdym nowym obiekcie i pojęciu. Luminara uznała, że przydałby im się nie tylko taki krótki kurs, ale prawdziwa szkoła. Może wtedy wzniesliby się przynajmniej do poziomu nie-lubianych nomadów. Z powodu pewnych fizycznych i intelektualnych uwarunkowań potrzebowali wydajniejszej pomocy. Postanowiła, że kiedy wrócą do Cuipernam, przekaze tę informację odpowiednim władzom. Jeśli nie znajdzie zainteresowania na gruncie lokalnym, to przecież są w Republice stowarzyszenia i inne organizacje powołane specjalnie do pomocy izolowanym grupom etnicznym, takim jak Gwurranie.

Wraz z Obi-Wanem przekonali się, że pomimo szczerzej sympatii okazywanej im przez malutkich Ansionian, nadejście nocy może się dla niektórych z nich okazać po prostu zbyt wielką pokusą. Dla wszystkich zainteresowanych będzie zatem lepiej, jeśli wyruszą teraz, póki jeszcze jest jasno. Wprawdzie nawis stanowił bardzo przyjemne i odpowiednie miejsce na nocleg, ale będą musieli poradzić sobie na otwartej przestrzeni.

Pożegnali się grzecznie i obiecali, że przyślą kogoś do pomocy Gwurranom. Podczas ostatnich przygotowań do wyjazdu Luminara poczuła nagle, że coś ciągnie ją za nogawkę spodni. Spojrzała w dół i zobaczyła Gwurrantina. Rozpoznała go. To był Tooqui, przedsiębiorczy i śmiały niedoszły złodziejasek, który doprowadził upartą Barrissę do swojego plemienia.

– Co się stało, Tooqui? – zapytała uprzejmie. – Widzisz przecież, że zaraz wyjeżdżamy.

– Tooqui wie. – Uderzył obiema dłońmi o długich palcach w pasiaste, czarno-brązowe futro na piersi. – Tooqui najdzielniejszy ze wszystkich Gwurran. Najlepszy wojownik, najmądrzejszy, najprzystojniejszy, naj...

– Tak, tak, jesteś wspaniałym przedstawicielem swego plemienia, Tooqui – zgodziła się nieobecna myślami Luminara, sprawdzając zamocowanie juków na grzbiecie cierpliwego suubataru. – Jestem pewna, że są z ciebie bardzo dumni.

– *Pifgah!* – zawołał piskliwie. – Gwurran wielkie głupki! Żadne marzenia, żaden cel, żadna chęć. Szczęśliwi mieszkać w dziurach wzgórz... – Mały złodziejasek zdołał się wyprężyć, pomimo nikłej postury. – Tooqui chce więcej. Tooqui musi więcej! – Spojrzał na nią ogromnymi, czerwonopomarańczowymi oczami. – Musi iść z wami.

Luminara znieruchomiała w pół gestu. Przykucnęła i przepraszająco spojrzała w wytrzeszczone ślepką.

– Tooqui, nie możesz iść z nami i dobrze o tym wiesz.

– Co wiesz? Nic nie wiesz. – Gwurrnin nie czuł się ani trochę zakłopotany, patrząc na znacznie wyższą Jedi. – Tooqui wie tylko to, co widzi. A widzi, że u was masa miejsca na wielkie galopujące suubatory dla taki mały facecik jak Tooqui. Walczy mocno, nie je dużo. Przeważnie.

Musiała się uśmiechnąć.

– Chcesz powiedzieć, że przeważnie walczysz mocno czy że przeważnie nie jesz dużo?

Cofnął się o krok i tupnął ze złością.

– Nie żartuje z Tooqui! Ja nie taki głupi głupi jak te kopacze! Tooqui mądry mądry!

– Na tyle mądry, żeby nas okraść, kiedy będziemy spali? – zapytała z przekorą.

W odpowiedzi położył prawą rękę na twarzy, a lewą z tyłu głowy i uroczyście oświadczył:

– Niech Tooqui zwiędnie na słońcu, jeśli weźmie choć ziarno okruszek od swoich nowych przyjaciół bez pytania. Niech jego bebechy wyjdą na ziemię i uciekają na boki jak robaki. Niech cała jego rodzina zginie w pożar traw, co oczyści otwarte stepy i...

– Dobrze, dobrze! – Wbrew sobie roześmiała się cicho. – Wiem, o co ci chodzi.

Odniosła przy tym wrażenie, że Tooqui nie miałby nic przeciwko temu, gdyby część jego rodziny spotkał koniec nieprzyjemny, a przedwczesny.

– Jesteś dzielny i prawdomówny, ale i tak nie możemy cię zabrać ze sobą. Barrissa tłumaczyła wam, że mamy przed sobą trudną i niebezpieczną misję i nie mamy czasu zajmować się gośćmi.

– Tooqui sam się zajmuje sobą! Ty widzi zobaczy. Tooqui nie boi niebezpieczeństwo! – Znów walnął się w piersi. – Tooqui jada niebezpieczeństwo na pierwsze śniadanie. Dobry z niego zwierzączek, taki dobry...

Zamrugnęła oczami.

– Zwierzączek? Tooqui, przecież jesteś osobą myślącą. Nie możesz być zwierzączkiem.

– Czego nie? Gwurrnin trzyma małe yirany i czasem omohty jako zwierzączki. Dostają darmo jedzenie, darmo miejsce do mieszkania, obrona przed shanhy i inne rzeczy, które mogą je zjadać. Zdaje się dobry układ dla moją. Jeśli ja myślący, jak ty mówisz, to może dość mądry, żeby sam wybierał, co chce robić?

– Nie o to chodzi... – Takie akademickie dyskusje były ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała po zabawnym Gwurrninie. – To po prostu... nie byłoby w porządku, i tyle.

– Jeśli dość myślący, żeby wybierać sam, to gdzie tu niewporządek? – Uśmiechnął się, ukazując miniaturową wersję zębów, jakie mieli obaj przewodnicy. – To wybór myślący Tooqui: ja chce chce jechać z nowi przyjaciele jak zwierczek. Poznać kulę świat Ansion. Może inne kule światy też. Uczy się dużo i wróci pomagać Gwurran.

Co za rozsądna i szlachetna propozycja, pomyślała Luminara. Tooqui co prawda ma również swoje osobiste powody. Jak mu odmówić? Jedi uczono, by korzystali z logiki i rozsądku, chcąc przekonać tych, którzy się z nimi nie zgadzają, zamiast kończyć każdą niezręczną dyskusję słowami „bo ja tak uważam”.

– Jedi nie miewają zwierczaków – stwierdziła wreszcie w desperacji.

– Czy są przepisy, które tego zabraniają, pani? – Barrissa wtrąciła się do dyskusji w najmniej odpowiednim momencie. Luminara zgromiła padawanę wzrokiem.

– Z pewnością gdzieś zapisano coś takiego. I tak nie mamy miejsca dla gości.

– Tooqui sam się umieści. – Wsunął dłoń w rękę Barrissy i uśmiechnął się niewinnie. – Widzisz? Dobry zwierczek, tak, tak?

– Och, nie! – Luminara odwróciła się do swoich juków, szarpiąc taśmę uszczelniającą. – Barrisso, jeśli ty weźmiesz za niego odpowiedzialność, to cóż, mogę się zgodzić – mruknęła wreszcie. – Ale jeśli spowodujesz bodaj najmniejszy problem, Tooqui, jeśli będziesz utrudniał nam pracę w jakikolwiek sposób, będziesz musiał odejść. Wracasz w góry bez dyskusji, jasne?

Tooqui powtórzył swój gest z dłońmi na twarzy i głowie i odparł bez wahania:

– Jeśli ja to zrobię, to niech wolno gniję w stojąca woda. Niech ma całe futro fioletowe i rzyga rzyga aż się wywróci na drugą stronę. Niech zeżre własne nogi i...

– Niech on już lepiej będzie cicho – pouczyła padawanę zdesperowana Luminara. – I trzyma się z daleka ode mnie.

– Będzie grzeczny. – Barrissa pochyliła się i pogładziła miękki łebek Gwurranina. – Prawda, Tooqui?

– Tak grzeczny, jak tylko Gwurran potrafi – odparł z dumą.

Luminary z jakiegoś powodu ta obietnica szczególnie nie pocieszyła.

ROZDZIAŁ

12

Obi-Wan w ogóle się nie przejmował figlami nowego członka wyprawy, a czasem był nimi wręcz rozbawiony. Anakin także cieszył się na swój cichy sposób. Gwurrarin był nowym partnerem do rozmowy, nawet jeśli jego słownik był ograniczony i ze skłonnością do powtórzeń. Czuwali nad Tooquim na przemian z Barrissą, choć trzeba przyznać, że maluch sumiennie dotrzymywał słowa i nie wymagał szczególnego nadzoru. Energiczny tubylec pomagał przy wszystkim, od rozpakowywania juków na noc po zbieranie opału i uczenie się obsługi tak prostych urządzeń, jak automatyczna zapalarka i skraplacz. Szybko się uczył, chciał wiedzieć wszystko i na każdy temat. A właściwie wszystko wszystko, jak sam zwykł to określać.

Tylko alwaryjskim przewodnikom nie podobała się jego obecność. Nie unikali go otwarcie, ponieważ wiedzieli, że to nie spodobałoby się ich pracodawcom. Nie robili jednak nic w kierunku poszerzenia jego wiedzy ani też nie zamierzali się z nim zaprzyjaźnić. Przepaść, jaka istniała pomiędzy Alwarimi a Gwurranami, była dla Luminary całkowicie niezrozumiała, skoro oba gatunki wywodziły się z tych samych korzeni. Fizycznie różnili się głównie wzrostem i owłosieniem.

Dla kogoś, kto na co dzień jest przyzwyczajony do przebywania z najróżniejszymi gatunkami istot, bardzo różniącymi się od siebie fizycznie, taka nieustanna wrogość okazywana przez przewodników była trudna do zrozumienia. Mistrzynie mogła mieć nadzieję, że wspólna podróż w końcu zmusi Kyakhtë i Bulgana do ujrzenia mniejszego kuzyna w innym świetle.

Jeśli chodzi o światło, nie było go na razie zbyt wiele, bo słońce dopiero wschodziło nad horyzontem. Był to ten sam horyzont, ku któremu podążali już od wielu dni: płaski i porośnięty trawą. Przez ostatni dzień i noc wlokło się za nimi stadko shanhów, ale że nie wyczuło śladów słabości czy zmęczenia ani u suubatarów, ani u ich jeźdźców, udało się na poszukiwania łatwiejszej ofiary.

– Coś się porusza na horyzoncie ze wschodu na zachód – zawołał Kyakhta. Wszyscy, choć nie całkiem jeszcze rozbudzeni, natychmiast zwrócili się w tamtym kierunku.

Obi-Wan wyjął elektroniczną lornetkę i przez chwilę obserwował odległy punkt, usiłując zorientować się co do jego natury.

– Borokii? – odezwał się z nadzieją Anakin.

Jedi opuścił mocno powiększające urządzenie.

– Nie wiem – odrzekł niepewnie. – Kyakhta i Bulgan nam powiedzą. Ale mam przeczucie, że to nie oni. Z tego, co mi mówiono, nadklaney, podobnie jak Yiwowie i Alwari, są nomadami-pasterzami. – Skinął głową w kierunku poruszającego się punktu. – Ci tutaj wydają się bardziej nowocześni, a przynajmniej mam wrażenie, że podróżują z dużym ładunkiem. Nie widzę też żadnych śladów obecności stada. Żadnych dorgumów, awiquodów... wyłącznie zwierzęta zaprzęgowe. To znaczy, że na pewno nie są to Borokii.

Okazało się, że przypuszczenia Obi-Wana były słuszne. Karawana, która kierowała się w ich stronę, nie była poszukiwanym nadklanem. Nie tylko nie prowadziła żadnych stad, jak to miało miejsce u Yiwów, ale zachowywała się potwornie hałaśliwie. Dopiero Bulgan ostatecznie zidentyfikował rozhukaną, głośną procesję, jak tylko zbliżyła się na tyle, aby można było dostrzec szczegóły.

– To klan Qulun. Qulunowie są handlarzami, działającymi swobodnie zarówno po stronie Alwarich, jak i mieszkańców miast. Nikt ich specjalnie nie lubi, ale tu, na równinach, gdzie nie ma ani sklepów, ani możliwości komunikacji, bardzo ich potrzebują. Nieraz można u nich kupić interesujące rzeczy.

– A co przyjmują w zamian? – zapytał Obi-Wan.

Bulgan obnażył dolne zęby.

– Oprócz pieniędzy? Wszelkie towary. Paski suszonego mięsa od pasterzy Alwarich, owoce i warzywa zebrane w odległych częściach Ansonu. Piękne rękodzieła wykonywane głównie przez kobiety z różnych klanów. Ale tylko te najlepsze.

Jedi dał znak, że rozumie. W Republice, gdzie rynek od dawna był nasycony pospolitymi towarami, egzotyczne artykuły spożywcze były

wysoko cenione. Podobnie jak rękodzieło. Bogacze i kolekcjonerzy, znudzeni seryjnymi towarami, zawsze byli gotowi zapłacić wysoką cenę za unikatowe, ręcznie wykonane przedmioty sprowadzane z odległych światów o dziwacznych nazwach.

– Patrzcie! – Bulgan uniósł się w siodle. – Jadą tutaj, żeby się z nami przywitać.

Od głównej kolumny oderwało się trzech jeźdźców i skierowało wprost na grupę wędrowców, którzy zwolnili, aby na nich zaczekać. Gdyby tego nie zrobili, suбаты bez trudu prześcignęłyby znacznie mniejsze i wolniejsze sadainy. Jeźdźcy zrównali się z Luminarą i Barrissą, szczerząc zęby w uśmiechu i energicznie wymachując rękami. Spotkanie zdawało się mieć charakter znacznie mniej konfrontacyjny niż poprzednie z Yiwami. Żadnej ostentacyjnie noszonej broni, żadnych podejrzliwych spojrzeń kierowanych w stronę nowo przybyłych. Oczywiście oczy handlarzy były w ciągłym ruchu, co nie uszło uwagi Jedi. Niczego nie przeoczyli, a już na pewno zauważyli wypchane do granic możliwości juki przypięte do drugiego grzbietu każdego ze zwierząt.

Tooqui jechał z Barrissą, wędrując po jej subatarze od łba do ogona i z powrotem i nieustannie mamrocząc pod nosem:

– Dziwni ci tutaj. Tooqui nigdy przedtem nie widzieć. Gwurran nie zna. – Odchylił głowę do tyłu i wciągnął powietrze pojedynczym, szerokim nozdrzem. – Pachnie inaczej niż Alwari.

– Wyglądają także inaczej – odpowiedziała. – Ich stroje, uprzęż na sadainach, sposób organizacji karawany bardzo różnią się od Yiwów. Co o tym sądzisz, Tooqui?

Zapał Gwurranina nie przygasł ani na chwilę.

– Więcej jedzenie dla głowy Tooqui. Więcej rzeczy do patrzenia i uczenia.

– Wiesz, jeśli będziesz tak gadać gadać przez cały czas, nie zdołasz się skoncentrować na tych nowych rzeczach, a przy okazji ja także.

– Tooqui cicho? To dwie rzeczy, które nie pasuje razem! – Usadowił się obok niej, na wolnym brzeżku siodła. – Ale pani każe, Tooqui musi słuchać. – Uśmiechnął się. – Tooqui zawsze dobre zwierzątko.

– Sarkazm to nie jest cecha, którą ludzie lubią u swoich „zwierzątek”.

– Ich strata strata. – Pomimo złośliwego komentarza Gwurranin od tej chwili zachowywał się bardzo spokojnie i w milczeniu obserwował nowo przybyłych, choć widać było, że kosztuje go to wiele wysiłku.

Gdyby nie jaskrawe i pstrokate ubranie, dwóch z jeźdźców mogłoby bez trudu ująć za Yiwów. Na pewno jednak nie dałoby się tego

powiedzieć o ich przywódcy. Osobnik ten został tak hojnie obdarzony przez naturę wzrostem i wagą, że sadain niósł go z widocznym trudem. W przeciwieństwie do swoich towarzyszy, a nawet Kyakhty, nie miał grzywy biegnącej od czubka głowy wzdłuż karku. Kiedy Luminara przyjrzała mu się uważniej, stwierdziła, że brak włosów prawdopodobnie jest skutkiem dokładnego golenia, nie zaś naturalnego wypadania sierści, jak w przypadku Bulgana. Łysa czaszka, lśniąca w porannym słońcu, robiła równie imponujące wrażenie jak potężna postać. Przywódca prezentował się doskonale na swoim mocno obciążonym wierzchowcu.

– Witajcie, pozaświatowcy! Qulunowie witają was serdecznie!

Luminara usiłowała sobie przypomnieć, ile jest portów kosmicznych na Ansionie. Ci handlarze, a przynajmniej ich przywódca, najwyraźniej odwiedzili chociaż jeden z nich, skoro wiedzieli, jak wyglądają istoty rozumne z innych części Republiki.

– Miło was powitać – oficjalnym tonem powiedział Kyakhta. – Udajemy się na północ.

– Widzimy to. – Przywódca skłonił się, nie spadając z wierzchowca, zaprzeczając w ten sposób prawu grawitacji. – Jestem Baiuntu, główny kupiec tego odłamu klanu. Czego może szukać w północnej krainie grupa składająca się z pozaświatowców i Alwarich?

Kyakhta docenił, że przywódca zidentyfikował go jako Alwariego i odparł uprzejmie:

– Borokiich.

– Borokiich? A po co pozaświatowcom nadklan?

Obi-Wan lekko pochylił się w siodle i odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Możecie nam pomóc?

– No, nie wiem, ale... – Dowódca zapomniał, że trzyma wodze sadaina i szeroko rozpostarł ramiona. Luminara przyglądała mu się, wyraźnie zafascynowana. Po raz pierwszy zdarzyło jej się oglądać naprawdę dużego Ansionianina. – Dziś zjecie z nami kolację. Qulunowie bardzo lubią gości. Nowe twarze oznaczają nowe wieści.

– I potencjalnych nowych klientów – mruknął Anakin do Barrissy – chociaż to chyba nie powód, żeby z nimi nie pogadać...

– To nie od nas zależy. – Barrissa udawała brak zainteresowania, ale w duchu miała nadzieję, że mistrzowie przyjmą zaproszenie przywódcy Qulunów. Byłaby to kolejna okazja do poszerzenia zasobu informacji na temat społeczności Ansionu... no i do zjedzenia świeżego posiłku.

Obi-Wan i Luminara nie widzieli powodu, dla którego nie mieliby się zatrzymać i spędzić nocy wśród ruchliwych i hałaśliwych handla-

rzy. Jeśli każda ze stron będzie miała własne obozowisko, zostaną zachowane wszelkie reguły bezpieczeństwa, a Qulunowie może pomogą odnaleźć nieuchwytnych Borokiich. Ku zaskoczeniu Barrissy, Tooqui, zamiast ruszyć na wędrowkę, pozostał przy niej. Z sobie tylko znanego powodu był niezwykle milczący i odzywał się tylko wtedy, kiedy obok nie kręcił się żaden Qulun. Kiedy zapytała go o powód takiego niezwykłego zachowania, jak zwykle miał gotową, choć nie całkiem jasną odpowiedź:

– Qulunowie myślą Tooqui głupi głupi zwierzak. Dobry początek dla handel.

– Nie mamy zamiaru niczym handlować. – Spojrzała na niego ostrzegawczo. – Jesteśmy tu po to, aby zdobyć przyjaciół i może dowiedzieć się czegoś o miejscu pobytu nadklanu. I to wszystko.

Gwurraniń zrobił rozżaloną minę.

– Tooqui nie chce wiele. Małe jedzenie, mała zabawka dla dziecko Gwurran, mała broń na niedobry Gwurran...

– Daj sobie spokój – poleciła stanowczo. – Rozmawiaj z nimi albo siedź cicho, rób, co chcesz. Ale ani słowa o handlu. – Zrobiła porozumiewawczą minę. – Zwierzaczki nie angażują się w handel.

– Ale ich pani tak – odparował bez wahania. – Może jak głupi śmieszny zwierzaczek robi zabawne rzeczy dla pani, wdzięczna Barrissa kupi malutkie coś dla biedny biedny Tooqui?

– Pomyślę o tym – odpowiedziała, ucinając dalszą dyskusję. Po-pędziła wierzchowca, więc mały Gwurraniń musiał zamknąć buzię i skoncentrować się na tym, żeby nie spaść.

Baiuntu z dumną miną ruszył przodem, wiedząc gości na szczyt wzgó-rza, gdzie Qulunowie właśnie rozbijali obóz. Samobudujące się chaty właśnie rozwijały ściany i dachy, a dzieci z zaaferowanymi minami pod-łączały urządzenia grzewcze i atmosferyczne skraplacze wody. Auto-matycznie usztywniały się tymczasowe konstrukcje, które zostały za-projektowane tak, aby można je było składać i rozkładać codziennie, nawet przy największym wietrze. Dwie z tych fantastycznych chat były tak pięknie dekorowane emalią, malowanymi lusterkami i innymi ozdób-kami, że przykuły uwagę Luminary, zanim je do końca rozłożono.

– Pomieszczenia handlowe – wyjaśnił Bulgan w odpowiedzi na jej pytanie. – Im bardziej ozdobne, tym lepiej.

Przesunął dłonią po oczach, co było ansioniąńskim odpowiedni-kiem mrugnięcia.

– Olśnić klienta to jedna z głównych zasad i wizytówka Qulunów. Kupiec zachwycony to kupiec ustępliwy.

Luminara rozsiała się wygodnie w wyściełanym siodle. Suubatar niósł ją gładko i bez wysiłku.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Qulunowie oszukują w interesach?

– *Haja*, nie, pani Luminaro. Są tacy jak wszyscy kupcy, czy ci przywiązani do jednego miejsca, jak w mieście, czy wędrowni, jak tu, na stepie. Niektórzy są całkiem uczciwi, inni to zupełni bandyci. Nikt nie może powiedzieć, że naprawdę sobie pohandlował, dopóki nie spróbuje handlu z nimi. Dla wielu handlarzy słowa „sprytny” oraz „złodziejski” mają całkowicie wymienne znaczenie.

– Nie przyjechaliśmy tu na zakupy, więc to i tak nie ma znaczenia – ucieła Luminara, uniosła się lekko w siodle i powiodła wzrokiem po otaczających ich równinach. – Ciekawe, dlaczego tu właśnie rozkładają obóz? Ta kraina nie roi się chyba od klientów.

Alwari niedbale machnął ręką.

– Otwierają tylko kilka z licznych kramów. Pewnie wierzą, że klienci wypełnią spod trawy. – Zachichotał dobrze jej już znanym ansioniańskim śmiechem, dodając na okrasę kilka trzaśnień kostkami palców. – Prawdopodobnie Qulunowie czuliby się niepewnie, gdyby nie mieli otwartego bodaj jednego kramu. Nie mogliby zasnąć z obawy, że przepuszczą potencjalnego klienta.

Przyjęcie, jakie im zgotowano, różniło się znacznie od powitania przez początkowo nieufnych Yiwów. Broni wprawdzie nie pochowano, ale też nikt nie kierował jej w stronę przybyszów. Wierzchowce gości dostały honorowe miejsca w zagrodzie klanu, świeżą wodę i paszę. Luminara i jej przyjaciele znaleźli się nagle w obszernym przenośnym budynku. Jego wnętrze zaścierały dywany, poduszki, automatycznie dostosowujące się do kształtu ciała; nie brakowało tu wygod, jakich trudno by się spodziewać pośród północnych ansioniańskich stepów. Czegośkolwiek zażądali goście, a Qulunowie mogli dostarczyć, oferowali natychmiast i bezpłatnie. Obi-Wan nie był zaskoczony ich hojnością. Taka taktyka była powszechnie stosowana do zmiękczenia ewentualnych klientów.

Barrissa i Anakin nie przejmowali się takimi szczegółami, pozostawiając organizację spotkania w rękach swoich mistrzów. Odprężyli się i rozkoszowali egzotycznymi potrawami i napojami, eleganckimi bibelotami i malutkimi, pięknie pachnącymi stworzonkami, które nieustannie krążyły w powietrzu. Tymczasem Tooqui zachowywał się dziwnie spokojnie. Mały Gwurrarin na pewno świetnie się bawił, nurzając się w luksusach z nie mniejszym zapałem niż jego przyjaciele. Jednak

w gromadzie wysokich obcych istot, na wszelki wypadek wołał poru-
szać się bardzo ostrożnie, a swoje opinie zachowywać dla siebie.

Baiuntu był zachwycony gośćmi spoza planety.

– Spotkałem wielu pozaświatowców, prowadząc interesy – oznaj-
mił wieczorem, dzieląc z nimi komfortowe warunki domu gościnnego.

– W Cuipernam? – Anakin wziął do ust coś niebieskozielonego
i pulchnego, co okazało się pyszne.

– W Cuipernam – zgodził się gospodarz. – I w Doigonie, i w Fle-
rauw. Spotkałem grupę waszych pobratymców i całkiem sporo innych.
– Położył długopalce dłonie na wydatnym brzuchu. – Kupcy to odrębny
gatunek istot. Wygląd nie ma z tym nic wspólnego, jak mi się zdaje.
Qulunowie odkryli tę prawidłowość w tym samym dniu, kiedy na naszą
planetę zawiał pierwszy statek z zewnątrz.

Mówiąc, nie przestawał ani na chwilę wrzucać sobie do ust małych
fioletowych kulek, które chrupały głośno, rozgniatane o twarde pod-
niebienie. Anakinowi wydawało się, że pomiędzy jednym a drugim kłap-
nięciem ust wodza dostrzega wśród nich jakiś ruch, więc na wszelki
wypadek wołał nie pytać, co to takiego. Bywały chwile, kiedy bezpo-
średniość Jedi zdecydowanie się przydawała, ale czasami lepiej było
wprowadzać w życie zasadę powściągliwości.

– Uważacie, że Qulunowie skorzystali na przystąpieniu Ansionu
do Republiki? – zachęcająco zagadnęła Luminara.

Gospodarz skrzywił się lekko.

– Wołałbym mówić raczej o interesach niż o polityce, ale skoro
pytacie... tak, właśnie tak sądzę.

– A czy członkowie twojego klanu uważają podobnie? – Obi-Wan
popijał słodki, ciepły i orzeźwiający napój.

– Tego nie potrafię powiedzieć. Większość z nich nie jest w ta-
kich sprawach równie biegła jak Baiuntu. Ale podobnie jak wszyscy praw-
dziwi Qulunowie, ofiarują swoje usługi temu, kto ich zdaniem może
zapłacić najwięcej.

– Czyli można ich kupić – zauważył Anakin. Obi-Wan skarcił pa-
dawana ostrym spojrzeniem, ale młody człowiek tylko wzruszył ramio-
nami, nie widząc w tym pytaniu nic złego. Jego nauczyciel powinien
był już się zorientować, że ma bardzo bezpośredniego padawana.

Ich gospodarz w każdym razie wcale się nie obraził.

– Każdego kupca można kupić, mój wielki bezwłosy przyjacielu.
Interes to interes, prawda? Dla Qulunów lojalność jest jeszcze jednym
towarem. Na razie jesteśmy zadowoleni z pełnej reprezentacji Ansionu
w Republice. Co przyniesie jutro, kto wie? – Stękając z wysiłku, oparł

się o stos poduszek. Mnóstwo małych czujników wypełniających poduszki zabrało się do pracy, aby dostosować ich kształt do nowej pozycji ciała.

– W każdym razie to uczciwa odpowiedź – mruknęła Luminara do Barrissy. – Sądzę, że nie możemy się tu spodziewać niczego lepszego. Oni po prostu żyją zgodnie z tradycją.

– Wydaje się, że na tej planecie tradycja jest wszystkim. – Barrissa upiła łyk jednego z licznych rodzajów napojów, jakie przed nią postawiono. Podobnie jak wszystkie poprzednie, okazał się pyszny. Kątem oka zauważyła jakiś ruch z prawej strony i obejrzała się w tamtym kierunku. Jej małe przyjaciółki cichcem kierowały się w stronę wyjścia.

– Tooqui, dokąd się wybierasz?

– Dużo dużo światła dla Tooqui. Dużo gadu gadu. Idzie na spacer. Wróci potem.

– Dobrze – odparła i po chwili namysłu dodała: – Nie ukradnij niczego.

Odpowiedział jej niewyraźnym gestem; nie wiedziała, co to znaczy, i chętnie by zapytała, gdyby nie to, że już go nie było. Jeden ze strażników na zewnątrz zrobił ruch, aby go zatrzymać, ale Gwurrarin był szybki; błyskawicznie rozplątał się w ciemności i gwarze obozowiska.

Dziwnie, pomyślała Barrissa. Dlaczego miałoby zatrzymywać Tooquiego? Odetchnęła i oparła się o poduszki. Pewnie obawiali się, że narobi kłopotów. Znając Tooquiego, mogła zrozumieć gospodarzy.

Stylowo ubrana i pięknie uczesana kobieta wniosła wytworną szkatułkę napełnioną mocno zakorkowanymi flakonikami. Każdy z nich był wykonany z innego kamienia półszlachetnego. Szata kobiety, wycięta z tyłu w wydłużone V, odsłaniała bez skrupowania krótką, złocistą, czarno przegowaną grzywę aż po szczątkowy ogon. W odsłonięte futro umiejętnie wpleciono kokardy i błyskotki. Na znak ze strony wodza podsunęła szkatułkę Obi-Wanowi i Luminarze.

– To esencje z dystryktu jezior Dzavak, daleko na zachodzie – z dumą objaśnił Baiuntu. – Nie znajdziecie takich nigdzie w okolicach Cui-fernam. Gotów byłbym postawić je przeciwko wszystkim, nawet najlepszym perfumom, jakie można kupić na całym terenie Republiki! – Zachęcająco machnął grubą ręką. – Proszę, proszę! Wypróbujcie je. Paluruvu... to ta fioletowa buteleczka na końcu rzędu... jest szczególnie doskonała. Kilka kropli tej esencji na czystą wodę daje wielki flakon doskonałych, kosztownych perfum. – Uśmiechnął się szeroko. – Alwari prowadzą życie nomadów, ale nie są niecywilizowani. Podobnie jak Qulunowie, oni także lubią ładne rzeczy. Te esencje sprzedają

się doskonale. Po wielu dniach spędzonych na wędrowniach po otwartych równinach, w towarzystwie stad cuchnących zwierząt pociągowych i bydła, dobrze sytuowana alwaryjska para z przyjemnością skorzysta z okazji, aby nieco złagodzić ten naturalny bukiet w swoim namiocie.

Luminara ostrożnie pociągnęła nosem nad kilku różnymi ekstraktami. Wszystkie pachniały cudownie, ale zgodnie z twierdzeniem Baiuntu, paluruwu było zupełnie wyjątkowe.

– Wspaniale – stwierdziła, przekazując kasetę Obi-Wanowi. Jego zainteresowanie próbkami było znacznie mniejsze, ale i on musiał przyznać, że kolekcja dorównywała wszystkiemu, z czym miał okazję zetknąć się na Coruscant i innych, co wytworniejszych światach Republiki.

Zanim kaseca dotarła do Anakina i Barrissy, w pokoju rozeszła się już mieszanina zapachów, całkowicie spowijając obecnych i odgradzając ich szczerlnie od wszelkich innych woni – zwierząt w zagrodzie i tłoczonych się między chatami członków klanu.

Luminara spojrzała na Baiuntu, który właśnie szeroko ziewnął. Właściwie, gdyby się nad tym dobrze zastanowić, to i ona już czuła zmęczenie. To był długi dzień. Chciała wstać i wygłosić uprzejmą wymówkę dla siebie i swoich towarzyszy. I właśnie wtedy poczuła, że coś jest nie w porządku.

Nie mogła się wyprostować.

Właściwie nie mogła nawet usiąść. Mięśnie jakby zmieniły się w galarete i rozpląły się po poduszkach i wałkach, które je podtrzymywały. Kręciło jej się w głowie, miała wrażenie, że roztapia się i wsiąka w podłogę. Przez szybko zachodzącą mgłą oczy widziała Obi-Wana, który wstał i usiłował dobyć miecza świetlnego, ale tylko grzebał bezradnie dłońmi w okolicach rękojeści. Nawet zresztą gdyby zdołał włączyć broń, nie było z kim walczyć. Ich gospodarz chrapał potężnie z dłońmi splecionymi na tłustym brzuszysku. Uroczą prezenterka esencji spoczywała u jego stóp. Jej smukłe ciało pogrążone było w całkowitym bezruchu.

– Coś się... Barrissa! – Luminara próbowała krzyknąć, ale zdołała wydobyć z siebie jedynie głośny szept. Padawanka i tak by jej nie usłyszała. Leżała na poduszkach sofy z głową odchyloną w tył, otwartymi ustami i szeroko rozłożonymi ramionami.

Niedaleko niej, o dwie długości ciała od wejścia, spoczywał Anakin Skywalker. Luminara widziała wszystko jak przez coraz gęstszą mgłę, ale stwierdziła, że wejście zostało dokładnie zamknięte. Zastanawiała się, czy po to, aby zatrzymać ich w środku. A może po to, aby odizolować tę uderzająco piękną, wirującą w powietrzu mieszaninę zapachów? Zresztą rezultat byłby taki sam.

Paluruwu działało nie tylko na powonienie. Musiało również zawierać potężny środek nasenny, który pozbawił zmysłów ją i jej przyjaciół. Jeśli jednak było to umyślne działanie, dlaczego poddali się temu również Baiuntu i kobieta, która przyniosła próbkę? Luminara usiłowała podpełznąć do drzwi i wyciągnąć własną broń. Bezskutecznie. Wydawało się, że pod wpływem narkotyku jej mózg stracił wszelką zdolność do komunikowania się z ciałem.

Obi-Wan opadł na klęczki i spojrzął w jej kierunku z kompletnie oszołomioną miną. Wpatrywała się w niego, aż przymknął oczy i zwałił się na bok. Po drugiej stronie pomieszczenia Bulgan i Kyakhta spali snem sprawiedliwych, chrapiąc na ansioniański, gwizdząco-świszczący sposób. Anakin zdobył się na ostatni nieludzki wysiłek – uniósł się lekko i rzucił na zamknięte wejście. Poprzez mgłę coraz ciasniej spowijającą jej umysł podziwiała go za ten wyczyn. Ten młodzieniec musi mieć ogromne zasoby silnej woli.

Niestety, dotarcie do wyjścia pochłonęło wszystkie te zasoby. Kiedy uderzył w drzwi, zaledwie trzymał się na nogach. Konstrukcja się zatrzęsała, ale drzwi wytrzymały. Anakin cofnął się, sięgnął do miecza, zatoczył pijany krąg i usiadł tam, gdzie stał. Zamknął oczy i przewrócił się na bok. Z wszystkich osób znajdujących się w pokoju tylko Luminara pozostała przytomna.

To jasne, pomyślała, Baiuntu bez obawy mógł poddać siebie i słuchając działaniu narkotycznych perfum. Jak łatwiej uspić czujność osoby, którą chcesz otruć, niż dzielić się z nią trucizną? Przynajmniej dowodziło to, że opary nie są śmiertelne. Baiuntu mógł być skłonny dzielić z przyszłymi ofiarami sen, lecz z pewnością nie śmierć.

Teraz wszystko było jasne. Zostali zwabieni i obezwładnieni – ale w jakim celu, z jakiego powodu? Wkrótce inni Qulunowie otworzą pomieszczenie, odczekają, aż usypiająca mgła się ulotni, a następnie zajmą się wodzem i nieprzytomną kobietą. Co zaś do niedawnych „gości” klanu, ich los na razie był wielką niewiadomą. Luminara nie potrafiła wyciągnąć logicznych wniosków; była zmęczona, okropnie zmęczona. W tym momencie mogłaby jej pomóc tylko dobrze przespana noc.

Coś w niej krzyczało, aby spróbowała nie zasypiać, aby czuwała. Walcząc z efektami perfum, zdołała podnieść głowę z poduszek, ale był to ostatni gest buntu. Nawet wyszkolonego Jedi można pokonać, chociaż nie bronią. Ale miecz świetlny jest bezużyteczny wobec rozkosznej, nieodpartej woni esencji paluruwu.

ROZDZIAŁ

13

– Tu jest ten mały skalny dyzat! Łapać go!

Tooqui nie wiedział, dlaczego ci dwaj Qulunowie go gonią, ale nie czekał na nich, żeby się dowiedzieć. Członkowie klanu wymachiwali nieznaną, dziwaczną bronią, a choć nie wiedział, co ta broń może mu zrobić, natychmiast stwierdził, że nie ma zamiaru tego sprawdzać.

Musiało się wydarzyć coś złego. Gdyby pani Barrissie nic się nie stało, nie pozwoliłaby tak za nim gonić wrzeszczącym, wściekłym Qulunom z obłądem w ślepiach. Ostatni raz widział ją i jej nieskończenie interesujących przyjaciół, jak odpoczywali w towarzystwie wodza Qulunów. Wszyscy wydawali się całkiem dobrze dobrze zgadzać. Czyżby to się zmieniło?

To prawda, handlarze byli Qulunami, nie Alwarimi, ale tak czy owak pochodzili ze stepów, a nie z gór. Może wcale nie są bardziej godni zaufania niż banda brudnych włóczęgów Alwarich, tych *snigvoldów*, pastuchów dorgumów.

Jeśli to prawda, pani Barrissa może być w wielkim niebezpieczeństwie. Ona i jej nauczyciele są bardzo mocni, ale nie jak bogowie. Nie są silni jak Miywondl, wiatr, lub Kapchenaga, grom. To tylko ludzie. Większy od Gwurran, może trochę mądrzejsi, ale ludzie. Można ich pokonać i uśmiercić. Qulunowie to też ludzie. Oznacza to, że z pewnością znają wiele sposobów zabijania.

Gdyby jednak ktoś kogoś zabił, Tooqui z pewnością coś by usłyszał. Pani Barrissa i jej przyjaciele nie daliby się zabić bez walki. Może ich jakoś oszukano? W kanionach plemiennych ciemnymi nocami

opowiada się długie, ponure historie o przebiegłych handlarzach i o tym, co potrafią zrobić niczego nie podejrzewającym gościom.

Coś jasnego i gorącego osmałiło włosy na szczycie jego grzywy. Przypieszył, pędząc teraz tak szybko i zawzięcie, jak tylko mógł. Wprawdzie Qulunowie mają dłuższe nogi, ale przyzwyczajeni są do jazdy i handlu. A co, jak co, ale uciekać Gwurranowie umieli doskonale. Z dziwnych, zagranicznych płaskościennych chat wyglądały ku niemu zdumione twarze. Zaalarmowani Qulunowie wybiegali, żeby go złapać. Zwiewał przed nimi, jakby bawili się w berka blo-bi z przyjaciółmi-krewnymi. Ale wiedział, że to nie gra. Gorący promień uderzył raz jeszcze, ale chybił, na moment rozjaśniając nocne niebo nad jego głową.

I oto jest już za obozowiskiem; nogi wybijają równy rytm, otwiera się przed nim step. Wysoka trawa trochę spowolniła jego ruchy, ale za to ukryła go przed wzrokiem ścigających. Uznał, że jest bezpieczny – dopóki nie usłyszał szybko zbliżającego się tętentu kopyt sadaina.

– Tędy! – wrzasnął jakiś Qulun. – Widziałem dyzata! Tam!

Miał ochotę odwrócić się i wrzasnąć: „Nie jestem dyzatem!”. Był jednak dość sprytny, żeby wiedzieć, że ta chwila szaleńczego buntu może go kosztować życie. Gorączkowo szukał miejsca, gdzie mógłby się zakopać. Tu jednak nie było znajomych gór, nie było przyjaznych szczelin i nawisów, gdzie tak łatwo się schować. Głosy ścigających go Qulunów były coraz bliżej. Jeszcze chwila i znajdą się nad jego głową. Światła rozjaśniły noc wokół niego. Kolejna mechaniczna magia, kupiona od handlarzy w miastach. Zastanawiał się, czy dożyje chwili, kiedy będzie mógł na własne oczy ujrzeć te gwarne, tajemnicze miejsca, które odwiedziło do tej pory zaledwie kilku Gwurran.

Wtedy właśnie zobaczył norę kholota. Wejście było akurat dość szerokie, żeby zdołał się wcisnąć. Dysząc ciężko, wśliznął się w otwór i na brzuchu zaczął mozolnie przepychać się w dół. Ciekawe, czy Qulunowie wpadną na to, by go szukać pod ziemią, czy poprzestaną na powierzchni? Nora rozszerzyła się odrobinę, co pozwoliło mu pełznąć szybciej. Kiedy otwarła się przed nim owalna komora, mniej więcej trzy razy większa od niego, wiedział już, że dotarł do końca. Stłumione przez warstwę ziemi krzyki i nawoływania patrolujących Qulunów wydawały się coraz bardziej oddalone. Kryjówka byłaby doskonała, gdyby nie pewna drobna komplikacja...

Nora była już zajęta przez rodzinę kholotów.

Zamarł. Mógł tylko mieć nadzieję, że kholoty żywią się trawą, nasionami i liśćmi, a nie Gwurranami. Dwa dorosłe osobniki o płaskich pyskach, pokryte szorstkim, oliwkowozielonym futrem, przyglądały mu

się czujnie. Na szczęście w norze nie było szczeniąt. Gdyby były, Tooqui prawdopodobnie nie dotarłby nawet tutaj. Każdy ze starych był co najmniej tak duży jak on, ale zęby miał proporcjonalnie znacznie większe: szerokie siekacze do zadań specjalnych przewidziane do ścinania grubych kęp trawy. Gdyby ich tęponosi właściciele mieli na to ochotę, mogłyby posłużyć również do obciosania mu twarzy.

Wstrzymał oddech, obserwując pomrukujące i niespokojnie węszące zwierzęta, które ruszyły w jego kierunku. Starał się nie dygotać za bardzo, kiedy go obwachiwały z góry, z dołu i ze wszystkich stron. Zaciśnął powieki i usiłował sobie wyobrazić, że jest kawałkiem dorgumowego łajna, które przypadkiem stoczyło się do nory. Z góry wciąż jeszcze dochodziły odgłosy galopujących sadainów i okrzyki Qulunów. Nie wiedział, jak długo zdoła pozostać w bezruchu.

Para kholotów wzgardliwie pociągnęła nosami, co w innych warunkach przyjąłby zapewne jako obrazę, po czym przepchnęła się obok niego do wyjścia. Ich reakcja była dość dziwna. Czyżby śmierdział tak okropnie, że zmusił ich do opuszczenia nory? A potem Gwurrarin przypomniał sobie czas spędzony w domu Qulunów, przesyconym dziwacznymi obcymi zapachami. Widocznie te zapachy przylgnęły do jego futra tak mocno, że nie tylko odpędzały kholoty, ale również odbierały im apetyt na kąsanie. Para przeżuwaczy z nory stwierdziła widocznie, że to stworzenie musi smakować jeszcze gorzej niż pachnie.

Z góry dobiegł podekscytowany wrzask, a po nim huk i pełen bólu jęk jednego z kholotów. Zwierzę widocznie wyszło z nory i zostało wzięte przez patrolujących Qulunów za obiekt pościgu. Skoro tylko zidentyfikowano nieszczęsne zwierzę, żartem z pochopnego strzelca nie było końca. Tooqui odwrócił się z trudem w ciasnej komorze i wystawił głowę z tunelu, podsłuchując skwapliwie.

– Dajmy sobie spokój. Późno się robi, a ja mam dość. Nie obchodzi mnie, co powie Baiuntu.

– Masz rację – stanowczo stwierdził drugi Qulun, ściągając wodze. – Powiemy mu, że schwytaliśmy i zabiliśmy zbiega. I niech to już się skończy.

– I tak jest tu sam, bez pożywienia, wody i zapasów. Step go załatwi.

Wymiana zdań zakończyła się tupotem oddalających się sadainów. Tooqui jednak pozostał przyczajony w norze, dopóki nie uznał, że może bezpiecznie wyjść.

Kiedy to zrobił, brudny i zmęczony, ale żywy, wokół nie było śladu pościgu. Znalazł kamień, wszedł na niego i rozejrzał się – był na tyle

wysoko, że czubki falujących na wietrze traw znalazły się poniżej. Qu-lunowie zwijali obóz, i to w środku nocy. Mieli ważne powody, Tooqui był tego pewien. O ile wiedział, nigdy żaden nomada nie zwijał obozu w środku nocy.

Czy pani Barrissa i jej przyjaciele jeszcze żyją? A jeśli nie, co to zmienia? Jest sam, bez jedzenia, broni i wody, o wiele dni biegu od najbliższej górzystej krainy Gwurran. Otoczył się ramionami przed chłodem nocy i uważnie rozejrzał po otoczeniu. Otwarty step to nie miejsce dla zdenerwowanego małego Gwurranina! Podskakiwał na każdy dźwięk, każdy ruch przyprowadzał go o bicie serca. A jeśli tam są shanhy, śledzące karawanę kupców? Cóż, jak złapią trop, będzie miał mniej więcej takie szanse, jak birru o koronkowych skrzydłach w czasie burzy piaskowej.

Nawet gdyby chciał pomóc, nic nie może zrobić. Najlepiej będzie, jeśli od razu ruszy do domu. Przy odrobinie szczęścia znajdzie po drodze trochę wody i coś do jedzenia, jeśli sam nie zostanie po drodze zjedzony, wróci do krainy Gwurran w ciągu kilku dni. Opowie ziomkom swoją podniecającą, dramatyczną historię. Młodzież będzie patrzeć na niego z podziwem, a sceptyczni starcy uznają, choć niechętnie, jego niezwykle wyczyny. Do końca życia będzie wśród swojego ludu wielki wielki.

Ale... ale pozostawała jeszcze sprawa pani Barrissy, która zamiast zabić go jak złodzieja, potraktowała jak przyjaciela i wstawiła się za nim, kiedy wyraził pragnienie podróży poza odwieczne ziemie Gwurran. No i właśnie jego życzenie zostało spełnione. Oczywiście, kiedy o to prosił, nie wiedział, że coś takiego może się zdarzyć. Nikt, nawet człowiek Barrissa, nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli popędzi do domu tak szybko, jak zdołają go ponieść długopalce stopy.

Muszę wiedzieć, zdecydował wreszcie. Jeśli pani Barrissa i reszta zostali zabici, wtedy może ruszyć do domu z czystym sumieniem. Z drugiej strony, jeśli jeszcze żyją...

Jeśli jeszcze żyją, to miał prawo sądzić, że jego własne życie skomplikuje się jeszcze bardziej niż do tej pory. Powinien chyba się z tego cieszyć albo przynajmniej próbować to sobie wmówić. Czy nie powiedział ludziom, że Tooqui jest najdzielniejszy, najwaleczniejszy, najmądrzejszy, naj-naj-naj ze wszystkich Gwurran? Wtedy zastanawiał się, czy ktokolwiek mu uwierzył. Z pewnością nie ci dwaj tępi tępi przewodnicy, nędznicy zadufki bezklanowcy Alwari, Kyakhta i Bulgan. Miło byłoby zobaczyć ich twarze – oczywiście, jeśli w ogóle jeszcze żyją, upomniał sam siebie – kiedy Tooqui, ten sam Tooqui, z którego się śmiali

i którym pogardzali, pojawi się, żeby ocalić ich smętne, krótkoogoniaste, brzydkie zadki! Obraz ten nappełnił go, jeśli nawet nie odwagą, to przynajmniej zapalem.

Tooqui im pokaże! Tooqui pokaże wszystkim! Zdeterminowany, postanowił śledzić wędrujący klan. Będzie włókł się za nimi w oddali, czekając, aż zobaczy to, co jest do zobaczenia, i dowie się tego, czego musi się dowiedzieć. Właśnie tak, tak jest! Jest najodważniejszym, najtwardszym, najbardziej pomysłowym ze wszystkich Gwurran!

Sam przeciwko całemu klanowi Qulunów, bezbronny, mając za kompanię jedynie obezwładniające poczucie bezradności, wiedział, że tym razem musi naprawdę dowieść swojej wartości.

Luminara czuła, że głowę wciąż jeszcze ma na karku, ale była to bodaj jedyna dobra rzecz, którą zauważyła, kiedy wreszcie odzyskała świadomość. Ramiona miała mocno związane z tyłu, nogi skrupowane w udach, łydkach i kostkach. Przez miękki, przepuszczający powietrze kaptur, jaki miała na głowie, ledwo widziała światło dzienne. Mogła oddychać, ale tylko przez nos; knebel w ustach skutecznie powstrzymywał ją przed wydaniem z siebie dźwięku bardziej artykułowanego niż pomruk.

Widocznie jednak to wystarczyło, bo w odpowiedzi rozległy się inne pomruki. Wydawało jej się, że rozpoznaje Obi-Wana i Barrisę, Anakina nie była pewna, ale stłumione, wysokie dźwięki mogły pochodzić jedynie od Kyakhty i Bulgana. Po dłuższej analizie usłyszanych głosów uznała, że Anakin także znajduje się pośród uwięzionych.

Głos, bynajmniej nie tłumiony kneblem, uspokoił ogólne mamrotanie.

– Witajcie, czcigodni goście. Muszę wam podziękować za wieczór, który z pewnością okaże się niezwykle korzystny. Dla mnie, oczywiście, a nie dla was – ciągnął z zadowoleniem Baiuntu. – Nadklan Borokiich, którego szukacie, znajduje się o kilka dni jazdy na północ stąd, ale wy się z nimi nie spotkacie. Oferujemy wam w zamian miłą wycieczkę do miasta Dashbalar, gdzie mój klan zawsze robi dobre interesy.

Luminara słyszała, jak Qulun przechadza się przed nimi to w jedną, to w drugą stronę, pyszniąc się daremnie swoim tryumfem przed więźniami, którzy nie mogli go zobaczyć.

– Jestem pewien, że zastanawiacie się, co się z wami stanie. *Haja*, nawet przez myśl by mi nie przeszło, aby was skrzywdzić! Byłoby to

pogwałcenie wszystkich co do jednej zasady qułuńskiej gościnności. – Luminara mogła wyczuć uśmiech Baiuntu, choć nie była w stanie go zobaczyć. – Jest wiele sposobów, aby wiadomość szybko przebyła stepy. Mówią, że temu, kto powrót pewnych gości spoza świata do Cuipernam opóźni o dwie części cyklu rozrodczego, zostanie wypłacona wielka nagroda. Gości opisano bardzo starannie. Możecie sobie wyobrazić moje zaskoczenie i zachwyt, kiedy pojawiliście się w pobliżu naszego obozowiska, prosząc o wskazanie drogi do Borokiich. Byłem zachwycony, kiedy zgodziliście się przyjąć moją gościńę. Teraz będziecie mieli okazję skorzystać z niej przez dłuższy czas.

Luminara poczuła, że wódz się zbliża. Piżmowy odór jego ciała był coraz mocniejszy, a głos stał się gniewny.

– Powiedziano mi, żebym was nie skrzywdził, tylko opóźnił wasz powrót do miasta. Muszę was jednak ostrzec: nie denerwujcie mnie, próbując czegokolwiek, co umniejsząłoby mój zysk. Podróżować będziecie wygodnie, ale kilkunastu moich najlepszych ludzi ma was pilnować przez cały czas. Na pierwszą oznakę użycia sztuczek Jedi winny zostanie zastrzelony. Tak, tak... my, ignoranci ze stepów, wiemy o istnieniu Mocy. Nie każcie mi zrobić czegoś, czego byśmy wszyscy załowali. – Luminara znów wyczuła jego uśmiech, kiedy od niej odstał. – Reputacja handlowca mojego klanu zostałaby bezpowrotnie zniszczona.

Gdzieś w pobliżu usłyszała niezrozumiałe pomruki Anakina, dobiegające poprzez knebel i kaptur.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował Baiuntu. – Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz... choć zdaje mi się, że esencję twojej wypowiedzi łatwo rozpoznać. Jestem ekspertem od esencji, jak z pewnością zdążyliście się już przekonać. Kiedy nadejdzie czas na posiłek lub wodę, zostaniecie obsłużeni pojedynczo. Wiercie mi, szanuję zdolności Jedi jak wszyscy inni, ale mój lud i ja nie zamierzamy ryzykować. Przede wszystkim zniszczyliśmy wasze komunikatory tak, aby nie dało się ich naprawić, więc nawet gdybyście zdołali się uwolnić, nie zdołacie wezwać pomocy ze strony głupich, chociaż hojnych mieszkańców miasta.

Luminara wyczuła, że ciężkie kroki przywódcy oddalają się i zmieniają kierunek.

– Wkrótce dom gościnny, ostatni z naszego obozowiska, zostanie również złożony i spakowany do transportera. Zarezerwowano dla was inne, ruchome pomieszczenie. Przykro mi niezmiernie, ale nie mogę wam zaufać na tyle, żeby pozwolić wam podziwiać mijane krajobrazy, ale przynajmniej będziecie mogli je wąchać. Rozkoszujcie się stepo-

wym wietrzykiem, drodzy goście. I proszę, żadnych spektakularnych prób ucieczki. Uznałbym to za osobistą obrazę.

Niech no tylko jedno z nas się uwolni, na pewno doznasz osobistych obrażeń, pomyślała wściekle. Zmusiła się do zachowania spokoju, przywołując w pamięci swoje szkolenie. Wszyscy Jedi wiedzą, że gniew zaćmiewa jasne myślenie, a zemsta w najlepszym razie jest niepotrzebnym marnotrawstwem energii.

Ktoś nie chciał, aby wrócili do Cuipernam. Ile to jest – dwie części cyklu rozrodczego? Jaki ma cel przetrzymywanie ich w niewoli, by potem wszystkich wypuścić? Oczy mistrzyni rozszerzyły się lekko pod kapturem w nagłym zrozumieniu.

Rada Unii! Ona i Obi-Wan obiecali im ugodę z Alwarimi. Jeśli nie wrócą w rozsądnym terminie, pozycja zwolenników secesji w radzie umocni się stopniowo. Czy zagłosują za secesją, nie czekając na raport Jedi? Podobnie jak wszyscy inni politycy, przedstawiciele rady mają swoich wyborców, przed którymi muszą odpowiadać. Nie będą czekać wiecznie. Może nie zaczekają nawet dwóch części cyklu rozrodczego?

Z pewnością ktoś to wymyślił. Ciekawe, kto zyska najwięcej na powstrzymaniu Jedi przed ukończeniem misji? Kto, poza secesjonistami? Kto był zleceniodawcą ataku na nią i Barrissę, a potem stał za porwaniem padawanki?

Choć jej nozdrza nie były tak wrażliwe jak jedno nozdrze suubatarą, wyraźnie czuła w tym odległą obecność Hutta.

Kiedy wrócimy do Cuipernam będziemy musieli zamienić parę słów z niejaki Soerggiem, pomyślała ponuro. Parę dość nieprzyjemnych słów. Lecz Luminarę, a z pewnością i całą Radę Jedi, gnębiło jeszcze inne, złowrózbnе pytanie: kto stoi za Huttem? Zanim jednak spotkają się z Soerggiem, muszą uwolnić się ze złotej klatki skąpych Qulunów – i to szybko.

Tooqui przyglądał się spomiędzy wysokich traw, jak Qulunowie zwijają obóz. Domy i kilka kramów zgrabnie złożono, towary poskładano, wszelkie inne przedmioty nierozzerwalnie związane z klanem nomadów starannie zapakowano. Procesję zamykały luźne sadainy i – co najważniejsze – sześć wierzchowych suubatarów, które należały do jego nowych przyjaciół. Kiedy karawana ruszyła, poszedł za nią, zamierzając śledzić kupców z pewnej odległości. Stopniowo ośmielił się i coraz bardziej zbliżał do karawany. Teraz mógł już obserwować pojedyncze osoby, samemu pozostając w cieniu.

Rozpoznał kilkoro członków klanu, przede wszystkim potężnego i okrągłego Baiuntu. Wódz jechał na czele procesji, usadowiony na platformie udekorowanej kolorowymi wstęgami, które łopotwały rażno na wietrze, a także organami wiatrowymi, proporcami Qulunów i krzykliwymi reklamami towarów sprzedawanych przez klan. Tooqui tak był zajęty obserwacją ruchów klanu i pozostawianiem w ukryciu, że prawie zapomniał o zagrożeniu życia swoich przyjaciół.

Podskoczył jednak z radości, kiedy później tego popołudnia wszyscy oni zostali wreszcie wyprowadzeni z transportera ciągniętego przez osiem sadainów. Każdemu po kolei pozwolono chwilę korzystać z wiatru, słońca i świeżego powietrza, po czym wpuszczono z powrotem do transportera, a jego miejsce zajmował następny więzień. Gwurrain liczył ich cierpliwie, drżąc z podniecenia. Wszyscy tam byli: czworo Jedi i dwóch Alwarich o jadowitych ozorach. Zakapturzeni, zakneblowani i związani tak dokładnie, że nawet Jedi nie zdołali się uwolnić. Ten galaretowaty Baiuntu może i jest kłamliwym draniem, ale z pewnością wie, co robi.

Jak, na wszystkich bogów deszczu, mam ich uwolnić? – zastanawiał się Tooqui. Najpierw powinien przedostać się do obozu, potem w jakiś sposób pozbyć się strażników Qulunów, większych i silniejszych od niego. A on nie ma żadnej broni z wyjątkiem kamieni. Jeśli nawet zdoła niezauważenie dotrzeć do transportera i załatwić po kolei wszystkich strażników, wciąż będzie potrzebował czasu, aby uwolnić całą czwórkę przyjaciół... i może może nawet tych dwóch Alwarich. Potem będą musieli odzyskać ich osobiste przedmioty, odebrać subatary i odjechać zdrowo i w jednym kawałku. Żeby tego dokonać, nie wystarczy dziesięciu Tooquich, a on jest tylko jeden.

Nie ma co nawet marzyć o wsparciu, wiedział o tym doskonale. Gwurrain to twarde plemię. Przetrwali w niegościnnym kraju, gnębieni przez drapieżną faunę, nie dzięki pobożnym życzeniom. Kiedy brakowało zasobów, znajdowali odpowiednie substytuty lub wymyślali własne.

O to chodziło. Potrzebna będzie pospieszna improwizacja. Rozum i logika mogą podpowiadać, że obojętne co zrobi, poniesie klęskę, ale Tooqui nadrabiał nikłość postaci potężnie przerośniętym ego. Jeśli zawiedzie wszystko inne, bezczelność nie pozwoli mu ponieść klęski.

Teraz trzeba to tylko wytłumaczyć Qulunom.

Każdy krok, każdy metr przebyty przez człapiące powoli sadainy, za którymi podążał, oddalał go od domu, od bezpiecznych, znajomych wzgórz i cieplą plemienia Gwurran. Próbował nie myśleć, jak daleko

go zaniósł od wszystkiego, co znajome. Wody miał dosyć; deszcz zbierający się w niewielkich zagłębieniach w mocno ubitej ziemi dostarczał jej w obfitości. Tracił jednak czas na poszukiwanie pożywienia, a potem musiał się spieszyć, żeby dogonić nieprzerwanie wędrującą karawanę. W ten sposób mijał dzień za dniem, potem następny i jeszcze jeden. Zmęczony, brudny, stęskniony za domem Tooqui wciąż dotrzymywał kroku procesji.

Kolejny wieczór zastał go nie bliżej pomysłu na ratowanie przyjaciół, niż wtedy, gdy krył się w norze kholota. Zapadła noc. Zmęczony i głodny Tooqui w poszukiwaniu schronienia przed krążącymi drapieżnikami stwierdził, że powoli oddala się od obozowiska. Żałował blasku prętów żarowych, które mógł bezpiecznie oglądać tylko z daleka. Ale bezpieczeństwo było ważniejsze niż ciepły blask w ciemności. Jeśli nie znajdzie nory ani drzewa, może trafi się kilka kamieni, pomiędzy które będzie mógł się wcisnąć na krótki odpoczynek.

Zamiast tego powitał go odległy odgłos grzmotu.

– *Ou, pifgot* – wymamrotał.

Zaraz zacznie padać, jakby jego sytuacja nie była i bez tego kiepska. Sądząc z zapachu, będzie lało jak z cebra. Wiatr zawirował wokół niego, jakby nie całkiem pewien, w którym kierunku powinien wiać, a smak nadchodzącej ulewy w nocnym powietrzu był coraz mocniejszy. Kapchenaga zagrzmiął na północy, ogłaszając swój pochód zbliżającymi się coraz bardziej ostrzami Pałącego Światła.

Za jego plecami obozowisko przygotowywało się na nadejście burzy: uszczelniano szpary chat, mocowano okna, przywiązywano zwierzęta. Proporce i reklamy zwinięto. Qulunowie i ich więźniowie przeczekają burzę bezpiecznie i ciepło w solidnych schronieniach, rozgrzewając się gorącymi posiłkami i importowanymi spoza planety piecykami. Tymczasem on, Tooqui, będzie mógł uważać się za szczęśliwca, jeśli znajdzie suchą norę, nie zajętą jeszcze przez żadnego niegościnnego stwora.

Jeszcze lepszy byłby skalny nawis, stwierdził, szukając dalej. Nie tak ciepły jak nora, ale prawie na pewno nie zamieszkały. W przeciwieństwie do Alwarich i ludzi, miał sierść, która utrzymywała ciepło ciała. Przynajmniej nadciągający deszcz ukryje jego zapach przed bląkającymi się mięsożercami.

Zupełnie nieoczekiwanie ujrzał przed sobą w ciemności górski łańcuch. W samą porę, sądząc z prędkości wiatru. Szybko pędzące chmury zaczęły już zasłaniać niebo i gwiazdy, i światło wschodzącego księżycyca Ansienu. Pioruny waliły coraz częściej, a pierwsze grube krople

deszczu zaczęły chłostać żdźbła trawy. Mrugając, aby strząsnąć wodę z rzęs, Tooqui ruszył w kierunku przełęczy pomiędzy najbliższymi wzgórzami. Błysk oddechu Kapchenagi na moment rozjaśnił niebo. Tooqui zamarł. To nie były góry. Nie do gór zbliżał się tak ostrożnie. Zorientował się w ułamku sekundy, kiedy najbliższe wzgórze zwróciło w jego stronę smętne oko.

Lorquale.

Był tak zaskoczony, że nie wiedział, czy ma się skulić na ziemi, czy odwrócić się i wiać, czy po prostu zemdleć i nakryć się nogami. Ostatecznie nie zrobił nic. Pozostał tam, gdzie był, a deszcz lał w najlepsze. Bębnienie kropel o trawę brzmiało znajomo i kojąco, ale nie rozwiązywało kwestii muczących gór, które majaczyły posepnie w mroku.

Nagle wstrząsnęła nim myśl, że mało brakowało, by wmaszerował beztrosko w sam środek stada.

Lorquale, przynajmniej z wiedzą Gwuranina, były największymi mieszkańcami stepów. Tak samo jak suubatary, miały podwójny grzbiet i były niewiele od nich wyższe, ale znacznie bardziej masywne. Pojedynczy dorosły osobnik ważył tyle, co cztery suubatary. Szywna, beżowobrazowa sierść sterczała pionowo i na boki, nadając im wygląd najeżonych. Pół tuzina kościstych wyrostków sterczało z masywnej czaszki. W okresie rui dźwięk uderzających o siebie łbów dorosłych byków niósł się daleko po stepie. Każda z sześciu stóp miała jednakową liczbę potężnych palców w rogowej powłoce: trzy skierowane do przodu i trzy do tyłu – co doskonale spełniało zadanie dźwigania potężnego ciężaru zwierzęcia.

Dwoje niewielkich oczu, po jednym z każdej strony masywnej czaszki, kontrastowało z ogromnym ciałem zwierzęcia. Pojedynczy otwór nozdrza był jednak dość wielki, by mógł się w nim schować cały Gwuranin. Nozdrze znajdowało się na końcu krótkiego, giętkiego ryja i nieustannie węszyło w powietrzu, szukając oznak niebezpieczeństwa.

Właściwie niewiele mogłoby zagrozić całemu stadu lorquali. Tooqui wiedział o tym doskonale. Nawet młode, kilkutygodniowe sztuki były już dość duże i silne, by nie przestraszyć się nawet całego stada zbłąkanych shanhów. Lorquale na ogół niechętnie tolerowały intruzów, jego jednak zignorowały. Po chwili zrozumiał, że zwierzęta skupiły się w stado, zajęte przygotowaniami do nadchodzącej burzy. Padający deszcz maskował także jego zapach, dzięki czemu mniej był narażony na wykrycie.

Błyskawice pojawiały się coraz częściej, dokładnie oświetlając stado. Tooqui uznał, że jest dość duże, choć nie potrafił dokładnie okre-

ślić jego liczebności. Nie był w stanie zajrzeć, co jest po drugiej stronie pojedynczego lorquala, a przed nim znajdował się co najmniej tuzin. Może to już było całe stado, a może za nimi kryło się kolejnych dwanaście zwierząt, naciskając kościstymi łbami na szpeciniaste boki i zady poprzodników.

Wtedy właśnie Gwurrarin wymyślił coś, co równie dobrze mogło go zabić, jak uczynić bohaterem. Po trzech dniach przedzierania się przez wysokie trawy, skały i błotniste kotliny był to pierwszy pomysł, jaki mu przyszedł do głowy. Miał dziwne, smutne wrażenie, że może także ostatni. Może zresztą w ogóle się nie uda.

Pochylił się, nazrywał zeschniętych źdźbeł trawy i upłótł z nich gwurrański koszyk. Umiejętność tę wpajano gwurrańskiej młodzieży od dzieciństwa, nie miał więc z tym kłopotu nawet w ciemności. Długie palce bez wysiłku i z wprawą łączyły łodygi traw w zgrabną plecionkę. Teraz powoli, ostrożnie ruszył w deszcz, poszukując czegoś jeszcze. Nawet przy tej pogodzie nie musiał szukać zbyt długo. Zebrał cały koszyk kamieni, okrągłych, doskonale pasujących do jego małej dłoni.

Najłatwiejsza część pomysłu została zrealizowana; teraz nie miał wyboru i musiał przejść do tej trudniejszej – i bardziej niebezpiecznej.

Poruszając się wciąż powoli i cierpliwie, często ocierając wypukłe oczy z deszczu, usiłował wypatrzeć lorquala, który wyglądałby na nieco bardziej sennego od pozostałych. W ciemności i deszczu było to właściwie niemożliwe. W dzień pewnie też nie byłoby łatwiej. Każdy z lorquali wyglądał i zachowywał się dokładnie tak samo jak wszystkie inne. Jeśli Tooqui będzie się tak długo wahał, w końcu w ogóle zrezygnuje z pomysłu i co wtedy zrobi?

Uznał, że najbliższe zwierzę jest równie dobrym kandydatem, jak każde inne, i podszedł tak blisko, jak tylko pozwalała mu odwaga. Przerzucił kosz z kamieniami przez ramię, chwycił mokrą szpecinę lorquala i przywarł do niej. Zwierzę nie zareagowało, więc zaczął się wspinać. Im bliżej był grzbietu, tym większą miał pewność, że zdoła dosiąść lorquala, unikając stratowania.

I oto był już na szczycie, balansując ostrożnie na środkowych łopatkach. Stąpając możliwie jak najdelikatniej, torował sobie drogę pomiędzy mokrymi kudłami, które przypominały mu nieco stepową trawę. Znalazł się wreszcie w naturalnym zagłębieniu pomiędzy pierwszą a drugą parą łopatek. Lorqual wciąż nie reagował na jego obecność. Mokry, zmarznięty, przemoczony ulewnym już deszczem Tooqui ucieszył się nawet z tego niewielkiego zwycięstwa. Nie tracił czasu na

gratulowanie sobie. To, czego dokonał do tej pory, było niczym w porównaniu z tym, co jeszcze pozostało do zrobienia.

Wstał ostrożnie i stanął na karku lorquala, mocno zapierając się stopami. Wziął jeden kamień z koszyka i przygotował się do działania. Nie musiał czekać długo. Dwa promienie Pałącego Światła rozjaśniły podbrzusza szybko wędrujących chmur. Stado, nerwowe z powodu szalejącej już burzy, zaczęło okazywać wyraźny niepokój. Zagrzmiało. W tym momencie Tooqui wycelował starannie i rzucił pierwszy kamień.

Trafił wybrany cel tuż nad lewym okiem. Lorqual wydał z siebie jęk przerażenia i bólu, poderwał z ziemi przednie nogi i zaczął nimi wierzyć, pewnie stojąc na czterech pozostałych. Zbite w ciasną grupkę zwierzęta zamuczały żałośnie. Drugi kamień, rzucony w ślad za pierwszym, uderzył kolejnego członka stada. Ten także podskoczył i zaczął wierzyć. Trzeci kamień trafił największego z lorquali dokładnie w samo oko.

Stado zaczęło się kręcić niespokojnie, nie wiedząc, jak zareagować i co robić dalej. Panika zaczęła ogarniać zwierzęta stłoczone wokół Tooquiego i jak fala rozprzestrzeniała się wokół, kierując kręgi niepokoju ku skrajowi stada. Malec wciąż rzucał kamieniami, drażniąc zwierzęta znajdujące się w zasięgu rzutu. Ryki stawały się coraz głośniejsze, wznosząc się nawet ponad pomruki grzmotów i bębnienie deszczu.

Jeden niepewny, przerażony lorqual objął się o drugiego, również zdenerwowanego. I wtedy przyszedł z pomocą Kapchenaga, zsyłając kilka błyskawic naraz. Po ostatnim uderzeniu, bardzo już bliskim, stado straciło resztkę opanowania i ruszyło. Najpierw powoli, ale szybko nabrało pędu. Z oczami pełnymi deszczu Tooqui robił, co mógł, aby umiejętnymi rzutami kamieni skierować je we właściwą stronę. Kiedy cisnął ostatni, obiema garściami chwycił się szczeciny i trzymał mocno, ratując życie. Nie tylko swoje, lecz i przyjaciół. I tak nie miał wyboru. Gdyby bodaj spróbował zsunąć się z gigantycznego rumaka, zostałby wdeptany w ziemię. Czuł prawie drżenie gruntu pod uderzeniami stóp pędzących lorquali.

Obóz Qulunów był cichy i ciemny, jeśli nie liczyć palących się przez całą noc prętów żarowych, oświetlających przestrzenie między chatami i odstrasających ewentualnych drapieżców. Zagrzmiało, aż zadrżały krople deszczu, a potem jeszcze raz.

Wartownik nagle zadął w róg, ogłaszając alarm. W całym obozowisku odpowiedziały mu inne rogi. Wszyscy zerwali się z posłań – jedni szybciej, inni wolniej, przecierając zaspane oczy. W transporterze gości Luminara próbowała wyartykułować pytanie zza knebla, ale nikt nie

zrozumiał, o co jej chodzi. Czują wokół siebie ruch, gdy podobnie jak ona związani towarzysze usiłowali wstać. Wszyscy wyczuwali potężniejące drgania – nie musieli nawet posługiwać się Mocą.

Baiuntu obudził się jako jeden z pierwszych i wykrzykiwał rozkazy we wszystkich kierunkach, po drodze dopinając spodnie o luźnych nogawkach. W całym obozie panował kompletny chaos. Nie było czasu na zaprzęgnięcie sadainów do transporterów, wystarczyło go zaledwie, aby wszystkich pobudzić. Pod kierownictwem Baiuntu zebrała się wreszcie grupa jeźdźców. Mieli jedyną szansę na ocalenie całego dorobku klanu. Wzniesli broń i ruszyli naprzeciw galopującemu stadu, usiłując je rozproszyć.

Odgłosy burzy utonęły w skrzeku sadainów, krzyku tratowanych jeźdźców i poranionych lorquali. Ten obszar pustyni dawno nie słyszał takiego hałasu. Pojedynczy strzał, nawet z nowoczesnego pistoletu, nie jest w stanie powalić spanikowanego, pędzącego na oślep lorquala. Kilka takich strzałów mogło jednak poważnie zranić zwierzę, a dalsza kano-nada mogła zmusić wielkiego stwora, aby zmienił kierunek biegu w obawie przed dalszymi obrażeniami. Qulunowie zaczęli biegać na wszystkie strony, strzelając i robiąc tyle hałasu, ile się da. Stado zwolniło nieco; niepokój i przerażenie lorquali powoli ustępowały. Nie zatrzymując się, zwierzęta zaczęły wymijać galopujących jeźdźców, którzy pojawili się nagle jak spod ziemi i robili im krzywdę. Inne odłączyły się od stada i rozproszyły w kierunku nieco bardziej na zachód. Stado rozdzieliło się przed obozowiskiem i rozbiegło na boki.

Kilka stworzeń ogarnęła jednak taka histeria, że nie czuły nawet raniących je strzałów Qulunów i pędziły na oślep wprost przed siebie. Dwa padły pod gradem strzałów z importowanych, cennych rusznic laserowych Qulunów, dwa jednak przeżyły i w ciągu kilku sekund znalazły się w obozowisku.

Olbrzymie sześciopalczaste stopy tratowały towary i szopy, roznosząc w pył lekkie kompozytowe ściany, aż ukryci w nich mieszkańcy z wrzaskiem rozbiegali się na wszystkie strony, walcząc z ciemnością i deszczem. Potężne rogate łby kołysały się z boku na bok, wyrzucając ludzi i zwierzęta wysoko w górę. Oszalałe ze strachu, zakrwawione, oślepięte błyskawicami lorquale wdeptywały w ziemię wszystko, co nawinęło im się pod nogi, torując sobie drogę przez coraz większy chaos.

Transporter gości już od jakiegoś czasu nie był strzeżony. Podobnie jak reszta klanu, strażnicy popędzili na pomoc przyjaciółom i rodzinom, desperacko usiłując ratować życie i majątek. Ociekający deszczem Tooqui wdrapał się od przodu na wóz i wśliznął do środka.

Wewnątrz jego przyjaciele już mocowali się z więzami i próbowali usiąść. Wszystko wskazywało na to, że nic im się nie stało – tego zresztą się spodziewał. Kupcy Qulun godni swojego klanu zrobią wszystko, aby nie dopuścić do uszkodzenia towaru.

Szukając czegoś mocniejszego niż gołe palce, Toorqui natrafił na dziwny sprzęt pozaświatowców, poukładany i opatrzoney etykietami w otwartej szafce z przodu transportera. Sięgnął po jeden z mieczy świetlnych, ale zmienił zdanie i chwycił małe, uniwersalne ostrze Alwarich, należące do Bulgana. Noża przynajmniej umiał używać. Małe, ale silne dłonie zajęły się najpierw więzami Barrissy. Padawanka zerwała z głowy kaptur, a kiedy ujrzała, kto przybył im na ratunek, zabrakło jej słów. Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia, bo była nadal zakneblowana, a Tooqui zajmował się jej nadgarstkami i kostkami.

– Tooqui mówi prawda – trąkotał Gwurrarin, nie przestając pracować. – Tooqui najdzielniejszy z plemienia. Najsilniejszy, najodważniejszy, najmądrzejszy...

– I najbardziej gadatliwy – przerwała mu Barrissa, gdy wreszcie pozbyła się knebla. Była wolna, ale ku swojemu zdumieniu nie mogła się ruszyć. Kilka dni przebywania w ciasnych więzach spowodowało skurcze mięśni i mrowienie. Umiejętności Jedi pomogły jej przywrócić krążenie znacznie szybciej, niż mogłby to uczynić niewyszkolony więzień. Wciąż zajęty Tooqui powiedział jej, gdzie ma szukać sprzętu. Rzuciła się z pomocą i we dwójkę błyskawicznie rozwiązali Obi-Wana, Luminarę i Anakina.

Coś uderzyło mocno w ścianę transportera, omal nie wywracając go na bok. Z zewnątrz dobiegło ich basowe muczenie, zagłuszające nawet odgłos wichury i deszczu. Towarzyszyły mu urywane wrzaski spanikowanych Qulunów.

– Co to takiego? – zainteresował się Anakin, rozcierając nogi i ręce, żeby przywrócić w nich krążenie. Marzył o tym, żeby zacisnąć palce nie na rękojeści miecza, ale na tłustym karku pewnego wodza Qulunów. Obi-Wan nie pochwalał takich myśli, to prawda, ale zdarzały się chwile, kiedy Anakin miał ochotę odstawić na bok wszelkie nauki mistrza. Teraz właśnie nadszedł taki moment. Dajcie mi tylko możliwość skręcenia karku temu wrednemu workowi sadła, pomyślał, a później ze skruchą poniosę każdą karę...

– Lorquale. – Tooqui zawzięcie piłował więzy krępujące kostki Kyakhty. – Żeby bić bić Qulun, Tooqui trzeba wielki kij. – Zerkał w górę i uśmiechnął się szeroko. – Stado lorquale wielki kij. Tooqui goni ich przez obóz.

Kyakhcie opadła szczeka.

– Pognałeś na nas całe stado lorquali? Mogły nas stratować!

Coś twardego znów uderzyło w transporter, jakby na potwierdzenie prawdziwości słów przewodnika.

Gwurrarin spojrział na Kyakhę.

– Wielka Alwari może trochę zamknąć gębę. I siedzieć spokojnie, inaczej Tooqui możliwe zrobi wypadek i poobcina paluchy.

– Tooqui, ty mały... *ou*, co ty tam robisz?

W ciągu kilku chwil wszyscy znów byli na nogach, uzbrojeni i wolni. Luminara z mieczem świetlnym w dłoni przesunęła się ostrożnie do przedniej części transportera i wyjrzała na zewnątrz.

Pręty żarowe kołysały się w uchwytach, przerażeni Qulunowie biegali beładnie, a siekący deszcz przesłaniał wszystko. A ponad całym tym chaosem, chwijając łbem na boki, górowało zwaliste cielsko pojedynczego, zdesperowanego i na wpół oszalałego lorquala.

O Mocy, pomyślała, jeśli tak wygląda jeden lorqual, to jak musi wyglądać rozpedzone stado? Odnalazła wzrokiem wciśniętą między pozostałych drobną figurkę Tooquiego.

– Cokolwiek się zdarzy od tej chwili, Tooqui, chcę, żebyś wiedział, że i ja, i Obi-Wan, i nasi padawanowie uważamy cię za bardzo dzielnego.

– Nie tylko dzielnego! Dzielnego dzielnego! – Tooqui mężnie ruszył naprzód, ale cofnął się, kiedy ogromny lorqual pchnął łbem w ich stronę ciężką cysternę z wodą. Cysterna pękła w zetknięciu z podłożem, dodając trochę wilgoci do ogólnego potopu. – Ale teraz troszkę się boi boi...

– Bo masz powód. – Obi-Wan podszedł do Luminary, usiłując ocenić sytuację w najbliższym otoczeniu. – Jeśli nasze suubatary nie zerwały się z uwięzi i nie zostały stratowane, powinniśmy spróbować do nich dotrzeć.

– Suubatarom nic nie będzie, mistrzu Obi-Wanie – odezwał się Bulgan zza pleców Jedi. – Są dla Qulunów zbyt cenne. Z pewnością wysłali strażników, żeby się nimi zajęli i zabezpieczyli je przed lorqualami. A jeśli trzymają się razem, to są dość silne, by odepchnąć nawet lorquala.

– To znaczy, że będziemy się musieli zająć kilkoma strażnikami – pokiwał głową Obi-Wan.

– Nie ma sprawy – odezwał się Anakin, przycupnięty za plecami mistrza. Mocno ścisnął w dłoni miecz świetlny. – Byłem tak długo związany... przydałoby mi się trochę rekreacji... o, przepraszam, ćwiczeń.

Barrissa zmarszczyła brwi.

– Anakinie, czy ty przypadkiem nie namawiasz do rewanzu?

– Oczywiście, że nie – odparował. – Chcę tylko powiedzieć, że jeśli ktokolwiek nawinie mi się teraz pod rękę, to nie jestem w nastroju, żeby załatwić sprawę polubownie.

Stłoczeni w transporterze przeczekali, dopóki droga nie była wolna. Wtedy skończył się czas dyskusji. Niedawni więźniowie z Obi-Wanem, Luminarą i Tooquim na czele wysłiznęli się ostrożnie ze sponiewieranego transportera i zaczęli torować sobie drogę na tyły obozowiska Qulunów. Niewielu z nich spotkali po drodze, głównie śmiertelnie przerażone kobiety i dzieci, które robiły wszystko, aby nie wejść w drogę rozszałą łorqualom. Nie miały ani czasu, ani ochoty zajmować się ucieczką więźniów.

Wokół nich wrzało zamieszanie, a chaos potęgowała jeszcze rozszała burza. Mimo to bez trudu dotarli do zagrody, gdzie znajdowały się ich suubatary. Przycupnęli za niskim kontenerem, dokładnie zabezpieczonym przed deszczem i intruzami, i dokonali błyskawicznej inspekcji ogrodzenia. Suubatary nerwowo dreptały w miejscu. Luminara stwierdziła z ulgą, że juki wciąż znajdują się na grzbietach zaniepokojonych wierzchowców.

– Widzę trzech strażników... nie, czterech – szepnęła do Obi-Wana stłumionym głosem.

Skinął głową.

– Ja też nie widzę nikogo więcej. – Podniósł dłoń i bez słowa dał znak.

Luminara kiwnęła na Barrissę i okrążyła transporter z paszą. Obi-Wan i Anakin skierowali się w drugą stronę. W tym momencie Barrissa przypomniała sobie zdecydowane słowa, wypowiedziane niedawno przez drugiego padawana. Anakin wydawał się aż nadto chętny do nieuchronnej bójki.

Dwaj Alwari razem z Tooquim czekali przy kontenerze. Siedzieli bez ruchu, gapiąc się w burzliwą noc. Nagle Bulgana jakby coś tknęło. Zwrócił się twarzą do ich małego towarzysza, powoli opadł na klęczki i przycisnął czoło i dłonie do zimnej, mokrej ziemi. Grzywa sterczała ku niebu. Kyakhta zauważył gest przyjaciela i natychmiast uczynił to samo – choć składając ten tradycyjny pokłon, mamrotał coś pod nosem. Tooqui przyglądał się temu z satysfakcją.

– Dobrze świetnie. Teraz wstają, głupie miękkie głowy. – Obaj przewodnicy podnieśli się z klęczek, ocierając z twarzy brud i deszcz. – Teraz Tooqui ma dla was polecenie.

Oczy małego stworzonka błyszczały w świetle błyskawic:

– Wy już nigdy nie nazywacie Tooqui głupi dzikus, a wtedy Tooqui was nie nazywa miękkie głupie durne zakute stuknięte tępe pały...

Bulgan otarł zdrowe oko z wody i przerwał zbawcy w pół słowa.

– Rozumiemy, co mówisz, Tooqui. To dość uczciwe. – Spiczastym łokciem dźgnął kompana w mocno wygięte ansioniańskie zębra. – Mam rację, Kyakhta?

– *Haja*, tak mi się zdaje – niechętnie wymamrotał drugi przewodnik.

Usatysfakcjonowany kosmaty towarzysz niedoli odwrócił się i uważnie spojrzął na zagrodę.

– Teraz lepiej. Tooqui chciał iść po suubatary, ale Jedi kazali mu zostać, żeby pilnować pilnować wy dwaj. Trzymać bezpiecznie.

Bulgan wyciągnął rękę w samą porę, aby powstrzymać Kyakhtę przed szarpnięciem za krótkie, miękkie futerko Tooquiego.

Jaskrawe, sztuczne światło, nie przyćmione nawet przez ulewny deszcz, oświetlało obie strony zagrody. Obi-Wan wśliznął się przez ogrodzenie i w milczeniu wskazał na dalszego z dwóch strażników, którzy trzymali wartę bliżej nich. Obaj Qulunowie byli zaprawieni przez lata walki z krążącymi drapieżnikami i klanami rabusiów. Mieli wyostrzone zmysły i dobrze władali bronią.

Ten, który odwrócił się pierwszy, zdołał opanować zaskoczenie na widok dwóch podchodzących do niego ludzi i podniósł broń, lecz wypalił tylko raz. Strzał, odbity błyskawicznie przez Obi-Wana, pomknął w ciemność. Zanim strażnik zdołał oddać drugi strzał, Jedi przyszpilił go do ziemi.

Początkowo Obi-Wanowi zdawało się, że Anakin ma kłopoty z drugim strażnikiem, ale kiedy przyjrzał się uważniej, stwierdził, że chłopak tylko się z nim droczy. Zmarszczył brwi i ruszył w kierunku walczących, ale na widok nadchodzącego mistrza Anakin wykończył przeciwnika szybkim cięciem w szyję. Qulun upadł w mokrą, krótką trawę.

Obi-Wan wyłączył miecz świetlny i spojrzął pod nogi, na martwego Ansionianina, po czym podniósł wzrok na Anakina. Szczególnie jasna błyskawica wydobyła z mroku ciała i twarze obu mężczyzn, ale nie zdołała rozjaśnić napięcia, jakie pomiędzy nimi wisiało.

– Co to miało znaczyć, padawanie? – Głos Jedi pozbawiony był wszelkich emocji.

– Nic, mistrzu. – Anakin przypiął do pasa miecz świetlny z absolutnie niewinną miną. – Był szybszy, niż myślałem.

Kenobi w milczeniu przyglądał się uczniowi. Wreszcie skinął głową.

– Uważaj, Anakinie, następny przeciwnik może być jeszcze szybszy. – Wyminął padawana i powiedział sucho: – Chodź. Dość już straciłszy czasu.

Ostre gwizdnięcie przywołało do nich Barrisę i Luminarę.

– Jakies kłopoty? – Obi-Wan nie patrzył na Luminarę, tylko na jej padawanę.

Jedi potrząsnęła głową. Woda ściekała jej po twarzy, z wytatuowanej dolnej wargi zwisaly kropelki deszczu.

– Dobrzy z nich wojownicy. Bardziej zaprawieni w walkach niż ci, którzy na nas napadli w Cuipernam. – Skinęła na Barrisę. Padawanka uniosła lewą dłoń, pokazując niewielkie draśnięcie. Ranka krwawiła lekko, ale deszcz ją omywał i z pewnością wkrótce nie zostanie po niej śladu.

Anakin zrobił krok do przodu i ocenił skaleczenie jednym spojrzeniem.

– Musisz nauczyć się trzymać dystans. Zwłaszcza jeśli nie wiesz, jak dobry jest twój przeciwnik.

– Nie mam twojego zasięgu – odparła opryskliwie. – Ale na pewno chętnie pokażesz mi, jak się to robi.

Odpowiedź zbiła ją z tropu.

– Kiedyś już tego próbowałem. Wtedy było więcej wody, pamiętasz? – rzucił i skierował się w stronę nerwowo podskakującego suubatarę. Barrissa przyglądała mu się przez chwilę z lekkim zmieszaniem, po czym sama ruszyła w kierunku swego wierzchowca. No cóż, nie czas teraz na analizowanie skomplikowanej osobowości Anakina Skywalkera. Ale czy kiedyś wreszcie nadejdzie właściwy czas?

W milczeniu dosiedli niespokojnych suubatarów. Kyakhta i Bulgan dopiero teraz zauważyli ciała czterech quluńskich strażników.

Zwierzę Luminary stanęło dęba na tylnych i środkowych nogach. Jedi z trudem go opanowała, siedząc w siodle. Kilka tygodni temu pewnie zostałaby już dawno zrzucona. Doświadczenie jednak przyszło z czasem, a wraz z doświadczeniem – pewność siebie.

Poskromiła wreszcie ogromne zwierzę i ruszyła za przewodnikami, którzy skierowali się na północ. Zdenerwowane suubatary, kiedy poczuły mocne dłonie i wprawnych jeźdźców, bez trudu przesadziły elektryczną barierę przenośnej zagrody. I oto znaleźli się znowu w stepie, w strugach deszczu, pędząc przed siebie. Gdzieś tam czekał ciągle wymykający się nadklan i ostatni etap misji.

Soergg zdołał mocno ich opóźnić i namieszać w planach. Lumina-
ra mogła tylko mieć nadzieję, że Huttowi nie udało się doszczętnie zni-
weczyć ich wysiłków. Suubatar nosił ją w ciemną noc, a ona modliła
się, żeby przedstawiciele unii dotrzymali słowa i powstrzymali się od
debaty nad ewentualnym odłączeniem Ansionu od Republiki aż do cza-
su ich powrotu. Z doświadczenia wiedziała, że praktycznie niemożliwe
jest anulowanie raz przeprowadzonego głosowania.

Za ich plecami wściekły Baiuntu próbował zebrać grupę pościgo-
wą. Jego nadzieje na szybkie odzyskanie więźniów znikły jednak, kiedy
zobaczył tłumek śmiertelnie przerażonych Qulunów, którzy uciekali na
wszystkie strony ze zdewastowanego przez lorquale obozowiska.

– Kretyni, idioci! Zbierzcie się! Zaczniście myśleć! – wołał przy-
wódca. Sadain stawał dęba pod jego ciężarem; jeździec z ogromnym
trudem trzymał wodze, próbując jednocześnie zebrać choć kilku współ-
plemieńców. Przejęty bez reszty uciekającymi więźniami i stratą na-
grody, jaką sobą przedstawiali, nie widział, co się dzieje na kolizyjnym
kursie. Sadain był jednak sprytniejszy: zrzucił go z grzbietu, a sam uciekł.

– Ty nędzny, bezwartościowy... – Siedząc w błotnistej trawie, wódz
Qulunów mało nie pękł ze złości. Co za noc! A tak się obiecująco zapo-
wiała. Ciężko dźwignął się na nogi i zaczął wściekle otrzepywać upa-
praną w błocie odzież. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić,
że jest sam. Wszyscy pozaświatowcy uciekli, choć nie mógł sobie wy-
obrazić, jakim cudem im się to udało. Czy przetrzymał ich dość długo,
aby wydrzeć zapłatę od Hutta? Miał taką nadzieję. Trud, jaki sobie za-
dał, aby tych Jedi uwięzić, wciąż jeszcze był wart zachodu. A co do po-
trójnie przekłętego stada lorquali, to wreszcie sobie poszło i z pewno-
ścią pasie się teraz spokojnie gdzieś na południe od obozowiska, które
zrównało z ziemią. A on siedzi tutaj w trawie ze świadomością, że cze-
ka go krótka, ale błotnista spacer do łóżka.

Cóż, jego klan przechodził już gorsze koleje losu. Nie na darmo
Baiuntu cieszył się opinią przewidującego przywódcy i przebiegłego
kupca. Będą jeszcze inne dni, inne okazje do zarobku. Mądry handlarz
wie, kiedy pogodzić się ze stratą, a kiedy walczyć o zysk. Wszystko
zależy od tego, czy powstrzymali pozaświatowców dość długo, aby za-
dowolić zleceniodawców z miasta. Ruszył powoli w kierunku ocalałych
pretów żarowych obozowiska.

Coś zakasłało dyskretnie za jego plecami.

Zrobił kolejny krok i kaszel rozległ się znowu. Obejrzał się, drżą-
cymi palcami szukając miotacza, tego dobrego, który nabył na corocz-
nych targach w odległym Pijanzi. Palce natrafiły na pustkę.

Broń musiała wyśliznąć mu się z olstra, kiedy zrzucił go ten przekłety sadain.

Opadł na kolana i nie bacząc na błoto i deszcz, zaczął gorączkowo szukać miotacza. *Ou*, jest... leży sobie w trawie niedaleko Baiuntu. Teraz wszystko będzie dobrze, choć może nie tak, jak było tuż po zachodzie słońca. Z ulgą sięgnął po broń. W tym momencie nad miotaczem pojawiło się nagle troje oczu. Błyszczały czerwonym, morderczym blaskiem. Obok widniała druga trójka ślepiów, dalej trzecia i jeszcze jedna. Zagryzł wargi i rzucił się w kierunku miotacza.

Jak na tak masywnego osobnika, Baiuntu był zdumiewająco szybki. Ale ani w połowie nie tak szybki, jak shanh.

ROZDZIAŁ

14

Ranek przyniósł zmianę pogody i humorów. Stepy, oczyszczone przez nocną burzę, pachniały deszczem i wyglądały jak świeżo umyte i pomalowane. Słońce świeciło łagodnie, małe skrzydlate stworzonka żywiące się nasionami rażno szczebiotały, przelatując wśród traw, a nawet zazwyczaj niewzruszone suubatary pędziły z młodzieńczą sprężystością we wszystkich sześciu nogach. Jeźdźcy bez wątplenia jeszcze bardziej cieszyliby się z rzeńskiego poranka, gdyby nie byli zmęczeni całonocną jazdą.

Chłodne poranne powietrze działało jednak orzeźwiająco. Obi-Wan stanął w siodle i utrzymując doskonałą równowagę, zaczął wykonywać serię ćwiczeń rozciągających, nie zwracając zupełnie uwagi na galopującego pod nim wierzchowca. Para padawanów z podziwem obserwowała ten pokaz. Anakin wiedział, że gdyby spróbował takiej sztuczki, w okamgnieniu wylądowałby na trawie. To, co wyczyniał Obi-Wan, wymagało doskonałej koncentracji, pełnego zaufania do własnych możliwości, no i stalowych nerwów. Ale co w tym dziwnego? Jego nauczyciel znany był z doskonałej władzy nad wszystkimi funkcjami ciała.

Luminara, jadąca tuż obok, od czasu do czasu zerkała w kierunku drugiego rycerza Jedi. Potrafiłaby naśladować jego ruchy, ale wolała odpoczywać. Rozejrzała się po stepie rozciągającym się przed nimi. Miała kilka pytań do przewodników. Łagodnie popędziła suubatara, żeby zrównać się z nimi, i pozostawiła Kenobiemu w tyle.

Obi-Wan został sam i napawał się w spokoju rozpościerającym się wokół łagodnie falującym morzem traw. Jak zawsze w przypadku

nowego świata, wiele było do zbadania: geologia, klimat, najbliższa flora i fauna.

Nie przypuszczał nawet, że Anakin obserwuje go uważnie z daleka. Uznał, że najczęściej trudno poznać, co jego mistrz sobie myśli. Czy taki właśnie jest los Jedi – coraz większe osamotnienie, oddalenie, zapomnienie? Kiedy patrzył na jadącą obok młodą kobietę, trudno mu było sobie wyobrazić bystrą i energiczną Barrisę przechodzącą tak drastyczną przemianę. Zresztą, szczerze mówiąc, również Luminara Unduli miała w sobie więcej życia niż Obi-Wan. Czyżby więc tylko Jedi płci męskiej byli skazani na przeżycie swoich dni w powadze i wewnętrznym skupieniu?

Przyrzekł sobie w duchu, że jemu się to nie zdarzy. Cokolwiek przyniesie przyszłość, nie będzie patrzył na życie z ponurą rezerwą, która zdawała się dominować w mistrzu Obi-Wanie. Przypomniał sobie cudowną, uduchowioną opowieść, którą wysnuł jego nauczyciel przed widownią oczarowanych Yiwów. A może osądza Obi-Wana zbyt surowo? Czy to jego wina, że nigdy nie poczuł tego drżenia, które zmuszało Anakina do wpatrywania się godzinami w nocne niebo i wzywaniu w milczeniu jednej, odległej gwiazdy? Uczono go, że powinien łączyć się z innymi w ich cierpieniu. Potrafi więc współczuć nauczycielowi. W tej właśnie chwili postanowił, że zawsze będzie o tym pamiętał.

Jeśli kiedykolwiek zapomnę, zdecydował, to tylko dlatego, że nie będę osobą, którą chcę się stać.

– Świetnie sobie poradziłeś wczoraj wieczorem.

– Słucham? – Uświadomił sobie nagle, jak głęboko pograżył się w myślach. Postarał się przynajmniej uśmiechem wynagrodzić to swojej miłej, choć czasem nieznośnej rozmówczyni. – Z czym?

Barrissa odwróciła się ku niemu w siodle.

– Kiedy uciekaliśmy przed Qulunami, a zwłaszcza wtedy, kiedy odbieraliśmy nasze wierzchowce. Widziałam, co zrobiłeś.

– Zrobiłem to, co mi polecił mistrz Obi-Wan. To, co musiałem zrobić.

– Dopiero drugi raz widziałam, jak władasz mieczem świetlnym. Jesteś bardzo silny. – Nieświadomie dotknęła swojej zranionej ręki. To doświadczenie nauczy ją, żeby się nie odsłaniać i nie zaniedbywać obrony nawet wobec pozornie słabszego przeciwnika.

– Dużo ćwiczyłem. – Suubatar Anakina przeskoczył niski próg z szarych kamieni, unosząc najpierw przednie, potem środkowe i wreszcie tylne nogi. – Są osoby, które twierdzą, że Jedi można poznać po zręczności w posługiwaniu się mieczem świetlnym. Chcę, aby szanowano tę moją umiejętność. Szacunek zapobiega niepotrzebnym walkom.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy na ciebie patrzę, myślę sobie, że nawet mistrz Yoda musiałby się przy tobie napracować.

Zamrugął zdziwiony.

– Mistrz Yoda? Chyba żartujesz.

Spowaźniała nagle.

– Dlaczego miałabym żartować na taki temat? Mistrz Yoda jest znany jako największy mistrz miecza świetlnego wszech czasów. Nie mów mi, że nigdy nie miałeś z nim lekcji szermierki.

– Pewnie, że miałem z nim lekcje. I rzeczywiście jest świetnym nauczycielem... techniki. Nawet jeśli musi stawać na podwyższeniu, żeby uczniowie go widzieli. Jego zręczność mnie zadziwia, zwłaszcza przy tak małym zasięgu – dodał z żarem. – Ale to tylko nauka, Barrisso. Sama teoria i założenia. Nawet jeśli uczył cię mistrz Yoda, to nie jest prawdziwa walka.

Tym razem, zamiast odpowiedzieć od razu, przez chwilę zastanowiła się nad jego słowami.

– Dlaczego sądzisz, że mistrz Yoda nigdy nie używał miecza w prawdziwej walce?

Miał ochotę się roześmiać, ale zrezygnował. Obi-Wan i Luminara mogliby usłyszeć i zapytać o przyczynę takiej wesołości. Anakin wiedział, że jego wyjaśnienie nie spodobałoby się nauczycielowi. Podobnie jak wszyscy Jedi, Obi-Wan darzył stareńkiego mistrza głębokim szacunkiem, a w dodatku niezmordowanie wbijał do głowy swojemu padawanowi, że pewne sprawy nie są właściwym tematem do żartów.

Nie oznaczało to, że Anakin miał zamiar zignorować pytanie towarzyski.

– Daj spokój, Barrisso. Mistrz Yoda, w prawdziwym pojedynku poza planszą szermierczą? Możesz sobie wyobrazić taką walkę? – Znow chciało mu się śmiać na samą myśl o takiej scenie. – Z kim mógłby w ten sposób walczyć? Najwyżej z kimś wzrostu Tooquiego.

– Nie chodzi o wzrost ani o moc miecza świetlnego, lecz o siłę serca.

Anakin ze zrozumieniem skinął głową.

– Daj mi wielkość i moc, a serce zatrzymaj sobie. – Wiedział, że ta odpowiedź graniczyła z bluźnierstwem, ale ciekaw był, jak się teraz zachowa padawanek.

Zareagowała spokojniej, niż się spodziewał.

– Powinieneś się wstydzić, Anakinie Skywalkerze. Jak możesz kwestionować umiejętności mistrza Yody?

– Wcale ich nie kwestionuję – odparował. – Nie mógłbym, przecież byłem jego uczniem. Nie znam nikogo szybszego i lepszego w walce na miecze świetlne... ale w sali treningowej. Chcę tylko powiedzieć, że techniki szkoleniowe to nie to samo, co walka na miecze w bitwie. Poza tym mistrz Yoda jest... no, nie jest młody. A jeśli już o kwestionowaniu mowa, dobry Jedi powinien kwestionować wszystko. Najlepiej być pewnym swego.

– Dobrze, że tak myślisz – odparła oschle. – Nigdy się nie będziesz musiał martwić, że popełnisz błąd.

– Wszyscy popełniamy błędy – zapewnił ją. – Właśnie temu ma zapobiec zadawanie pytań. Dlatego kwestionuję wszystko, co mi staje na drodze. W tej chwili całe systemy kwestionują sposób, w jaki rządzona jest Republika. Ansion jest tylko jednym z wielu, a inni bardzo uważnie mu się przyglądają.

Spojrzała na niego uważnie.

– Czy i ty tak sądzisz, Anakinie? Czy i ty kwestionujesz sposób rządzenia Republiką?

– Byłbym głupcem, gdybym tego nie robił. – Machnął ręką w kierunku pozostałych. – Nawet mistrz Obi-Wan ma zastrzeżenia dotyczące korupcji, kierunku, jaki przyjmuje rząd, spraw, których nie rozwiązuje, ponieważ coraz bardziej pograża się w biurokratycznym bełkocie. Nic dziwnego, że ja też mam swoje zastrzeżenia. A ty nie?

Wyprostowała się w siodło i pokręciła głową.

– Nie zamierzam marnować czasu na dysputy polityczne. Wolę dobrze wypełniać obowiązki padawana i jak najszybciej zostać prawdziwym Jedi. To dość pracy, żeby zająć każdego. A przynajmniej tak mi się wydawało. – Spojrzała na niego twardo. – To cud, że potrafisz wśród tylu zajęć zmieścić jeszcze problemy galaktycznej racji stanu.

Oraz parę innych rzeczy, chciał powiedzieć, ale zrezygnował. Wprawdzie myślał teraz o swojej zadziornej i zdecydowanej koleżance z pewnym, acz niechętnym podziwem, jednak wciąż nie ufał jej całkowicie. Czuł, że cokolwiek jej powie, ona natychmiast przekaze to swojej mistrzyni, a Luminara z kolei Obi-Wanowi. Lepiej zachować pewne sprawy dla siebie.

Za każdym razem, kiedy angażował się w takie dyskusje, coraz bardziej czuł swoją odmienność. Różnił się od Barrissy, tak samo, jak od Luminary i Obi-Wana. Matka zawsze mu to mówiła. Tak bardzo żałowała, że nie może w tej chwili z nią porozmawiać, zasięgnąć jej mądrej rady w różnych sprawach, zwłaszcza zaś w tej, która pochłaniała go całkowicie. I pomyśleć, że w dawnych czasach ludzie za prawdziwą rozłą-

kę uważali znalezienie się po przeciwnych stronach tej samej planety. Już prawie nie potrafił sobie wyobrazić, że ludzie liczyli kiedyś odległość miarą fizyczną, a nie czasową.

Na noc zatrzymali się w dolinie jednego z niezliczonych strumieni, które przecinały zielony step. Qulunowie nie wydawali się skłonni do pościgu. Albo tak mocno ucierpieli od nocnej galopady lorquali, że nie dali rady zorganizować pogoni, albo uznali, że lepiej nie ścigać więźniów, którzy potrafią się skutecznie odgryźć.

– Jest jeszcze jedna możliwość – zauważył Kyakhta, kiedy poruszono tę kwestię. – Im bliżej jesteśmy nadklanu, tym bardziej taki niższy klan, jak Qulunowie, boi się wtrącać.

– Najważniejsze, że moim zdaniem jesteśmy bezpieczni. – Obi-Wan zmrugał oczy i spojrzął w zachodzące słońce. – Ale dziś w nocy wystawimy warty... tak dla pewności.

Anakin był zadowolony, kiedy przyszła jego kolej. Barrissa go obudziła po północy czasu ansiońskiego. Wystarczyło jedno dotknięcie.

– Nic się nie działo – szepnęła, żeby nie zbudzić pozostałych. Zanim wstał i włożył coś cieplejszego, ona już z westchnieniem pakowała się do swojego śpiwora. – Nic nie widać, ale czujesz, jak wszystko wkoło się rusza. Ten świat jest pełen ulotnych dźwięków nocy.

Odniosł wrażenie, że zasnęła, zanim jeszcze zdążyła zamknąć oczy.

Miejsce stanowiska wartowniczego zostało starannie wybrane przez przewodników. Był to najwyższy punkt w okolicy obozowiska, choć niezbyt wyniosły, ot mały bąbel na równinie. Jednak widok stąd na okolicę strumienia był bodaj najlepszy. Anakin znalazł sobie wygodne miejsce i usiadł, szykując się na trzygodzinne czuwanie.

Większość istot myślących uznałaby taką wartę za niezmiernie nudną. Ale nie Anakin. Wychowany tylko przez matkę, pozbawiony towarzystwa rodzeństwa, był przyzwyczajony do samotności. Kiedy był dzieckiem, często jego jedynym towarzystwem były maszyny. Zastanawiał się chwilę, jaki los spotkał tego robota protokolarnego, którego zmagistrował z części zamiennych. Trudno powiedzieć, co się uległo w głowie pewnego gadatliwego skrzydlatego kupca imieniem Watto. Ciekawe, co ten wielkonosy robał porabia... Przyłapał się na tym, że na samo wspomnienie kręci głową. Jeśli ktoś miałby prawo od czasu do czasu dziwnie się zachowywać, to właśnie on, Anakin Skywalker. Kto prócz niego uznałby chciwego, przerośniętego Toydarianina za substytut ojca?

Właściwie, jeśli nie liczyć braku ścian, to co za różnica: siedzieć na zapleczu sklepu z maszynami czy stać samotnie w obcym stepie, pod obcym niebem. Jeden z dwóch księżyców Ansiona był już na niebie,

drugi właśnie wschodził. Oba wąskie sierpy lśniły srebrem na tle czarnego aksamitu. Otaczało je mrowie gwiazd, jak odległe diamenty. Tyle światów, tyle pytań – a wiele z nich dotyczyło świata, na którym się znajdował.

Coś zaszeleściło w wysokiej trawie. Zerknął w tamtą stronę, ale nie zobaczył nic. Tak jak mówiła Barrissa, ta planeta pełna była cichych nocnych odgłosów. Mnóstwo pomniejszych lokalnych form życia mieszało poniżej baldachimu falującej dzikiej trawy, nigdy nie wychodząc na światło dzienne. Ciekawe, jakich zniszczeń dokonało galopujące stado lorquali w tych ukrytych społecznościach.

Prawdopodobnie niewielkich, odpowiedział sam sobie. Tu, na rozległych, dzikich równinach, natura reagowała na potrzeby zarówno wielkich, jak i maluczkich. Dobrym przykładem było plemię Tooquiego. Sprytny łobuz z tego malca. Wścibski, denerwujący, to prawda, ale równie odważny, jak jego własne fantastyczne opowieści. Anakin przez większość życia był zmuszony polegać wyłącznie na własnej odwadze, dlatego szczerze podziwiał tę cechę u innych.

Minęła cała godzina, zanim znów rozległy się szmery. Z każdym dniem poznawali nowe okazy ansiońskiej fauny, ale z oczywistych względów rejestr nocnych stworzeń był dość ograniczony. Anakin nie miał nic do roboty, postanowił więc sprawdzić, co tak szeleści w trawie. Cokolwiek to było, znajdowało się dość blisko.

Odwrócił się i skierował na lewo, bezszelestnie stąpając w wysokiej trawie. Szelest rozległ się znów, tym razem bliżej. Uznał, że to niewielkie stadko lokalnych zwierzątek, pracowicie zbierających pod osłoną nocy osypane ziarna traw. Ciekawe, jak one wyglądają. Co najmniej jedno z nich wydawało się dość duże, wielkości przynajmniej Tooquiego.

Zaskoczony w pół kroku shanh wyskoczył z ukrycia jak sprężyna. Podobnie jak wiele innych miejscowych stworzeń, nie warczał, lecz syczał. Głos shanha nie był podobny do syku inteligentnych istot, takich jak Alwari, ani innych miłych stworzonek wędrujących po otwartych przestrzeniach. Był to niski, ponury dźwięk – kwintesencja wściekłej furii.

Przednie i środkowe łapy uderzyły w pierś Anakina, zwalając go z nóg. W jednej chwili potężne, pełne ostrych zębów szczęki zwierzęcia znalazły się w okolicy jego gardła. Nie było czasu na myślenie, nie było czasu na wybór sposobu postępowania.

Zanim szczęki shanha się zamknęły, Anakin gwałtownie przetoczył się na bok. Górny rząd zakrzywionych, licznych zębów drapieńczy, za-

miast w ciało, zarył się w ziemię. Smukły, muskularny mięsożerca odwrócił się natychmiast przodem do ofiary, używając do tego wszystkich sześciu nóg; jedyne nozdrze było rozdęte ze złości, a czerwone ślepia wyglądały na tle ciemnej sylwetki napastnika jak dwa opalizujące księżycy.

Anakin odpełznął w tył; usiłował skupić się na Mocy, jednocześnie gorączkowo szukając miecza u boku. Odczepił broń od pasa i włączył – żeby natychmiast ją stracić, kiedy trójszponiasta łapa uderzyła go w prawą dłoń. Miecz upadł w trawę wprost na wyłącznik i ostrze zgasło. Tak się kończy, kiedy próbujesz robić dwie rzeczy naraz, a nie umiesz, skarcił się chłopiec. Prawdziwy Jedi potrafiłby sobie poradzić. Z bólem uświadomił sobie, jak wiele jeszcze musi się nauczyć.

Ale jeśli szybko czegoś nie wymyśli, może nie mieć już okazji do nauki.

Rozbrojony, chwiejnie stanął na nogi. Shanh z nadzieją w ślepiach gapił się na niego, nawet nie mrugając. W przeciwieństwie do padawana, nie był uzależniony od myślenia. Mocne mięśnie sprężyły się pod krótkim, pasiastym futrem, paszcza otworzyła się lekko i zwierzę skoczyło.

Pozbawiony jedynej broni, Anakin uciekł się do tego, co mu pozostało. Skoncentrował się, jak jeszcze nigdy w życiu, i wyrzucił przed siebie jedną dłoń z rozpostartymi palcami.

Jego wpływ na Moc nie był jeszcze dość silny, aby odrzucić w tył atakujące zwierzę, ale wystarczył, aby odchylić tor śmiercionośnego pocisku. Przelatując obok niego, zwierzę wyrzuciło przed siebie środkowe i przednie łapy. Jedna para szponów rozorała Anakinowi ramię, zanim zdołał odskoczyć. Ani pisnął.

Poczuł, że krew leci mu strumieniem z rany, bolesnej i brzydkiej, choć niegłębokiej. Wściekły i oszołomiony drapieżnik wylądował na wszystkich sześciu nogach i natychmiast odwrócił się, gotów do kolejnego skoku. W tym momencie Anakin rzucił się po swój miecz świetlny i zacisnął palce na stalowym cylindrze. Leżąc na brzuchu, zaczął się odwracać, żeby zadać cios wściekłe syczącemu przeciwnikowi. To był naprawdę wielki samiec – silny, szybki i bardzo głodny. Anakin wiedział, że będzie miał czas tylko na jeden cios, ale z mieczem świetlnym to powinno wystarczyć.

Niespodziewanie coś przygwoździło do ziemi jego prawy przegub. Skrzywił się z bólu, spojrzął – i stwierdził, że zagląda w drugą parę błyszczących czerwonych ślepiów nie dalej niż na odległość ramienia. Poczuł serce w gardle.

Samica shanha postanowiła przyłączyć się do imprezy.

Poczuł lądujący na plecach ogromny ciężar. Wszystko działało się o wiele za szybko. Użycie Mocy przeciwko shanhowi mogło trochę pomóc, ale teraz były już dwa. Jeśli spróbuje zrzucić samca wiszącego mu na plecach, samica prawdopodobnie odgryzie mu twarz. Jeśli pchnie ją i uwolni rękę z mieczem, samiec będzie miał czas, aby rozorać mu plecy pazurami albo dobrać się do karku. Zdawał sobie sprawę, że za dużo czasu poświęca na myślenie.

Samiec wydał z siebie przeraźliwy syk, niepodobny do żadnego innego dźwięku, jakie wydawał do tej pory. Jednocześnie ciężar na plecach padawana zniknął nagle. Anakin nie miał pojęcia dlaczego. Zostawiony z jednym tylko przeciwnikiem, z całej siły pchnął Mocą. Samica jęknęła zaskoczona, kiedy niewidzialna siła rzuciła ją w bok o kilka długości ciała. Anakin uwolnioną ręką zapalił miecz.

Zanim zdołał zaatakować, oszołomiona, ale wciąż przytomna samica skoczyła. W pół skoku spotkała się z promienistym ostrzem, które dosięgło ją tuż nad karkiem. Wydała pojedynczy, ostry syk zaskoczenia i bólu, wokół rozszedł się mdły odór spalonego mięsa i zwierzę wylądowało całym ciężarem na Anakinie. Chłopiec napiął mięśnie i uniośł się na dłoniach i kolanach, strząsając z pleców ciężkie zwierzę.

Wielki samiec leżał obok nieruchomo. Z rozciętej czaszki unosił się dym. Obok stała znajoma postać. Choć niewysoka, w zalanych potem oczach Anakina przybrała olbrzymie rozmiary. Powiększony obraz wrócił do normy, gdy postać obdarzyła chłopca uśmiechem.

– Ciche dźwięki mają czasem wielkie źródło – powiedziała ubrana w nocny strój Luminara, wyłączyła miecz i opuściła rękę. – Dobry wartownik powinien słuchać nie tylko uszami, Anakinie Skywalkerze. Rzeczywistość bywa najeżona niespodziankami.

Chwiejnie podniósł się na nogi, dysząc ciężko. Skłonił krótko głowę.

– Dziękuję za ofiarowanie mi życia, pani Luminaro.

Przyjęła jego podziękowanie ledwie dostrzegalnym skinieniem.

– Twoje życie należy do ciebie, Anakinie. Nie mogę ci go ani dać, ani odebrać. – Wydawało mu się, że dostrzega w jej oku błysk. – Pomogłam ci tylko je zachować.

Podeszła i ku wielkiemu zaskoczeniu Anakina otoczyła ramieniem jego plecy. Doznał dziwnie krzepiącego wrażenia. Przypomniało mu się coś, o czym już prawie zapomniał.

– Odpocznij. Pостоję tu za ciebie – zaproponowała.

– Ale przecież twoja zmiana jest dopiero za godzinę – zaprotestował.

Jeszcze raz obdarzyła go tym porozumiewawczym, ciepłym uśmiechem.

– Nie wiem dlaczego, ale zupełnie mi się nie chce spać. W porządku, padawanie. Uważaj to za kolejne doświadczenie. Wyciągniesz z niego naukę... prawda?

Było to pytanie retoryczne, wiedział, że nie musi na nie odpowiadać. Ale przytaknął.

– Kiedy ktoś w środku nocy, w obcym miejscu i na obcym świecie, słyszy dźwięk budzącego się do życia miecza świetlnego, to na ogół wie, że nie został on włączony dla zabawy. Zdaje się, że dotarłam do ciebie w samą porę.

Skinął głową. Z każdym krokiem czuł się lepiej.

– Gdyby mnie ktoś teraz zapytał, potrafię wyjaśnić, na czym polega taktyka współpracy shanhów podczas ataku na ofiarę.

– To pewnie więcej, niż ktokolwiek chciałby usłyszeć.

Byli już z powrotem w obozie. Luminara zabrała ramię z jego pleców.

– Prześpij się trochę, Anakinie. Nie martw się o mnie. Jestem do tego przyzwyczajona.

Głupio byłoby protestować dalej. Odnalazł swoje legowisko i padł na nie ciężko, nawet nie zawracając sobie głowy wchodzeniem do śpiwora. Niedaleko spali Bulgan i Kyakhta. Jeszcze jedna sylwetka poruszyła się, choć nie wstała z posłania. Luminara pochyliła się nad Obi-Wanem i szepnęła mu kilka słów. Kenobi wysłuchał uważnie, skinął głową i położył się znowu. Anakin czekał na burę, której się zresztą spodziewał. Na szczęście jego nauczyciel okazał się dość mądry lub może obdarzony wystarczającą empatią, aby nic nie mówić. Zresztą chyba nie było nic więcej do powiedzenia.

Ale nie przeszkodziło to Barrissie. Wystawiła głowę ze swojego śpiwora i spojrzała na niego wymownie. Wytrzymał to spojrzenie tak długo, jak mógł, to znaczy około minuty.

– Dobra, dobra – wymamrotał. – Gadaj śmiało. Nie krępuj się.

– Co mam powiedzieć? – zapytała niewinnie. W jej głosie było tyle samo złośliwości, co w wyrazie twarzy.

– Wiesz dobrze. – Ze złością grzebał w śpiworze. – Że zaniedbałem obowiązek. Że rozmarzyłem się w środku nocy. Że nie zwracałem uwagi na to, co robię. Cokolwiek.

– Zastanawiałam się tylko, czy nic ci nie jest.

Przypomniał sobie o ranie w ramieniu. Wściekłość na siebie sprawiła, że zapomniał o bólu, teraz jednak cierpienie wróciło z całą siłą.

Cieszyło go to uczucie, otworzył się na nie, powitał je z radością. Zasłużył na coś takiego. Tak samo jak zasłużył na wszelkie oskarżenia, jakie zamierzała rzucić na niego Barrissa.

Ona jednak miała na myśli coś zupełnie innego.

– Zastanawiam się, czy mistrz Yoda, który zna wyłącznie techniki walki mieczem świetlnym, dałby się w ten sposób zaskoczyć.

Uśmiechnęła się, odwróciła na drugi bok i pogrążyła we śnie.

Przyszła mu do głowy gniewna odpowiedź, ale nie wypowiedział jej na głos. Oczywiście, miała rację. Dała mu do myślenia, i to nieźle. Jeszcze jeden temat do zastanowienia. Odwrócił się na plecy, krzywiąc się od palącego bólu ramienia, i znów spojrzął na gwiazdy, lecz tym razem z całkiem innej perspektywy niż przedtem.

Opanowanie Mocy było czymś więcej niż tylko umiejętnością przemieszczania przedmiotów z miejsca na miejsce. Trzeba być świadomym jej istnienia przez cały czas, a nie tylko w chwilach zagrożenia. To nie zbroja, zawsze obecna, aby chronić kogoś, kto wie, jak jej użyć. Reaguje jedynie na świadome wysiłki. Zrozumiał, że na tym właśnie polega jego problem. Uświadamiał sobie istnienie Mocy tylko od czasu do czasu.

Poprzysiągł sobie, że nigdy więcej się to nie zdarzy. Od tej chwili przez cały czas on będzie z Mocą, nie czekając, aż ona będzie z nim. Znów mu uświadomiono, że musi się jeszcze bardzo wiele nauczyć.

Na szczęście uczył się szybko.

ROZDZIAŁ

15

Zebrali się nie w oficjalnym otoczeniu sali rady miejskiej, lecz w ogrodzie rezydencji Kandah, jednej z delegatek unii, która miała głosować za lub przeciw odłączeniu się Ansionu od Republiki. Dziedziniec, otoczony czterema ścianami dwóch pięter rezydencji, aż kipiał od kwiatów i fontann. Podobnie jak dom, wszystko to zostało opłacone z zysków, jakie rodzina Kandah zdobyła przez lata działalności. Zyski te byłyby znacznie wyższe, gdyby nie uszczupliły ich złodziejskie podatki nakładane arbitralnie przez Republikę, myślała Kandah, obserwując, jak inni reprezentanci spacerują po krętych alejkach ogrodu.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, te przeszkody na drodze do jeszcze większego bogactwa wkrótce znikną.

Ogród został zaprojektowany jako miejsce ucieczki od zgiełku miasta. Dziś dawał schronienie zebraniu reprezentantów i ich asystentów. Ci ostatni byli stopniowo odprawiani, aż pozostali tylko wyżsi urzędnicy, którzy wraz ze swoimi drinkami i pytaniami czekali, aż będą mogli zebrać się wokół fontanny rozsiewającej kropelki pachnącej wody.

– Jest za wcześnie – odezwał się Garil Volune, jeden z ludzi delegatów. – Ich nieobecność nie trwa jeszcze zbyt długo.

– Bądź realistą, Volune – stwierdził ansioński mężczyzna. – Już powinni wrócić. – Gestem wskazał w kierunku głównej ulicy. – Powinni byli wrócić już wiele dni temu.

– Jedź nas nie opuszczają – przekonywał drugi delegat. – To nie w ich stylu. Nawet gdyby ich próba przemówienia Alwarim do rozumu zawiodła, z pewnością wróciliby, żeby nam o tym powiedzieć.

Delegat Fargane, najwyższy i najlepiej wykształcony z czterech obecnych Ansionian, gniewnie machnął pucharem.

– Mają komunikatory. Do tej pory powinni byli się z nami skontaktować. Nie dbam o to, czy przekażą informację o powrocie, czy o klęsce, ale życzę sobie, aby ci, którym zależy na moim głosie, zachowywali się odpowiedzialnie. – Z jego jedyne nozdrza wydobył się pełen irytacji świst. – Zniosę, jeśli ktoś mi udowodni, że się mylę, ale nienawidzę, kiedy się mnie ignoruje.

Górujący nad zebranymi Tolut wyraził odmienną opinię.

– Może mają problem z komunikatorami.

Volune spojrział na niego z niedowierzaniem. Niski człowiek nie dał się zdominować przez ogromnego Armatatczyka.

– Wszystkimi czterema?

Tolut niepewnie wzruszył ramionami. Brak jakichkolwiek informacji od przybyłych Jedi martwił go nie mniej niż pozostałych.

– Nie wiemy, czy wszyscy mają komunikatory. Może wzięli tylko dwa? Dwa naraz mogły się zepsuć.

– Komunikatory nie psują się tak po prostu. – Kandah głęboko zaczerpnęła tchu. – Jeśli ci Jedi są tak kompetentni, jak mówi się o ich zakonie, powinni mieć ze sobą części zamienne lub dodatkowe urządzenia. A jednak nie mamy od nich żadnej wiadomości.

– Pewnie nie udało im się dokonać tego, co zamierzali, a teraz wstydzą się przyjechać tu i przyznać do porażki. Może nawet już opuścili Ansion, żeby donieść o klęsce swoim stetryczalym zwierzchnikom.

Wszyscy zwrócili się w kierunku głosu. Tun Dameerd, kolejny delegat, odpowiedział mówcy:

– W przeciwieństwie do nas nie jesteś wybranym przedstawicielem ludności Ansionu, Ogomoorze. Przyjmujemy cię tu wyłącznie jako gościa. Nie do ciebie należy komentowanie toczących się negocjacji.

– Jakich negocjacji? – Ogomoor zignorował naganę i odstawił drinka, szeroko rozpościerając trójpalczaste dłonie. – Ci Jedi przybyli tutaj, żądając opóźnienia głosowania w kwestii secesji, tak aby sami mogli dogadać się z Alwarimi. Dzięki temu cały Ansion miałby żyć w ciasnych strukturach Republiki. A wy uprzejmie zgodziliście się dać im tę możliwość.

Okrzyki ich powoli, zwracając się do każdego po kolei:

– A jaki był wynik? Jeszcze większe opóźnienie, jeszcze więcej zamieszania, jeszcze więcej tego, co Republika od dziesięcioleci ofiarowuje Ansionowi. Jeśli to nie dowód, że nadszedł czas na prawdziwe zmiany, to nie wiem, czego jeszcze wam trzeba. – Z udaną obojętnością

podniósł szklanke. – Oczywiście, jak sami mówicie, jestem tu tylko obserwatorem. Ale wiem, że wielu czeka z niecierpliwością na wynik głosowania. Pozytywny wynik.

– Na przykład twój bossban? – Volune sarkastycznie zmierzył drwiącym wzrokiem majordomusa.

Ogomoor nie obraził się.

– Naturalnie. Soergg czeka na chwilę, kiedy on i jego krewni będą mogli prowadzić działalność w tej części galaktyki otwarcie i nie uginając się pod brzemieniem przestarzałych przepisów i praw Republiki.

– Nie miałem pojęcia, że Hutt może się zginać – zakpił Dameerd. Wśród delegatów rozległy się ciche śmiechy, ale Ogomoor zauważył, że nie wszyscy dobrze się bawią. On i jego bossban mieli tu sprzymierzeńców.

– Możesz sobie żartować – lodowatym tonem odezwała się Kandah – ale interesy mojej rodziny, jak również działalność tych, którzy wspierali mój wybór, ucierpiały w znacznym stopniu z powodu powolności i obojętności Republiki. Uważam, że nadszedł czas, aby działać. Już dość długo zwlekaliśmy. Poddajmy sprawę pod głosowanie.

Fargane podniósł szklanke.

– Kandah ma rację. Pochlebiam sobie, że może pożyję dość długo, aby to zobaczyć.

Wargi Volune’a zacisnęły się. Potrząsnął głową.

– Zgadza się, że Republika straciła skuteczność. Zgadza się, że nasze wnioski o zwolnienie z nadmiernych podatków i restrykcyjnych przepisów są zbyt często ignorowane. Ale senat zawsze odpowiadał na nasze skargi. – Powiódł wzrokiem po pozostałych delegatach. – Nie uważacie, że gdyby Jedi udało się zawrzeć pokój pomiędzy unią miast i miasteczek a Alwarimi, Ansion będzie się miał lepiej w ramach praw Republiki niż poza nimi?

Dyskusja, która nastąpiła po tych słowach, była krótka, ale gorąca. I znów odezwała się Kandah:

– Oczywiście, wszyscy się z tym zgodziliśmy. – Udała, że nie widzi wyrazu zaskoczenia na twarzy Ogomoora. – Gdyby tak nie było, głosowanie odbyłoby się już tego samego dnia, kiedy przybyli tu Jedi. Ale nie doszło do pokoju z Alwarimi. Nie mamy z nimi umowy. I z każdym przemijającym dniem zmniejsza się szansa poparcia nas przez Malarian i Keitumitów, jak również szansa, że pójda za naszym przykładem. Najważniejsze to podjąć jakąś decyzję.

Milczenie, które nastąpiło po tych słowach, pierwszy przerwał Volune.

– Nie możemy głosować już dzisiaj. Nie ma jeszcze właściwych procedur. Zgadzam się jednak, choć niechętnie, w ramach moich kompetencji wybranego przedstawiciela, na ustalenie daty głosowania w sprawie secesji. – Popatrzył na Ansionianina po swojej prawej stronie. – Czy to zadowoli szanownego Fargane’a?

Najstarszy z obecnych Ansionian zastanawiał się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Tak, zadowoli.

Volune zwrócił się do pozostałych.

– A zatem ustalmy datę i godzinę, od której już nie odstępimy. Jeśli Jedi wrócą wcześniej, wysłuchamy ich. Jeśli nie, przeprowadzimy głosowanie, a wtedy będą mogli winić jedynie siebie za opóźnianie odpowiedzi.

Propozycja kompromisu była zbyt rozsądna, aby ktokolwiek, nawet Tolut, mógł się jej sprzeciwić. Armatczyk stwierdził, że dzięki niemu propozycja została przyjęta jednogłośnie. Ze swojej strony Ogomoor wiedział, że bossban Soergg i jego zwolennicy również będą zadowoleni. Wybrana data nie była tak bliska, jak mógłby sobie tego życzyć, ale nie wybiegała także zbyt daleko w przyszłość. Tolut mógł stanowić problem, ale zawsze można było zignorować jego głos. Po dzisiejszym zgromadzeniu Ogomoor będzie mógł donieść, że oprócz Kandah, za odłączeniem od Republiki będzie głosować również Fargane i co najmniej jeden jeszcze delegat. Głosy innych nie były tak pewne. Przed formalnym głosowaniem może się jeszcze okazać, że trzeba przekazać duże kwoty kredytów na niemożliwe do wyśledzenia konta bankowe, aby zapewnić sobie głosowanie Ansionu za secesją.

Na razie on i jego bossban nie mają się czym martwić. Wszystko wskazywało na to, że Qulunowie Baiuntu znakomicie wywiązały się ze swego zadania.

Poranek powitał grupę pospiesznie jadących podróżnych. Kyakhta właśnie do nich dołączył. Przewodnik wysforował się przedtem nieco do przodu, a teraz wracał pełnym galopem, nie kryjąc podniecenia, z błyskiem w wypukłych oczach.

– Znalazłem! – zawołał dumnie, zawracając suubatara. Wyciągnął sztuczną rękę, żeby wskazać kierunek. – Za następnym wzniesieniem.

– Nareszcie – mruknęła Luminara. – Jesteś pewien, że to Borkii?

Alwari z emfazą machnął ręką.

– Nie można się pomylić, pani Luminaro. Rozbili regularne obozowisko, z powiewającymi proporcami. To nadklan Borokiich, najbardziej wpływowy ze wszystkich klanów Alwarich.

Widok był rzeczywiście imponujący. Znając już obozowiska nomadów Yiwów i Qulun, podróżni mieli wrażenie, że wiedzą, czego się spodziewać. Jednak żadne z poprzednich spotkań nie przygotowało ich na widok, jaki zaprezentował się ich oczom, gdy suбатыry wspięły się na szczyt niskiego pagórka.

Przed nimi rozpościerały się nie dziesiątki, a setki świeżo zbudowanych przenośnych konstrukcji. Wiele z nich pysniło się skomplikowanymi urządzeniami energetycznymi, które musiały być przewożone przez co najmniej tuzin zwierząt pociągowych. Tysiące Borokiich w różnym wieku kręciło się po ogromnym, starannie zbudowanym obozowisku. Niezliczone stada zwierząt spokojnie pasły się obok na ogrodzonych pastwiskach, strzeżonych przez pasterzy na sadainach. Ich łagodny pomruk wybijają się ponad hałasy obozowiska. To tutaj, dokładnie tak, jak im powiedziano, rezydowała najwyższa władza Alwarich. To, co zrobią Borokii, powtórzą później wszystkie klany Alwarich.

– Sureppy – wyjaśnił Bulgan na pytanie Luminary o ogromne stada. – Te niebieskie z ciemniejszymi grzywami i krętymi rogami to samce. Samice są zielone i nieco większe, ale bez grzyw.

Luminara wyprostowała się w siodle i objęła wzrokiem imponujący obraz.

– Nigdy nie widziałam zwierzęcia z trojgiem oczu umieszczonych pionowo, a nie poziomo.

– Górne oko pilnuje latających drapieźców, środkowe śledzi inne sureppy, a dolne sprawdza podłoże, w poszukiwaniu przeszkód i paszy. – Bulgan odwrócił się w siodle, jak zwykle przechylając twarz na stronę zdrowego oka. – W ten sposób surepp niczego nie przegapi.

– Rozumiem. Mam wrażenie, że to dobrze służy zwierzęciu, które stoi nieruchomo. Chyba jednak niewiele widzą po bokach.

Przewodnik skinął głową.

– To prawda, ale one tego nie potrzebują. Prawie zawsze mają jakiegoś innego sureppa z jednej i z drugiej strony, a oprócz tego z przodu i z tyłu, więc nie muszą się oglądać na boki. Tylko w górę i w dół.

– A te, które znajdują się na skraju stada?

– Mogą obracać głowy na boki, wykorzystując swój zmysł powonienia. Widzą, co się dzieje po obu bokach, choć nie tak dobrze jak dorgummy i awiquody. Z powodu swej liczebności sureppy są jednak trudniejsze do schwytania przez drapieźników, na przykład przez shanhy.

Dorgumy i awiquody mają tendencję do większego rozproszenia. – Przewodnik pognał suubatarą i zwierzę powoli ruszyło przed siebie. – Dłatego używają ich bogatsze klany, takie jak Borokii.

– A co z nich uzyskują? – zapytała Barrissa z pewnej odległości.

– Wszystko. Mięso, mleko, skóry, wełnę. Kiedyś używali ich zębów i rogów do wyrobu narzędzi. Dziś takie rzeczy są importowane, a róg i kości wykorzystuje się do wyrobu kosztownych dzieł sztuki. – Uśmiechnął się. – Jestem pewien, że obejrzyście sobie wszystko, kiedy znajdziemy się już w obozie.

Stojący z przodu Kyakhta podniósł długopalcą protezę.

– Przybywają jeźdźcy.

Było ich sześciu, jak się tego należało spodziewać. Podróżni dawno już się zorientowali, że szóstka jest dla Ansionian bardzo ważną liczbą. Przybysze byli ubrani lepiej niż Yiwowie czy Qulunowie, a ich lekkie zbroje lśniły w słońcu. Dwaj z nich trzymali pręty z importowanych kompozytów karbonitowych, na których powiewały sztandary Borokiich, szarpane porannym wiatrem. Poza tradycyjnymi długimi nożami, niektórzy byli uzbrojeni w malariańskie pistolety laserowe. Luminara stwierdziła, że przynajmniej część z tego, co mówiono o nadklanach, okazało się prawdą. Borokii byli bogaci i wiedzieli, jak swoje bogactwo spożytkować.

Przywódca szóstki jeźdźców, wiedziony ciekawością, która na chwilę wzięła górę nad naturalną rezerwą, popędził swojego wspaniale ozdobionego sadaina i osadził go tuż przed pierwszymi suubatarami. Różnica wysokości pomiędzy wierzchowcami zmusiła go do patrzenia na gości z dołu. Trzeba przyznać, że nie czuł się tym ani trochę skrępowany. Luminara stwierdziła, że zachowuje się bardzo przyjacielsko, choć mogły to być tylko pozory. Z drugiej strony, wiedziała, że potężni mogą sobie pozwolić na łaskawość.

– Witajcie, pozaświatowcy i przyjaciele. – Borokii przycisnął jedną dłoń do oczu, a drugą do piersi. – Jestem Bayaar z Borokiich Situng. Witajcie w naszym obozowisku. Czego chcecie od nadklanu?

Podczas gdy Obi-Wan wyjaśniał, z czym przybyli, Luminara w dalszym ciągu obserwowała wysłanników. Szukając oznak wrogich zamiarów, napotykała tylko ufność i profesjonalną gotowość do czynu. W przeciwieństwie do Yiwów ten lud nie wydawał się ani podejrzliwy, ani lękliwy wobec obcych. Nie musieli się zresztą bać, mając za plecami tysiące pobratymców. Nie znaczyło to, że są obojętni na potencjalne zagrożenia czy leniwi. Podczas kiedy przywódca uprzejmie słuchał Obi-Wana, członkowie oddziału siedzieli wyniośle w swoich siodłach, ale nieustannie rozglądali się wokół.

Bayaar nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią, kiedy Obi-Wan skończył mówić.

– Nie jest to sprawa, o której mogę sam decydować. Jestem wysłannikiem, a wysłannicy nie mają prawa podejmowania decyzji takiej wagi.

Obi-Wan uśmiechnął się na swój skromny sposób i skinął głową ze zrozumieniem.

– Sam jestem w pewnym sensie wysłannikiem, więc rozumiem twoje stanowisko.

– Przekażemy radzie starszych wieści o waszym przybyciu, podobnie jak wasze powody poszukiwania Borokiich. Tymczasem proszę, żebyście podążyli za mną i doświadczyli gościnności Borokiich.

Mówiąc to, obrócił zgrabnie swego wierzchowca i ruszył łagodnym zбочem w kierunku gwarnego i ruchliwego obozowiska. Reszta jego grupy rozdzieliła się i otoczyła gości z obu stron. Jak stwierdziła Luminara, nie mieli stanowić straży, a jedynie honorową eskortę. Zwłaszcza że trudno byłoby im pełnić rolę strażników przy takiej różnicy wielkości sadainów i suubatarów.

Różnice pomiędzy obozowiskiem Borokiich a wszystkimi innymi, które do tej pory widzieli wędrowcy, były uderzające i od razu widoczne. Wprawdzie ich społeczność była również wędrowna, ale obozowisko zbudowano jak małe miasto, z ulicami i dzielnicami mieszkalnymi, handlowymi i przemysłowymi. W tych ostatnich zajmowano się głównie różnymi etapami przetwarzania mięsa i skór sureppów na eksport. Ktoś w końcu musiał płacić za te importowane konstrukcje i nowoczesną technologię, którą tak się szczylicili.

Goście ścigali na siebie wiele spojrzeń, ale żadnych nieprzyjaznych komentarzy. Luminara zauważyła wielką różnicę w stosunku do Yiwów, mianowicie całkowity brak podejrzliwości. Nie zaskoczyło jej to, bo знаła potęgę i reputację Borokiich, a teraz mogła ocenić liczebność nomadzkiej społeczności. Widocznie ten lud czuł się bezpieczny i wiedział, że zasługuje na swoją wyjątkową pozycję nadklanu.

Wymieniła jednak znaczące spojrzenia z Obi-Wanem, kiedy zatrzymali się przed budowlą, określoną przez Bayaara jako „dom gości”. Ostatni „dom gości”, w którym się zatrzymali, nie okazał się szczególnie gościnny.

Kyakhta, z którym podzielili się swoimi obawami, pospieszył ich uspokoić.

– Nie są to nieufni Yiwowie ani oszukańczy Qulunowie. Boroki są dość silni, aby nie obawiać się przybyszów z zewnątrz, i czują się na

tylko bezpiecznie, aby ich powitać. A poza tym muszą pamiętać o swojej reputacji. – Wskazała na stojący obok budynek. – Sądzę, że będziemy tu bezpieczni.

Luminara skłoniła suubatara do ukłonienia. Zsiadając, zauważyła, że jeden z Borokiich bierze wodze wierzchowca i odprowadza zwierzę w głąb uliczki. Pozostali zajęli się innymi suubatarami.

– A nasze zapasy? – zapytał głośno Anakin.

– Wasza własność pozostanie nienaruszona. – Bayaar nie poczuł się urażony jego pytaniem. W końcu byli nie tylko przybyszami z zewnątrz, ale i pozaświatowcami. Należało się spodziewać, że nie znają obyczajów Borokiich. Próbował się zorientować, kto jest przywódcą: Luminara czy Obi-Wan, ale że nie potrafił zdecydować, postanowił, że będzie się zwracał do obojga jednocześnie. Poinformowany o celu, w jakim poszukiwali nadklanu, zachował obojętność, choć osobiście nie popierał pomysłów obcych.

– Przekażę wasze żądanie radzie starszych. Tymczasem rozgośćcie się. Dostarczymy wam wszystko, czego potrzebujecie... jadło i napoje.

– Czy uważasz, że wasza rada nas przyjmie? – Luminarze bardzo się spodobał ten wojownik wysłannik, który okazywał im uprzejme zainteresowanie. Oczywiście nie mogła go jeszcze uważać za sprzymierzeńca, ale przynajmniej był sympatyczny.

– Nie mogę powiedzieć, jestem tylko wysłannikiem. – Znow położył dłonie na oczach i piersi na znak pozdrowienia, po czym odszedł, pozostawiając gości w oczekiwaniu na oficjalną odpowiedź. Luminara mogła tylko mieć nadzieję, że nie będą musieli czekać długo. Wszelkie rady wszystkich ras miały jedną denerwującą wspólną cechę – strasznie marudziły, zanim osiągnęły jednomyślność. Przy odrobinie szczęścia Borokii, lud przyzwyczajony do pozostawiania w ciągłym ruchu, może okazać się bardziej aktywny.

Wszystko, co zdarzyło się przez następnych kilka godzin, przemawiało na korzyść nadklanu. Jedzenie było lepsze, napoje smaczniejsze, a wykończenie i urządzenie domu gości pod każdym względem bardziej imponujące niż spotykane poprzednio na Ansionie. Mówiąc szczerze, bawili się świetnie. Po wątpliwych przyjemnościach doznanych w gościnie u Yiwów i Qulunów, mogli z ulgą rozluźnić się w przyjemnym otoczeniu, w dodatku ze świadomością, że raczej nie zostaną napadnięci ani wciągnięci w pułapkę przez potencjalnych wrogów. Zarówno Kyakhta, jak i Bulgan wydawali się o tym całkowicie przekonani, choć Tooqui był nieznośny jak zwykle. Przewodnicy jednak nie potrafili po-

wiedzieć, jakiej odpowiedzi powinno się oczekiwać ze strony rady starszych Borokiich.

Bayaar wrócił jeszcze przed nadejściem zmroku. Choć szybkość, z jaką się zjawił, dawała pewne nadzieje, jego słowa w najlepszym przypadku można było określić jako niejasne.

– Rada was powita – poinformował ich wysłannik.

Twarz Barrissy rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

– No to wszystko w porządku.

Bayaar spojrział na nią uważnie.

– Nie jestem całkowicie pewien, co masz na myśli, ale sędzę, że twoja radość jest przedwczesna. Jeśli powiedziałem, że rada was powita, to znaczy, że was powita, i to wszystko. Nie przywitać gości byłoby oznaką złych manier.

Obi-Wan usilnie starał się zrozumieć, co ich gospodarz ma na myśli, i ubrać to w słowa.

– Czy chcesz powiedzieć, że nas przyjmą, ale nie wysłuchają naszej propozycji?

Bayaar skinął głową.

– Aby tak się stało, musicie ofiarować radzie zwyczajowy prezent, taki jaki sobie sami wybiorą.

– Och, w porządku. – Obi-Wan nieco się rozchmurzył. – Co zadowoli radę? Mamy dostęp do pewnych funduszy, które można spożytkować w tym celu. Jeśli wymagany jest upominek większej wartości... – zawiesił głos.

– Cóż rada wymaga, żebyście podarowali im coś znacznie mniejszego. – Bayaar powiódł wzrokiem po grupie. Do tej pory nie miał wielu kontaktów z handlarzami rasy ludzkiej, więc nadal fascynowały go ich małe, zapadnięte oczka i różnorodność umaszczenia sierści. – Życzą sobie, aby jedno z was ofiarowało im garść wełny z grzywy dojrzałego białego samca sureppa.

– I to wszystko? – wypalił Anakin. Obi-Wan rzucił padawanowi ostrzegawcze spojrzenie, ale nie wydawał się zagniewany. Sam był zaskoczony pozornie prostym żądaniem.

Ale właśnie ta prostota obudziła jego czujność.

– Gdzie możemy kupić taką wełnę?

– Nie można jej kupić. – Bayaar poczuł się niezręcznie w roli dyplomatycznego posłańca. Wolałby w tej chwili znaleźć się w stepie i patrolować z bronią w ręku linie straży.

– Jedno z was musi ją uciąć własnymi rękami z grzywy białego sureppa, w sposób tradycyjny, nie uciekając się do żadnych cudownych

i niezwykłych urządzeń ani innych form pomocy, takich jak jazda na suubatarze.

Tooqui skrzywił się paskudnie.

– Nie podoba mi się. Za dużo dużo sureppów ma za dużo dużo wielkich ciężkich nóg.

Barrissa nachyliła się do drugiego padawana i szepnęła:

– Mnie się to też nie podoba, Anakinie. Garść wełny? Wydaje się aż zbyt łatwe. Sureppy to udomowione, stadnie żyjące zwierzęta, nie powinno być trudno ich opanować. Ciekawe, czy da się złapać jednego i obciąć mu kawałek grzywy?

Niepewnie skinął głową.

– Może to rzeczywiście jest tak, jak się wydaje. Skoro to taki zwyczaj, niekoniecznie musi być naprawdę trudny czy niebezpieczny.

Wskazała na mistrzów, którzy również się naradzali.

– Mam wrażenie, że bardzo szybko się dowiemy.

Obi-Wan odsunął się od Luminary i znów zwrócił się do gospodarza.

– Z przyjemnością spełnimy żądanie rady – rzekł i dodał z wahaniem: – Przyjmuję, że wełna z sureppa ze stada Borokii wystarczy i nie musimy wyruszać na poszukiwanie dzikich zwierząt?

– To prawda. Dozwolone jest obcięcie wełny z grzywy zwierzęcia w stadzie.

– Więc czemu tracimy czas. Wciąż jeszcze jest dość jasno. Czy zechcesz nam towarzyszyć?

Bayaar westchnął. Ci obcy najwyraźniej nie wiedzieli, czego się od nich żąda. *Haja*, wkrótce się przekonają.

– Chodźcie za mną.

Spacer przez miasto nomadów był ciekawy, a Bayaar z przyjemnością wskazywał co ciekawsze obiekty i objaśniał, co się w nich mieści. Wkrótce znaleźli się na skraju gwarnej społeczności i zobaczyli tysiące sureppów Borokiich przez siatkę z niedawno rozwiniętych linii nadprzewodzących, przenoszących ładunki elektryczne. Stado stanowiło imponujący widok; skowycząc i pomrukując, skubało wysoką trawę. Wzajemna bliskość pasących się zwierząt gwarantowała bezpieczeństwo, choć nie dawała dużo miejsca pojedynczym osobnikom. Schwytanie samca i obcięcie mu kawałka grzywy mogłoby dla postrzygacza oznaczać solidny sprint, ale nie wyglądało na to, aby konieczna była wyprawa na znacznieszą odległość. Istniał tylko jeden problem – Bayaar ożnajmił, że rada oczekuje daru w postaci białej wełny.

Futro każdego z setek sureppów w zasięgu wzroku było niebieskie lub zielone. Ani jednego białego zwierzęcia. Nawet seledynowego.

Luminara błyskawicznie wytknęła Bayaarowi tę pozorną niedorzeczność.

Bayaar zrobił zakłopotaną minę.

– Nie ja ustalam prawa. Przekazuję tylko dyrektywy rady.

– Jak możemy ściąć białą wełnę ze stworzenia, które nie istnieje?

– Obi-Wan wskazał na falujące stado.

– Ależ istnieje – zapewnił Bayaar. – Surepp albinos nie jest fikcją.

Nawet w stadzie Birokiich jest ich kilka.

Luminara zwięzonymi oczami przyglądała się zakłopotanemu gospodarzowi.

– Pasą się tutaj tysiące zwierząt. Co to znaczy „kilka”?

Bayaar odwrócił wzrok, wyraźnie zakłopotany.

– Dwa.

Barrissa odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

– Wiedziałam, że to brzmi zbyt prosto.

– Nie wiem, jak mamy to zrobić bez transportu. – Anakin był wyraźnie zdegustowany. Rada Borokiich dała gościom zadanie, które wydawało się niewykonalne. Spojrzał na Bayaara i zapytał zniechęcony: – Co Borokii robią ze swoimi stadami w nocy? – Wskazał na naładowane druty, które utrzymywały stado z dala od miasta. – Inne klany Alwarich, które spotkaliśmy, zaganiają swoje zwierzęta do tymczasowych zagród, aby lepiej nad nimi czuwać i chronić je przed nocnymi drapieżnikami.

Zarówno Obi-Wan, jak i Luminara spojrzeli na padawana z aprobatą, a on z całych sił starał się nie okazać, jak wielką przyjemność mu to sprawiło.

– Borokii robią to samo – zgodził się Bayaar – choć na znacznie większą skalę niż inni Alwari. – Wskazał na cicho buczące ogrodzenie. – Dzięki temu sureppy są zadowolone i trzymają się razem po zmierzchu, podczas kiedy strażnicy, tacy jak ja, odganiają shanhy i inne drapieżniki od zagrody. Surepp nie przeskoczy przez ogrodzenie, ale głodny shanh to potrafi.

– Powiedziałaś „razem” – umysł Luminary pracował na pełnych obrotach. – Co to znaczy?

– Blisko siebie – Bayaar wyciągnął smukłe dłonie przed siebie i zbliżył tak, że prawie się stykały. – Tak blisko. Stłoczone i przytulone do siebie, czują się bezpiecznie i spokojnie. Śpią na stojąco.

Barrissa uważnie przyjrzała się stadu.

– Muszą spać na stojąco, jeśli są tak stłoczone.

Luminara w zadumie skinęła głową.

– Jeśli zwierzęta będą zebrane w jednym miejscu, łatwo da się odnaleźć białe. Łatwiej niż za dnia, kiedy stado rozchodzi się po wzgórzach i dolinach, tak jak teraz. – Poważnie spojrzała na uprzejmego wysłannika. – Jak sureppy mogłyby zareagować na kogoś, kto przemieszczałby się pomiędzy nimi?

Bayaar nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Wiem, o czym myślisz. To niebezpieczne. Można przejść pomiędzy śpiącymi sureppami bez wzniesienia paniki, ale to bardzo trudne. To nerwowe, płochliwe zwierzęta. Jeśli poczują się zaniepokojone, zagrożone, a nawet tylko niepewne, ich nastrój i zachowanie mogą ulec gwałtownej zmianie. Osoba, która w takiej chwili znajdzie się pomiędzy nimi, może zostać okaleczona przez rozgniewanego samca lub zmiażdżona pomiędzy dwoma nagle przemieszczającymi się ciałami.

Obi-Wan szybko porozumiał się wzrokiem z Luminarą i odezwał się:

– Czy możesz powiedzieć nam coś jeszcze, co mogłoby pomóc w zlokalizowaniu tak rzadkiego zjawiska, jakim jest biały surepp? Czy mają jakieś swoje ulubione miejsca w stadzie, czy może trzymają się razem?

Barrissa patrzyła na tysiące wielkich, zdrowych zwierząt, pokrywających otaczające ich stopy aż po horyzont i jeszcze dalej, usiłując sobie wyobrazić przeciskanie się przez zbitą masę ciał w taki sposób, aby po drodze nie zaniepokoić ani jednego. Nie podzielała optymizmu Obi-Wana, raczej skłaniała się ku sposobowi myślenia Anakina. Wobec rzeczywistości, jaką stanowiło niezmierzone i płochliwe stado, zadanie, które z początku wydawało się całkowicie proste, teraz stawało się coraz bardziej niemożliwe do wykonania. Może gdyby użyć śmigacza terenowego... albo zaufanego suubatarę... albo innego środka transportu umożliwiającego wzniesienie się ponad rogatę łąby zwierzęcej masy, zadanie, jakie im powierzono, warte byłoby rozważenia. Ale przekazane im przez sympatycznego Bayaara instrukcje rady starszych były aż nadto jasne: w przedsięwzięciu nie wolno zastosować żadnej pozaświatowej techniki, a także wjeżdżać w stado na wierzchowcach. Ani na suubatarach, ani na znacznie mniejszych sadainach.

Nie miało to zresztą wielkiego znaczenia. I tak nie dysponowali śmigaczem, a użycie Mocy pozwoliłoby zapewne jednemu z nich przelecieć nad niewielką częścią stada, ale nie dałoby się tą metodą odbyć całej drogi. Trzeba będzie spróbować czegoś innego. Wyobraziła sobie przekroczenie ogrodzenia pod napięciem i przejście pomiędzy tysiącami ściśniętych zwierząt do samego środka stada, ze świadomością, że każde z tych zwierząt za chwilę może zwrócić się przeciwko intru-

zowi. Jedno parsknięcie mogłoby zaalarmować całe stado. Intruz, który znajdzie się w samym środku stada, nie będzie miał żadnej drogi ucieczki; zginie stratowany tysiącami kopyt i zgnieciony milionami ton cielsk sureppów.

Nie tylko ona wpadła na rozwiązanie tego problemu.

– Wrócimy tu wieczorem, tuż przed zachodem słońca – oznajmił Obi-Wan gospodarzowi i dodał nieco ciszej: – Przynajmniej spróbujemy. Łatwiej będzie odnaleźć białe zwierzę w stadzie, kiedy zbierze się ono na nocny spoczynek.

– A skoro nie wolno nam użyć nowoczesnych technologii, poprosimy chociaż o nóż – dodała Luminara z nieobecną miną, jakby myślała o czymś zupełnie innym. – Żeby ściąć runo.

Zaledwie wrócili do domu goście, rozpętała się zażarta dyskusja, jak obejść warunek rady. Wydawało się to jedynym rozsądnym rozwiązaniem, bo spełnienie żądania w taki sposób, jak zostało ono przedstawione, było po prostu niewykonalne. Proponowano rozmaite rozwiązania, poddawano pod dyskusję i równie szybko odrzucano. Nadejście zmierzchu ani o jotę nie przybliżyło ich do rozwiązania palącego problemu. Znajdowali się w punkcie wyjścia.

Bayaar zaprowadził ich na obrzeże miasta, do zaimprovizowanej zagrody. Ku jego wielkiemu zmartwieniu przydzielono mu zadanie opieki nad gośćmi i spełnianie ich wszelkich próśb. Nie mając talentów dyplomatycznych, źle się czuł w tej roli, ale postanowił wywiązać się z niej możliwie jak najlepiej.

Głównym powodem zakłopotania Bayaara było żądanie, jakie rada przedstawiła przybyszom. Stwierdził bowiem, że polubił wąskookich pozaświatowców. Nie czułby się dobrze, gdyby ujrzał któregoś z nich rannego lub, co gorsza, stratowanego na śmierć. Nie wiedział, jak zdołają wypełnić żądanie rady, nie narażając życia lub zdrowia. Może po prostu ustąpią wobec beznadziejności sytuacji, odbędą przyjemne, choć niezobowiązujące spotkanie ze starszymi rady, po czym ruszą w swoją drogę.

Nie potrafił nic odczytać z twarzy obcych istot, ale miny przewodników nie wskazywały na to, że pozaświatowcy dysponują jakąś szczególną magią, dzięki której zdołają wypełnić żądanie rady.

Stojąc blisko ogrodzenia, goście obserwowali z uwagą zebrane sureppy. Krępe, potężne zwierzęta, słoczone na noc, zaczynały już przysypiać. Nie oznaczało to jednak, że nie pozostały czujne na otoczenie. Jeden ryk wystarczył, aby ostrzec wszystkie zwierzęta przed zagrażającym niebezpieczeństwem.

Wiadomość o żądaniu, jakie przedstawiono gościom, rozeszła się szybko i w okolicy zagrody zgromadził się mały tłumek, pełen nadziei na pokaz tratowania. Takie zachowanie było poniżej godności Bayaara, ale inni członkowie klanu nie mieli oporów przed obstawianiem zakładów. Jedynym problemem było, jakie stawki mieli zgłaszać ci, którzy opowiadali się przeciwko gościom, aby w ogóle osiągnąć jakiś zysk.

Zmarszczył brwi. Co robi ta wysoka samica? Zdejmowanie wierzchniego ubrania przed wejściem w ciasno stłoczone stado wydawało się czynnością całkiem niezrozumiałą. Gdyby to on miał spróbować tego samobójczego zadania, chciałby mieć na sobie tyle odzieży, ile zdoła unieść, aby chronić się przed ostrymi rogami, wierzgającymi kopytami i twardym gruntem.

Samica skończyła się rozbierać – pozostała tylko w dziwnej, nieznaney tu bieliźnie. W świetle zachodzącego słońca Bayaar uznał, że wygląda w niej bardzo niezwykle, choć były to szaty dopasowane do jej dziwnie ukształtowanej postaci. Ciekawość, co teraz nastąpi, przeważała nad troską o gości.

Obi-Wan wpatrywał się w oczy Luminary, sprzecząc się z nią przyciszonym głosem.

– Nie uważam, aby to był dobry pomysł, Luminaro.

– Ja też nie, pani – dodała z lękiem Barrissa.

Luminara skinęła głową i spojrzała na ostatniego członka ich grupy.

– A ty, Anakinie? Nie odezwałeś się ani słowem od chwili, kiedy zaproponowałam ten sposób.

Zapytany o opinię padawan nie wahał się ani chwili.

– Ja nie mógłbym tego zrobić, to pewne. Szalony pomysł.

Luminara uśmiechnęła się lekko.

– Ale wiesz, że ja nie jestem szalona, prawda, Anakinie?

Skinął głową.

– Kiedy byłem dzieckiem, robiłem mnóstwo rzeczy, które uważano za szalone. Wszyscy myśleli, że zwariowałem, biorąc udział w profesjonalnych wyścigach. A ja to zrobiłem i ciągle żyję. – Wyprostował się. – Moc była ze mną.

– Raczej szczęście – kwaśno mruknęła Barrissa, ale tak cicho, że nikt tego nie usłyszał.

– Uważasz więc, że powinnam spróbować? – nalegała Luminara.

Anakin zawahał się.

– Nie mam prawa tego oceniać. Jeśli Obi-Wan się zgadza... – Zawiesił głos.

Zwróciła wzrok na drugiego Jedi.

– Obi-Wan powiedział już, że nie uważa tego za najlepszy pomysł. A czy Obi-Wan ma lepszy?

Jedi zawahał się na ułamek sekundy, po czym wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że bliższa mi jest opinia Barrissy... ale nie, nie mam lepszego pomysłu.

– Ta garść wełny jest nam potrzebna, aby Borokii w ogóle chcieli nas wysłuchać.

– Wiem, wiem – odparł Obi-Wan z nieszczęśliwą miną. – Jesteś pewna, że dasz radę, Luminaro?

– Oczywiście, że nie jestem pewna. – Sprawdziła, czy ostry, ceremonialny nóż Borokiich jest dobrze przypięty do wąskiego paska. – Ale, podobnie jak ty, nie potrafię sobie wyobrazić żadnego innego sposobu. To najlepsze, na co było mnie stać. – Uśmiechnęła się krzepiąco.

– Nie zdołamy przekonać rady starszych, aby uzyskali od pozostałych Alwarich zgodę na naszą propozycję, jeśli w ogóle z nimi nie porozmawiamy.

– Twoja śmierć może ich przekona o naszej szczeroci i znaczeniu, jakie Republika nadała naszej misji, ale i tak nie mamy gwarancji, że zechcą wysłuchać pozostałych.

– Wtedy znajdziecie inne sposoby, aby ich przekonać – odparła. Położyła mu rękę na ramieniu. – Cokolwiek się zdarzy, niech Moc zawsze będzie z tobą, Obi-Wanie Kenobi.

Podszedł do niej i uściskał ją mocno.

– Nie tylko Moc, Luminaro Unduli. Wierzę, że i ty pozostaniesz ze mną jeszcze jakiś czas. – Ruchem głowy wskazał dwójkę padawanów. – Przecież nie odejdziesz, pozostawiając mnie aż z dwoma padawanami pod opieką, prawda?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Mam wrażenie, że poradziłbyś sobie z tym wyzwaniem, Obi-Wanie.

– Pani... – zaczęła Barrissa. Mistrzynie Jedi położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie wszystko wiadomo z góry, moja droga. – Przesunęła dłonią po mocnych mięśniach dziewczyny. – Wiem, co robię. Nie wiem tylko, co zrobią sureppy.

Cofnęła się o kilka kroków i dała znak Bayaarowi.

Nie miał prawa odwozić obcej samicy od jej decyzji. Zrobił wszystko, co należało, aby uprzedzić ją o niebezpieczeństwie, z jakim postanowiła się zmierzyć. Podniósł wysoko prawą rękę. Operator tej sekcji

ogrodzenia po drugiej stronie odpowiedział podobnym znakiem. Rozległ się cichy syk.

– Ten odcinek ogrodzenia został wyłączony – wyjaśnił Bayaar gościom. – Jeśli rzeczywiście chcecie coś robić, musicie się zdecydować teraz.

– Wiem – odparła Luminara. Ostrożnie przekroczyła ogrodzenie, sprężyła się i skoczyła na grzbiet najbliższego sureppa.

ROZDZIAŁ

16

Chóralny jęk zaskoczenia zgromadzonych wokół zagrody Borokiich zagłuszył na chwilę wieczorny hałas miasteczka, gulgotanie i mruczenie gęsto stłoczonych zwierząt. Zdumienie widzów dorównywało zdziwieniu obojga padawanów, choć oni mieli przynajmniej pewne pojęcie, czego się mogą spodziewać.

Luminara z siłą atlety i zwinnością gimnastyczki, posługując się wyjątkowymi zdolnościami Jedi, pobiegła nie pomiędzy zwierzętami, lecz nad nimi. A właściwie po nich, stwierdził Anakin, obserwując ją z podziwem i zachwytem. Lądowała tylko po to, aby odbić się do kolejnego skoku na następny szeroki, wełnisty grzbiet i w ten sposób podążała ku środkowi stada Borokiich. Od czasu do czasu któryś z surepów, kiedy poczuł na sobie dotyk jej stopy, podnosił łeb i rozglądał się wokół, ale nie widząc żadnego zagrożenia, opuszczał go z powrotem i pogrążał się w dalszej drzemce.

Przyjaciele obserwowali jej postępy przez lornetkę, natomiast Kyakhta, Bulgan, Tooqui, Bayaar i inni zgromadzeni wokół Borokii musieli polegać jedynie na swoich oczach. Wreszcie strażnik nie wytrzymał napięcia i przepchnął się do pozaświatowca zwanego Obi-Wanem.

– Jak idzie waszej przyjaciółce? – zapytał, sam się sobie dziwiąc.
– Chyba wciąż żyje, bo inaczej już by was tu nie było.

– Porusza się szybko – odparł Obi-Wan, nie opuszczając lornetki. – Za szybko, żebym mógł ją śledzić, ale ten przyrząd robi to za mnie.

Zdawało im się, że minęły już całe godziny, choć było to zaledwie kilka minut pełnego napięcia milczenia. Wreszcie Jedi wyszeptał cicho, ale z podnieceniem:

– Jest! – Nie wytrzymał i podniósł głos. – Ma go!

– Tak szybko? – wykrztusił Bayaar, który prawie oniemiał ze zdumienia. – Szybka ta twoja kobieta!

– Ona nie jest moją kobietą – pośpiesznie sprostował Obi-Wan. – Jesteśmy kolegami, równymi sobie. Tak jak ty i twoi towarzysze wojownicy.

– Aha – mruknął Bayaar, ale widać było, że nie całkiem rozumie, o co tamtemu chodzi.

– Tak, jest szybka – dodał Obi-Wan. – Już wraca.

Drgnął nagle i opuścił na chwilę lornetkę, ale zaraz podniósł ją z powrotem.

– Zdaje się, że coś się dzieje... Pośliznęła się! – Głos pozaświatowca nie był już tak obojętny jak przed chwilą. – Pośliznęła się i upadła. I... już jej nie widzę.

Z miejsca, gdzie zniknęła Luminara, rozlegały się coraz głośniejsze pomruki. Nawet bez lornetki widać było, że kilka zwierząt kręci się niespokojnie. Jedne budziły drugie z wieczornego otumanienia.

Nie było czasu, aby dyskutować nad różnymi możliwościami. Musieli działać, zanim niepokój obejmie całe stado.

– Idziemy za nią – rzucił Obi-Wan do padawanów. Choć na ich twarzach widniał niepokój, uznał, że jest za mało czasu, żeby ich uspokajać.

– Skoncentrujcie się – polecił. – Skoncentrujcie tak mocno, jak nigdy do tej pory. Skupcie się i zostańcie razem. – Ujął dłoń Barrissy prawą ręką, a Anakina lewą i przeprowadził ich przez ogrodzenie.

Sureppy, popychane skupioną Mocą nie jednej, lecz trzech dobrze przeszkolonych osób, zaczęły się rozstępować. Mruczając i sycząc, utworzyły przejście dla całej trójki. Pionowo ustawionymi oczami wściekle mierzyły dwunożne istoty, które odważyły się wtargnąć w stado. Coś jednak powstrzymało je od stratowania nieproszonych gości stopami o ostrych szponach.

Obi-Wan wiedział, że jeśli którekolwiek z nich straci koncentrację choć na chwilę, jeśli jedno z padawanów spanikuje lub zadrzy, pozostałych dwoje nie zdoła utrzymać natężenia Mocy niezbędnego do powstrzymania stłoczonej i coraz bardziej niespokojnej hordy. Usiłował przelać w uczniów swoje mistrzostwo, oddać część własnej siły, aby ich wesprzeć. Kiedy jednak szli przed siebie, coraz bardziej zagłębiając się w stado, stała się dziwna rzecz.

Barrissa trzymała się nieźle, za to Anakin zdawał się z każdą chwilą nabierać sił. Wyglądało to tak, jakby w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, a nawet śmierci, Moc w nim narastała. Obi-Wan nie całkiem rozumiał, co się dzieje, ale w tym akurat momencie nie miał czasu, aby analizować to zjawisko. W tej chwili tylko jedna rzecz miała znaczenie.

Znaleźli Luminarę leżącą na ziemi bez przytomności. Z czoła ściekała jej strużka krwi. Przelotne spojrzenie upewniło Obi-Wana, że rana nie jest głęboka, ale nie mógł być pewien, jakie obrażenia wewnętrzne odniosła przy upadku. Poczul drżenie w dłoni, którą trzymał rękę Barrissy. Widział w twarzy dziewczyny troskę, czuł jej zdenerwowanie. Ale Barrissa Offee była uczennicą godną swojej mistrzyni. Jako uzdrowicielka powinna natychmiast uklęknąć przy rannej i rozpocząć badanie rany, lecz jako przyszła Jedi wiedziała, że na razie ważniejsze jest utrzymanie bariery Mocy przeciwko potężnym zwierzętom, które otaczały ich zewsząd, tupiąc i sycząc gniewnie.

Dając świadectwo wielkiej siły fizycznej i psychicznej, Anakin uniósł nieprzytomną Jedi i ułożył sobie na ramieniu. Odwrócili się i ruszyli z powrotem. Zwierzęta zaalarmowane obecnością intruzów w stadzie coraz mocniej naciskały. Nie zauważały zagrożenia i żadne ze zwierząt do tej pory nie zostało zaatakowane, ale sureppy były coraz bardziej niespokojne.

Coraz trudniej było je utrzymać. Twarz Obi-Wana ociekała potem. Choć Barrissa i Anakin pomagali mu dzielnie, Moc jednak skupiała się głównie w nim i to od niego zależało utrzymanie energii, która odpychała sureppy z drogi. Teraz widział już ogrodzenie. Było niedaleko, o kilka kroków. Poczciwy Bayaar patrzył na niego niespokojnie; z jednej strony chciałby pokrzepić gościa, z drugiej – nie miał odwagi zachęcać go okrzykami. Pozostali Borokii, stojąc dość daleko za nim, szepotali między sobą, wymieniając lękliwe uwagi.

Coś uderzyło Obi-Wana i omal nie zważyło z nóg. Na ułamek sekundy stracił koncentrację po uderzeniu ciężkiego ciała sureppa. Barrissa zerknęła na niego z niepokojem, spokój na twarzy Anakina ustąpił miejsca zdenerwowaniu. Luminara, przewieszona przez jego ramię, poruszyła się niespokojnie. Jeśli krzyknie...

Ale zdyszany Obi-Wan już przekraczał ogrodzenie. Anakin podał mu swoje brzemie. Oczekujący tuż za płotem Bulgan i Kyakhta przejęli nieprzytomną, Tooqui pomagał, jak umiał. Wspólnie położyli ją płasko na ziemi. Barrissa w jednej chwili znalazła się u boku swojej mistrzyni, wprawnymi palcami dotykając jej czoła i rąbkami szaty ocierając krew

z twarzy. Dzięki delikatnym zabiegom padawanki nieprzytomna Jedi po chwili jęknęła cicho.

Za ich plecami rozległ się nagle głośny ryk i odgłos uderzenia o ciało. Anakin Skywalker przeskoczył, a raczej przefrunął przez ogrodzenie, w czym pomógł mu rozwścieczony surepp. Ciężko zwałił się na ziemię, po drodze o mało nie przygniatając przerażonego Tooquiego, przetoczył się i znieruchomiał twarzą do ziemi. Obi-Wan spojrział na niego niespokojnie, ale w tej samej chwili nocne powietrze wypełniły elektryczne trzaski. Najpierw jeden, potem kolejne sureppy odskakiwały w pośpiechu od uaktywnionego ogrodzenia.

– Niczego sobie nie uszkodziłeś? – troskliwie dopytywał się Obi-Wan.

Skrzywiony z bólu Anakin dźwignął się na nogi.

– Tylko godność, mistrzu. – Spojrzął w kierunku leżącej Luminary. – A co z nią?

Barrissa podniosła oczy.

– Nie wyczuwam wewnętrznych obrażeń, ale nie mogę być całkowicie pewna.

Luminara nagle otworzyła oczy, zamrugowała kilka razy, ale się nie uśmiechnęła.

– Pomóżcie mi wstać.

– Pani Luminaro – zaprotestowała Barrissa. – Nie jestem pewna, czy to całkiem rozsądne, żeby pani...

– Zdaje się, że szarża w to stado także nie była zbyt rozsądna – stęknęła Luminara, prostując się z trudem. Podpierana z jednej strony przez Obi-Wana, z drugiej przez Anakina, zdołała wreszcie wstać. – Ale trzeba to było zrobić. – Przeprasząc ją spojrzała na Bayaara. – Zdaje się, że zgubiłam twój nóż.

– Co się stało? – zapytał Obi-Wan.

– Nie jest to całkiem to samo, co trasa szkoleniowa w Świątyni. Każdy grzbiet sureppa jest inny, a ja nie miałam czasu patrzeć dokładnie, gdzie stawiam stopy. Musiałam biec, a nie tylko czekać i mieć nadzieję. Wszystko było dobrze, dopóki nie wyładowałam na grzbiecie zwierzęcia, które z jakiegoś powodu było mokre. Albo się lizało, albo inne lizaly je przez dłuższy czas. Pośliznęłam się i zanim zdążyłam się przytrzymać, uderzyłam głową o ziemię. – Uśmiechnęła się do każdego z nich po kolei. – Dziękuję, że po mnie przyszlście.

– Nie miałas wyboru, musiałas tak postąpić – odrzekł Obi-Wan. – A kiedy upadaś, my też nie mieliśmy wyboru i musieliśmy zrobić swoje...

– A ja myślałem, że Jedi są mistrzami dokonywania wyboru – mruknął Anakin. – Ładna maksyma, ale tylko maksyma.

Barrissa spojrzała na niego oburzona, ale po chwili jej ramiona opadły w rezygnacji.

– No i nadal musimy szukać sposobu, żeby zdobyć to runo, jeśli mamy skłonić starszych Borokiich do rozmów...

Luminara powoli opuściła dłoń i jej dolna, wytatuowana warga wygięła się w leciutkim uśmiechu.

– Padawanko, zapominasz o jednym: ja już wracałam. – Zmieszała się nagle. – Chyba że się wysunęło, kiedy upadłam...

Sięgnęła pod bieliznę i przez chwilę macała niespokojnie. Uśmiech powoli powrócił na jej twarz.

W palcach trzymała kosmyk wełny sureppa-albinosa. Miała kolor brudnego śniegu.

Pokazała Bayaarowi tę małą, pozornie niewiele znaczącą zdobycz, za którą omal nie zapłaciła najwyższej ceny.

– Widziałeś, jak było – powiedziała do strażnika. Za jego plecami zbierał się tłum Borokiich, żądnych bodaj jednego spojrzenia na dowód tak niezwyklego wyczynu. – Wszystko odbyło się jak należy. Czy rada starszych wysłucha nas teraz?

Wysłannik rady dał znak, że przyjmuje dar.

– Nie wiem, dlaczego nie mieliby was wysłuchać. Zapamiętam tę chwilę, aby opowiedzieć o niej moim wnukom. Wy także powinniście przekazać to waszym potomkom.

– Jedi nie mają dzieci. – Luminara w otoczeniu przyjaciół ruszyła z powrotem przez obozowisko Borokiich do odległego domu gościnnego.

Bayaar spoglądał w ślad za nimi. To prawda, ci pozaświatowcy są bardzo potężni. Mistrzowie wielu talentów, nie wspominając o samej Mocy. Jak ktoś mógłby się nad nimi litować?

A jednak jemu było ich żal.

Luminara szła przez obóz wyprostowana i z wysoko podniesioną głową. Anakin i Barrissa, Obi-Wan i Kyakhta, Bulgan i Tooqui tłoczyli się wokół, poklepując ją czule. Dwaj Alwari obdarzali ją pieszczotami dość oryginalnymi, lecz w najmniejszym stopniu nie naruszającymi godności. Tooqui z kolei wyrażał swój podziw, czepiając się to jednej, to drugiej nagiej łydki Jedi – dzięki tej pozycji udawało mu się uniknąć przydeptywania przez inne osoby. Bayaar, ograniczony swoim statusem i nie należący do grupy, również pogratulował jej na tradycyjną modłę Borokiich.

Kiedy stanęli przed domem gościnnym, wyczerpana Jedi wcisnęła kłęb białego runa w dłoń gospodarza. Wciąż oddychała ciężko i z trudem chwytała powietrze.

– Zanieś to swoim starszym – poprosiła. – Powiedz, od kogo pochodzi i jak dostał się w twoje ręce.

Odwróciła się tyłem do poważnego, pełnego szacunku wysłannika i ruszyła w stronę wejścia, by paść bezwładnie w ramiona przyjaciół.

– Moc to wspaniała rzecz, ale nie można się w niej wykapać. Jestem pewna, że pieczony surepp smakuje wspaniale, ale żywe śmierdzą jak każde inne stado ciasno stłoczonych roślinożerców. Nie wiem, czy to spotkanie będzie decydujące, czy nie, ale muszę się wykapać, zanim pomyślę o tym, żeby stanąć bodaj przed najmłodszym starszym.

Z pomocą przyjaciół weszła po schodach do domu gościnnego. Wokół zebrała się już spora grupka Borokiich, którzy zdążyli się dowiedzieć o tym, co się wydarzyło i przyszli popatrzeć na pozaświatowców. Szeptane komentarze pełne były podziwu, a spojrzenia dyskretne. Bulgan z szacunkiem przyniósł Jedi jej węzełek z czystą odzieżą. Obaj z Kyakhtą od początku obdarzali tę kobietę szacunkiem, ale teraz zmieniło się to nieomal w uwielbienie.

Borokii wprawdzie nie bardzo pojmowali, jak całkowite zanurzenie się w wannie lub sadzawce może kogoś zrelaksować, ale skwapliwie podjęli się dostarczyć gościom wszystko, co jest do tego niezbędne. Nie było to aż tak wygórowane żądanie. Barrissa zajęła się zmęczoną nauczycielką, ciekawski Tooqui kręcił się wokół, wsadzając nos dosłownie wszędzie i przeszkadzając na każdym kroku, reszta gości zaś zasiadła do późnej kolacji, zastanawiając się, co przyniesie kolejny dzień.

Dom gościnny Borokiich wypełniał tego wieczoru gwar wesołych rozmów i śmiech. Przygotowania do snu trwały krócej niż zwykle. Barrissa słusznie przypuszczała, że obrażenia Luminary nie są zbyt poważne i postarała się o skuteczną kurację. Jutro mogli mieć nadzieję na spotkanie z Radą Starszych, a jeśli szczęście im dopisze, może to oznaczać szczęśliwe zakończenie ich misji na Ansionie. Z takimi nadziejami każde z nich udało się na spoczynek w wygodnym, suchym pośłaniu na modłę Borokiich. Nawet niebywała energia sprężyny napędzającej Tooquiego wreszcie się wyczerpała i mały Gwurrarin zapadł w sen tak szybki, że nie zdążył nikomu powiedzieć dobranoc.

Obi-Wan leżał na mocno wypchanym materacu i wpatrywał się w spokojnie śpiącą Luminarę, zastanawiając się nad jej niedawnym wyczynem. Uważał, że sam by tego nie dokonał. Jego szczególne zdolności polegały na czym innym. Kiedy przyglądał jej się, jak skacze z grzbie-

tu na grzbiet, ani razu nie zatrzymując się dość długo, aby zaniepokoić drzemiącego sureppa, chociaż wie, że jedno poślizgnięcie może oznaczać pewną śmierć nawet dla dobrze wyszkolonej Jedi, czuł dla niej taki podziw i szacunek, jaki zwykle odczuwał tylko wobec czynów Rady Jedi. Bardzo chciał dowiedzieć się od Luminary, jak jej się udało to, co pozornie było niewykonalne.

Ale nie dziś, powiedział sobie stanowczo. Ta noc niech służy wyłącznie radości z dokonań dzisiejszego dnia i nadziejom na to, co uda im się osiągnąć jutro. Później będzie czas, żeby pomyśleć o innych sprawach.

Leżący obok Anakin Skywalker po raz pierwszy od wielu tygodni pozwolił sobie na odprężenie. Jeśli dzięki wyczynowi Luminary spotkają się jutro z Radą Starszych Borokiich i uzyskają wiążące obietnice, wówczas przynajmniej będą mogli wrócić do Cuipernam, a stamtąd do cywilizacji. Naprawdę pragnął, żeby tak się stało. Wiedział, że wszystko, co oddala go od Ansionu, przybliża go ku innym miejscom, gdzie naprawdę chciałby się znaleźć.

W wirze pełnych nadziei myśli i oczekiwań na pozytywny wynik misji pozwolił sobie po raz pierwszy od wielu dni na głęboki, spokojny i cichy sen.

Obok niezobowiązujących ploteczek i przyjemnej konwersacji spotkanie grupy spiskowców miało jeszcze jeden cel. Wszyscy obnosili swoje zmartwienia jak biżuterię. Pomimo ogólnego wrażenia wesołości, napięcie wewnątrz transportera można było kroić nożem. Pojazd przystosowany do przewożenia pięćdziesięciu pasażerów w luksusie i z wszelkimi wygodami, miał teraz w swoim wnętrzu niewiele ponad połowę tej liczby, włącznie ze służebnymi robotami.

Pod ich stopami olbrzymie miasto-swiat Coruscant lśniło złotem w porannym słońcu, kiedy gwiazda planety wschodziła nad odległym, nieregularnym horyzontem wież i kopuł. Żaden z pasażerów nie był zadowolony z pory spotkania, ale wszyscy się zgodzili. Wiedzieli, że pojawiały się problemy, które należało jak najszybciej rozwiązać. Dla wielu pasażerów czas rozmów już się skończył. Ci, którzy żądali natychmiastowego wykonania jakiegoś ruchu, bronili swojej sprawy ostro, a nawet brutalnie. Żądali, żeby wreszcie podjąć jakąś decyzję.

Opinię tę wydawała się podzielać większość zebranych w transparentnym przedziale pasażerskim. Dzwoniły kielichy, kosztownie ubrani goście wznosili toasty w oczekiwaniu na nadchodzący sukces – można

by pomyśleć, że decyzja o secesji została już podpisana i ogłoszona. Od czasu do czasu wybuchały śmiechy, wywołane żarcikami na temat spodziewanych reakcji dobrze znanych i serdecznie nielubianych polityków na przygotowywaną deklarację.

Pośród gości znalazło się kilkoro takich, którzy nie przyłączyli się do świętowania. Najbardziej znana wśród nich była Shu Mai, osoba o skromnej powierzchowności i ujmującym sposobie bycia. Patrzyła przez ochronną warstwę transparistali na niekończącą się panoramę rezydencji i fabryk, ogrodów i instalacji miejskich, która przesuwiała się pod nimi. Poranne niebo pełne było podobnych, choć znacznie mniej luksusowych pojazdów, przenoszących ludzi z ich miejsca zamieszkania do pracy i z powrotem. Miliony na samym Coruscant, tryliony rozrzucone po całej galaktyce, a los wszystkich zmieni się w mniejszym lub większym stopniu na skutek spodziewanej decyzji garści istot zgromadzonych w tym jednym transporterze.

Wiedziała, jak wielka to odpowiedzialność. Zbyt wielka, aby mogła ją ponosić pojedyncza istota. Ona jednak czuła się na to przygotowana. Była prezesem Gildii Kupieckiej, więc ciążył na niej obowiązek podejmowania trudnych decyzji. Wcześniej czy później wszystkie istoty myślące będą zmuszone stawić czoło swojemu przeznaczeniu. Na razie większość z nich odwraca twarz – ale nie ona. Ona jest gotowa.

Ktoś musi wreszcie wystąpić i powiedzieć to, co trzeba. Świętowanie zwycięstwa zaczynało wymykać się spod kontroli – zwłaszcza że na razie nie było żadnego zwycięstwa. Shu Mai przepchnęła się na koniec przedziału i weszła na niewielki stołeczek. Nie była to prawdziwa trybuna, ale w końcu nie zwracała się teraz do gildii.

– Słuchajcie, to za wcześnie! – powiedziała dość głośno, aby jej głos pokonał panujący w sali gwar.

Rozmowy ucichły błyskawicznie. Wszystkie twarze zwróciły się ku niej.

– Za wcześnie – dodała ciszej, ale twardym tonem. – Nie pora, aby ujawniać nasze prawdziwe zamiary i dekonspirować całą grupę.

– Wybacz, Shu Mai – odezwał się szczupły, ale silny humanoid, reprezentujący w senacie trzy zamieszkane światy. – Nie tylko nie jest za wcześnie, ale uważam, że o wiele za późno. Czekaliśmy na tę chwilę już bardzo długo

Szmer, jaki się podniósł po tych słowach, świadczył o ogólnym poparciu dla tej opinii.

Shu Mai nie dała się onieśmielić. Trudno ją było zbić z tropu. Inaczej nigdy nie stanęłaby na czele takiej organizacji, jak Gildia Kupiecka.

– Wszystko, na co do tej pory pracowaliśmy, waży się teraz na szali. Wszystkie starannie ułożone plany zaczynają się wreszcie urzeczywistniać. Nic równie skutecznie nie rozbije naszych wspólnych marzeń jak zbyt wczesna dekonspiracja.

– Niepotrzebna zwłoka stanowi większe zagrożenie dla wsparcia ze strony systemów, które się wciąż wahają! – sprzeciwił się ktoś z tytu. Szmer poparcia rozległ się znowu, tym razem jeszcze silniejszy.

Shu Mai podniosła obie dłonie, nakazując spokój. Była jedną z nich i musieli poświęcić jej uwagę, nie z powodu uporu, lecz raczej władzy, jaką miała w gildii. Za transparystalową ścianą pojawił się ścigacz porządkowy, sprawdzając luksusowy pojazd. Choć transporter był zabezpieczony przed możliwością podsłuchu tak dokładnie, jak tylko pozwalała na to nowoczesna technika, odczekała, dopóki ścigacz nie zniknie z pola widzenia.

– Przyjaciele, znacie mnie wszyscy. Znacie moje poświęcenie dla sprawy. Moje i całej gildii. Razem pracowaliśmy, mamy wspólne plany, wspólnie ukrywaliśmy przed senatem nasze troskliwie przemyślane intencje przez wiele lat. Mądre zwierzę czeka, aż owoc dojrzeje, zanim go spożyje. Jeśli zerwie go za wcześnie, może się pochorować.

Przysadzista, muskularna postać przepchnęła się na czoło tłumu. Shu Mai znalazła się twarzą w twarz z Tamem Ulissem.

– A jeśli poczeka za długo, owoc zgnije – oznajmił przemysłowiec bez uśmiechu. – Musimy zrobić ruch. Czuję, że to najlepsza pora.

Shu Mai zeszła z podwyższenia.

– Czyżbyś opierał swoje decyzje na uczuciach, mój przyjacielu?

– No, na pewno nie na Mocy... Znam ludzi. – Uliss machnięciem ręki wskazał na uważnie słuchający tłum. – Znam ich. Długo czekali i ciężko pracowali na ten moment. Ja też.

– Byłabym ostatnią osobą, która chciałaby im tego odmówić – odparła łagodnie. – Po prostu chcę się upewnić, że to właściwa chwila.

Stojący z boku senator Mousul niechętnie przytaknął. Shu Mai spojrzała nad ramieniem Ulissa i znów podniosła głos.

– Musimy czekać, aż Ansion zadeklaruje secesję. Ansion pozostaje kluczem. Publiczne potępienie dla korupcji i biurokracji Republiki jest duże, ale nawet najbardziej czuły materiał wybuchowy wymaga zapalnika, żeby eksplodować. Wycofanie się Ansionu posłuży jako detonator, a sieć jego sojuszy pociągnie za sobą Malarian i Keitumitów. I to będzie pretekst, aby rozpocząć działanie.

– Ruch jest już dość silny – zaoponował przemysłowiec. – Moglibyśmy czekać dalej na Ansion i całą resztę, ale w ten sposób możemy

utracić inne, równie istotne poparcie. A kiedy ruszymy, Ansion posłusznie pójdzie za nami.

– Jesteś tego pewien, przyjacielu? Jesteś pewien? Nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, na Ansionie są Jedi. – Zmieszany gwar rozmów świadczył, że znaczna większość obecnych nie miała pojęcia, co się dzieje na kluczowej planecie. – Jedi zrobią wszystko, aby Ansion, a co za tym idzie, również Malarianie i Keitumicy, pozostali w Republice.

Uliss zmrzął oczy.

– Ty i senator Mousul mówiliście, że ta sprawa już jest załatwiana.

– Bo jest – zapewniła go Shu Mai. – Ale tam, gdzie są zaangażowani Jedi, nie ma mowy o łatwym powodzeniu. Kiedy tylko senator otrzyma wiadomość, że Jedi powstrzymano, a delegaci unii miast Ansionu gotowi są głosować za secesją, zaczniemy działać. Ale nie wcześniej. Ansion i inni muszą zadeklarować chęć odłączenia, zanim spokojnie będziemy mogli realizować resztę naszych planów.

– Nieprawda – upierał się ktoś z tyłu sali. – Dość czekania. Końiec czekania! Jakie znaczenie ma tydzień czy dwa? Zacznijmy już teraz! Ansion i pozostali pójdą za nami, z Jedi czy bez Jedi!

– Z Jedi czy bez Jedi? – powtórzyła jak echo Shu Mai, ale jej słowa utonęły w burzy okrzyków poparcia i aprobaty. – Cóż, trudno. Skoro większość z was wyraźnie opowiada się za podjęciem działań, nie mam innego wyjścia, jak tylko schylić czoło przed wolą większości. – Odpowiedziały jej wiwaty w różnych językach. – Proszę tylko, abyście poczekali jeszcze kilka dni.

– Kilka dni? – krzyknął ktoś. – A jaką różnicę może zrobić kilka dni? Doszliśmy do punktu zwrotnego w historii Republiki!

Niedaleko rozległ się głos senatora Mousula, dość głośny, by przekrzyczeć nawołujących do działania:

– Właśnie, jaką różnicę może sprawić kilka dni?

Uliss spojrział na upartych współkonspiratorów i uśmiechnął się pobłażliwie.

– Skoro kilka dni nic nie da, możemy się zgodzić. Ale – dodał głośno, aby uprzedzić okrzyk protestu ze strony zwolenników jego stanowiska – tylko kilka dni. Jeśli po tym czasie Ansion nadal nie przeprowadzi głosowania, uruchomimy działania, na które tak długo i ciężko pracowaliśmy.

Spojrział uważnie w oczy Shu Mai.

– Ci, którzy nie zechcą pójść z nami, będą mogli obwiniać tylko siebie, jeśli pozostaną w tyle.

Nie była to groźba – a przynajmniej nie bezpośrednio. Przewodnicząca gildii odpowiedziała z uśmiechem:

– Mogłabym w tej chwili, tu i teraz zażądać głosowania, ale nie jestem ani głucha, ani ślepa. Widzę i słyszę, w którą stronę wieje wiatr. Nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że jestem kiepskim słuchaczem. A więc uzgodniłmy, co trzeba. Czekamy jeszcze kilka dni. To powinno wystarczyć.

Podniosła wzrok i spojrzała ponad głową nieustępliwego przemysłowca, obejmując wzrokiem grupę.

– Przyjmuję do wiadomości wasze życzenie, przyjaciele i spełnię je dla dobra naszej sprawy!

Drwiny zmieniły się w aplauz. Shu Mai łaskawie skinęła głową. Przyzwyczajona była do takiego przyjęcia swoich wystąpień, ale w przyszłości oczekiwała czegoś więcej. Znacznie więcej.

Tymczasem ona i senator Mousul mieli dużo pracy. Uparty Tam Uliss już się o to postarał.

Trudno było uwierzyć, że po wszystkim, co przeszli do tej pory, nadszedł wreszcie moment rzeczowych rozmów. Choć ubranie Jedi nie chłonęło brudu i kurzu, to jednak producent nie przewidział wielodniowej ostrej jazdy na grzbiecie olbrzymiego suubatara, nie wspominając o wszystkich innych przygodach.

Na szczęście, z pomocą Bayaara i innych członków klanu, czworo Jedi zdołało doprowadzić się do przyzwoitego stanu. Kiedy nadszedł czas spotkania z radą starszych Borokiich, Luminara uznała, że wyglądają na tyle imponująco, na ile tylko pozwalała sytuacja.

Dom spotkań Borokiich był udekorowany proporcami, artystycznymi tkaninami i importowanymi ozdobami z metalu. Stał w pewnej odległości od osady. Starsi byli już wewnątrz; widać, chcieli usłyszeć, co mają do powiedzenia goście, którzy zdobyli runo białego sureppa. Wejścia strzegła gwardia honorowa wybrana z najlepszych wojowników klanu, ale ze schowaną bronią. Po niezwykłym pokazie z poprzedniego wieczoru nawet najdzielniejsi spośród nich nie mieli wielkiej ochoty zmierzyć się z obcymi, którzy potrafią dokonywać takich rzeczy.

Luminara zatrzymała się przed wejściem i zwróciła do przewodników:

– Musicie pozostać tutaj. Nie jesteście przedstawicielami Senatu Republiki, a my nie możemy ryzykować żadnych niejasności w trakcie spotkania.

Kyakhta i Bulgan dali znak, że rozumieją. Gwurrarin także zrozumiał, ale to nie przeszkadzało mu się sprzeciwić.

– Tooqui nie żadna niejasność! Tooqui jest cicho, mówić mówić nic, usta jak zamknięta szpara w kamieniu, żadnych słów bez pytania, jest cicho jak...

Mistrzynie położyła palec na jego bezwargich ustach.

– Wiem, że możesz tak zrobić, Tooqui, ale to nasza misja i nasza pora. Kiedy wyjdziemy, opowiemy ci o wszystkim.

Gwurran złożył kosmate ramiona na piersi i pociągnął pojedynczym nozdrzem.

– Ludzie nie potrzebują gaduła Tooqui, kiedy wychodzą. Krzywe gęby ludzi czytać tak łatwo jak bebechy gogomara!

– Słyszałaś? – mruknął Anakin do Barrissy. – Masz buzię jak bebechy gogomara.

– Dzięki – odparła, kiedy wchodzili do tymczasowej konstrukcji.

– Ty też nie wyglądasz jak księżę z bajki.

Miał to być żartobliwy rewanż, ale Barrissa na szczęście nie mogła widzieć wyrazu twarzy chłopca.

Rada składała się z dwunastu starszych płci obojga. Siedzieli na wyściełanych dywanami sofach, ustawionych w półkole przodem do wejścia. Z kilkoma wyjątkami grzywy obecnych w pomieszczeniu były siwe lub białe, choć na niektórych widać było zaskakująco czarne pasy lub cętki.

Na widok wchodzących pozaświatowców jeden szczególnie sędziwy Borokii uniósł na powitanie dłoń, szeroko rozpościerając wszystkie trzy palce.

– Witamy was na radzie nadklanu. Wysłuchamy wszystkiego, co macie do powiedzenia. Zadamy wam też pytania z nadzieją, że otrzymamy na nie odpowiedzi.

Wszystko było jasne. Obi-Wan dokonał prezentacji, powtarzając to, co mówił już Yiwom, Qulunom i Gwurranom: wyjaśnił, po co przybyli na Ansion i dlaczego tak ważne jest, aby Alwari osiągnęły porozumienie co do propozycji senatu. Powiedział, że od tego, co dziś zostanie zdecydowane, zależy nie tylko przyszłość Ansionu, lecz także całej Republiki. Nie było potrzeby upiększać faktów ani stosować sztuczek oratorskich. I tak zresztą nie było to w stylu Jedi. Wytworne figury stylistyczne były dziedzina zawodowych dyplomatów. Obi-Wan był doskonałym mówcą, ale nie cierpiał przesady.

Skończył, cofnął się i zajął miejsce obok Luminary na przygotowanej dla nich ławce. Jak przystało na padawanów, Barrissa i Anakin siedzieli za nauczycielami.

Prezentacja wywołała cichą, lecz ożywioną dyskusję pomiędzy członkami rady. Jedna ze starszych podniosła głowę i zadała pytanie godne Qulunów.

– Rozumiemy, co Alwari uzyskają, jeśli się zgodzą na tę propozycję. A co z tego będzie miał senat?

– Zapewnienie, że prawo będzie przestrzegane, a Ansion pozostanie w Republice – bez wahania odpowiedziała Luminara. – Malarianie i Keitumici pójdą za Ansionem. Zostanie zachowana integralność Republiki.

– Ale Ansion nie jest potężnym światem – zauważył inny członek rady. – Dlaczego tak wiele uwagi poświęca się naszym wewnętrznym problemom, naszym utarczkom granicznym z członkami unii i tak dalej?

– Małe pęknięcie może spowodować rozsypanie się ogromnej tamy – odparł Obi-Wan. – To prawda, Ansion nie jest potęgą. Ale stanowi stronę potężnych sojuszy, a te powinny pozostać w granicach Republiki.

– Nie dochodziły do nas dyskusje na temat secesji, które tak rozgrały mieszkańców miast – zauważył inny senior Borokiich.

– Niewiele straciliście – odparł Obi-Wan. – Jeśli Ansion zadeklaruje intencję pozostania w Republice, wszystko i tak przeminie. Takie ruchy pojawiały się już wcześniej. Historia Republiki jest ich pełna, a jednak do dziś przetrwały wyłącznie ich nazwy.

Mistrz Jedi wiedział jednak, że ten ruch jest inny. Znacznie bardziej niebezpieczny. Kryły się za nim potężne siły z zewnątrz, wzniecające niezgodę i stwarzające problemy na wielu światach. Na spotkaniu Rady Jedi mówiło się nawet o zamieszkach w samym Coruscant. Ale i tak nie było powodu, aby mówić radzie starszych więcej, niż bezwzględnie musieli wiedzieć. Sytuacja była dość delikatna nawet bez wspomnienia o niebezpieczeństwach istniejących na innych światach.

– Jeśli zgodzimy się na to, czego żądacie, jak możemy być pewni, że członkowie unii dotrzymają obietnicy? – odezwał się kolejny członek rady.

– Republika będzie gwarantem umowy pomiędzy wami – odparła Luminara i szybko dodała, aby zapobiec ewentualnym protestom: – Rycerze Jedi także.

Po tym stwierdzeniu rozległ się szmer zadowolenia.

– Dopilnujemy również, aby nie wykorzystano was w żadnych machinacjach Gildii Kupieckiej, Federacji Handlowej ani kogokolwiek innego.

Zadawano kolejne pytania: niektóre ogólne i przychylnie, inne podchwytliwe i szczegółowe. A kiedy już nie pozostało nic więcej do powiedzenia, senior rady Borokiich podniósł drżącą dłoń.

– Odejdźcie w pokoju, przyjaciele z innego stepu. Udzielimy wam odpowiedzi przed zachodem słońca. Bądźcie pewni, że nie zrobimy tego pośpiesznie i bez namysłu. – Spojrzał na pozostałych członków rady. – Ta decyzja wpłynie na los każdego członka każdego klanu, od noworodka po umierającego. Należy ją podjąć roztropnie.

Podobnie jak w wielu zabiegach dyplomatycznych, sama dyskusja na szczycie okazała się łatwiejsza niż czekanie na decyzję. Pozaświatowcy mogli tylko schronić się do domu gościnnego. Oczekiwanie skraccało im marudzenie Tooquiego, szalenie zainteresowanego przebiegiem narady, oraz mniej dociekliwe pytania Kyakhty i Bulgana. Gwurranin okazał się zabawny, ale i denerwujący – zależnie od nastroju rozmówcy.

Kiedy wreszcie pojawił się Bayaar, wszystkie twarze natychmiast zwróciły się w jego kierunku. Był zaskoczony ogólnym zainteresowaniem swoją osobą, ale minę miał całkowicie nieodgadnioną. Kiedy przemówił, w jego głosie brzmiała niezwykła powaga.

– Starsi są gotowi was przyjąć. Pójdźcie za mną, proszę.

Jedi wymienili spojrzenia i podążyli za wysłańcem. Tak jak przedtem, Anakin i Barrissa szli z tyłu, rozmawiając cicho.

– Widać podjęli decyzję. – Anakin zwolnił, żeby Barrissa mogła nadażyć. – Najwyższy czas.

– Zawsze niecierpliwym jesteś – odparła, przedrzeźniając mistrza Yodę. – Spokojniejsze życie prowadzić lepiej, i jest dłuższe.

– Spokoju w życiu moim nie było, powiedzieć można – odparił bez zmruczenia oka. – Nie wiem, jak bym reagował, gdybym przez większość czasu nie był napięty jak struna.

Drogę do domu spotkań wyznaczały pręty żarowe. Wnętrze jednak oświetlone było bardziej nowoczesnie. Goście ustawili się przed radą. Niektórzy ze starszych zamienili się teraz miejscami. Luminara nie wiedziała, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Kyakhta i Bulgan mogliby rzucić trochę światła na sprawę zmiany miejsc, ale nie było ich pod ręką.

Po raz drugi Jedi musieli samotnie stawić czoło Ansionianom.

Starsza kobieta zaczęła dość przychylnym tonem:

– Przez cały dzień zastanawialiśmy się nad waszymi słowami. Z tego, co słyszeliśmy, wierzymy, że słowom Jedi można ufać.

Luminara pogratulowała sobie przynajmniej tego osiągnięcia.

– Dlatego też – ciągnęła kobieta – postanowiliśmy zgodzić się na wszystko, czego żądacie. My, Borokii, zawrzemy pokój z mieszkańcami miast unii i Ansion pozostanie w Republice.

Luminara kątem oka dostrzegła, że Anakin trąca Barrissę z pełną nadziei miną. Nie mogli się powstrzymać przed radosnymi uśmiechami. Z kolei wyraz twarzy Obi-Wana nie uległ zmianie.

– W zamian zażądamy od was tylko jednej rzeczy – ciągnęła kobieta.

– Jeśli tylko będziemy w stanie spełnić wasze żądanie... – ostrożnie odparła Luminara.

Rozmowę przejął senior.

– Pokazaliście już, że jesteście szybcy i zręczni, że waszymi umiejętnościami przewyższacie nawet najlepszych Borokiich. Nawet tu Jedi znani są jako wspaniali wojownicy. – Kiedy senior pochylił się do przodu, Luminara zauważyła, że jego grzywa jest kompletnie siwa. – Nasi odwieczni wrogowie, nadklan Januul, rozbili obóz niedaleko. Pomóżcie nam załatwić się z nimi raz na zawsze, a zapracujecie sobie na przyjaźń i przychyłność Situng Borokiich po wsze czasy. Taka jest nasza cena za spełnienie waszych żądań.

Uśmiechy znikły z twarzy padawanów jak zdmuchnięte. Gdyby Luminara stała, ugięłyby się pod nią kolana. Ze wszystkich żądań, jakie Borokii mogli im postawić, ze wszystkich wyzwani i propozycji wybrali akurat takie, którego żaden Jedi nie może spełnić. Zabieranie głosu po którejkolwiek stronie w sporach etnicznych było absolutnie i kategorycznie zakazane. Gdyby zakon przyłapano na faworyzowaniu jednej lub drugiej strony w kwestiach nie dotyczących żywotnych interesów Republiki, przepadłaby jego opinia bezstronnego rozjemcy. Nie istniał żaden sposób, aby mogli pomóc Borokiim walczyć i pokonać Januulów. Po prostu żaden.

Jeśli jednak im to powiedzą, Borokii nie zechcą zawrzeć umiędzynarodowianego pokoju z unią mieszkańców miast Ansionu. A kiedy delegaci unii stwierdzą, że pozostając w granicach Republiki mogą oczekiwać jedynie ciągłych utarczek z mieszkańcami stepów, oni także zgodzą się na secesję.

Był to impas niemożliwy do rozwiązania. Niemożliwy. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że Anakin i Barrissa też to rozumieją.

Obi-Wan poważnie skinął głową.

– Oczywiście, że się zgadzamy. Chętnie pomożemy wam załatwić odwieczny spór z waszymi nieprzyjaciółmi.

Anakin wytrzeszczył oczy na mistrza, a szczęka mu opadła, Barrissa po raz pierwszy w swoim życiu ujrzała zaskoczenie na twarzy Luminary.

Rada Borokiich była za to wyraźnie zadowolona.

– A zatem uzgodniłmy, co trzeba. – Starsi powstali, jedni wolniej, inni szybciej. Kilku trzeba było pomóc. – Układ został zawarty. Wyruszamy jutro.

Pojedynczo opuścili dom spotkań. Goście wyszli w ślad za ostatnim członkiem rady.

Zaledwie znaleźli się na zewnątrz, Luminara i padawanowie ciasnym kręgiem otoczyli Obi-Wana.

– Co ty sobie myślisz? – z niedowierzaniem pytała Luminara. – Jak mogłeś im to obiecać? Wiesz, że nie możemy stawać po żadnej stronie w sporach... – W jej głosie brzmiała rozpacz i zdenerwowanie. – Nie mamy na to czasu!

Jedi nie wydawał się speszony jej oskarżycielskim tonem.

– Nie mamy wyboru, Luminaro. Albo zgodzimy się im pomóc, albo oni nie podpiszą traktatu, który przywieźliśmy. Wyraźnie dali to do zrozumienia.

– Ale, mistrzu – wtrącił Anakin – pierwszy Januul, którego zabijemy, udowodni temu drugiemu nadklanowi, że Jedi trzymają z Borokiimi. A jeśli tak się stanie, Januulowie staną się również naszymi wrogami. Jeśli pomożemy Borokiim ich pokonać, ocaleni z pogromu Januulowie nie będą honorować żadnej ugody, którą im zaproponujemy.

– I podobnie jak Borokii, Januulowie z pewnością mają wielu sojuszników wśród Alwarich – niespokojnie dodała Barrissa. – A ci sojusznicy też nie przychylią się do układu.

– Padawanowie mają rację. – Luminara była niespokojna. Szybka zgoda Obi-Wana na żądania starszych Borokiich zdenerwowała ją trochę. – Nieważne, po której stronie staniemy: Borokiich czy Januulów. Jeśli choć raz okażemy stronnictwo, stracimy większość Alwarich. Aby unia mieszkańców miast z Alwarimi mogła funkcjonować, potrzebni są przedstawiciele wszystkich plemion.

– Jeśli dasz mi szansę, spróbuję to wyjaśnić – mruknął Obi-Wan, kiedy podniecenie Luminary wreszcie opadło. Skręcili za róg i ujrzeni dom gościnny, kuszący obietnicą prywatności, odpoczynku i odświeżenia.

– Mam nadzieję, że to zrobisz, Obi-Wanie – odparła. – Albo żadne z nas nie wyśpi się tej nocy...

Anakin uważał, że zna swojego nauczyciela lepiej niż ktokolwiek inny, ale wciąż nie miał pojęcia, co miał na myśli mistrz, zgadzając się na żądanie starszych.

– Co tu wyjaśniać, mistrzu Obi-Wanie? Albo pomożemy tym Borokiim... a jak twierdzisz, musimy to zrobić ze względu na współpracę z nimi... albo tego nie zrobimy. Są tylko dwie możliwości.

Obi-Wan Kenobi obdarzył swojego padawana swoim wszystkim i odparł cicho:

– Nie... jest jeszcze jedna.

Do obozu Januulów było kilka dni marszu. Gdyby cały klan Borokiich wyruszył na tę wyprawę, droga trwałaby o wiele dłużej, ale wyjechali tylko wojownicy. Kiedy wreszcie dotarli do długiego, niskiego wzgórza, za którym znajdował się cel wędrówki, Luminara stwierdziła, że obozowisko Januulów wygląda prawie dokładnie tak samo, jak Borokiich. Stada i równo ustawione tymczasowe konstrukcje wyglądały podobnie i było ich mniej więcej równie dużo.

Bayaar jechał z gośćmi jako wyznaczony oficjalnie łącznik ze strony klanu.

– Januulowie i Boroki są w stanie wojny od tak dawna, że najstarsi nie pamiętają, aby kiedykolwiek było inaczej – wyjaśniał nowym przyjaciom. – Od setek lat toczy się walka o to, kto powinien rządzić Alwarimi. – Spojrzał na nich do góry z wysokości swojego sadaina. – Jako wojownik Situng Borokii cieszę się na dzisiejsze zwycięstwo, ale żałuję, że starsi uznali za stosowne wciągnąć was w ten spór.

– Nie tak, jak my tego żałujemy – odpowiedziała Luminara i nakazała suubatarowi uklęknąć. Zsiadła i podeszła do swoich towarzyszy, jadących w pierwszej linii Borokiich.

Januulowie zebrali się na bliższym brzegu niewielkiej rzeczki, tworzącej zachodnią granicę obozowiska. Pomimo starań Borokiich, aby zaskoczyć nieprzyjaciela, wyszkoleni zwiadowcy Januulów wykryli zbliżającą się kolumnę wojowników dzień wcześniej. Wojownicy nadklanu czekali w gotowości na swojego odwiecznego wroga w trzech rzędach po drugiej stronie wzgórza.

W obozie trwał kontrolowany chaos. Zamykano na cztery spusty kramy i gospody, dzieci zaganiano do domów, grupy strażników czekały pomiędzy składanymi domostwami. Wielkich stad sureppów w stepie strzegły oddziały uzbrojonych po zęby młodzików, którzy jeszcze nie dorosli do bezpośredniego uczestnictwa w długo oczekiwanej bitwie.

Wielu z nich zginie dzisiaj, myślał Bayaar, obserwując przeciwników Borokiich. Może jednak z pomocą potężnych pozaświatowców jego klan zwycięży. Instynktownie czuł, że dzisiejsza bitwa zadecyduje, który klan Alwarich będzie panował przez wiele kolejnych lat.

Luminara długo przyglądała się masie wojsk Januulów, próbując choć w przybliżeniu oszacować ich liczebność. Uznała, że jest ich mniej niż tysiąc, ale wszyscy są dobrze uzbrojeni i mają na sobie wspaniałe, ręcznie kute zbroje. Obi-Wan zgodził się z jej oceną.

– Żadnej ciężkiej broni. – Wychylił się naprzód, uważnie obserwując ciasno zwarte szeregi wojsk. – Żadnych dział laserowych, żadnych wyrzutni ani po jednej, ani po drugiej stronie.

Zwrócił na to uwagę Bayaara.

Ich nowy przyjaciel zrobił przerażoną minę.

– *Haja*, nie! Gdyby Borokii albo Januulowie użyli tych zabójczych pozaświatowych urządzeń, jeden z nadklanów mógłby wygrać wszystkie inne konfrontacje, ale zostałby odtrącony przez wszystkich innych Alwarich na całą planetę. Poza tym oznaczałoby to, że druga strona musi pozyskać taką samą broń, żeby się bronić. Dokąd byśmy wtedy zaszli?

– Na drugą stronę lufy autodestrukcji – podpowiedział Anakin z boku. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale uważał barbarzyński pokaz ciężko uzbrojonych Ansionian, dosiadających bajecznie strojnych, opancerzonych sadainów i kilku olśniewająco przystrojonych suubatarów, za dziwnie fascynujący. Z czysto akademickiego punktu widzenia, oczywiście, zapewniał pospiesznie sam siebie. Może dla Ansionian dzisiejsza konfrontacja ma epokowe znaczenie, ale dla niego był to jedynie kolejny epizod w edukacji.

Naturalnie, jeśli wykluczyć możliwość, że on i jego przyjaciele mogą polec.

– A zatem to są Januulowie. – Luminara wskazała zebranych wojowników. – Wyglądają dość imponująco.

– Hovsgol Januulowie i Situng Borokii to dwa wielkie nadklany – przyznał Bayaar. – Ale przy waszej pomocy sprawa prawdziwej, najwyższej władzy pomiędzy Alwarimi zostanie rozwiązana raz na zawsze.

– Mam taką nadzieję – łagodnie odparł Obi-Wan. – Po to tu dzisiaj jesteśmy. Aby dać przykład zarówno Borokiim, jak i Januulom.

Dziwny sposób postawienia sprawy, pomyślał Bayaar. Ale płasko-occy pozaświatowcy często mówili zagadkami.

Kyakhta i Bulgan otrzymali polecenie, aby trzymali się z daleka od bitwy i pozostali na tyłach. Teraz przeżywali katusze frustracji. Obieca-

li pozaświatowcom, że będą ich bronić własnym życiem, a tymczasem muszą stać i patrzeć, jak ich nowi przyjaciele ryzykują życiem dla innych Alwarich. Było to prawie nie do zniesienia. Tooqui natomiast nie miał najmniejszych oporów, aby trzymać się z daleka od bitwy.

– Jest ich tylko czworo. – Kyakhta wyteżał wzrok, żeby cokolwiek zobaczyć z punktu obserwacyjnego na wzgórzu górującym nad rzeką i obozowiskiem Januulów. – Są silni i wyszkoleni, ale jak taka garstka może wpłynąć na wynik tak wielkiej bitwy?

– Nie wiem, słowo daję. – Bulgan nerwowo potarł kłapkę na oku. – Ale chyba się już nauczyłeś, że ci pozaświatowcy pełni są niespodzianek.

– Tooqui wie, co zaraz się dzieje. – Dwaj znacznie więksi Alwari odwrócili się, żeby popatrzeć na malca. – Jedi robią coś bardzo głupie głupie.

Przesunął się bliżej krawędzi skarpy, żeby mieć na oku Barrisę.

Kyakhta zmarszczył brwi. Miał wielką ochotę palnąć małego Gwurrana w ucho.

– Masz szczęście, że pani Luminara zakazała mi cię bić. Powinieneś okazać trochę szacunku. Cokolwiek się stanie, jestem pewien, że nie dadzą się zabić. Ich misja jest zbyt ważna.

Tooqui spojrział na nich z dołu.

– Kto mówi o zabiciu? Tooqui tego nie mówi. – Gwurrani odwrócił się tyłem, żeby obserwować rozgrywający się w dole spektakl. – Tooqui mówi, że oni robią coś głupie głupie. Może wymyślą coś głupie głupie, co załatwi wszystkie głupie głupie głowy Alwarich.

Przewodnicy wymienili zmieszane spojrzenia z równie zdziwionym Bayaarem. Potem jednak uznali, że szkoda czasu na próby rozszyfrowania bezsensownej paplaniny Gwurrana i podeszli do krawędzi skarpy, żeby lepiej widzieć, co się będzie działo w dole.

Z bliska ten przedziwny spektakl robił jeszcze większe wrażenie niż ze szczytu. Ustawieni w potrójnym szeregu naprzeciw Borokiich Januulowie prezentowali przegląd rozmaitych strojów i postaw. Ich twarze, nagie głowy i falujące grzywy ozdabiały wojenne malowidła, skórzane i kompozytowe zbroje były pokryte wzorami osobistych, rodzinnych i klanowych ornamentów i talizmanów. Oprócz tradycyjnych łuków i strzał, włóczni, oszczepów i mieczy, mieli również importowane miotacze i rusznice. Ponure miny świadczyły, że są zdecydowani odeprzeć każdy atak choćby największym kosztem.

Nieprzerwany szereg żołnierzy Borokiich, stojący naprzeciwko, stwarzał nie mniej imponujący obraz. Pojedynczy wojownicy, pyszniąc

się nie tylko bronią, lecz i postawą, przepychali się do przodu, a każdy ciężkozbrojny samiec usiłował znaleźć się w pierwszej linii. Przywódcy klanów, dosiadający niespokojnych sadainów, zajęli pozycje na przdzie, wykrzykując rozkazy do swoich żołnierzy.

Powietrze aż drżało od emocji oczekiwania, pełne ansoniańskiego odpowiednika adrenaliny. Bulgan i Kyakhta, przerażeni patrzyli ze szczytu wzgórza, spodziewając się, że dzika bitwa może wybuchnąć w każdej chwili. Wciśnięty pomiędzy nich Tooqui był nienaturalnie milczący.

Krzyki i butne obelgi rzucane przez oba szeregi wojsk niespodziewanie ucichły. Głowy wyciągnęły się jak najdalej, broń powędrowała w dół. Środek linii Borokiich rozstał się. Pojedynczo, jeden za drugim, Jedi i ich padawanowie wyszli przed szereg, kierując się na środek pola przyszłej bitwy. Na wzgórzu Kyakhta, Bulgan i Tooqui jednocześnie wstrzymali oddechy.

Kilku Borokiich zamruczało coś z nadzieją. Choć niewielu z nich obserwowało wyczyny pozaświatowców w stadzie sureppów kilka dni temu, teraz wieść o tym wypadku rozeszła się już po całym oddziale. Januulowie z kolei tak byli zaskoczeni niespodziewanym pojawieniem się pozaświatowców, że zaczęli głośno się zastanawiać, co oni tutaj robią. Płaskoocy, bezgrzywi obcy, stali w tak ryzykownej pozycji na samym przdzie szeregu, że ich intencje były jasne dla każdego z januulskich wojowników. Nie szkodzi. Pozaświatowcy zginą równie szybko, jak wszyscy Borokii.

Luminara i Barrissa odwróciły się twarzą do oddziałów Borokiich, podczas gdy Anakin z ponurą miną obserwował Januulów. Obi-Wan przemówił.

Borokii z wyczekiwaniem wpatrywali się w pozaświatowych sojuszników, spodziewając się z ich strony formalnego wyzwania. Tymczasem starszy Jedi zatoczył powolny krąg i zwrócił się nie tylko do Januulów, lecz do obu zebranych armii.

– Słuchajcie mnie! Jestem Obi-Wan Kenobi, rycerz Zakonu Jedi. Wraz ze mną stoją tu rycerz Jedi Luminara Unduli i jej padawanka, Barrissa Offee. A oto mój padawan, Anakin Skywalker. Przybyliśmy na waszą planetę, aby zawrzeć trwałe porozumienie pomiędzy Alwarimi a Unią miast. Wtedy lud Anionu pozostanie w Republice galaktycznej, wierząc, że jej prawa i przepisy będą obowiązywać wszystkich w jednakowym stopniu. – Uniósł rękę i zatoczył nią duży krąg, obejmujący cały nieboskłon. – Poza Anionem czyhają siły straszliwsze, niż potraficie sobie wyobrazić. Sprawy ogromnej wagi, żywotne dla każdej istoty rozumnej w galaktyce, zmagają się do ostatecznego rozstrzygnięcia. Anion

stanowi niezmiernie ważną część tego, co się dzieje. – Powoli opuścił ramię.

– Przybyliśmy tutaj, ponieważ wiemy, że tam, gdzie pójda Borokii i Januulowie, pójdzie również reszta Alwarich. Żądamy, aby starsi, obu waszych nadklanów usiedli z nami i od nowa przedyskutowali tę kwestię. Istnieją sprawy ważniejsze od tych, o które chcieliście się dzisiaj zabijać.

Zebrani Borokii zaczęli kręcić się niespokojnie. Czy to jest wyzwanie, które sojusznik rzuca wrogowi?

– Musicie nauczyć się działać razem – ciągnął Obi-Wan. – Także razem z tymi, którzy mieszkają w miastach. Jeśli tego nie uczynicie – zakończył – ryzykujecie utratę tego, o co walczyście. Wszystko zagarną chciwi podżegacze, tacy jak Gildia Kupiecka... oraz inni, dla których Ansion i jego lud są tylko pionkiem w rozgrywce.

Odpowiedzią na jego przemowę było milczenie, jeśli nie liczyć pomruków w szeregach Borokiich. Nagle jeden z januulskich oficerów wystąpił na swoim bogato ozdobionym rumaku, wycelował ceremonialny miecz w spokojnego Jedi i odezwał się gniewnie:

– Nie wiemy, o czym mówisz, pozaświatowcze!

Obi-Wan odpowiedział poważnie:

– Oczywiście, że nie wiecie. Dlatego musicie nas wysłuchać. Dajcie nam szansę.

Za jego plecami z szeregu wysunął się przywódca Borokiich.

– To ma być pomoc? To, co się ma tu dziś wydarzyć, nie dotyczy innych światów, pozaświatowcze! Zajmij się tym, co obiecałeś starszym!

– Ansion stanowi część Republiki – odparła Luminara. – W Republice wszystkie spory są sprawą senatu. I Rady Jedi.

Borokii prychnął wzgardliwie.

– A więc, zamiast nam pomagać, postanowiliście uratować nas przed sobą? Nie potrzebujemy waszej pomocy. Borokii zawsze sami sobie radzili. – Odpowiedział mu dumny okrzyk stojących za jego plecami wojowników.

Taki sam okrzyk wzniesli Januulowie, choć ich oficer jeszcze nie skończył z gośćmi.

– Z drogi, pozaświatowcy! – zawołał teraz. – Załatwimy to tak, jak zawsze, w tradycyjny sposób. Cokolwiek próbujecie osiągnąć, jest już na to za późno. Borokii sami tu przyszli, a my jesteśmy gotowi na ich spotkanie.

Uniósł miecz, wydał dziki, wysoki wrzask, którego żaden człowiek nie umiałby powtórzyć, i ruszył naprzód.

Obi-Wan skoncentrował się, uniósł dłoń, aby pomóc umysłowi i wykonał gwałtowny ruch w kierunku nacierającego oficera. Wydawało się, że sadain uderzył w ścianę. Pomimo sześciu nóg upadł bezwładnie, raczej zaskoczony niż zraniony. Jeździec przeleciał przez oszołomioną głowę zwierzęcia i wylądował twardo na trawiastym gruncie. Uderzenie sprawiło, że miecz wypadł mu z trzech palców. Z bojowym okrzykiem na ustach szereg gotowych na wszystko Januulów uniósł broń i ruszył przed siebie. Wyjąc i sycząc gniewnie, Borokii poszli za ich przykładem.

Zaświstały strzały, poleciały włócznie, a co gorsza, do walki wkroczyły również miotacze. Wszystkie pociski, które przelatywały w pobliżu Jedi, były odbijane mieczami świetlnymi, które zdawały się kręcić i wirować szybko jak błyskawice. Pociski lecały zbyt wysoko, by ich dosięgnąć, stracali umiejętnymi i zręcznymi uderzeniami Mocy.

Trzech Januulów usiłowało otoczyć Luminarę. Trzy ciosy miecza świetlnego pierwszego rozbroiły, drugiemu stopiły ostrze, a trzeciemu wytrąciły z ręki ciężką pałkę. Rozbrojeni, skwapliwie odsunęli się od Jedi i pospieszyli do własnych szeregów. W ich ślady poszli kolejni wojownicy; Luminara i jej towarzysze metodycznie neutralizowali jedną po drugiej grupki oszołomionych Januulów.

Dwóch wściekłych Borokii zaatakowało Anakina strzałami z miotaczy. Zamiast uciekać, skoczył w ich kierunku, odbijając ostrzem miecza wszystkie strzały po kolei. Dwa krótkie cięcia wytrąciły napastnikom miotacze z dłoni. Kolejny cios bez trudu mógłby pozbawić ich ramion, ale instrukcje Obi-Wana, których udzielił mu przed bitwą, były absolutnie jasne.

– Żadnych okaleczeń, żadnego zabijania – ostrzegął Jedi. – Trudno jest zdobyć serca i umysły, obcinając głowy i ręce.

Zresztą dalszy pokaz siły nie był już konieczny, uznał Anakin. Nie musiał już przekonywać wojowników, którzy go tak odważnie zaatakowali. Nie obdarzając nawet spojrzeniem kosztownych, bezużytecznych teraz pistoletów, pokonani szybko dołączyli do szeregów Borokiich.

Po następnych dziesięciu minutach bezskutecznych prób pokonania przeciwnika, zarówno Januulowie, jak i Borokii uznali, że walka skończona i że szkoda zachodu. W całej wspólnej historii wojennych doświadczeń, żadna ze stron nie słyszała o trójstronnej bitwie. Było to całkowicie obce ich tradycji i nie umieli sobie z tym poradzić. Zwłaszcza że trzecia strona zwalczała jednych i drugich z jednakową zaciętością.

Chociaż... chyba nie o to tutaj chodziło. Pozaświatowcy nikogo nie atakowali. To na nich napadano, mszcząc się za pychę, z jaką usiło-

wali dyktować warunki dumnym wojownikom nadklanów. No, ale w końcu do tego doprowadzili w jakiś sobie tylko znany sposób. Teraz obie strony miały tylko jedno wyjście: wycofać się, usiąść i przemyśleć powstałą sytuację. Tym bardziej że większa część ich najlepszego uzbrojenia została już unieszkodliwiona przez pozaświatowców. A przecież tych bezgrzywych negocjatorów było tylko czworo!

A przy tym wojownicy obu stron zauważyli, że obcy nikogo nie zranili. Likwidowali wyłącznie broń. Kto zagwarantuje, że taka sytuacja powtórzy się, jeśli walki rozgorzeją na nowo? Rozbrojeni przeciwnicy popatrywali na siebie z ukosa i próbowali swój niepokój ubrać w słowa. Jeśli nie zdołali załatwić bodaj jednego z obcych miotaczami, nie należy się spodziewać, że pójdzie im lepiej z tradycyjnym uzbrojeniem, takim jak miecz lub włócznia.

Niektórzy zaczęli nieśmiało przebąkiwać, że może lepiej wysłuchać, co pozaświatowcy mają do powiedzenia. Zawsze będą mogli za jakiś czas podjąć spór w tym samym miejscu, w którym go przerwali.

Szeregi Januulów rozstały się, aby zrobić miejsce dystygowanej postaci seniora. Zasapana Barrissa, która wciąż jeszcze trzymała oburącz miecz świetlny, stwierdziła, że ten starzec ma dość lat, aby być starszym plemienia. W tym samym momencie spoza szeregów Borokiich wystąpił osobnik starszy od wszystkich obecnych wojowników, ale zachowujący dumną, wyprostowaną postawę. Dwaj starsi mierzyli się z dwóch końców pola walki wzrokiem pełnym niesmaku, ale i szacunku. A kiedy przemówili, ich słowa brzmiały rozsądnie. Najwyraźniej pogodzili się z rzeczywistością.

Sprawa, którą przedstawili goście, aż się prosiła o natychmiastowe zwołanie nie tylko jednej, lecz obu Rad Starszych. Senior Borokiich zaprosił czworo pozaświatowców do domu spotkań; to samo natychmiast zrobił starszy Januulów, twierdząc, że to nie do pomyślenia, żeby tak ważne spotkanie odbyło się w domostwie Borokiich. Zgrabnie usuwając się w bok razem z wierzchowcem, starszy Januulów dał znak, że goście powinni pójść za nim do głównego obozowiska na dole.

Te uprzejme zaproszenia dały rezultat przeciwny od zamierzonego: obie strony gotowe były podjąć na nowo walkę o to, kto powinien być gospodarzem pokojowego spotkania na szczycie. Zdenerwowana Luminara zdecydowała, że spotkanie nie odbędzie się w żadnym z obozowisk. Trzeba wznieść całkiem nowy budynek, korzystając z części dostarczonych przez obie strony. Budynek ma stać dokładnie w tym miejscu, gdzie oni stoją teraz. W ten sposób żaden z nadklanów nie będzie mógł rościć sobie prawa do patronowania obradom.

Borokii ustąpili niechętnie. Januulowie zgodzili się również, choć wyraźnie mieli o to pretensje. Czwórka pozaświatowców zrobiła w tył zwrot i opuściła pole walki, niemal namacalnie czując na plecach wzrok obu oddziałów. Za wszelką cenę chcieli sprawić wrażenie, że nie wydarzyło się nic wyjątkowego, a sensacja, jakiej się stali przyczyną, to chleb powszedni dla przedstawicieli Rady Jedi.

A jednak byli śmiertelnie zmęczeni. Nie ma trudniejszego wyzwania dla zręcznego wojownika, niż angażowanie się w walkę, w której trzeba się starać o to, aby nikogo nie zabić, ba, nawet nie uszkodzić.

Zwłaszcza kiedy przeciwnicy robią wszystko, aby się nawzajem wymordować.

ROZDZIAŁ

17

Starsi Borokiich czuli się zdradzeni przez swoich sojuszników spoza planety, ale nie mieli wyjścia, musieli wziąć udział w naradzie. Januulowie ze swej strony byli bardzo podejrzliwie nastawieni.

– Okłamaliście nas – grzmiał oskarżająco senior rady Borokiich, nie zastanawiając się, co na ten temat pomyśla sobie obecni Januulowie. – Złamaliście uroczystą gwarancję!

– Wcale nie – spokojnie odparł Obi-Wan. – Poprosiłeś nas o pomoc przy ostatecznym załatwieniu sprawy z waszym odwiecznym wrogiem. Właśnie to uczyniliśmy. – Uśmiechnął się lekko. – Nikt nie mówił o ich pokonaniu.

Starszy rozdziawił usta, gotów odburknąć gniewnie, ale się zaważał. Ostatecznie usiadł z powrotem na wyścielonym dywanem podwyższeniu. Siedząca po prawej stronie seniorka mlasnęła językiem i lekko trzasnęła kostkami – naprawdę lekko. Starsi Januulów mieli bardzo niepewne miny.

Ostatecznie obie strony zrozumiały, że Jedi po prostu zmusili ich do zawarcia pokoju, przynajmniej w zakresie proponowanego traktatu. Z czasem obie strony dojdą do wniosku, że jednak coś zyskały, pocieszała się Luminara. Zyskały pokój zarówno między sobą, jak i z mieszkańcami miast. A co najważniejsze, zgoda na ten plan oznaczała, że Anson raz na zawsze pozostanie w łonie Republiki i pod jej prawami.

Bayaar był zachwycony rezultatem całej akcji. Obawiał się, że tego dnia straci wielu przyjaciół, zarówno z klanu, jak i spośród przybyszów. Kto mógł przewidzieć podobne zakończenie?

– Powiedziano mi, że obie rady zgodziły się na wszystko, o co poprosiliście. Umowa zostanie sfinalizowana dziś wieczorem w tradycyjny sposób, a w uroczystościach będą uczestniczyć Boroki i Januulowie. – Gdyby miał wargi, pewnie by nimi mlasnął. – Ci, którzy zostaną zaproszeni, przeżyją coś zupełnie wyjątkowego! Oba klany mają również ofiarować wam dar, choć nie powiedziano mi, co to takiego.

W domu gości nie było ani wiwatów, ani okrzyków radości, tylko zmęczone, ale pełne satysfakcji uśmiechy i świadomość dobrze wykonanego zadania. Gdyby ich wyszkolenie nie było najwyższej próby, trójstronna bitwa trwałaby o wiele dłużej, a każde z nich mogło zostać ciężko ranne albo nawet polec. Teraz wymienili między sobą spokojne gratulacje, a mistrzowie z przyjemnością pochwalili swoich padawanów.

Nikt jednak nie był szczęśliwszy od Anakina. Uradował go udział w bitwie – nareszcie nie tylko na słowa – choć nigdy by się do tego nie przyznał, a zwłaszcza mistrzowi Obi-Wanowi. Teraz wrócił do Cuiperam, ani o sekundę za wcześnie, a stamtąd na Coruscant, aby osobiście zdać sprawę Radzie Jedi. A potem, jeżeli znowu nie ujawni się jakiś kryzys, wymagający natychmiastowej interwencji, może dadzą im trochę odpocząć. Gdyby tylko udało mu się załatwić kwestię transportu... i gdyby mistrz Obi-Wan się zgodził, on już wiedziałby dokładnie, jak spędzi ten czas.

Uroczystości przewyższyły nawet obietnice Bayaara. Było to czarujące połączenie obrazów, dźwięków, jedzenia i napojów. Następnego dnia Jedi pożegnali nowych przyjaciół wśród Januulów i Boroki i popędzili w kierunku Cuiperam. Powinni właściwie znaleźć trochę czasu na odpoczynek, ale nie dali rady. Nie mając komunikatorów, które zniszczył im wódz Qulunów, Baiuntu, nie mogli poinformować nikogo, a zwłaszcza delegatów unii, że misja została uwieńczona sukcesem. Nie mieli więc ani chwili do stracenia.

Kyakhta i Bulgan jechali na przedzie, pękając z dumy, że uczestniczyli w tak istotnym momencie historii Alwarich. Tooqui, jak to miał w zwyczaju, towarzyszył Barrissie, wędrując po jej ogromnym suubatarze od łąba po zad i z powrotem. Cierpliwy wierzchowiec znosił harce Gwurrana bez najmniejszych protestów.

– Wspaniałe osiągnięcie, pani – odezwała się Barrissa z siodła. Jej suubatar pędził lekko u boku wierzchowca Luminary. Dziewczyna przyzwyczaiła się wreszcie do kołysania i dosiadała zwierzęcia z wdziękiem doświadczonego jeźdźcy.

– Przesadzasz – zaprotestowała Luminara. – Po prostu dobrze wykonane zadanie. „Wspaniałość” to określenie, które najlepiej sprawdza się z upływem czasu. Każdy uważa, że jego własne osiągnięcia są warte

zapamiętania, ale czas ma tendencję do ich brutalnej weryfikacji. Po stu latach zostają zepchnięte na dalszy plan. Po tysiącu po prostu się o nich zapomina.

Widząc minę padawanki, postarała się, aby jej następne słowa brzmiały pocieszająco.

– Nie oznacza to, że nasz czyn jest nieważny. Nasza historia to dzień wczorajszy, i to on się liczy. Poza tym żadne z nas nie jest historykiem. Kto może powiedzieć, co jest decydujące dla cywilizacji? Na pewno nie zwyczajny Jedi. Zadecyduje o tym rada i prawdziwi historycy. Najważniejsze, że dokonaliśmy tego, po co wędrowaliśmy taki kawał drogi, a przy realizacji naszych planów zginęło tak mało istot myślących, jak to tylko było możliwe.

Barrissa zastanowiła się nad tym, co usłyszała, a po chwili uśmiech wrócił na jej twarz.

– Cokolwiek powiedzą na temat naszych tutejszych poczynań, uważam, że powstrzymanie od walki dwóch armii, z których nikt przy tym nie zginął, jest niezwykłym wyczynem. Byłaś zdumiewająca, pani. Przez większość czasu byłam zbyt zajęta, żeby się przyglądać, ale i tak coś niecoś zauważyłam. Nigdy nie widziałam kogoś równie spokojnego i nieustraszonego w obliczu takiego niebezpieczeństwa.

– Spokojna? Nieustraszona? – Luminara roześmiała się. – Były chwile, kiedy bałam się śmiertelnie, padawanko. Jedyna sztuczka polega na tym, żeby nie okazać strachu. Zawsze pamiętaj, gdzie w szafie swego umysłu trzymasz maskę odwagi, Barrisso, i wkładaj ją wtedy, kiedy potrzebujesz.

Skinęła głową.

– Będę o tym pamiętała, pani.

Luminara wiedziała, że tak się stanie. Barrissa to doskonała uczennica. Czasem może trochę zbyt pesymistyczna, ale szczerze zaangażowana w naukę. Nie jak Anakin Skywalker. Drzemie w nim większy potencjał, ale i większa niepewność. Obserwowała go w czasie bitwy. Mogłaby walczyć z nim ramię w ramię chętniej niż z każdym innym Jedi. Martwiło ją jednak, co ten młody człowiek zrobi po bitwie. Wielka i trudna do rozwiązania zagadka. I Luminara nie jest odosobniona w tej opinii. Obi-Wan nieraz wspominał jej o tym. Twierdził jednak, że chłopic ma ogromny potencjał i że dzięki temu kiedyś stanie się wielki.

Cóż, tak jak przed chwilą powiedziała Barrissie, to jedna z rzeczy, których znaczenie może okazać jedynie upływ czasu. Nie ona była odpowiedzialna za Skywalkera – i całe szczęście. Nie była pewna, czy potrafiłaby zachować wobec niego taką cierpliwość, jak Obi-Wan.

Niezwykły nauczyciel dla niezwykłego ucznia. Popędziła suubatarę, aby nieco wydłużył krok.

Delegatowi Fargane'owi burczało w żołądku, ale nie był w tym osamotniony. Delegat czuł się zmęczony. Zmęczony i wściekły. Tęsknił za domem w odległym Hurkaset, tęsknił za rodziną i rodzinnym interesem, który nigdy nie szedł dobrze pod jego nieobecność, kiedy nie mógł udzielać światowych rad, których był mistrzem. A wszystko przez tych przedstawicieli zapyziałego, pompacyjnego Senatu Republiki. Tych Jedi. Przed ich przybyciem na Ansion słyszał, jak delegat Ranjiyn twierdził, że sława ich wyprzedza. Cóż, *haja*, teraz mógł jedynie dodać, że sława również odchodzi wraz z nimi. Obdarzono ich szacunkiem i powitano jako potencjalnych zbawców pokoju, a oni przepadli na nieskończonych stepach Ansionu.

Nadszedł czas, by podjąć decyzję. Nie był jeszcze do końca pewien, jak zamierza głosować, ale wiedział jedno: za długo trwa to czekanie. Oznajmił to swoim kolegom.

– Oni wciąż jeszcze gdzieś tu są – nalegał delegat Tolut. – Powinnyśmy zaczekać jeszcze chwilę.

Przez okno trzeciego piętra potężny Armalaczycy w zadumie spoglądała na północ. Nawet jego cierpliwość powoli zaczynała się wyczerpywać. Jedyne spotkanie z Jedi wywarło na nim potężne wrażenie. Ale sprytnie sztuczki salonowe nie zastąpią konkretów. Gdzie są teraz... a zwłaszcza gdzie jest traktat, który zgodnie z ich obietnicami miał przerwać ciągnący się od wieków spór pomiędzy mieszkańcami miast a nomadami Alwari?

– Powiem wam, gdzie oni są. – Wszyscy zwrócili się w kierunku mówiącego. Jako oficjalny obserwator ze strony handlarzy Cuipernam, Ogomoor nie miał wpływu na sposób działania Rady Unii. Mógł tylko wyrazić swoje zdanie na ten temat. Jednak mijał dzień po dniu, a Jedi nie dawali znaku życia ani żadnej informacji. W tej sytuacji jego zdanie znacznie zyskało na wadze.

– Odeszli.

Delegat ludzi Dameerd zmarszczył brwi.

– Czy to znaczy, że opuścili Ansion?

Majordomus Soergga udał obojętność.

– Kto wie? Chciałem przez to powiedzieć, że nie ma ich już z nami. Istnieją inne porty poza Cuipernam, a dobry statek może wylądować właściwie wszędzie. Może odlecieli na Coruscant, może nie żyją. Tak czy owak, nie dostarczyli tego, co obiecywali: przyjęcia przez Alwarich nowego porozumienia społecznego na Ansionie. – Zrobił wymowny gest. –

Jak długo jeszcze będziecie zwlekać? Obojętne, jak chcecie głosować w sprawie secesji, ta wieczna niepewność źle działa na interesy.

– Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości – sapnął Fargane.

Ranjiyn z szacunkiem spojrzął na starszego delegata.

– Zgadzam się, że najwyższy czas podjąć decyzję. Przyszłość Ansionu zależy od nas, obecnych tutaj.

Nieszczęśliwy Tolut próbował jeszcze zyskać na czasie.

– Nie możemy tym życzliwym gościom dać nieco więcej czasu?

– A kto powiedział, że oni są chętni do pomocy? – prychnęła Kandah. – Czy mamy pozwolić, aby nam to wmówili? Służą komu innemu. Radzie Jedi, Senatowi Republiki, może jeszcze innym. Robią to, co im się każe. Jeśli kazano im odejść bez spotkania z nami, nie byłabym zaskoczona, gdyby posłuchali. Byłby to tak charakterystyczny dla senatu pokretny manewr polityczny. – Gniewnie podniosła głos. – Nie lubię być traktowana w taki sposób!

– Chociaż do końca tygodnia – nalegał Ranjiyn. – Jeśli do tej chwili nie usłyszymy jakichś wieści od nich, powinniśmy wziąć udział w głosowaniu.

– Doskonale – mruknął głośno Volune. – Nareszcie jakaś decyzja! Wprawdzie zgadzam się z Fargane’em, że już zbyt wiele czasu zmarnowano w tej sprawie, ale mogę przystać także na ten harmonogram. – Spojrzął na starszego delegata; ludzkie oczy napotkały spojrzenie nieco niższego Ansionianina. – Fargane?

Przedstawiciel wydał z siebie dziwny, gulgoczący dźwięk.

– Jeszcze więcej zmarnowanego czasu, *haja*, doskonale. Ale ani dnia dłużej – zakończył ostrzegawczym tonem. – Tolut?

Armalatczyk odwrócił się od okna, przez które wyglądał.

– Ci Jedi to dobrzy ludzie i wierzę im. Kto wie jednak, co kazano im zrobić albo co im się przytrafiło? Chyba zbyt wiele sobie wyobrażają. – Wielka głowa opadła na znak zgody. – Koniec tygodnia. Zgadzam się.

Tak też zadecydowali. Żadnych więcej opóźnień, żadnych usprawiedliwień. Jedi czy nie Jedi, traktat czy nie traktat, każdy z nich odpowiadał przed swoim okręgiem wyborczym, a obywatele żądali ostatecznej decyzji w kwestii secesji. Pełne troski wezwania nadchodziły również z innych planet, od Malarian i Keitumitów, których los ściśle i formalnie związany był z losem ansiońskich sojuszników.

Ogomoor był zachwycony. Tydzień to nieco dłużej, niż spodobałoby się jego panu, ale i tak nieźle. Soergg i ten, dla którego pracuje, będą bardzo zadowoleni.

Majordomus sam był zresztą bardzo z siebie zadowolony.

ROZDZIAŁ

18

Ogomoor dostarczył przed chwilą drobną, lecz pomyślną wiadomość finansową swemu bossbanowi i właśnie zdążył do pokoju wypoczynkowego, a potem zamierzał się udać do swego gabinetu, kiedy Soergg wyszedł w ślad za nim.

– To niemożliwe! – ryczał Hutt do robota komunikacyjnego, którego zadaniem było unoszenie się w pobliżu wielkiej, ciężkiej głowy w godzinach urzędowania.

Ogomoor był na tyle sprytny, żeby w okrzyku odczytać co najmniej kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, kiedy ktoś głośno i gwałtownie oznajmia, że coś jest niemożliwe, to oznacza, że to coś właśnie się stało. Po drugie, rzeczy, które są niemożliwe, a jednak się wydarzają, z reguły przynoszą negatywne skutki. A po trzecie, nie ma sensu spieszyć się z wyjściem, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa zaraz otrzyma rozkaz powrotu.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę majordomusa w jednej chwili, akurat w takim czasie, aby zdążył się przygotować psychicznie. Soergg słuchał wciąż osoby, która znajdowała się na drugim końcu linii. Ogromne ślepie Hutta wyszły na wierzch, grube żyły pulsowały mu na głowie i szyi. Rzeczywiście musiał być wściekły, skoro naczynia krwionośne zdołały się przepchnąć na powierzchnię przez tak grubą warstwę tłuszczu.

Widać było, że nowiny, które bossban właśnie otrzymał, nie są dobre. A ponieważ złe wieści miały to do siebie, że szybko stawały na czele i hierarchii licznych przedsięwzięć Hutta, przeznaczeniem

Ogomoora było stać się jednym z pierwszych, których były udziałem. Soergg od czasu do czasu dorzucał jakiś komentarz do rozmowy, która w znacznej mierze była jednostronna. W miarę upływu czasu te wtręty stawały się coraz częstsze, coraz głośniejsze i coraz bardziej nieprzyzwoite.

Kiedy ostatecznie transmisja dobiegła końca, rozwścieczony boss-ban zamachnął się gniewnie na mechanicznego posłańca złych wieści. Ciężka łapa grzmotnęła niewinnym robotem o najbliższą ścianę. Zatrzeszczała tylko raz i w częściach spadł na podłogę. Ogomoor z trudem przełknął ślinę. Jeśli Hutt jest tak wściekły, że poświęca kosztowny sprzęt na ołtarzu swojego gniewu, to nie wróży zbyt dobrze jego organicznym i znacznie łatwiej psującym się podwładnym. Majordomus próbował więc znaleźć się poza zasięgiem Hutta.

Soergg nie był w nastroju do gier słownych, zrezygnował nawet z ukochanego sarkazmu.

– Ci przekleści Jedi wrócili!

– Wrócili? – Ogomoor spojrzał tępo. – Gdzie wrócili?

Ogromne żółte oczy zwróciły się ku niemu i Ogomoor ucieszył się, że nie podszedł bliżej.

– Tutaj, ty idioto!

Szczerze zaskoczony pierwszy asystent wytrzeszczył oczy na swojego pana.

– Tutaj? Do Cuipernam?

– Nie – groźnie warknął Soergg. – Do mojej sypialni.

Rzucił krótki rozkaz, przywołując kolejnego robota komunikacyjnego z szafki, która mieściła ich całe stada.

– Są w miejskiej gospodzie, gdzie mieszkali tuż po przybyciu. Po został nam przynajmniej jeden kompetentny informator. Idź tam. Weź, kogo trzeba. Najmij, kogo trzeba. Może przynajmniej są zbyt zmęczeni, żeby zadawać pytania i pójść spać na resztę dnia. Jeśli nie – a podobno wyszli i kierują się w stronę kompleksu rady miejskiej Cuipernam – zatrzymajcie ich. Zróbcie, co trzeba, ale nie pozwólcie im dotrzeć do kompleksu. Nie można dopuścić, aby wtrącili się do głosowania delegacji unii. Nie teraz. Nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko osiągnięcia wszystkiego, na co tak ciężko pracowaliśmy. – Hutt podjął widoczny wysiłek, aby się uspokoić, i spojrzał na chronometr świeżo włączonego robota komunikacyjnego. – Zatrzymajcie Jedi do zachodu słońca. Po zachodzie słońca będzie już po głosowaniu i nieważne, co wtedy zrobią. Ale przed zachodem słońca tej przekłętej po stokroć planety żaden z nich nie ma prawa dotrzeć do sali rady miejskiej.

- Tak jest, bossbanie. Powiedziałeś, że mam zrobić to, co trzeba.
- Ogomoor zawahał się. – Jeśli mam podjąć pewne kroki, być może będę musiał to uczynić całkiem publicznie, na oczach ludności.
- Niech szlag trafi ludność! Później zajmiemy się nieprzychylnymi reakcjami mieszkańców. Na razie nie zamierzam się tym martwić. – Stęknął i pochylił się ku majordomusowi. – Zrozumiałeś?
- Tak jest, bossbanie – posępnie odparł Ogomoor.
- No to czemu tu stoisz i udajesz, że myślisz? Wynocha. Już! Ogomoor poszedł.

Szef był Dbarianinem: same macki, brodawki i zatroskane spojrzenie. Należało się spodziewać, że będzie zdumiony ich widokiem, całych i zdrowych. Wystarczy powiedzieć, że elastyczne, niesegmentowe członki zrobiły się jasnoniebieskie ze zdumienia.

Czy dla szanownych gości znajdą się jakieś pokoje? A czy je się loomasa od głowy? A czy szef mógłby uprzejmie powiadomić delegację unii, że grupa Jedi wróciła z traktatem podpisanym, nie tylko przez nadklan Alwarich, lecz również Januulów?

Dbarianin wykonał gest, u jego gatunku odpowiadający zmarszczeniu brwi.

– Czy chcecie powiedzieć, szanowni goście, że nie poinformowaliście jeszcze delegatów o tym ważnym osiągnięciu?

Zmęczona, ale szczęśliwa Luminara tylko potrząsnęła głową.

– Nasze komunikatory zagięły w czasie podróży po stepach, a Borkii i Januulowie nie używają takich urządzeń. – Tradycja.

– Ale... – Chromofory Dbarianina migotały różnymi odcieniami brązu, co oznaczało kompletne zaskoczenie. – Delegaci unii mają głosować w sprawie secesji z Republiką DZISIAJ!

– Dzisiaj? – Anakin wcisnął się pomiędzy węzowe członki szefa. – Przecież nie złożyliśmy im jeszcze sprawozdania. Chcą głosować na taki ważny temat, nie czekając na informacje z naszej strony?

Stojący za jego plecami Obi-Wan myślał szybko i bardzo intensywnie.

– Ciągoty do secesji są bardzo silne w niektórych frakcjach, zachęcanych do działania przez elementy spoza planety. Wrogowie Republiki mogli równie dobrze wykorzystać nasze milczenie do wymuszenia głosowania. – Z naciskiem spojrzał na gospodarza. – Powiadasz, że sesja odbędzie się dzisiaj. O której godzinie?

– Tego nie wiem, szanowny gościu. Takie sprawy nie interesują karczmarza. Ale całe miasto wie o głosowaniu. Zostało ono ogłoszone

publicznie i nie stanowi tajemnicy. Sądę... sądę, że ma się odbyć późnym popołudniem. Tak – dodał z rosnącą pewnością. – Tuż przed zachodem słońca.

Jedi odetchnął.

– Mamy trochę czasu. – Wskazał na urządzenia rozwieszone na ścianie za właścicielem. – Muszę pożyczyć twój komunikator, dopóki nie zdobędziemy własnych.

– Oczywiście, szanowny gościu. – Szeff podał mu żądany przedmiot, upewniwszy się wcześniej, że baterie są naładowane. Obi-Wan wyrecytował kod aktywacyjny i natychmiast zażądał połączenia z delegatem unii Ranjiynem.

Nie było odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz.

Luminara spojrzała pytająco.

– Coś nie w porządku, Obi-Wanie?

– Wybrałem osobistą sekwencję kontaktową delegata Ranjiyna. Potem Toluta, a potem szanownego Fargane’a. Otrzymałem automatyczny komunikat, taki sam dla każdego z nich „Związek Telekomunikacyjny Ouruvot z przykrością informuje, że wszystkie miejskie częstotliwości transmisyjne są tymczasowo niedostępne z powodu awarii urządzeń”. – Odwrócił się gwałtownie i spojrzął w kierunku wejścia do gospody. – Obawiam się, że ci, którzy pragnęliby nas powstrzymać przed złożeniem sprawozdania delegatom unii, wiedzą, że tu jesteśmy. Czuję to.

Jego towarzysze natychmiast wzmogli czujność. Kyakhta i Bulgan sprawdzali broń, Tooqui zaś ustawił się tak, żeby obserwować wszystko, co się rusza. Za ich plecami właściciel gospody próbował skorzystać z urządzeń komunikacyjnych. Wszelkie próby porozumienia się z kimkolwiek poza budynkiem kończyły się wygłoszeniem tego samego uprzejmego komunikatu.

– Czy moi szanowni goście twierdzą, że ktoś wyłączył całą miejską sieć telekomunikacyjnej w Cuipernam tylko po to, aby was powstrzymać przed porozumieniem się z delegacją unii? – Chromofory karczmarza załśniły intensywnym różem.

– W każdym razie do chwili przeprowadzenia głosowania. – Obi-Wan ruszył już w kierunku wyjścia. – Nie przejmuj się tym, karczmarzu. Mam przeczucie, że przed zapadnięciem nocy cała komunikacja znów będzie działać. – Z posępną miną spojrzął na Luminarę, która szła za nim krok w krok. – Wciąż jeszcze mamy czas, ale musimy działać szybko.

Z niespokojnymi, zdenerwowanymi padawanami depczącymi im po piętach i alwaryjskimi przewodnikami zamykającymi pochód, dwoje

Jedi opuściło gospodę i szybkim krokiem skierowało się na główny bulwar.

Dokładnie w trzy minuty po ich wyjściu problemy komunikacyjne w gospodzie, gdzie zamierzali się zatrzymać, zostały ostatecznie rozwiązane przez potężną eksplozję, która spowodowała całkowite zawalenie się mocnej konstrukcji.

Pech nie opuszczał grupy Jedi; w okolicy nie było widać ani jednego wolnego pojazdu. Luminara i Obi-Wan nie mieliby żadnych oporów przed zarekwirowaniem śmigacza czy nawet poduszki, powołując się na pilne potrzeby Republiki – gdyby się w ogóle pojawiły w okolicy. Po drodze natykali się jednak wyłącznie na proste, tradycyjne środki lokalnego transportu, przeznaczone do przewożenia niewielkich ilości towarów przez labirynt krętych, wąskich uliczek Cuipernam. Swoją drogą, przy tej ilości transporterów handlowych, pojazdów Ansionian i obcych mieszkających na planecie lub przybyłych na kilka dni, nisko lecący śmigacz byłby pewnie wolniejszy niż pieszy spacer. Cuipernam było starym miastem, z centrum handlowym nie zaprojektowanym dla nowoczesnych środków transportu. Była to jedna z atrakcji dla turystów, ale dzięki temu miejska sieć komunikacyjna stanowiła przeżytek ze znacznie dawniejszych czasów.

Luminara nie przejmowała się tym; do kompleksu rady miejskiej nie było daleko, pogoda sprzyjała, a spacer był przyjemną odmianą po utrzymywaniu równowagi na grzbiecie wysokiego suubataru w pełnym galopie. Spojrzała w kierunku słońca. Wciąż jeszcze mieli dużo czasu, aby zdążyć do sali rady, zanim delegaci unii zbiorą się na ostateczne głosowanie.

Byli już w połowie drogi, kiedy poczuła zakłócenie w Mocy. Obejrzała się w jego stronę i spostrzegła kątem oka przelotny, ale wymowny ruch. Mimochodem dotknęła ramienia Obi-Wana w pewien szczególny sposób. Po chwili to samo uczyniła z Barrissą, a drugi Jedi zaalarmował Anakina. Kyakhta i Bulgan szli z boku, a niezmiennie aktywny Tooqui skakał i biegał od kramu do kramu. Żaden z nomadów nie spostrzegł subtelnej zmiany, jaka zaszła w ich towarzyszach rasy ludzkiej.

Obi-Wan zbliżył się do Luminary i nie zdradzając najmniejszym nawet gestem, że coś jest nie w porządku, rzucił tylko jedno słowo:

– Gdzie?

Pokazała mu wzrokiem.

Odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinięciem głowy i zaraz przekazał informację Anakinowi i przewodnikom Alwari, podczas kiedy Luminara informowała Barrissę. Postanowiono, że Tooqui nie powinien

wiedzieć o niczym. W końcu to nie on jest głównym celem, a i tak wkrótce się zorientuje, co się dzieje. Syczący, spanikowany Gwurrarin, miotający się jak szalony po zatłoczonych ulicach, nie był im teraz potrzebny do szczęścia.

Kiedy snajperzy na dachach otwarli ogień, ich strzały zostały natychmiast odbite przez ostrza czekających już w gotowości mieczy świetlnych. Żaden ze strzałów, które jak deszcz zasypały idących ulicą, nie dotarł do celu. Kramarze i podróżni, kupcy i spacerowicze, krzyżując w panice w co najmniej dwóch tuzinach języków, rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Jedi i ich towarzysze ukryli się w wielkim kompleksie handlowym, który dominował po drugiej stronie ulicy.

Ogomoor z rozdziawionymi ustami gapił się na ogólną panikę. Dosłownie przed chwilą Jedi i ich towarzysze szli sobie spokojnie; wszystko wskazywało na to, że są zadowoleni i beztroscy i nie spodziewają się losu, który miał ich wkrótce spotkać. A teraz nie tylko zdołali odeprzeć starannie zaplanowany atak, ale zdążyli jeszcze uciec do budynku po drugiej stronie i zniknąć z oczu wynajętych morderców. Byli to najlepsi ludzie, jakich zdołał znaleźć w tak krótkim terminie po otrzymaniu polecenia od bossbana, ale choćby byli geniuszami w swoim fachu, nie mogli zastrzelić czegoś, czego nie widzą.

Walcząc ze strachem i coraz silniejszą frustracją, Ogomoor wyciągnął specjalny komunikator na zamknięte pasmo częstotliwości i polecił oddziałom naziemnym, aby wtargnęły do kompleksu handlowego, w którym schroniła się zwierzyna. Gdyby udało się wypędzić Jedi z powrotem na ulicę, dachowi egzekutorzy będą mogli ich przejąć i wystrzelać. Nawet Jedi nie poradzą sobie łatwo z bitwą na kilku płaszczyznach jednocześnie.

– Tędy! – Luminara poprowadziła przyjaciół w kierunku zaplecza. Klienci i personel sklepu rzucili się do ucieczki, i całe szczęście. Jedi troszczyli się o zdrowie i życie niewinnych przechodniów, ale kilkudziesięciu profesjonalnych morderców, którzy wpadli przez tylne wejście, miało nieco inne zasady moralne.

Strzały z rusznic i miotaczy zaprószyły ogień wewnątrz kompleksu. W opancerzonym biurze dwaj kierownicy i jeden z właścicieli rozpaczali nad stratami w towarze i zniszczeniem sklepu, a obie strony konfliktu zasypywały się strzałami. Zawiadomiono już służby porządkowe, ale zanim ich przedstawiciele zdecydują się pojawić, elegancko urządzony kompleks handlowy równie dobrze może już leżeć w ruinie.

Nie byli to ci sami przypadkowi rozrabiacze, z którymi miały do czynienia Luminara i Barrissa wkrótce po przybyciu na Ansion.

Poruszali się ze znacznie większą pewnością siebie, celowali z dużą precyzją. Tylko dzięki umiejętnościom Jedi ona i jej towarzysze byli w stanie odeprzeć atak. Luminara uznała, że ktoś musiał ponieść spore koszty i zadać sobie wiele trudu, aby skompletować taką ekipę.

Zajęta dwoma naraz przeciwnikami, nie zauważyła małego, ale doskonale uzbrojonego Vrota, który powoli podniósł się zza pary skulonych ze strachu klientów. Wiedząc, że musi przynajmniej jednym strzałem trafić zwinną i trudną do namierzenia Jedi, Vrot celował bardzo ostrożnie. Miał już przycisnąć spust, kiedy nagle stworzenie składające się z wyłupiastych oczu, wymachujących ramion i wierzgających stóp wylądowało mu na głowie. Zaskoczony morderca upadł, zasypany stekiem jedynych w swoim rodzaju, bardzo wymyślnych obelg.

– Tooqui zabije! Zły zły obcy! Tooqui zadusi bebechami! Tooqui... auu!

Wściekły Vrot zrzucił z ramion lekkiego napastnika i złożył się, aby zastrzelić nieznośnego Gwurranina, ale w tym samym momencie zwały go z nóg dwa znacznie większe i cięższe ciała. Luminara stwierdziła, że znów może swobodnie walczyć z przeciwnikami, a Kyakhta, Bulgan i kipiący energią Tooqui wspólnymi siłami tłukli na kwaśne jabłko nieszczęsnego Vrota.

Wyszkolonych napastników było jednak zbyt wielu. Aby zapewnić bezpieczeństwo niewinnym przechodniom, kupcom i personelowi, Luminara i Obi-Wan postanowili się wycofać. Na ulicy walka będzie trudniejsza, bo z pewnością znajdą się znowu pod ostrzałem z otaczających dachów, ale zawsze to lepsze niż oglądanie spokojnych obywateli mordowanych przez bandę profesjonalnych zabójców.

Ogomoor dostał informację od jednego ze swoich najemników wewnątrz budynku i pospiesznie zaalarmował wściekłych snajperów.

– Bądźcie gotowi! – poinstruował ich przez komunikator. – Jedi się wycofują! Pozwólcie im wyjść na ulicę, zanim zaczniecie znowu strzelać. – Spojrzał na bulwar poniżej i dodał ciszej, ale z naciskiem. – Żaden nie ma prawa przeżyć.

Jeden z morderców wyrzwał zza swojej rusznicy, opartej o attykę budynku, na którym się ukrywali, i niedbale zapytał:

– A ci Alwari, którzy są z nimi? Dwaj duzi i jeden mały?

– O to się nie martw. Nasi ludzie na dole zajmą się nimi. Najpierw Jedi, potem padawanowie. – Ogomoor chciwie chłonął wzrokiem scenę w dole. Nie chciał stracić nic z jatk, która miała się tam za chwilę rozegrać, ale dbał o to, żeby nie odsłonić zbyt wiele ze swojej drogoceńszej osoby.

Na dole pojawił się ktoś w charakterystycznym stroju Jedi, znikł pod zadaszeniem i znów się pojawił. No, wyłączyć, szlachetni Jedi, poganiał ich w myślach Ogomoor. Pokażcie się. Wyjdźcie na ulicę, na piękne, jasne słońeczko Ansionu, tak, żebym mógł was zobaczyć, ja i moi bardzo kosztowni słudzy...

Są! – stwierdził wreszcie. Widział teraz obydwójce Jedi, walczących ramię w ramię, jak z niechęcią i powoli wyłaniają się z ukrycia, jakie oferował im kompleks handlowy. Dwaj zabójcy obok niego napięli mięśnie, przygotowując się do strzału. Przy odrobinie szczęścia za minutę czy dwie będzie po wszystkim.

Niestety tego ranka opuściło go błogosławieństwo Jiaguina, boga sprytu. Alwari, którzy spadli na plecy snajperów, równie dobrze mogli skoczyć z nieba, tak nagle się pojawili. Noże i inne tradycyjne narzędzia śmierci błyskały raz po raz w tym samym czystym i jasnym blasku ansiońskiego słońca, na którego pomoc w likwidowaniu Jedi przez najemnych morderców tak bardzo liczył Ogomoor. Majordomus okręcił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia, prowadzącego na dół, kiedy nagle spostrzegł przelotnie motywy zdobnicze na szatach intruzów. Otworzył oczy tak szeroko, że omal mu nie wypadły.

Situng Borokii... i Hovsgol Januulowie. Wojownicy obu najważniejszych nadklanów. Dzielni wojownicy o reputacji znanej szeroko na obu półkulach.

Co oni robią tutaj, w Cuipernam? Dlaczego mieszkają się w uliczną bójkę? Nie wiedział i nie potrafił sobie tego wyobrazić. Wiedział tylko, że nasłoneczniony dach stał się nagle znacznie mniej bezpiecznym schronieniem niż przed chwilą.

Uciekając, stwierdził, że na dachu po drugiej stronie ulicy kolejni Alwari unieszkodliwiają pozostałych jeszcze snajperów. Nie obawiając się strzelców na dachach, dwaj Jedi i ich padawanowie szybko załatwiają się z niedobitkami oddziałów naziemnych. A wtedy już nic nie przeszkodzi im w drodze do kompleksu rady miejskiej Cuipernam i do delegatów unii. Nieoczekiwanie stwierdził, że jeszcze raz będzie musiał zdać swojemu panu relację z nieudanej akcji. Bardzo kosztownej nieudanej akcji. Soergg będzie raczej niezadowolony. I raczej wściekły. I...

Cuipernam nie jest jedynym miastem Ansionu, a Soergg Hutt nie jest jedynym bossbanem wartym niezwykłych talentów majordomusa. Znużony informowaniem o kolejnych porażkach, ogarnięty wątpliwościami Ogomoor zbiegał po schodach po trzy stopnie naraz, z każdym krokiem coraz bardziej pewien, że nadszedł już dzień, kiedy należałoby poważnie pomyśleć o zmianie pracodawcy.

Nie, mruknął do siebie, szukając komunikatora na zamknięte pasmo częstotliwości. Może jednak jego wiedza i doświadczenie na coś mu się przydadzą. Pozostała do rozegrania jeszcze jedna karta.

Ani Luminara, ani Obi-Wan nie wiedzieli, co się stało z potencjalnie śmiertcionośnymi strzelcami na obu dachach, dopóki na usłanej trupami ulicy nie pojawiła się znajoma twarz. Kiedy tylko ją rozpoznali, i oni, i padawanowie poczuli prawdziwą ulgę, choć również ogromne zaskoczenie.

– Witaj, Bayaarze. – Luminara powitała Borokiiego w sposób przyjęty wśród Alwarich, kładąc jedną dłoń na twarzy, a drugą na piersi. Za jego plecami wojownicy Borokiich i Januulów sprząтали ostatnie niedobitki wynajętych morderców. Nie powinno im to zająć zbyt wiele czasu. Ci z najemników, którzy ocalili, desperacko rozpełzli się na wszystkie strony. – Nie spodziewałam się ujrzeć cię znowu, ale muszę przyznać, że znakomicie wybrałeś sobie czas na ponowne spotkanie.

– Kto to jest? – zapytał Obi-Wan, wskazując w kierunku pozostałych wybawicieli.

Ostre zęby Bayaara zaśniły w szerokim uśmiechu.

– Twoja gwardia honorowa, szlachetny Obi-Wanie. Już zapomniałeś, że wspólna rada starszych Alwarich obiecała ci prezent? Oto on. Nie chcieli, aby coś się przydarzyło ich nowym przyjaciołom spoza planety. – Gdyby Bayaar był do tego zdolny fizycznie, mrugnąłby okiem. – Zwłaszcza dopóki nie zostanie ostatecznie podpisany formalny układ pokojowy pomiędzy unią a Alwarimi. Szliśmy za wami przez cały czas, odkąd opuściliście obozowisko, strzegąc waszych tyłów, rozglądając się za ewentualnymi kłopotami i trzymając wartę. – Spowaźniał nagle. – Mało brakowało, a nie zdążylibyśmy na czas.

– Dalibyśmy sobie radę – palnął Anakin, ale zgromiony wzrokiem przez Obi-Wana, dodał szybko: – Choć wasza pomoc naprawdę bardzo się nam przydała.

Bayaar lekko skłonił się padawanowi, a Anakin zawstydził się nagle. Ciekawe, czy kiedyś nauczy się myśleć, zanim coś powie? Dzięki szkoleniu z pewnego siebie stał się pyskаты. Będzie kiedyś musiał się nauczyć od Obi-Wana, jak zachowywać cierpliwość. Inaczej nigdy nie będzie miał szansy, aby choć dorównać umiejętnościom swego nauczyciela, nie mówiąc już o ich prześcignięciu.

– Nie mniej niż wasi starsi pragniemy szybkiego zakończenia sprawy. – Luminara upewniła się, że jej miecz świetlny bezpiecznie zwisa u pasa i znów ruszyła w górę ulicy. Obi-Wan poszedł za nią, prowadząc za sobą resztę grupy.

Na chodniku i na dachach towarzyszyli im wojownicy Borokiich i Januulów. Wybrani spośród najlepszych obu klanów, kiedy tak eskortowali pozaświatowców w drodze do kompleksu rady miejskiej, przedstawiali groźny, lecz zarazem piękny widok. Wielkoocy tubylcy zatrzymywali się albo wybiegali ze sklepów, żeby obserwować orszak; nawet niektórzy obcy, przybyli z dużych i nowoczesnych światów, byli pod wrażeniem. Nikt już nie odważył się zaczepiać Jedi.

Budynek obrad rady miejskiej Cuipernam wyglądał tak, jak go zapamiętali z ostatniego pobytu. Bayaar i jego wojownicy zostali na straży na zewnątrz. Gości zaanonsowano i wprowadzono do sali. Delegacja unii wyglądała trochę inaczej niż ostatnio. Był w jej składzie delegat Ranjiyn, był Tolut, a także pięcioro innych, których Luminara rozpoznała, ale do celów głosowania liczbę członków delegacji zwiększono do dwunastu. Z tej dwunastki ośmioro było rodowitymi Ansionianami, pozostali zaś – zamieszkałymi na Ansionie przedstawicielami innych ras, jak ludzie Volune i Dameerd, czy Armalatczyk Tolut.

Anakin i Barrissa uważnie słuchali i obserwowali, nie przywiązując wagi do formalności powitalnych. Kyakhta i Bulgan dumnie siedzieli za grupą ludzi, a znudzony Tooqui spędzał czas, przeszukując salę w nadziei, iż któryś z dostojnych gości upuści coś cennego. Nikt nie zwracał na niego uwagi, skoro nie przeszkadzał w obradach.

Delegaci okazali oburzenie, zdumienie i współczucie, kiedy dowiedzieli się, jak próbowano zamordować gości na ulicach miasta. Obi-Wan i Luminara w rewanżu wyrazili troskę o zdrowie i samopoczucie delegatów. Ponieważ niektórzy z nich byli nowi i nie znali przybyszów, uznano, że należy wszystkim sobie przedstawić.

Zanim jednak rozpoczęto prezentację, do pomieszczenia wpadł zdyszany Ansionianin z obłędem w oczach.

– Szanowni przedstawiciele Ansioniańskiej Unii Miast! Błagam o posłuchanie! Mam informację, która może zaważyć przy podejmowaniu przez was decyzji... – Intruz sięgnął do kieszeni. – Wiem, skąd...

Z przodu sali wystrzelił jaskrawy promień. Miecze świetlne znalazły się w dłoniach Jedi, choć nie włączone. Osoba, która wypaliła w pierś intruza, nie padła ofiarą paniki, lecz celowała bardzo starannie. Jego broń była skuteczna. Intruz zginął na miejscu.

Anakin ostrożnie zbliżył się do dymiącego trupa nieznanego Ansionianina, pochylił się nad nim i delikatnie włożył dłoń do tej samej kieszeni, do której tamten sięgał przed śmiercią. Padawan wyjął jedyny przedmiot, jaki się w niej znajdował, i podniósł go wysoko w górę, żeby inni też mogli zobaczyć.

– Rejestrator – zameldował. – Usmażony.

Delegat, który strzelił, włożył miotacz do kabury zwisającej mu z szyi.

– Przykra sprawa – powiedział. – Wpadł bez zaproszenia, wrzeszczał i miotał się jak szaleniec, nie wiadomo, z czym mógł wyskoczyć. Kiedy sięgnął do kieszeni... – Zawiesił głos, pozwalając domyślić się reszty.

Siedzący obok Armatczyk z ciekawością obejrzał ciało.

– To Ogomoor. Rozpoznaję go pomimo uszkodzeń. Nie był przypadkiem zatrudniony u ciebie?

Strzelec nonszalancko machnął ręką.

– Od czasu do czasu coś tam dla mnie robił. Dawałem mu możliwości wykazania się, dobrze go traktowałem, ale zawsze uważałem za dość niezrównoważonego. – Wskazał na martwego Ansionianina. – Przykro mi ogromnie, że moja opinia się potwierdziła.

Barrissa rzuciła się w kierunku delegacji tak gwałtownie, że Anakin miał ochotę włączyć miecz. W połowie drogi do długiego, półkolistego stołu, przy którym siedzieli delegaci, zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami, wskazując osobnika, który spokojnie spoczywał na boku.

– To ty! – krzyknęła tak donośnie, jakby to sama Jedi Luminara rzucała oskarżenie. – To byłeś ty!

Obiekt jej gniewu rozdziawił usta ze zdumienia na widok rozwścieczonej kobiety, szeroko rozłożył ręce i z niewinną miną spojrzął po twarzach zebranych delegatów.

Luminara zwięzonymi oczami popatrzyła na niesforną padawanę.

– Barrisso, proszę się wytłumaczyć.

– Wytłumaczyć się? Dobrze, pani. – Jej dłoń nie drżała, kiedy celowała palcem w osobnika, którego oskarżyła. – Nie rozpoznałam go od razu, ponieważ nigdy go przedtem nie widziałam, ale kiedy uciekałam z pomieszczenia, w którym mnie uwięziono przez wyjazdem z Cui-fernam, Bulganowi wymknęło się nazwisko tego nieboszczyka. – Wskazała na wciąż dymiące ciało na podłodze za jej plecami. – Teraz wszystko pasuje...

Wbiła wzrok w wypukłe skośne oczy, które odpowiedziały jej bezczelnym spojrzeniem, maskującym kłębiące się za nimi nieprzyjemne myśli.

– Oskarżam Soergga Hutta o zorganizowanie mojego porwania, próbę przeszkodzenia w rozejmie pomiędzy mieszkańcami miast a Alwarimi ze stepów, o kierowanie co najmniej jednym, a prawdopodobnie obydwoma zamachami na nasze życie, o wyznaczenie nagrody dla

Qulunów i każdego, kto zdoła nas porwać i zatrzymać do czasu zakończenia głosowania, a także, co uważam za bardzo prawdopodobne, o pozostawanie w służbie Gildii Kupieckiej! – Barrissa drugą dłonią chwyciła rękojeść miecza.

Jedno spojrzenie Luminary wystarczyło, aby powstrzymać padawanę, ale nie zamknęło jej ust.

– To poważna konferencja, Barrisso. Nieistotne jest nasze zdanie na temat pewnych nieistotnych kwestii, należy przestrzegać protokołu.

– Nieistotnych! Ależ to on kazał mnie porwać! – gorąco zaprotestowała Barrissa. – W dodatku prawie na pewno stoi za wszystkimi naszymi problemami tu, na Ansionie.

– To nie sąd, padawancko – łagodnie, lecz stanowczo przerwała jej Luminara. – Słowa takie jak „prawie” są tu nie dopuszczalne. To nie czas ani miejsce na rozstrzyganie takich spraw. Powstrzymaj się... albo ja to zrobię – dodała surowo.

Powoli i niechętnie Barrissa wróciła na swoje miejsce. Nie spuszczała jednak wzroku z rozdętego obiektu swojej urazy. Za plecami gości miejskie służby porządkowe usuwały ciało byłego majordomusa Hutta.

Soergg zwrócił się do zaciekawionych delegatów.

– Widać, że nasi przyjaciele spoza planety znajdowali się przez długi czas w wielkim napięciu. To całkowicie zrozumiałe. Spędzić tyle czasu pomiędzy dzikimi nomadami na stepach... to musiałyby się odbić na każdej cywilizowanej osobie. – Na tę obelgę Bulgan zerwał się i ruszył przed siebie, ale Kyakhta zdążył go powstrzymać. – Nie żywię urazy o wybuch tego dziecka, bo mogę sobie wyobrazić, do jakich wyrzeczeń zmuszeni byli wszyscy Jedi przez te kilka tygodni w otwartym stepie.

– Przynajmniej nie musieliśmy się obawiać, że ci dzicy nomadzi zastrzelą nas z zasadki – odparowała Barrissa. Luminara rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, ale po raz pierwszy padawancka udała, że tego nie widzi. Była wściekła.

Jeden z nowych ansioniańskich delegatów spojrzął przez ceremonialny stół na znanego i szanowanego członka społeczeństwa handlowego Cuipernam. Delegacja zgodziła się na obecność Hutta jako obserwatora obrad w imieniu wszystkich kupców miasta.

– Słowa tej młodej osoby dziwnie mnie niepokoją, Soergg. Czy to możliwe, aby się aż tak myliła?

Hutt szeroko rozłożył ramiona.

– Wszyscy tutaj dobrze mnie znacie. Jestem tylko zwykłym biznesmenem, który próbuje, podobnie jak wy wszyscy, przeżyć w świecie,

na którym się nie urodził. Dzięki życzliwości ansioniańskiego ludu dobrze mi się tu powodziło. Pomyślcie, czy mógłbym uczynić cokolwiek, aby narazić na szwank wszystko, co do tej pory osiągnąłem? – Spojrzał łagodnie w stronę zdenerwowanej padawanki. Wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać. – Czy właśnie takiej wyrozumiałości możemy się spodziewać ze strony senatu, jeśli zgodzimy się na przyjęcie ugody, którą przynoszą nam Jedi?

Och, co to za spryciarz! Barrissa widziała to wyraźnie. Ten tłusty ślimak był ekspertem od przekręcania faktów tak, by je dopasować do sytuacji. Może i brakowało mu takich drobiazków jak sumienie, skrupuły czy nogi, ale słów miał zawsze pod dostatkiem. Teraz rozumiała, czemu pani Luminara kazała jej siedzieć cicho. Jedną z pierwszych rzeczy, których uczy się Jedi, jest kontrolowanie swego temperamentu – przypomniawszy sobie z niechęcią. W momentach krytycznych, takich jak to spotkanie, osobiste emocje i uczucia nie mają prawa dojść do głosu.

Dlatego powstrzymywała narastającą w niej furię i starała się nie użyć Mocy, aby wydlubać te zarozumiałe, wredne huttańskie ślepia z nadętego łba. Trwała w całkowitym bezruchu, niczym kamienna rzeźba, kiedy delegaci i Jedi omawiali warunki proponowanej ugody pomiędzy mieszkańcami miast a Alwarimi ze stepów.

Poczuła pewną satysfakcję na widok kwaśnej miny Hutta, kiedy ostatecznie ugodę przyjęto stosunkiem głosów dziewięć do trzech. Przeciwno głosowali tylko: Hutt, Kandah i pewien Ansionianin z południowych rejonów. Padawanek zdumiała również zimna krew, z jaką Soergg skłamał, uznając uczciwość głosowania i przyrzekając przestrzegać warunków traktatu.

Wykorzystując doświadczenia ze szkolenia Jedi i wnioski z tego, co właśnie zaobserwowała, bez przeszkód przepchnęła się przez zadowolony tłumek, aby stanąć z Huttem twarzą w twarz. Pochylił się nad nią, masywny, lecz powolny. Choć tego nie okazała, zrobiło jej się przyjemnie, kiedy wyczuła w nim pierwsze drgnienie strachu.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia się spotkamy, Soerggu. – Uśmiechnęła się chłodno. – I to w okolicznościach, kiedy dyplomacja nie będzie konieczna. – Wskazała krótkim ruchem głowy Luminarę i Obi-Wana, rozmawiających z grupką innych delegatów. – I w miejscu, gdzie nikt nie będzie kontrolował moich uczuć.

Odpowiedział jej wzruszeniem ramion, od którego odrażająco zafalało całe jego zwaliste cielsko aż po koniuszek ogona.

– Nie mam ci tego za złe, padawanko. Interes to interes.

Barrissa wyczuła fałszywy ton w jego głosie.

– Kto cię wynajął, żebyś nas powstrzymał? – zawołała. – Wiem, komu płaciłeś, ale kto płacił tobie?

Wybuchnął głębokim, nieprzyjemnym śmiechem.

– Och, moja mała, pewnie znasz najgłębsze sekrety Jedi, ale nie wiesz nic ani o interesach, ani o polityce. Za co mieliby mi płacić? Robię to, co jest dobre dla moich interesów. Jedi zawsze szukają piasku w trybach, komplikacji tam, gdzie wszystko jest oczywiste.

– Nie ma nic oczywistego, kiedy namawia się do głosowania zatwierdzającego secesję od Republiki.

– Secesję? Ależ to już temat zamknięty. Czy nie przegłosowano tego w twojej obecności? – zahuczał łagodnie.

– A ty zamierzasz przestrzegać nowego traktatu pomiędzy mieszkańcami miast a nomadami ze stepów? Nie będziesz próbował go złamać? – Spojrzała wymownie w kierunku wejścia, tam, gdzie podniecony intruz został zabity przez tego, z kim właśnie rozmawiała. – Byłabym w błędzie, sądząc, że osobnik, którego zastrzeliłeś miał przy sobie jakiś dowód przeciwko tobie, prawda?

Soergg odwrócił wzrok, co Barrissie wystarczyło za odpowiedź.

– Co za złośliwa uwaga, mała padawanko – obruszył się tłuścioch. – Niegodna tak ślicznej istotki, jak ty. – Spomiędzy gumowatych warg wysunął się spiczasty jęzor i skierował w jej stronę.

Kręta Hutta nie wystarczyły, aby zdecydowała się przerwać tę konfrontację, ale ten obleśny gest i towarzyszący mu komplement sprawiły, że czym prędzej dołączyła do swoich towarzyszy.

– Czas ruszać w drogę – zauważyła Luminara. Obejrzała się na Obi-Wana, który dziękował przedstawicielom za ciepłe przyjęcie i chwalił ich mądrą decyzję pozostania w Republice.

Jak tylko wyszli na zewnątrz, Barrissa postanowiła ochłonąć z gniewu. Zagadnęła drugiego padawana.

– Jak się czujesz, Anakinie?

Wpatrywał się niecierpliwie w niebo. Wyraźnie spieszyło mu się do wyjazdu.

– Teraz, kiedy już zrobiliśmy swoje, znacznie lepiej – odparł, a kiedy zauważył, że dziewczyna wciąż mu się przygląda, dodał szybko: – A o co chodzi?

– Nic, nic... myślę tylko, że chyba źle cię osądzałam. Przez czas, który chcąc nie chcąc spędziliśmy razem, miałam okazję lepiej cię poznać i zrozumieć, Anakinie. Teraz już wiem, że czegoś uparcie poszukujesz. – Wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz...

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Chcę tylko stać się Jedi, Barrisso. Nic więcej.

– Naprawdę? – zapytała przekornie, a kiedy nie odpowiadał, dodała: – Cóż, jeśli kiedykolwiek stwierdzisz, że chcesz pogadać z kimś oprócz Obi-Wana, zawsze możesz na mnie liczyć. Jeśli nawet ci nie pomogę, to może podsunę inne spojrzenie na niektóre sprawy.

Zawahał się chwilę.

– Dziękuję ci za tę propozycję, Barrisso – odparł wreszcie. – Naprawdę. Wiem, że z tobą łatwiej mi będzie porozmawiać o... o pewnych sprawach niż z mistrzem Obi-Wanem. – Wskazał głową dwoje Jedi pogrążonych w rozmowie.

Zaśmiała się cicho.

– Z każdym rozmawia się łatwiej niż z mistrzem Jedi.

Kiedy już zgodzili się co do tej jednej kwestii, rozmowa potoczyła się gładko. Po raz pierwszy w życiu rozmawiali z całkowitą szczerością, jaka cechuje starych przyjaciół.

Luminara przyglądała im się z aprobatą. To ważne, że padawanowie się dogadują; pewnego dnia będą musieli ze sobą współpracować już jako Jedi, nieraz w bardzo trudnych okolicznościach. Podobnie jak Anakin spojrzała w niebo i zadumała się na chwilę. Gdzieś za jasnym nieboskłonem Ansionu w Republice wrzało. Dla zwykłych obywateli wszystko wyglądało normalnie, ale ci, którzy potrafili spojrzeć szerszej, wiedzieli, że do gry wkraczają potężne siły... nie wszystkie przyjazne. Zaczynało się dziać coś złego. Zadaniem Jedi było odkryć to zło i unieszkodliwić raz na zawsze. Ale jak to zrobić, kiedy nawet Rada Jedi nie wiedziała, gdzie tkwi jego źródło i jakie są jego rzeczywiste intencje?

Nawet mistrzyni Jedi nie może o tym sama decydować. Mam tylko wykonywać swoje zadania, pomyślała Luminara.

Ale mogła zrobić coś jeszcze. Przynajmniej teraz. Wydłużyła krok i zrównała się z Obi-Wanem. Postanowiła zasięgnąć jego opinii w pewnych ważnych sprawach, pogratulować mu raz jeszcze dobrze wykonanego zadania i wreszcie nacieszyć się jego towarzystwem.

Są takie małe radości, których nawet zwalczające się wzajemnie stronnictwa w całej galaktyce nie zdołają jej odebrać.

Pojawili się w Trzeciej Wieży Bror pojedynczo, aby nie ściągać na siebie uwagi. Turbowindy powiozły ich na sto sześćdziesiąte szóste piętro. Miejsce nie było równie bezpieczne, jak transporter powietrzny,

ale pomieszczenia, w których wystawiano prace najwybitniejszych artystów sztuki luminos na Coruscant, rzadko służyły jako miejsce spotkań troju przedstawicielom elity stolicy.

Shu Mai obserwowała Ansionianina i Korelianina. Poza nimi trojgiem sale wystawowe były puste. Senator miał zatroskaną minę. Tam Uliss z kolei nie ukrywał niezadowolenia.

– Słyszeliście już, prawda – odezwała się półgłosem przewodnicząca Gildii Kupieckiej. Znała odpowiedź z góry.

Nie przeszkodziło to przemysłowcowi przytaknąć energicznie.

– Ansion przegłosował pozostanie w Republice. – Spojrzał ostro na swojego towarzysza. – Senatorze, nie popisał się pan.

Mousul przeciągnął długimi palcami po grzywie i odparł sztywno:

– Zrobiłem, co mogłem. Decyzja nie należała do mnie. Mogę głosować tylko w senacie, nie w Radzie Unii. Mój wpływ na nich jest ograniczony.

– To nie była wina senatora – wtrąciła łagodnie Shu Mai. – Gdyby ci Jedi nie doprowadzili do pokoju pomiędzy mieszkańcami miast a nomadami, unia głosowałaby za secesją.

– To nie ma znaczenia. – Ton przemysłowca był oschły i zniecierpliwiony. – Sami to przed chwilą powiedzieliście. Teraz musimy iść naprzód... z Ansionem lub bez.

– A Malarianie i Keitumici? – nie ustępował Tam Uliss.

– Jesteśmy przeciwko ich wycofaniu się.

Shu Mai odetchnęła głęboko.

– Znacie moją opinię i zdanie reszty gildii. Bez rozmachu, jaki naszemu ruchowi nadałaby secesja Ansionu, nie możemy otwarcie zadeklarować swoich intencji. Wycofanie się Ansionu i jego sojuszników byłoby prowokacją, która poparłaby nasze działania.

Mousul potwierdził skinieniem głowy.

– Z Ansionem, Malarianami i Keitumitami w senacie nie mamy wystarczających podstaw do przedstawienia naszych żądań.

– Nie tak mówiłeś w zeszłym tygodniu – przypomniał Tam Uliss. – Pamiętasz, na co się zgodziłeś?

– Ja też pamiętam. – Shu Mai ruszyła w kierunku korytarza. – Nie czuję się tu dość pewnie, żeby dalej roztrząsać tę kwestię. Mogą pojawić się inni amatorzy dzieł sztuki. Pozwoliłam sobie wynająć bezpieczną salkę konferencyjną w Czwartej Wieży Bror. Zastosowano tam odpowiednie środki ostrożności, a moi ludzie je skontrolowali. Na stacji uaktywniono roboty strażnicze. Pozwolicie, panowie? – Uśmiechnęła się. – Jestem pewna, że rozwiążemy nasze problemy.

– Nie ma nic do rozwiązywania. – Uliss był nieugięty. – Zdecydowaliśmy już w zeszłym tygodniu podczas napowietrznej konferencji.

Ten facet jest nadęty jak balon, pomyślała z dezaprobatą Shu Mai, wychodząc z sali wystawowej na szeroki korytarz.

Uliss nie przestawał mówić.

– Przychodzi taka chwila, kiedy już nie można wypierać się uczuć. Pozostali gotowi są publicznie ogłosić, że ruch istnieje już od roku. – Spojrzał uważnie w twarz pani prezes gildii.

– Zaczekaliby jeszcze, gdybyś nie narzucił im swojego zdania. – W głosie Shu Mai nie było urazy ani gniewu. Zwykle stwierdzenie faktu.

Uliss obojętnie wzruszył ramionami.

– Przykro mi z powodu tej rozbieżności, ale tak się musiało skończyć. Inaczej czekalibyśmy bez końca.

– Nie bez końca – poprawiła go, kierując się w stronę pasażu łączącego obie wieże. – Tylko do właściwego momentu.

– A kiedy miałyby to nastąpić? Po kolejnym roku oczekiwania? Dwóch? A może trzech?

– Tak długo, jak to się okaże niezbędne. – Ich kroki stukwały cicho po gładkiej podłodze. Shu Mai wyjęła zza pasa urządzenie kontrolne i sprawdziła nim dalszą część pasażu, aby się upewnić, że nikogo tam nie ma. – Mam nadzieję, że nie potrwałoby to zbyt długo, ale to już nie moja sprawa.

Mousul skinął głową.

– Uliss, ty i twoi przyjaciele nie możecie pojąć, że w polityce cierpliwość jest jedną z najpotężniejszych broni.

Przemysłowiec z zalem potrząsnął głową.

– Jest czas na cierpliwość i jest czas na działanie. Wiesz, że nie wygrasz w tej dyskusji...

– Jeśli ujawnimy się zbyt szybko, nie wygra nikt – odparła z przekonaniem Shu Mai. – Przykro mi, że w tym punkcie się nie zgadzamy.

Przemysłowiec uśmiechnął się lekko.

– Nie ma sprawy, Shu Mai. Nawet ty nie możesz wygrywać każdej bitwy.

Skęcili. Za przezroczystymi ścianami i dachem chodnika dla pieszych, łączącego Trzecią i Czwartą Wieżę Bror, Coruscant lśniło wspaniale w wymytnym do czysta powietrzu. Rzędy pojazdów rysowały linie pół siłowych na popołudniowym niebie. Zautomatyzowane pojazdy serwisowe śmigały pomiędzy wysokimi wieżami po wcześniej zaprogramowanych trasach. Ładne miejsce, to Coruscant. Centrum nowoczesnej

cywilizacji. Wcześniej czy później wszyscy żądni potęgi politycznej, finansowej czy artystycznej trafiają na Coruscant. Jeśli ktoś pragnie wpływać na sprawy światów, zawsze trafi w szeregi senatu, najpotężniejszego i najważniejszego organu decyzyjnego w całej galaktyce. Każdy zresztą próbuje przeciągnąć jego członków na swoją stronę. A wystarczy podsunąć parę wskazówek. Kilka odpowiednich sugestii.

Należy to jednak zrobić we właściwym czasie i okolicznościach. Shu Mai wydłużyła krok. Idący obok niej Mousul, uczynił to samo. Uliss, zajęty obserwacją miasta, został kilka kroków w tyle.

Na końcu pasażu przewodnicząca Gildii Kupieckiej przystanęła i wykonała raptowny zwrot. Mousul, znajdujący się obok, uczynił to samo. Shu Mai podniosła niepozorne urządzenie i dotknęła przycisku.

Tam Uliss okazał zrozumiałe zaskoczenie, kiedy nadział się na pole siłowe. Było całkowicie niewidoczne i absolutnie nie do pokonania. Na twarzą przemysłowca odbiło się wiele uczuć w rekordowo krótkim czasie. Jego słowa, sądząc z miny, coraz bardziej gniewne, nie przenikały jednak przez barierę, która wyrosła nagle pomiędzy nim a jego towarzyszami.

Przewodnicząca Gildii Kupieckiej i senator z Ansionu bez zmruczenia oka obserwowali kipiącego gniewem kolegę. Twarz Ansionianina nie wyrażała nic, twarz Shu Mai – jedynie zadumę. Nagle w oczach Ulissa pojawiło się zrozumienie. Odwrócił się gwałtownie, próbując wrócić do Trzeciej Wieży tą samą drogą, którą przyszedł... i stwierdził, że od tamtej wieży odgradza go niewidzialna bariera identyczna z tą, którą pozostawił za sobą...

Shu Mai podeszła do bariery i obserwowała spanikowanego przemysłowca miotającego się w pułapce. Wszystkie pieniądze, wszystkie kontakty nie na wiele mu się teraz przydały. Szkoda. Wprawdzie nigdy specjalnie nie przepadała za Tamem Ulissem, ale szanowała go. Nie dalej niż o długość ręki od jej twarzy wściekły i przerażony Uliss wykrzykiwał pod adresem swoich towarzyszy-konspiratorów na przemian to groźby, to błagania. Bariera jednak w dalszym ciągu blokowała głos przemysłowca równie skutecznie, jak uderzenia jego pięści.

Shu Mai przez dłuższą chwilę wpatrywała się w twarz dawnego współnika.

– Cierpliwość, przyjacielu, jest bronią, której nie możemy marnować – szepnęła cicho, choć adresat tej uwagi nie mógł jej słyszeć. Odwróciła się i odeszła. Przystanęła obok Mousula, który cofnął się do korytarza. Senator obserwował, jak Shu Mai szybko, z wprawą wprowadza sekwencję kodu, dotykając niewielkich przycisków.

W końcu korytarza rozległ się cichy trzask, który stopniowo nara-
stał Uliss przestał walić w nieporuszoną barierę. Jego gniew zamienił
się w niepewność, potem w zaskoczenie. Wciąż wpatrywał się w Shu
Mai i senatora, kiedy cały pasaż oderwał się najpierw od Trzeciej, a na-
stępnie od Czwartej Wieży Bror i runął w dół, ku powierzchni planety
znajdującej się sto sześćdziesiąt sześć piętér poniżej...

– Zmęczenie materiału – mruknęła pani przewodnicząca. – Przy
najnowszych technologiach rzadkie, ale cóż, zdarza się.

– Istotnie – niezobowiązująco odparł senator z Ansionu.

– Taka ważna osobistość. Co za straszna tragedia. Straszna. Sama
wygłoszę na pogrzebie Tama Ulissa mowę pogrzebową. – Shu Mai spłotła
dłgie dłonie za plecami i ruszyła w dół korytarza.

– To piękne z twojej strony, Shu Mai. – Senator odetchnął głębo-
ko. – Kiedy dowiedzą się, co się przytrafiło Tamowi Uliissowi i co spo-
tkało Nemrileo z Tanjay, nie sądzę, żeby ktokolwiek jeszcze próbował
sprawiać nam kłopoty.

– Zgadzam się. Mam nadzieję, że teraz nasi zwolennicy będą znacz-
nie grzeczniejsi.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostawię cię tutaj – powie-
dział senator. – Mam dzisiejszego popołudnia wiele pracy.

Przewodnicząca Gildii Kupieckiej łaskawie skinęła głową.

– Rozumiem. Ja też mam coś do roboty.

Rozstali się: Mousul wrócił do swoich obowiązków senatora, Shu
Mai zaś do prywatnego gabinetu. Zamknęła wszystko starannie. Upew-
niła się, że jest bezpieczna i dopiero wtedy wprowadziła specjalną se-
kwencję kodową; połączyła się z pewną niezwykle indywidualnością,
przed którą odpowiadała za postęć w rozwoju konspiracji na Coruscant.

Kiedy pojawiła się przed nią znajoma twarz, zaczęła bez wahania:

– Były pewne... problemy. Jedi udało się doprowadzić do zawar-
cia pokoju pomiędzy frakcją miejską i nomadami na Ansionie. W re-
zultacie delegacja unii na Ansionie przegłosowała pozostanie ich świa-
ta w Republice.

Głos rozmówcy był twardy i pewny siebie.

– Trudno. Będziemy musieli zmienić nasze najbliższe plany. – Twarz
uśmiechnęła się. – Nie sądziłem, że Jedi tego dokonają. Nie w tak krót-
kim czasie.

– Jeszcze coś. Senator Mousul jest nadal zaangażowany w sprawę,
natomiast pewna grupa naszych zwolenników planowała dalsze działa-
nia pomimo decyzji Ansionu. Trzeba było... przykłádnie ukarać wicherzy-
cieli. – Wyjaśniła szczegółowo całą sprawę.

Osobnik po drugiej stronie bezpiecznej linii słuchał w milczeniu.

– Bardzo żałuję straty Tama Ulissa, ale rozumiem, co tobą powodowało – powiedział wreszcie. Przewodnicząca Gildii Kupieckiej poczuła ogromną ulgę, choć sama nie wiedziała dlaczego. – To nie ma znaczenia. Działania posuwają się do przodu, projekty rozwijają się po myślnie. Jakoś przebolejemy tę stratę.

– Decyzja gildii pozostaje niewzruszona – oznajmiła Shu Mai.

Hrabia Dooku uśmiechnął się.

– Podobnie jak decyzja waszych zwolenników. Nie uważam tego za wielką przeszkodę. Ostateczny wynik jest przesądzony, nieważne, co zrobią ci przekłeci Jedi. Nadchodzą wielkie zmiany. Czeka nas wspólny los, przyjaciółko. Już niedługo. Ci, którzy będą gotowi, odniosą ogromne korzyści.

Była to przyjemna myśl, której można się uchwycić. Shu Mai przerwała połączenie, zgasiła ekranowanie pomieszczenia, wstała i wyszła.

Jest jeszcze tyle do zrobienia.